





WŁADYSŁAW ST. REYMONT

ROK 1794

OSTATNI SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WYDANIE TRZECIE

~~681~~
BIBL. UCZ.

~~7-1833~~

1349

~~1833 681~~

wp.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



821.162.1-311/61

CZYTELNIA KSIĄŻEK

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW-YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU SP. AKC.” — KATOWICE

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE

Zakłady Graficzne Straszewiczów, Leszno 112.

I.

Wieczór zapadał upalny, dziwnie duszny i cichy, gdy z ogrodu Botanicznego na Horodnicy buchnęła rakietą, pierzastą strzałą przeszywając ciemności.

Na ten znak wszystkie drzewa i gąszcze jeły zakwitać i mrowić się różnobarwnemi światłami; nad kolumnadą pałacyku, wznoszącego się na wyniosłości, rozbłysły cyfry Sieversa w otoku wieńców dębowych, przeplecionych jego herbowemi barwami, a w ogromnych oknach zamigotały czerwonymi płomieniami urny alabastrowe, spowinięte w bluszcze.

Rozwarły się nagle wielkie podwoje, fala światła chlusnęła na taras, pełny wdzięcznie powyginanych bogiń, amorów i waz marmurowych, i twardym, mocnym krokiem wyszło dwunastu pajuków w czerwonych, obcisłych czechczerach i kurtach, suto szamerowanych złotemi galonami; nieśli zapalone pochodnie i ustawiali się na ostatnim, szerokim stopniu schodów.

Po chwili ukazał się pan Pułaski, otoczony liczną, wielce strojną i rozbawioną socjetą. Liberja śpiesznie wynosiła za nimi krzesła i ławy, lecz wszyscy skupili się przy balustradzie, obwieszonej girlandami kwiatów, pilnie obserwując pustą drogę, biegnącą od strony miasta.

Przycichły nawet szepty i śmiechy, a tylko pan Pułaski kręcił się nieustannie, poprawiał pasa, odrzucał białe wyloty, dawał jakieś rozkazy służbie i muzykantom, zebranych w cieniu kolumnady, i coraz niecierpliwiej biegał oczyma po drodze i uiluminowanych gąszczach, wołając przytem co chwila do zgarbionego starca, chodzącego za nim, jak cień:

— Mości Borowski, czy aby się tam nie stało co złego?

Borowski kłaniał się nisko, zamiatając połami kontusza, rozkładał bezradnie ręce i milczał, nie odstępując go ani na krok.

Przyjaciele jęli go konsolować i żartobliwie spokoić.

— Może jeszcze spoczywa po podwieczorku pani kasztelanowej.

— Albo wypadło mu jechać do Króla Jegomości.

— Daję parol honoru, jako wstrzymały go pilne sztafety.

— Nie crimen jeszcze takie opóźnienie!

Zaś kilku dygnitarzów generalności, stojących na stronie, dworowało sobie zcicha z kłopotów Pułaskiego.

— Najwidoczniej go afrontuje.

— Korona mu z głowy nie spadnie, jak poczeka.

— I tak miał będzie aż nadto honoru.

— Patrzy, jakby ambasador próbował marszałkowskiej cierpliwości.

— Mniemam, jako generalność przyuczona i do gorszych prywacyj—zauważył z przemiłym uśmieszkiem młody człowiek o twarzy wyostrożonej, niby brzytwa,

przybrany w popielaty, ogoniasty frak, srebrną kamizelę i obcisłe kiuloty.

Dygnitarze jakby nie dosłyszeli, a tylko jakiś z brzuchem srodze wysadzonym i obwisłymi podbródkami próbował żartować:

— Najgorsze, że pieczenie wysuszą się na podeszwy.

— Ale szampańskie będzie lepiej przechłodzone.

— Utrafiłeś w sedno, mości Woyna, bo ledwie już dycham z gorąca i zapowiadam, jako nie ulęknię się i tuzina pękatych flach.

— Brzuch waszmości wstrzyma, ale czy zapasy wstrzymają?

— Nie frasuj się waszmość o zapasy. Napitków jest w bród. Sam widziałem, jak zajeżdżały przed ekonomję szmirgieltowe bryki, zapchane po same wręby. Na grzeczny fest dzwoniły flaszuchny!

Woyna odgarnął przytrefione włosy, rozdzielone nad czołem i spływające w czarnych puklach na szafirowy kołnierz fraka i, podparłszy wargę złotą gałką laski, rzucił niedbale:

— Przypomniałem, że to sąsiedzkie potencje ponoszą ekspensa. Nie zbraknie więc niczego i nikomu.

— Płaci, kto musi, pije, kto ma ochotę — odrzucił grubas i, zniżywszy głos, zaszeptał konfidencjonalnie: — Boscamp o dwa kroki!

Woyna, nie zmieniając żartobliwego tonu, zawołał:

— Niechaj mi tylko płynie burgońskie, a nie dbam o resztę.

— A dla mnie węgier! — wtrącił jakiś pan z czer-

woną twarzą, pływającą w ogromnym halsztuchu, niby w białej misie.

— Niema jak angielskie piwo, ale w butelkach! — mlasnęły z lubością jakieś wątrobiane wargi, brzuch obwisły, pałakowate nogi, piaskowy frak i białe pończochy.

— Judica me, Domine, jeśli kiedy zgrzeszył wybredzaniem — bufonował grubas. — Wszyscy mogą poświadczyć, jako zawsze stoję w każdej najcięższej potrzebie i z każdym nieprzyjacielem walczę do ostatniej kropli.

— Toć wiadome są przewagi waszmości pod Kuflewem.

Grubas tylko się zaśmiał i, obleciawszy dokoła chytremi oczyma, ciągnął dalej z krotochwilnem namaszczeniem:

— Nie przebieraj w napitkach i nie pytaj, kto je płaci. Kto ma takie principia i przytem piękne pragnienie, ten może wiele dokazać na świecie — prawił, wybuchając śmiechem co chwila.

— Podhorski darmo nie robi z siebie błazna — szepnął ktoś z boku.

— Musi w tem być jakowaś kabała.

— Frant na cztery nogi kuty! Bucholcowy wiernik.

— A ja imaginuję z tego, co mówi o sobie imię Podhorski, że król pruski musi mieć szczodłą rękę, żeby ugasić tak piękne pragnienia... — uciał zuchwale Woyna i poszedł w stronę dam.

— Poczekajno waszmość! — wołał za nim Podhorski jakimś przyduszonym głosem, bo dosłyszał jego

uwagę. — A to woli świszczypała bakę świecić podwikom, niżli z nami prowadzić pocziwe dyskursa. Złote to jednak serce! — zapewniał z naciskiem.

— Ale język jaszczurczy.

— I nadto sobie już pozwala. Niema w Grodnie człowieka, któremuby nie dokuczył do żywego. Niczego nie uszanuje.

— W jakiejże materji radzą waszmoście? — spytał Pułaski, przystając.

Ale uczynił się nagły rumor i ktoś wołał na cały głos:

— Mości panie marszałku, już słyhać powozy!

Jakoż zatętniały kopyta i głuchoe turkoty kół, a po chwili z pod obwisłej gęstwy drzew zamigotały pochodnie konnych laurów, pędzących co siłą, a za nimi wysunęła się na drogę wspaniała, pozłocista kareta, zaprzężona w sześć białych koni, o farbowanych czerwono grzywach i ogonach, otoczona chmarą cwałujących kozaków w purpurowych, rozwianych chałatach i wysokich, czarnych czapach.

Zagrzmiała wrzaskliwa fanfara i kareta, zatoczywszy wielkie półkole, przystanęła pod tarasem. Lokaje spuścili schodki, a pan Pułaski, zeszedłszy na ostatni stopień, witał czołobitnie wysiadającego Sieversa i powiódł go uroczyście. Szli otoczeni wieńcem pochodni, wskroś tłumów, kornie chylących głowy, i trwożliwego milczenia. Za nimi włókł się ciężko i z nachmurzoną twarzą biskup Kossakowski z panią Ożarowską.

Po długim ceremonjale przedstawień pani kasztelanowa zawołała:

— Panie marszałku, a gdzie ta zapowiedziana siurpryza?

— Za chwilę, a słowo stanie się ciałem.

— Czekamy jeszcze na hr. Camelli i resztę towarzystwa.

— Ależ tymczasem posłuchajmy z ciekawości.

— A takie cuda rozповідаją o nagotowanych nadzwyczajnościach!

— Bardzo trudno będzie nas dzisiaj zadziwić — zauważył Sievers z uśmiechem, podając tabakierkę Pułaskiemu.

— Istotnie, przeżyliśmy dzień godny uwielbienia.

— Ta oktawa imienin J. W. ambasadora stanie się w Polsce pamiętna.

— Na zawsze, powiedz waszmość.

— Kroniki przekażą ją pamięci przyszłych pokoleń.

— Szkoda, że nie uwieczni jej Węgierski! — rzucił drwiąco Woyna, ale zagłuszył go chór chwalczych głosów. Słowa pijane zachwytem, frazesy błyszczące, niby tęczę, miodne szepty i łaszące się, żebracze spojrzenia spływały ze wszystkich stron na siwą, ufryzowaną w kunsztowne pukle głowę ambasadora, który potakiwał wszystkiemu, uśmiechając się wciąż zwiędłym, jakby przyklejonym do wąskich warg uśmiechem poślizgniętej dobroćliwości. Chwilami z lubością dotykał wypieszczonemi palcami szerokiej, niebieskiej wstęgi orderu św. Andrzeja, który był otrzymał w ostatnich dniach za przeprowadzenie traktatu rozbiorowego, poprawiał machinalnie gwiazdę brylantową, zażywał ta-

bakę i, wodząc sennemi oczyma po twarzach, zwracał się niekiedy z jakąś suchą uwagą do Kossakowskiego.

Biskup zmuszał się do uśmiechniętej odpowiedzi, ale spozierał coraz mroczniej i niecierpliwie szarpał mantolet podbity purpurą, aż wreszcie zwrócił się cierpko do marszałka:

— Więc czekamy tylko na hrabinę Camelli?

— I na imci pośła pruskiego.

— Książd biskup nie uwielbia naszej zachwycającej Eurydyki — szepnął Sievers, dotknięty jego lekceważącym tonem.

Kossakowski jął dworacko i z takim zapalem sławić głos i wdzięki hrabiny, że przejednany ambasador wziął go przyjacielsko pod ramię i odprowadził na stronę, nie zważając na hałaśliwą kawalkatę powozów, która nareszcie wypadła z gąszczów i leciała drogą, w krwawych tumanach pochodni, wśród rzechotu dzwonek, tętentu galopujących koni, krzyków i siarczystego palenia z batów.

Niby rozhukana burza, wpadały na podjazd powozy, karjolki, wiski, karety i długie, dziwaczne wisawisy i skłębiona zawierucha rozbawionych pań i panów runęła na schody i rozsypała się po tarasie.

Naraz wszyscy poczęli opowiadać, przekrzykując się nawzajem i wybuchając śmiechami. Hrabina Camelli wraz ze słynną z urody księżniczką Czetwertyńską, baronówną Keiking i szambelanową Rudzką opadły panią Ożarowską, rozповідаjąc o jakimś niesłychanie komicznym zajściu.

— ...i potem gitarę rozbił o głowę lokaja! — wo-

łała z emfazą wielce śmieszną hrabiną. — A myśmy na złość temu dzikusowi śpiewały, nie przerywając ani na chwilę. Myślałam, że zacznie nas bić ze wściekłości. I gdyby nie szambelanowa, to kto wie, coby się stało. Już zgrzytał zębami—wykrzykiwała, podkreślając każde słowo uśmiechem i namiętną gestykulacją.

— Hrabino, twój głos to skarb ludzkości. Trzeba go ochraniać — strofował ją ojcowsko Sievers, zarzucając na jej obnażone piersi szkarłatny szal. — Któż to był ten dziki człowiek?

— Książę Cycjanow, nasz szlachetny rycerz i obrońca — przedstawiała baronówna, dygając ironicznie przed niskim, srodze dziobatym panem o nieokreślonym wieku i skośnych oczach.

— A który przytem nie umie powozić — śmiała się księżniczka.

— Zgoła niesłuszne suspicje! — szepnęła szambelanowa.

— Cóż miałem robić, kiedy konie bały się brzęku gitary i co chwila ponosiły. Mogliśmy się pozabijać. A panie na moje prośby odpowiadały tylko śmiechem — tłumaczył się wielce zgniewany.

— I miałeś nas ochotę bić? Proszę teraz o prawdę! — przypierała hrabina, zaglądając mu w mętne, jakby ugotowane oczy.

— Byłbym cię, pani, raczej pożał! — zawarczał, ogarniając lubieżnem spojrzeniem jej biust, zaledwie przyprószony szkarłatem.

— Czy i mnie, co? — pytała natarczywie baronówna.

— Książę nie jest Herodem i nie pastwi się nad niewiniątkami—bronił wesoło Sievers, i naraz odwrócił się gwałtownie, szepnął coś hrabinie i odszedł z nią ku bocznemu zejściu, jakby umyślnie unikając Buchholtza, który właśnie przedzierał się ku niemu, obrzucany nienawistnymi spojrzeniami. Imć poseł pruski przystanął, rozglądając się dosyć bezradnie, ale wnet znalazł się przy nim Podhorski, marszałek, paru jeszcze konfidentów i z najgłębszą ostentacją sprowadzili go ze schodów, bo już muzyka grała poloneza i towarzysztwo wysypywało się do parku.

Las krwawych, rozmiotanych pochodni oświecał im drogę.

Woyna szedł samotnie, obserwując z pod oka jakiegoś młodzieńca, który już od pewnego czasu płatał się koło niego. Naraz obaj przystanęli, zajrzeli sobie zbliżając się do twarzy i Woyna zawołał z ironiczną czułością:

— Zali to naprawdę oczy moje znowu mogą uwielbiać imci porucznika Sewera Zarębę?

— Woyna! Kazio Woyna! — odchrząknął zdumiony, rzucając się w otwarte ramiona. — Śmierciobym się raczej spodziewał!

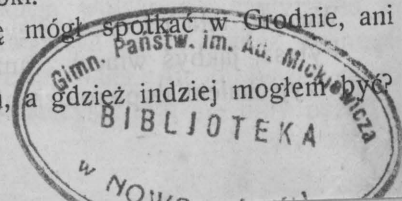
— Uszanuj, niedźwiedziu, chociaż moją koafjurę.

— Takie spotkanie! ledwie wierzę własnym oczom.

— Sprawdziłeś na moich żebrach! — śmiał się, rozcierając sobie boki.

— Iżbym cię mógł spotkać w Grodnie, ani mi powstało w myśl!

— Człowieku, a gdzie indziej mogłem być?



— Rozumiałem cię bawiącym w Warszawie lub na wsi.

Woyna zagwizdał melancholijnie.

— Jeszcze na wiosnę przegrałem do Miączyńskiego ostatnią żywą duszę z Zatorów. Wszystko djabli wzięli, cum assistentia militari, jak pisał mój mecenas. A w Warszawie także nie miałem co wysiadać. Tam już cuchnie trupem i zostały tylko stare kwolchy na dewocji przy prymasie, rozjęczeni wierzycciele Teppera i hultajstwo miejskie. Mówię ci, pustynia! Dukat jest tam taką rzadkością, jak cnota panińska w Grodnie. Chyba, że się go szuka u Igelströma, ale i ten po wyborach nie taki już szczodry. Imaginuj sobie, jako wkońcu u Jasowicza nie chciano mi borgować ani jednej butelki wiecej. O tempora, o mores! jak jęczy nasz dobry Staś, kiedy mu Sievers odmawia awansu. Przeto rzuciłem niewdzięczne miasto i teraz oto zabawiam się w tym raj u grodzieńskim.

— Mówiono mi, żeś został konsyljarzem generalności.

— Nie lubię ochłapów, ni trzymania się pańskiej klamki. — A przytem — głos mu zabrzmiał smutkiem — czyż mógłbym się pastwić nad matką rodzoną? Żyję więc po dawnemu i, jak zawsze, uwielbiam kobiety, wino i złoto. Właśnie obiecuję sobie dobrze zjeść na chwałę opiekuna i, jak się da, wygrać w faraona nieco dukatów.

— Więc to feta na cześć Sieversa?

— Pytasz, jakbyś wracał z antypodów.

— Przyjechałem dopiero dzisiaj rano, spałem cały

dzień, a o zmierzchu zabrał mnie dawny towarzysz, przywiózł tutaj, sam się gdzieś zapodział, spotkałem ciebie i nic więcej nie wiem.

— Kiedy tak, to zakonotuj sobie w pamięci: oto dzisiaj oktawa imienin Sieversa. Na jego to cześć i na oddanie wdzięczności za szczęśliwe przeprowadzenie aljansowego, jak się głośno prawi, traktatu będziemy się cieszyli do świtania. Zapamiętaj dobrze ten czwartek 1 sierpnia 1793 roku.

— A któż się tak żarliwie ekspensuje na te festy?

— Pułaski, wicemarszałek Targowicy i poseł wołyński, ale nie obawiaj się, nie narwie się szlachcic, odbierze wszystkie ekspensa i z .sutą nawiązką ze szkatuł ambasadorskich. Dygnitarze generalności są zawsze bardzo hojni, ale z cudzego...

— Rad się jednak napatrzyć personom konfederackim.

— Cóż, kiedy samego Trifolium już nie zobaczysz. Podobno z domu, który ma się zawalić, najpierw uciekają ptaki. Może i dlatego Szczęsny Potocki w Hamburgu cieszy się drogo zapłaconą Wittową, Brannicki w Petersburgu wyciera antyszambry Zubowowskie, a Rzewuski zakopał się na wsi; naucza karczmarzy sztuki łacniejszego rozpajania chłopów i pisze uczone ustawy dla swoich ekonomów, jak mają łupić ze skóry poddanych. Czasem zjawia się w Grodnie, zwłaszcza, gdy mu pogrozą egzekucją wojskową, nawytrząsa się Prusakom i królowi, nawyrzeka się na upadek wolności, a udobruchawszy Sieversa, znika. Ale drobiazgu targowickiego nie brakuje, zobaczysz, roją się niby pszczoły

nad miodem ambasadorskim. Fakcja to dzisiaj najliczniejsza.

— Nie brak jeszcze pocziwych w Rzeczypospolitej—zawołał tak gorąco, że Woyna spojrzał uważniej i szepnął mu do ucha:

— Bacz, byś się z czem zbytńio szczerem nie wyrwał przy ludziach. Tu ściany mają uszy. Zwłaszcza osoby opiekuna i aljantki są nietykalne. Każde słowo donoszą. Może ja tylko jeden mam privilegium gadania, co mi się spodoba, bo mnie znają kosterą i pijakiem. A wielu już nieostrożnych przepadło potem gdzieś bez śladu...

— Mówisz nie do wiary! A gdzież wolność? Gdzie prawa kardynalne?

— Tymczasem w zastawie u Sieversa. Chodźmy prędzej, żeby nam co lepszych miejsc nie zabrali.

Dopędzili towarzystwo zebrane nad Horodniczan-
ką i rozentuzjasmowane nieoczekiwanym zgoła widokiem.

Bowiem nad poszarpanym dziko i obrostym krzakami jarem, na którego dnie bełkotała rzeczulka, wznosił się turecki kopulasty namiot w żółto-zielone pasy, podbity karmazynową kitajką i tak wspapiałe zastawiony, że wielki stół ugiął się pod ciężarem sreber, porcelan, kryształów i świateł, uwieczonych w alabastro-
wych urnach. Zaś wpodłe niego, na pofalowanym brzegu i w różanych boskietach, sztucznie nasadzonych, stały pękate pagody chińskie o wywiniętych dachach ze słomy zielonej, wsparte na wyłaczanych smokach, okrzęconych wieńcami kwiatów. Każdy był przygotowany tylko na dziesięć osób i mienił się niby rozłożony se-

pet od sreber, kandelabrow ze złoconego bronzu i farfurów marcypanową, augsburską robotą, zdobiących stoły.

— Zaiste, aspekt zgoła niezwyčajny! — chwalił sam Sievers, a za nim i drudzy na prześcigi sławili szczęśliwy pomysł marszałka.

Pałaski, wielce rozradowany zadowoleniem powszechności, odrzucał raz po raz białe wyloty i szerokim gestem zapraszał do stołów, sam usadzając damy i co przedniejszych gości.

Na pierwszego pod namiotem usadził Sieversa, a dokoła zajmowali miejsca ambasadorowie ościennych potencji, znaczne panie, biskupi, ministrowie Rzeczypospolitej i co ważniejsi posłowie sejmowi. Reszta gości zajęła pagody, stwarzyszając się wedle upodobań, związków i przyjaciółstwa.

Woyna wprowadził Zarębę między znajomków i zasiadł przy nim, by swobodnie pogawędzić, ale nie uchronił go od natarczywych spojrzeń kobiecych i zaczepnych uśmieszków.

— Przepowiadam ci wielkie powodzenie u kobiet—szepnął ze szczerą admiracją, wając jego męską, zuchwałą urodę.

— Dbam o to, niby o śnieg zeszłoroczny.

Zarumienił się jednak.

— Więc piękna Iza jeszcze nie zapomniana?

Sewer ściągnął boleśnie brwi, jakby ugodzony pod zebro.

— Piękna szambelanowa — ciągnął Woyna — siedzi pod namiotem, między posłem angielskim i amszkańskim. Nie zauważyłeś?



— Nieciekawym — odparł przez zaciśnięte zęby.

— To mój druh serdeczny, mościa pani podkomorzyno dobrodziejko! — przedstawił go Woyna wspólniejszej damie, zajmującej obok miejsce.

Karłowaty murzynek, podobny do czarnej małpy, stanął za jej krzesłem, dźwigając szal i różne uzupełnienia toaletowe.

Podkomorzyna wachlowała się przez chwilę, obserwując zarazem Sewera z uwagą i niemałym zawiścią. Pani była nieco w leciech posunięta, ale jeszcze bardzo piękna, bujnie rozkwitła i tak gruntownie obnażona, że Zaręba nie wiedział, co zrobić z oczyma.

— Wdowa, parę tysięcy dusz w kordonie cesarskim, całe życie w amuretkach i hojna dla swoich amis — objaśniał go szeptem Woyna, bawiąc się jego skłopotaniem.

— Potrzymaj mi waszmość!

Głos miała niski, przesłizgany i francuszczyźnie o akcencie berdyczowskim.

Z trwogą wziął narzędzie wiatry czyniące, z koronek całe, dzierganych złotem. Po chwili rzuciła mu białe rękawiczki, malowane w minjaturowe a wielce frywolne sceny mitologiczne, i, wzięwszy od murzynka balsaminę, drażoną w agacie, srebrne zwierciadło i osypaną drogiemi kamieniami puszkę z pudrem, oblała sobie twarz, skropiła się wonnościami i rzekła cicho:

— Nie spotkałam waszmości na żadnych asambloch.

— Bom zaledwie dzisiaj przyjechał — odparł, zdumiony jej toaletowym ceremonjałem i obcesowością.

Uśmiechnęła się, błyskając olśniewającymi sznurami zębów, i pytała, wpierając w niego oczy, silnie podczernione.

— Waszmość z pod jakiej chorągwi?

Dziwił się jej przenikliwości, odwołując jednak odpowiedź.

— Poznaję żołnierza pod każdym przebraniem i nigdy się nie pomylę. I jakąż szarzę waszmość piastuje? — napierała.

Zbywał ją krotocwilnem kluczeniem, gdy Woyna znówu zaszeptał:

— Upprzedzam cię, jako te lube i obszerne terytorja, dające tak słodkie intraty, są już cum boris, lasis et graniciebus w chwilowej arendzie.

Parsknął na zakończenie wesółym śmiechem.

Podkomorzyna ściągnęła brwi sobolowe, podejrzliwie nastawiając uszy, obciążone olbrzymiemi diamentami, ale na szczęście powstał znaczny rumor, gdyż ukazał się imć Borowski, a za nim biało przybrana kohorta kuchcików, dźwigająca potężne srebrne półmiki, wazy brzuchate, rondle i białe, pokryte wonnemi parami; zaś drudzy, w zielonych, strzeleckich kurtach, ściągnęli z winami we flaszkach, konwiach, dzbanach, stałyżnych i omszałych gąsiorach, poznaczonych na łachach czarnemi krzyżykami; trzeci, w ponsowych frachach, białych pończochach i z utapiowanemi perukami, ściągnęli poźłociste puzdra, pełne likworów, zaprawnych ódek i smakowitych antypastów na przegryzkę; w ostatku jawili się olbrzymi pajucy i stanęli za zeszłami w karnym ordynku z ręcznikami na podorę-

dziu. Imć Borowski, jako wódz wielce sprawny w swem dziele, dał niemy znak i rozpoczęła się uczta.

Muzyka ściszonemi falami napływała gdzieś z oddali wraz z zapachami siana i więdnących kwiatów.

Wieczór był bardzo ciemny i upalny, szło jakby na burzę, niebo zwisało ciężką, ołowianą taflą i na zachodniej stronie przewijały się krótkie, blade błyskawice, gdzieś od Łososny dochodziły piania kogutów, a co pewien czas głucho, dalekie grzmoty targały powietrzem, niekiedy zrywał się suchy, gorący wiatr i miotał drzewami, aż szemrały gałęzie i przygaszały światła iluminacji.

A na tle tej ciemnej, niespokojnej nocy kopulasty namiot wznosił się rozgorzały, niby świątynia, w której zdążył się odprawiać jakieś tajemnicze misterje. Rozpalone urny i kryształły siały dokoła tęczyowy opył, w którego brzaskach ludzie i rzeczy nabierały zarysów widmowych. Wszystko jawiło się być nieopowiedziane cudnem majaczeniem. Spojrzenia miotwały się błyskawicowemi lśnieniami, a twarze i obnażone ramiona kobiet były jakby z perłowej konchy, pobryzganej turkusami, zaś barwy strojów przycichły, stapiając się w ściemniałe rozlewy rubinów, szmaragdów i złota, potrząsionych tu i owdzie srebrzystemi pianami koronek. Nawet biele obrusów miała barwy mydlanych baniek, a porcelanowe figury, poustawiane w pośrodku stołu roztańczonym korowodem muz, zdążyły się w tem świetle czarodziejskiem poruszać tajemniczo.

Sievers, siedzący na fotelu, wyłaczanym jak tron, zdał się być groźnem bóstwem, ku któremu pęłzały

wszystkie korne spojrzenia, kłoniły się wszystkie głowy i płynęły wszystkie westchnienia. Nawet samo milczenie zdało się być nabrzmiałem trwożliwą czcią i niepokojem.

Bowiem pod namiotem panowała niezmiernie surowa powściągliwość. Rozmawiano niewiele i szeptem, wążąc przytem każde słowo, każde spojrzenie i każdy ruch.

Nawet brzęki farfurów i sreber były ściszone, a liberja przesuwiała się lękliwie na palcach, niby cienie ledwie dojrzone.

Nudzono się też uroczyście i z wielką dostojnością.

Natomiast w altanach zgoła inny duch panował.

Z początku i owszem ściszano głosy, bacząc na persony, ucztujące pod namiotem, ale gdy minęło kilka dań i przedzwoniły pierwsze kielichy, przepadła wszelka wstrzeźmiewliwość i humory jęły się zrywać z wędzideł. Szlachta jadła i piła, dając folgę przyrodzonej wesołości.

Dowcipy strzelały, niby race, i, krążąc z ust do ust wraz z puharami, jak wino, nieciły powszechną wesołość. Posypały się pieprzne dykteryjki o księżach. Znalazł się nawet drukowany na niebieskawym kartelusku wielce nieprzystojny wierszyk na Buchholtza, obleciał wszystkie stoły i, wznieciwszy szalone wybuchy śmiechów, przepadł gdzieś bez śladu. Zabawiano się też coraz weselej. Liberja niestrudzenie czuwała nad kielichami, wino lało się strumieniem, rumieniły się twarze, uskrzydlały się fantazje, błogość przejmowała serca i rosła ochota. Oczy kobiet jarzyły się, niby gwiazdy, a ich wilgne uśmiechy i obnażone ramiona mąciły już w głowie niejednemu. Za rozmiotanemi

wachlarzami wiązały się ściszone dialogi, rwały się namiętne westchnienia i falowały piersi.

Ale gdy zabawa stawiała się zbyt szumna i zbyt siarczyście strzelały grzmoty śmiechów, pojawiał się tu i owdzie zgarbiony zarys imię Borowskiego i nastrój jakoś dziwnie posępniał; ściszano natychmiast rozmowy, twarze chmurniały, opadały bezsilnie wachlarze i ukradkowe, trwożne oczy leciały ku namiotowi.

— Zabawiają się, jakby odprawowali stypę — ktoś cicho zauważył.

— Gdzie za wielu celebransów, tam nudne nabożeństwo.

— Niech się nudzą, ale czemu to my mamy śpiewać gorzkie żale?

— Mówił Borowski, jako ambasador wielce dzisiaj niedomaga...

— I końby ustał, żeby go tak przez cały dzień fetowali.

— Tylko pani Ożarowska niestrudzona...

— Wypościła się po Stackelbergu, to musi zabiegać o następcę! — wyrwał się jakiś zuchwały głos.

Odpowiedział mu ogólny śmiech i rozmowy w tej materji potoczyły się tak zjadliwe i naszpikowane towarzyskiem, złośliwym delatorstwem, aż Zaręba smutnie zauważył:

— W Polsce lepiej być z ludźmi w wojnie, niżli w przyjaźni.

— Utrafiłeś rzetelnie! — potwierdził Woyna. — Nie mógł się u nas zrodzić Kastor, bo Poluks sprzedałby przyjaciela za ładajaki koncept. Ale tak lubo dworować

z bliźnich! — zaśmiał się cynicznie. — Spójrzyjno, jak nam tamten godnie panuje! — dodał, wskazując oczyma siwą głowę Sieversa, widną ponad wszystkie przez rozchylone naprzestrzał skrzydła namiotu.

— I z takimi dla nas prowentami, jak buty Karola XII Szwedom.

— A że tak samo nas traktują, więc je uwielbiamy. Pomyśl tylko: nigdy i nikomu Rzeczpospolita nie czyniła takich honorów. Nawet sejm zalimitowano do soboty, aby nie przeszkadzać awantazom. Więc też satysfakcjonujemy go ze wszystkiej mocy. Cały ten tydzień imieninowy nosimy go na rękach, obrzucamy kwiatami, wielbimy niby prawdziwego zbawcę. A już dzień dzisiejszy spędzamy najpracowiciej! Wiesz, rano odprawił mszę na jego intencję biskup Skarszewski. Zabawne, co?

— Że to go piorun nie trzasnął przy ołtarzu! — mruknął Zaręba.

— A szkoda! Widowisko byłoby wcale efektowne. Zaś w południe nuncjusz dał obiad na sześćdziesiąt osób; nie brakowało tam szampańskiego, ni toastów. Piliśmy liczne zdrowia i jego córek, jego wnuczków, a może nawet i jego lokajów. Czegoż Polak nie uczyni, skoro go poniesie ochota! Później pojechaliśmy na podwieczorek z niespodziankami; wyprawiała go pani Ożarowska. Siurpryzy były przednie i spektakl niezrównany. Odegrano „le Proverbe“. Popisywały się w niem najpiękniejsze panny i nieposzlakowana francuszczyzna. W antrakcie zaśpiewała boska Camelli, a jej brat grał na gitarze. Potem słodka, cnotliwa Julia Potocka, jak

zawsze w otoczeniu swoich dzieci, odtąńczyła wściekłego kozaka. Boże, jakie tam były prysyudy i wierzgania! Wpadliśmy w szal uwielbień, płakaliśmy ze szczęścia i szampańskie tryskało fontannami. A na zakończenie odbyła się jakby gloryfikacja dostojnego solenizanta. Sztuczka była pod psem, wiersze kulawe, francuszczyzna haniebna i za grosz sensu, ale że sławiła pod niebiosą naszego męża opatrnościowego, znaleźliśmy ją zachwycającą i nie szczędzili rżęsytych aplauzów autorowi. A wymozolił to arcydzieło w niemałym czola pocie były poseł kurlandzki, baron Heiking, a śliczna baronówna...

Przerwał, gdyż zahuczała nagle muzyka, rozległy się grzmiące wiwaty i wszyscy podnosili się od stołów.

— Co się stało?

— Pułaski wzniosł toast na cześć Króla Jegomości.

— Niech mu pójdzie na zdrowie! — szepnął, trącając się z najbliższymi.

— Otóż śliczna baronówna — ciągnął dalej — na zakończenie odegrała zachwycającą „Marquerie“. Imaginuj więc sobie, jakieśmy używali!

— Ale dlaczego takie awantaże?

— Spytaj się tamtych — wskazał namiot. — Ja tylko wiem, że zabawiałem się po królewsku i wyjątkowo sprzyjała mi Fortuna.

Zaręba miał na ustach jakieś kąśliwe słowa, lecz odwrócił się gwałtownie, dosłyszawszy żalospny głos podkomorzysty:

— Waszmość nie daje mi responsu...

— Bo nie dosłyszysz — wyręczył go skwapliwie

Woyna. — Nieco już przygłuchł na słodkie słówka — parsknął śmiechem na zakończenie.

— Z waćpana kpiarz niepocziwy! — syknęła, piorunując go wzrokiem.

— Ależ, pani podkomorzyno dobrodziejko.

— Cicho tan! Mości panowie, prosimy o cichość! Pułaski zabiera głos! — podniosły się zewsząd wołania i po chwili zapadło wyczekujące milczenie, pełne tylko bulgotów rozlewanych szampana.

Wszyscy zwrócili oczy na Pułaskiego, który stał naprzeciw Sieversa i, podnosząc kielich, wołał ogromnym, uroczystym głosem:

— ...Najjaśniejsza Imperatorowa Jejmość Wszech Rosji i nasza najmiłościwsza aljantka niech żyje!

— Niech żyje! — zahuczał namiot krzykami i brzękiem kielichów.

— Niech żyje! Brawo! Niech żyje! — zawtórowało sto potężnych gardzieli od wszystkich stołów i wraz buchnęła sroga fanfara; miedziane trąby zawyły przeciągle, a po wzgórzach ryknęły armaty i biły raz po raz, aż trzęsła się ziemia i krwawe błyski rzygały w ciemności.

— Pijże! To nie żarty! Patrzą! — zaszeptał Woyna, zmuszając Sewera prawie siłą do powstania. — Trochę gorzkie, ale można się włożyć...

— Nigdy! Nigdy! — bełkotał zgnębiony. Błady był, serce mu biło, niby ptak oszalały, pot zrosił czoło, oczy dziko zapłonęły i taki gniew nim zatargał, aż kielich latał mu w ręce, bryzgając na wsze strony.

— Poplamisz mi waszmość jupony! — ostrzegła podkomorzyna, odsuwając się nieco.

Zdrowie Jejmości Imperatorowej spełniono jednym tchem, skwapliwie podstawiając kielichy pod świeże strugi wina, bo muzyka znagła umilkła, krzyki ucichły, a pan Pułaski pochylił się nieco nad stołem i, wlepiwszy okrągłe, jastrzębie oczy w ambasadora, zawołał, jakby do wtóru armatom, grającym nieustannie:

— Mości panowie! Pijemy zdrowie naszego solenizanta i przyjaciela! Jaśnie wielmożny, ekstraordynaryjny i pełnomocny poseł Najjaśniejszej Imperatorowej Jejmości Wszech Rosji, Jakób de Sievers, niech nam żyje!

Wspaniałym ruchem odrzucił białe wyloty i wśród okrzyków wiwatowych ruszył ku niemu z kielichem w ręku.

Sievers podniósł się z niejakim trudem i, wzięwszy puhar z rąk Ankwicza, trącał się ze wszystkimi, dziękując ze szczerem wylaniem za pamięć łaskawą i życzliwość.

Powstał tłok dokoła wyłożonego fotelu.

— Musimy iść ze wszystkimi — szepnął Woyna, pociągając przyjaciela.

— Ciżba, jak przed ołtarzem.

— Wszechmocnej Fortunie cześć i uwielbienie. To jedyne bóstwo!

Ale gdy weszli w krąg światła, które padało z pod namiotu, Zaręba drgnął gwałtownie, wstrzymał się na mgnienie i naraz jakby runął w jakieś oczy promieniące w głębi namiotu.

— Iza!

— Sewer!

Zamigotał krzyk spojrzeń, wyrwanych ze samego
na tęsknoty, i, pchnięci niezmogoną siłą ciężenia, jęli
ę przec ku sobie przez ciżby stłoczone dokoła Sie-
ersa. Byli już blisko siebie, coraz bliżej...

— Spóźniamy się, wezmą to za opieszałość —
ucić Woyna, ujmując go silnie pod ramię.

Rozwiały się naraz tęcze czarów i rzeczywistość
ajrzała mu w oczy swoją szydliwą, bezlitośną twarzą.
rozumiał i, opanowawszy się w jednej chwili, pod-
iósł dumnie głowę, uklonił się Izie chłodno i wy-
iośle, trącił kielichem o kielich Sieversa i, nie
obejrzawszy się nawet na tamte oczy, przygaste
w zdumieniu, wyszedł z namiotu. Szedł krokiem zabi-
ego w szeregu, automatycznie, trzymając niedopity
kielich w ręku, i nie wiedząc, dokąd zmierza.

Znalazł się pod jakimś drzewem, zastępującem
mu drogę, i tam dopiero zupełnie oprzytomniał, trzasnął
szkłem o ziemię, wpał się plecami o pień i spróbował
ująć rozszalałe uczucia i myśli w żelazną więź woli...

.

Powrócił po jakimś czasie do socjety, ale pod
namiotem i w pagodach mrowiła się tylko liberja, przy
dopijaniu resztek, a wszyscy byli zebrani na wzgórku
za pałacem, gdzie właśnie pani Ożarowska własną ręką
zapalała fajerwerk.

Wyrwały się naraz rozplecione warkocze czerwo-
nych płomieni, wzbiły się wgórę i opadały zwolna
rzęsistym deszczem skier gasnących. Posypały się

okrzyki zachwytów i brawa, sam Sievers zaklaskał. A po chwili srogi grzmot zatargał powietrzem i buchnęły w górę olbrzymie wichry zielonych ognii, zaś z ich głębin, niby z głębi rozdartej ziemi, wyniosły się złocisto-rubinowe cyfry Sieversa; podnosiły się zwolna, majestatycznie, coraz wyżej i coraz ogniościwie migocząc, aż zawisły na długie мгновение w czarnych przepaściach nieba i tak wysoko, jakby nad całą Rzecząpospolitą...

Wkrótce zerwał się za nimi huragan błyskawic i jeły bić w górę ze świstem i trzaskiem tysiące płomienistych różeg i pióropuszków, otaczając cyfry skłębionem rojowiskiem świateł, dymów i grzmotów.

Wszystkie usta oniemiały w podziw i wszystkie oczy zawisły, jakby umęczone, na czarodziejskich znakach, rozpiętych w ciemnościach. Naraz w ciszy podniósł się jakiś mocny głos i zawołał ponuro:

— Manel Tekell Fares!

Odpowiedział mu śmiech ogólny i wybuch szalonej wesołości. Zerwały się siarczyste brawa i wiwaty na cześć Sieversa, tłoczono się przy nim i zasypywano entuzjastycznymi okrzykami. Gorętsi chcieli go nawet podnosić w górę, że ledwie temu przeszkodził Pułaski, obawiając się jakiegokolwiek przygody. Ale natomiast zjawili się hajducy z potężnymi gąsiorami, zabrzęczały kielichy, pito nowe zdrowia, wiwatując coraz ogniościwie. Zahuczały znowu mosiężne trąby fanfar, zagrzeczoły salwy karabinów i przemówiły armaty basowym, ważkim głosem, aż uczynił się z tego harmider, jakby srogiej bitwy i mordów zaciekłych. A gdy cyfry zgasty, wtedy cały park i wzgórze rozmiotały się burzliwie

i, niby wulkany, jeły raz po raz wyrzucać grzmoty i ślepić błyskawicami. Co chwila bowiem wylatywały strzeliste smugi płomieni, buchały fontanny, podobne w cudności do drzew koralowych, rozkwitały nagle niepojęte kwiaty wszelakich barw, jawiły się gwiazdy, wirujące zawrotną zręcznością, leciały kaskady szmaragdów, zacięły złote deszcze i rubinowe grad. Tysiące ognii wylatywały naraz z wrzaskliwym zgiełkiem, niby stada różnobarwnego ptactwa.

Towarzystwo, zachwycone tym wspaniałym widokiem, snuło się oniemiałe, niby cienie pól Elizejskich. Bo chwilami już się zdało niejednemu, jakoby Olimp zeszedł na ziemię z niedosiętych wyżyn i oto w tych gajach czarodziejskich, pełnych błyskawic i grzmotów, błądzą wespół ze śmiertelnymi boginie, nimfy i driady, w cichem rozmarzeniu szczęśnych upojęń. Niekiedy bowiem greckie tuniki, piersi obnażone i boso nóżki wyłaniały się nagle w świetlistych brzaskach, niby zawieszone w obłokach. Niekiedy tylko snuły się blademi zarysami, jakby w gorączkowem majaczeniu, a chwilami wszystek kształt ludzki przepadał i panowały jeno ślepiące mioty barw płomienistych i cieniów.

Widowisko było tak piękne, że, kiedy dano znak odwrotu, opuszczano wzgórze z żalem, odwracając tęskne oczy na dogasające cudowności.

— Dwa tysiące dukatów ekspensu na dym i smród!—wyznał się ktoś głośno.

— A król co parę dni żebrze przez Boscampa o awansel!—zaszeptał drugi.

— Zaś niepłacone, boso i głodne wojsko rozłazi

się do domów, chociaż nieprzyjacieli w granicach Rzeczypospolitej — dołożył Zaręba, przysuwając się nieco, ale tamci zamietli wystraszonemi oczyma i pierzchnęli.

— Idziemy tańcować! — Woyna zjawił się nie spodzianie. — Gdzież się podziewał? Podkomorzyna obligowała, abym cię do niej przywiódł. Szybko awansujesz w jej łaskach.

— Nic mi po takiej szarzy! — mruknął niechętnie.

Poszli wraz z drugimi ku pałacowi, który już zdala gorzał wszystkimi oknami. Obok nich, wspierając się na młodym księżyku, włókł się w ponurem milczeniu biskup Kossakowski.

— Przyszła mi genialna myśl — zwrócił się nagle Woyna do biskupa, który podniósł na niego chmurne i złe oczy. — Jako powinniśmy dać Polsce nowego defensora.

Biskup wstrzymał się na chwilę.

— Mamy bowiem dla Korony Stanisława; Litwa cieszy się swoim Kazimierzem, więc byłoby słuszną rzeczą dać Rusi—Jakóba!

Kossakowski parsknął śmiechem, ale milcząco słuchał krotochwili.

— Biskup Skarszewski — ciągnął dalej całkiem poważnie — dowiedzie czarno na białem i bardzo uczenie, jakie to cuda dzieją się w Polsce za sprawą nowego patrona! W jaki to nadziemski sposób rozmnaża się dobro poniektórych współobywateli, jak to koronne ostry przemieniają się w mędrców i dygnitarzy! I jakich to rubel zdobywa sobie żarliwych prozelitów. Nie spisać tych zasług i na wołowej skórze. Nuncjusz nas

poprze w Rzymie, Jejmość Imperatorowa nie sprzeciwi się wyniesieniu swojego sługi, a Rzeczpospolita godnie nagrodzi szczerego przyjaciela. Wszak wciąż zapewnia, jako wszystko, co czyni — czyni tylko dla naszego dobra. Mamyż nie uwielbiać takowej cnoty? Mamyż niewdzięcznością napoić serce tak czułe?

Zaręba buchnął śmiechem, ale biskup pogroził.

— By waści pierwaj nie przycięto języka!..

— Złożę go wtedy, jako wotum, na ołtarzu niewdzięcznej ojczyzny.

— Waszmość ze wszystkiego czynisz krotochwilę.

— Zali nie krotochwili wszystko godne?

Biskup milczał, dopiero, gdy wchodzili na taras, rzekł przyjaźnie:

— Proszę do mnie na obiad. Rad cię zobaczę, choćby zaraz jutro.

Woyna skłonił się dziękczynnie i, odprowadzwszy go do drzwi pałacu, wziął Zarębę pod ramię i zaszeptał żywo:

— Trzeba ci wiedzieć, że on nie cierpi Sieversa i szyje mu buty na wszystkie sposoby. Nienawidzą się obaj, chociaż stroją do siebie wdzięczne miny, jak w tańcu. Połknął mój haczyk, już ja go pociągnę.

— Nienawidzą się, ale obaj zgodnie pracują dla Semiramidy...

— Jeden trudzi się dla swojej pani, a zato ten drugi rwie, co się da, dla siebie i swojej głodnej rodziny. Nienasycony człowiek i przeto straszny! Wielu rzeczy się tutaj nauczysz, miej tylko uszy i oczy.

— Nie potem ja wprawdzie przyjechał — odparł ostrożnie Zareba.

— Szukasz fortuny? — postawił pytanie bez ogródek.

— Pragnę odzyskać utraconą szarżę. Jak pamiętasz, nie jestem statystą, lecz żołnierzem i obce mi są wszelkie inne materje.

— Będiesz więc, rycerzu z pod Dubienki, zwyciężał w Grodnie różne podkomorzyny, a legniesz śmiercią walecznych na zielonem polu faraona. Ja w tem, aby ci nie zbrakło okazji. A nuż skusisz Fortunę!

— Trzeba się z nią spróbować.

— Admiruję rezolutne principia. Ale się wyznaj, czyś naprawdę przyjechał tentować tylko o powrót pod chorągiew? — zagadnął znienacka.

— Tak, i liczę, że mi w tem wuj dopomoże.

— Kasztelan zabije karmnego wołu na powrót marnotrawnego i obleje łzami czułe pojednanie. A cóż powiedzą twoi dawni socjusze?

— Wszak powracam w służbę Rzeczypospolitej.

— Właściwie generalności. Widziałem twój podpis na manifestie.

— Ale teraz nolens volens muszę zrzucić pychę z serca i prosić absolucji.

— Król jej łącno udzieli, może ci nawet obieca coś, gdzieś, kiedyś. Nikt go przecież za obietnice nie pozwie. Z tego jednak miarkuję, jako ci serdecznie obmierzło liczenie ojcowskich kop i ujadanie się z pejzanami.

— Zgadłeś, wolę już swoich gemejnow i egzercerunki — zaśmiał się swobodnie, wielce rad, że Woyna nie przypiera go pytaniami.

— Cóż tam u was doma? — rzucił Woyna odniechcenia.

— Aktualnie to niebardzo wiem — zmieszał się srodze — bom teraz nie wstępował.

Weszli do antyszambry. Z przyległych bokówek, przerobionych na gotowalnię, rozchodziły się kobiece głosy i śmiechy.

— Radź sobie, jak umiesz, ja muszę na chwilę odejść — rzekł Woyna i odszedł.

Zareba zwrócił się do złożonych drzwi. Otwarli je przed nim dwaj lokaje w czerwonych frakach i białych perukach.

Ogarnęło go ciepło, przejęte mdłym zapachem perfum, świec woskowych, gwarem i brzękliwemi głosami nastrojanych instrumentów.

Stanął w podziwie wspaniałej sali, była bowiem wielka, jak kościół, obita czerwonym adamaszkiem i zakończona chórem, wspartym na czterech białych kolumnach, z pod których złożone drzwi wiodły do komnat rozwartych naprzestrzał. Złota, szeroka listwa obiegała górami ściany, pocięte w podłużne pola białemi pilastrami z marmurów, a w każdym połyskiwało starożytne, owalne lustro z zapalonemi świecami, kowane w srebrze. Przez wyniosłe okna świeciły czerwono płonące urny. Okrągłe zwierciadła w ramach porcelanowych, dzwiganie przez puciołowatych amorów, patrzyły tu i ówdzie mętnemi oczami. Wielkie pajaki posiewały senne brzaski świec i tęczowe migoty kryształów. Wskroś błękitów stropu pierzchały mdlejące Hory przed zwycięską Aurorą, pędzącą w orszaku bogiń i amorów, napinających

srebrne łuki. Parkiety polśniewały, niby gładzie lodowe, z pod których przeziierały cudne arabeski z drzewa różanego i cisu. Długie ławy, obciążone czerwona trypą, zdały się drygać lubieżnie pod ścianami, na pokrętnych, złożonych nogach kozłów, a pod oknami i przy drzwiach stali nieruchomo czerwoni lokaje, gotowi na każde skinienie.

Zaś na tle tych wspaniałości snuła się rozbawiona, świetna socjeta. Wszędzie było pełno ludzi, śmiechów, połysku diamentów, obnażonych piersi, strzępiastych loków, greckich tunik, bosych nóg, roziskrzonych pierścionkami, migocących wachlarzów, jarzących spojrzeń i cudnych twarzyczek. Piękność, wykwint i przepych panowały społem i niepodzielnie. Rój różnobarwnych fraków, halstuchów do pół brody, wygolonych twarzy, długich kamizel, obcisłych kiulotów i głów zwichrzonych à la Caraciolla zaglądał w oczy, puszył się i nadszka kiwał, krążąc dokoła z brzękiem pustych słów, szeptał i dyskretnych śmiechów. Czasem przesuwiał się bokiem sali jakiś kontusz wojewódzki, podgolona czupryna, wąs zawieszisty, pas złotolity, czerwone buty i ręka na głównej karabeli, to zadreptały białe pończoszki w płytkich, materjalnych patynkach, staroświeckie dostatnie robrony z mantyny, staroświeckie twarze i kornety, nawlekane wstęgami, obrzucały struchlałymi oczami półnagie damy i przysiadają zgorszone i wstydne gdzieś w cieniach chóru.

A niekiedy francuski wyżabotowany kawaler z ancien régime'u zatrzepał się w ciżbie, niby motyl barwisty, i, postukując trzcina i czerwonymi korkami,

schylał wdzięcznie upudrowaną głowę, z harcapiem w złotej siatce, szarmancko przed kimś zamiatając kapeluszem, uśmiechem i komplementami.

Albo promenowały leniwe damy, całe w szeleście jedwabów wzdętych na biodrach, siwe loki spiętrzone na głowach, dekolty z pod bujnych piersi aż za łopatki, muszki na wybielonych twarzach, diamentowe wisiory w uszach, treny na pięć łokci, haftowane złotem liljowe pantofelki, małeńkie wachlarzyki, przysłaniające usta mocno nacerwienione i lubieżne połyski podczernionych oczów.

Zaś niekiedy prześlizgiwał się wskroś tłumów jakiś labuś w mantoleciku i koronkach, z misternie pozawijanymi puklami na skroniach, piękny, upudrowany, woniejący, ze złotą tabakierką w wypieszczonych rękach, w fioletowych pończochach i trzewikach z diamentowymi sprzączkami, powdzięczył się, tu i ówdzie skropił słodkawym uśmiechem, rozdał wytworną jakmużnę słówek pieszczotliwych, spojrzeń i tabaki, przetał się kocim ruchem o panny i, pożerając je lekko oczyma, gawędził o wcale niewzniosłych materjach.

A wśród wzmagających się gwarów co chwila rozbrzmiewał jakiś nowy język: pieszczone słowa włoskie migotały, niby szpady z aksamitnych pochew wyrwane; niekiedy szpetnie zawarczał niemiecki, jakoby jeno w dyskursach z psami wypróbowany; angielski zdał się być skrzybotem rozgryzanych kamieni; wdzięczył się akcentami rosyjski, a skakał niespodzianie w prysiadach; polski buchał układną wielce, a wrzająca

falą, lub nagle tętnił i walił grzmotliwie, niby ataki skrzydlatej husarji, ale francuski szczebiot lśniący, zimny i obrachowany, najczęściej pryskał szampańską pianą żądliwych dowcipów i ucinków. Zwłaszcza paru Sieversowych oficerów, przybranych wedle ostatnich wzorków, trzymało prym w tych żartach, często nieprzystojnych, i w obcesowych zalecankach. Socjeta bowiem, mimo świetnych manier i pozorów, była wielce mieszana. Kręciły się w niej jakieś cudzoziemskie personsy, gładkie, oświecone, często utytułowane, ale o których nikt nie wiedział nic pewnego. Chyba ambasady, przestające z niemi w zażyłej komitywie. Były nawet i damy, polecane zwysoka i przyjmowane w najcnotliwszych domach, a również podejrzone. Uwijało się też sporo zagadkowych rodaków i nowych nazwisk, pachnących wczorajszą nobilitacją, ale że niewolili złotem, hojnie rozsypywanem, że byli mistrzami w kartach, intrygach i hulankach, wiedli rej między młodzieżą, która ich otaczała uwielbieniem i żarliwie nadsładowała.

Wszystko to roiło się teraz w ogromnej sali, jakby oczadzone szalem pustej, beztroskłej wesołości.

Uczta była wspaniała, wina przednie, kobiety piękne, młode, żądne zabawy, a kawalerowie dorodni i tak bujni, że ledwie się mieścili w układnych słówkach, wyuczonych obrotach i sztucznej powściągliwości.

Przebierali też nogami, niby popętane żrebce, skrzyła się im w oczach nieokiełzana ochota i coraz niecierpliwiej czekali rozpoczęcia tańców.

Zaręba obzierał ich z niemalem ukontentowaniem

i niechybnemi oczyma werbownika obmacywał te bycze karki, spowinięte muślinami halstuchów, rozrośnięte mocarnie gnaty, opięte w przyciasne fraczki, sprężyste, jelenie nogi, żylaste ręce i otwarte, szczere twarze, przerobione na pokaz i modną manjerę. I z radością myślał, jak to ktoś władnie krzyknie na całą Rzeczpospolitą:

— Do bron! Na koń!

Jak to w mig oblecą z nich barwiste szatki, krew zagra, serca sprężą się męstwem i znajdują się tam wszyscy, gdzie być powinni, w polu, nieustraszenie zastawiając drogę wrogowi.

Już widział ich w odmětach bitew, srożących się jak lwy, gdy, naraz spostrzegłszy o parę kroków Iżę, utonął śpiesznie w ciżbie i prześlizgiwał się niepostrzeżenie do dalszych komnat.

W ostatniej, okrągłej, obitej zielonym jedwabiem i zastawionej wspaniałym sprzętem, byli zebrani dookoła ambasadora wszyscy, którzy stanowili sól ziemi, jej radę i zarazem ramię bronne.

Sievers siedział w niskim karle i, popijając wodę, zaprawioną kwiatem pomarańczowym, włóczył zmęczonemi oczyma po twarzach, rzucając kiedy niekiedy jakimś słówkiem łaskawem.

Stali dokoła, tak wpatrzeni w niego, zasluchani, a przejęci głęboko, że kiedy podnosił głos, wszystkie oczy wpijały się w jego zwiędłe jagody, niby pszczoły znęcone pozorem, a kiedy milknął, zażywając tabakę, i nie podsuwał jej nikomu, posępniały twarze, grażyli się w niepokoju i trwodze, a kiedy się raczył poru-

żyć, tłum drgał bezwiednie tak samo i falowały z radosnem szeptem głowy dygnitarzów, niby dojrzały łan do nóg gospodarzowi.

Zaczął wreszcie spacerować po komnacie. Rozstępowali się, jakby przed sakramentem, żebracze spojrzenia słały mu się pod nogi, a uniżona podłość czyhała w każdej twarzy na jedno choćby jego słówko, choćby na jeden uśmiech łaskawy.

Zaręba ledwie się już pohamował i, opity straszny gniewem, uciekł zpowrotem do sali, wcisnął się pod chór i puścił wodze dzikiej modlitwie nienawiści.

— Postronków i kata! — syczał zbieletemi wargami. — O hańbo! hańbo! — powtarzał, biczując się aż do rdzenia najgłębszego z bólów.

Naraz zagrzmiały nad nim pierwsze dźwięki poloneza i po sali poszły gorączkowe rumory i wołania:

— Polonez! Miejsca, mości państwo! Miejsca! Polonez!

Jakoż kapela, zestrzeliwszy wszystkie głosy w jedno, powiodła zgodnie tan rozkołysany, górny a uroczysty, dziarski a pełen powagi, radosny a dumny a mocą hartowny a wspaniałością dyszący.

W złożonych drzwiach ukazał się Sievers, z szarmanckim ukłonem podał rękę pani Ożarowskiej i poszli w pierwszą parę poloneza... A za nimi ruszył długi, migotliwy korowód i płynął po sali rozmigotanym węzłem, wśród posuwistych stąpań, wabnych uśmiechów, kornych pokłonów, strzelistych słówek i dźwięków, wznoszących się coraz szerzej, coraz przenikliwiej i co raz ogromniej.

Aż uczyniła się na sali przedziwna cichość. Pary za parami płynęły w uroczystem milczeniu, niby wstęga migocąca tęczami, a tylko kapela podawała swoje do stojne i rzewliwe głosy...

...Basy jęknęły niekiedy gędbą zatroskanych starców, załśniły się tu i owdzie skrzypce, jak oczy dziewic, zroszone łzami pożegnań; wiole zaniosły się urywanym boleśnie płaczem; załił się klawecyn i coś długo szeptał i za czemś wołał tęskliwie; fletrowersy łkały, jakby wśród pocałunków namiętnych i rozstawań żalonych—gdy naraz trąby zagrzmiały wyniosłą, chmurną pieśń boju i chwały; porwał się górny szum orlich skrzydeł, ciężkie tętenty zadudniły, chrzęsty ciężkich zbroic, dalekie rżenia, głosy, śpiewy...

Pancerni! Pancerni!

Mról przeszedł kości! Sto serc zabiło i sto rąk padło na główne szabel. Chodkiewicz na przedzie, tarrant pod nim spieniony, las rozszumiałych skrzydeł, wiatr miota chorągwią, kopje migocą grotami, pobrękuja karaceny, huczą jak burza i jak burza cwałują...

Stanęli murem... patrzą nieulękle, wierne oczy... błyszczą się ryngrafy; koń zaparska, ktoś zcicha westchnie, płyną żarliwe, ostatnie pacierze...

— Jezus, Marja! Bij, zabij!—spadł krzyk ogromny i zakwiliły piszczałki. Runął huragan, strzaskały się kopje, pierś uderzyła o pierś, zadzwoniły pancerze i już biją miecze, jak młoty, biją, jak błyskawice, biją, jak pioruny...

Wrzasnęły mosiężne blachy palącym wichrem boju; rzegoczą brzękadła janczarskie, trąby huczą przeciągle,

niby armaty, skrzypce zacinają świstem tysięcy szabel, piszczałki bodą namiętnie sztychami, bębny zrywają się raz po raz suchym, krótkim warkotem, jakby trzaskiem samopalców, i czyni się straszliwy zgiełk; wszystko się miotła, zмага, przepiera i kłębi, pijane krwią, mordem i szaleństwem, a tylko basowy głos wciąż pojękuje głucho i jednako uparcie, mściwie i nieubłagane huczy:

— Bij, zabij! Bij, zabij! Bij, zabij!

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

Znagła uderzył pod stropy szeroki, triumfalny śpiew zwycięstwa! Zaszumiły prawieczne lipy, grzmiały wiwaty, stary dwór dygoce, biją łunami okna, krew gra upojeniem, ręce szukają rąk, żenią się miłosne spojrzenia, serca pienia się radością, niby puławy, prężą się dusze, ponosi ochota.

Hej, jak cudnie i weselnie na świecie, hej!

— Odbijanego, mości panowie, odbijanego!

Klasnęły dłonie, przechylają się głowy, furkocą sukienki, czasem rymną obcasy, zatrzepią się wyloty i brzękną karabele...

...Szarmanckie dygi, posuwiste ukłony, nagłe przyklęknięcia, oślepiające zawroty, namiętne raptę, ściszone afekty, niespodziane szlochy, i polonez niesie się, wije i migoce ognistą wstęgą dokoła sali w powodzi światła, barw i zawrotnych dźwięków kapeli, która już

swawoli, przekomarza się, przyśpiewką zaniesie, pobaraszkuje, buchnie śmiechem, czasem hulaszczko utnie, czasem powieje smutkiem, a coraz cudniej kołysze czarami upojeń i zapomnienia.

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

— Jakże się zabawiasz? — pytał Woyna, przysuwając się do Zaręby.

— Jakby na teatrum! Cała Rzeczpospolita tańczy przede mną.

— Raczej cała polska kanalcja z dostojnym opiekunem na czele.

— Nie widzę tylko Ożarowskiego.

— Bohaterski regimentarz pojechał do Petersburga. Może tam zabiega o sutszą nagrodę za redukcję wojsk! A może tylko z przyjaźni dla delegacji, która pojechała z oderwanych województw składać hołdy Imperatorowej.

— Zniewolono ich do homagium...

— Niezupełnie, ale nasi panowie tak wielbią carskie antyszambry!

— Z kim tańczy Pułaski? — zawołał Sewer, przyglądając się tańczącym.

— Z generałową Duninową. Może się spokojnie zabawiać: wszak jej mąż trzyma pod armatami Grodno i nas wszystkich. Jest tutaj więcej tych dam obozowych. Wybrana socjeta.

— Ale podkomorzyna znalazła sobie wspaniałego tancerza.

— To hrabia Ankwicz. Pierwsza gęba na sejmie i może pierwszy rozum, ale niechybnie i pierwszy jurgielnik. Ma tysiąc pięćset dukatów miesięcznie od Imperatorowej i wielkie prospekta na przyszłość. Cichy konsyljarz Sievers! — zaszeptał mu do ucha. — Jego to głową, dowcipem i zabiegami stanął dzień 17 lipca. Imaginuj sobie, co za persona!

— Zaiste, niepowszednia! — przytwierdził, pozerając go oczyma.

— Czekajże, przepowiem ci całą litanję, znam ją napamięć. Za Ankwiczem paradyduje jeszcze lepszy, Miączyński. Piekło wypluło tego łotra z najgłębszych czeluści. Kosterą, pijak i parricida. Tysiąc dukatów miesięcznie i prawo bezkarnego łupienia, gdzie mu się da. Gardziel nienasycona, dziurawa kieszeń i robaczywe sumienie. Zawsze gotów na największe łajdactwo. A poza tem niezrównany bibosz, czarujący hulaka, cynik i pierwszy kpiarz na świecie. Zaufany Igelströma, przeprowadził po jego myśli ostatnie wybory w Koronie, naturalnie za osobną dopłatą. Tańczy z panią Załuską, damą serca swojego patrona i przyjaciela, która teraz zabiega o podskarbiostwo koronne dla męża. Wielce dobrana para. Djabęł będzie miał z nich pociechę.

— Prędzej należą się katowil — syknął Zaręba, lecz dla zatarcia tych słów dodał prędko: — A tego za nimi skądś znam.

— Bieliński, marszałek sejmowy. Tysiąc dukatów miesięcznie na rękę, a drugie tyle wiktem, kwaterą

i kochankami. Daję ci słowo! Boscamp musi mu codziennie dawać strawne, bo inaczej nie miałby co jeść, ni gdzie mieszkać. Wszystko bowiem przegrywa. Od Kossakowskich też wydebła niemało. I tu strzyże i tam goli.

— Czy to Moszyński ten rudy? Wspaniale udiamentowany!

— A tak, to nasza droga „percepta“, graf Fryderyk. Widocznie mniema, że z pod drogich kamieni nie dopatrzą jego garbu i lisiej twarzy.

— Nasz wice-komendant od kadetów, ale ledwie go poznał. Bardzo się postarzał. Ten chyba nie na jurgielcie? Za bogaty!

— Bogaty, biedny, co to ma do tego! Bierze ten, któremu dają. Nie dają przecież za darmo, dla czyichś pięknych oczu. Otóż „percepta“ gotówki nie bierze, ale jest takiego rozumienia o sobie, że niechaj mu błysną podkanclerstwem, a zrobi, co zechcą. Tymczasem już pyszni się tabakierką z portretem imperatorowej, którą dostał za traktat. Ambitna to persona, nieużyty, jak kamień, i chciwy, jak żyd. Bardzo przytem oświecony i szczerze pracujący dla Semiramidy i Rzeczypospolitej! Ma dwie gorące pasje: lubi się popisować tańcem i namiętnie zbiera drogie kamienie. Uważ, jak niemi przystrzony, niczem sama Luhlli! Jego sprzączki warte są z pięćdziesiąt tysięcy dukatów. A ta, co się tak pocieszenie wytrząsa u jego boku, niby kobiałka przy chłopskim wozie, to generałowa Rautenfeldowa. Generała sam wkrótce poznasz i pokochasz, czyni bowiem honory sejmowi, asystuje posiedzeniom z zapa-

lonemi lontami u armat. Cieszy się też gorąco estymą u powszechności.

— Ale dama ma pozór obozowej markietany. Słucham cię dalej z jednakim podziwem.

— Zwłaszcza nie szczędź podziwu! — uśmiechnął się jadowicie. — Do końca mamy jeszcze daleko. Wiesz tego w zielonym fraku i złocistej weście? To hetman polny litewski, Zabiełło. Może go znasz, ale nie psuj mi przyjemności pokazywania go. Ma oczka pełne czułości, twarz pocziwca i chód głodnego wilka. Wielce to godna persona! Złupił rodzonego brata i puścił go z torbami. Sprawa była głośna na całą Rzeczpospolitą. Kreatura Kossakowskich i konfident w łupiestwach i wolencjach wszelkiego rodzaju. Abyś miał, rycerzu, głębszą estymację dla hetmana, toć powiem, że on to sprzedał rozpuszczoną brygadę bractawską Kreczetnikowowi. Mówią jeszcze o tem pocichu, ale już głośno wiadomo, jako łowił z kozakami gemejnow i brał za nich po pięć rubli, za oficerów po pięćdziesiąt, a ryszunek sprzedawał osobno. Trzeba dodać, że musiał się dzielić ze swoim kamratem Złotnickim. Rozumiesz, jako to mąż wielce już zasłużony sprawie publicznej — dodał z bładym uśmiechem.

Sewer naraz obejrzał się żywo. Pod drugą kolumną stał Jakób Jasiński, jego dawny pułkownik, i zdawał się pilnie nasłuchiwać.

— Powiadasz straszne rzeczy! Bałbym się tyle wiedzieć.

Spojrzał trwożnie w stronę Jasińskiego.

Wojna zrozumiał jego obawy, ale, zabawiając się przegarnianiem włosów na skroniach, rzucił niedbale:

— Wszyscy o tem wiedzą i zwierzają się pod tajemnicą. Tylko ja nie zastrzegam jej dochowania. Masz wolę, to rozgłaszaj.

— Nieskorym do powtarzań, zwłaszcza rzeczy prawie nie do wiary.

— Nie wierz, ale jeśli cię to zabawia, słuchaj cierpliwie... Uważaj: frak różowy w kwiatki, harcap zapleciony czarną wstęgą, włosy pudrowane, twarz zamarzała, nos czerwony z kapką drogocenną od tabaki, ruchy rozlaźle, oczy nieprzytomne, toć sam marszałek litewski, Tyszkiewicz. O nim to kursuje wielce trafiony wierszyk:

„Laskę po izbie nosi,
Arbitrów na ustęp prosi.
Wzniosłości cicho wygłasza,
A głośno Sieversa przeprasza.“

Nienawidzi Kossakowskich, więc bardzo kocha ojczyznę, jeno się tak obawia z tem wyznawać, że mówi o niej tylko figurowanie i nazywa ją Dianą. Często się dąsa na Sieversa i pocichu sprzyja zelantom, ale że ma substancje w kordonie rosyjskim, a ambasador lubi go po nich łechtać wojskowemi egzekucjami, to godzi się na wszystko. Zaczyna, chociaż ucieśna figura. Za nim wlecze się, niby koń schwacony, książę Sułkowski. Pono intymny konfident króla pruskiego. W talarach bierze swoją łafę. Potem dryga z p. Dziekońską Raczyński, filut, wierny pachot Buchholtza, lecz nie gardzący i rublami.

Do pełnego kompletu brak nam Ożarowskiego. Powiem ci tylko wierszyk, jaki o nim wykoncypował jeden z zelantów:

„Ni z mięsa, ni z pierza,
Nic nie przypomina zwierza;
Lecz wszystko, co czyni,
Daje konterfekt... świni!”

Sylwetka znakomicie trafiona! O kimże ci jeszcze powiedzieć?.. O biskupie Kossakowskim i jego braciach musisz wiedzieć dosyć. Powszechność słusznie ich kiedyś oceni... A zasługi drugich również czekają jeszcze ujawnienia i nagrody. Takich zaś, jak Podhorski, Łobarzewski, Boscamp i wielu, wielu innych, nie trzeba kredą znaczyć: rozpoznasz ich nawet w nocy, bo już zdala cuchną padliną. Imaginuj więc sobie, co za hultajstwo zebrało się w Grodnie. Ba, dla uciechy trafia się niekiedy i jakiś kontuszowy, pocziwy baran, który, niby pozytywka, wrzeszczy wciąż jedno: Wolność, równość, wiara i liberum veto! Ale tenor owych wrzasków jeden: bezprawie, samowola i chciwość. Słowem, zwierzyniec ucieszny herbowego tałałajstwa! — dokończył, wodząc osowiałemi oczyma po tłumach zabawionych.

— Czy nie nazbyt strasznie widzisz.

— Jeślim zełgał, niech mi kat wyrwie język! — rzucił porywczo, lecz po chwili ciągnął już dawnym, ironicznym sposobem: — Przy cudzych winach łatwiej samemu o rozgrzeszenie. Mówię ci to nie jako moralista, biadający nad upadkiem społeczności, lecz jako srodze

znudzony człowiek. Radbym odpoczął po tym łotrowskim karnawale.

— Zali już niema życia i cnoty poza tą socjetą?

— Gdzież mi szukać fortuny! Człowiek się wezwyczaja nawet i do błota.

Polonez się skończył, muzyka ucichła, natomiast gwary wypełniły olbrzymią salę.

— A do klasztoru nie mam zgoła inklinacji! — podjął po chwili Woyna. — Chyba gdyby mnie było stać na kupno tłustego biskupstwa lub chociaż krakowskiej koadjutorji. Wtedybym, jak prymas, urządził rozkoszne causetty dla dam i promenował się z niemi poszóstną karocą i z krucyferem na przodzie. Kryłbym trufle w ołtarzu przed łakomstwem kapelana, jak Skarszewski. Kazałbym zdobić srebrem kościelnem powozy i uprząże, jak Kossakowski. No i żyłbym wesoło, jak przystało na pasterza. Jeszcze kościoły nie są ograbione ze szczętem, starczyłoby i dla mnie. Przednia myśl, nieprawdaż?

Zaręba spojrział w niego z jakimś litośnem współczuciem.

— Patrzysz niby wrona na zdychającego konia. — Czuł się dotknięty.

— Bo mi cię srodze żal. Jabym cię jednak ozdrowił.

— Odgaduję nawet jakim medykamentem. Bóg ci zapłać, nie na mój smak żołnierka. Nie znoszę zapachu juchtowych butów, kaszy ze słoniną i karczemnych Wener.

Otrząsnął się z obrzydzeniem.

— Może przyjsć chwila, że to będzie jedynym medykamentem.

— Może, a tymczasem oczy na kolana! Cud się do nas zbliża!

Zareba wbił chłodne oczy w wysmukłą szatynkę, która przystanąła o parę kroków, w orszaku świetnych młodzieńców, nęcąc wszystkie spojrzenia. Wzięła na siebie pozór Diany, gdyż we włosach, kunsztownie wzburzonych nad czołem i spływających pokrętnymi lokami, skrzył się wspaniały diamentowy półksiężyc, zaś złoty kołczan, pełen strzał pierzastych, chwiał się na prawie nagich plecach. Pajęcza tunika, jakby utkana z turkusów dzierganych słońcem, sięgała tylko jej tydek, skrępowanych złotem wstęgami; na wszystkich palcach bosych stóp migotały perły, perły również opasywały jej szyję łabędzią i perły, puszczone na złotej nici, tuliły się między odkrytymi piersiami. Twarz miała zuchwale piękną, nos orli, brwi czarne i, niby łuki, groźnie napięte, oczy ulicznej miłośnicy i krwawe, płonące usta.

— Przeczysta Diana! Biada Akteonowi! — westchnął Zareba.

— Gdyby nie pragnął jej wielbić. Sfora do szczytów pod ręką.

— Kto to? Ma perły godne królowej.

— Wie o ich cenie Rzeczpospolita! O niej to kursuje wierszyk:

„Margrabianka Luhlili
Od lokajów aż do króli,
Każdego przytuli —
Margrabianka Luhlili“.

Wszak to królewska gamratka, no i wielu drugih.

— Margrabianka!

— Tylko Boscamp wie, jak to tam jest z jej tytułem: on ją stręczył królowi i on ją proteguje. Słyszałem, że szukają dla niej męża. Muszę cię do niej wprowadzić; jedyny dom w Grodnie, gdzie można spotkać wszystkie faksje, wszystkie stany i wszystkie gry, od lombra do bernardyńskiego ćwika. Bardzo wesoły domeczek.

— I taką przyjmują?

— Szlachetny rycerzu cnoty! Człowieku nadziany szpetnymi przesadami, wrogu wolności! Zakonotuj sobie raz na zawsze, jako w oświeconej powszechności wszelakich nacyj panuje i rządzi ta nieśmiertelna maksyma: „Ni maître, ni prêtre, ni Dieu“.

Zareba się zachnął i chciał protestować, lecz Woyna go uprzedził:

— Muszę cię wyleczyć z tej parafjańszczyzny, znam bowiem środki i na najzatwardzialsze cnoty. Ale teraz leć przypomnieć się Dianie.

Zareba zwrócił znowu uwagę na Jasińskiego, który wciąż stał pod kolumną i, chociaż zapatrzone w tańczących, często jednak zamieniał jakieś szepty i znaki z różnymi ludźmi.

— Formuje jakąś kabałę! — pomyślał i, nie ośmielając się podejść do niego, siadł w głębi na ławie, gdzie już kilka leciwych dam, srodze wyfiokowanych, żarliwie folgowało językom.

Muzyka zagrała drygliwe angieley, kilkanaście par tańczyło w pośrodku sali, pod wodzą wslawionego mistrza Dauvigny, który w białej peruce, w białym

fraku, w białych pantoflach i takichże kiulotach i rękawiczkach, z kapeluszem pod pachą i z laską w rękę, cały w przesadnych dygach i piruetowych ukłonach, prowadził roztańczone zastępy.

Czerwoni lokaje w perukach roznosili srebrne i kryształowe dzbany orszady i bawaruazy.

Dostałe damy zabawiały się coraz serdeczniej; szarpiące spojrzenia lśniły, niby sztylety, a złośliwe przycinki, rubaszne określenia i szydlive śmiechy nieustannie objęły się o uszy Zaręby; siedział jednak mężnie, jakby nie rozumiejąc ich cudacznie łataną francuszczyznę, zajęty tylko Jasińskim i każdym jego poruszeniem.

Zesuwane lornetki o jednym szkle co chwila podnosiły się, mierząc do różnych piękności, a żądliwe języki pracowały bez wytchnienia.

— Niesiołowska! Voile et tunique à la Vestale! Ha! ha! a wygląda, jak klucznica, udrapowana w brudne prześcieradła.

— Albo ta Szydłowska! Jej coiffure à l'antique podobna jest do roztrzęsionego wiechcia grochowin. To musi być w guście plockim.

— Ożarowska wygląda dzisiaj, niby wysiedziana srodze kanapa.

— I mogła swój obwisły brzuch zostawić w domu. Przykro patrzeć.

— Walewska nie ma nic pod tuniką! Bezwstydna, obnosi swój krostowaty comberek, niby monstrancję. Piesby zawył na taki aspekt!

— Patrzenie, marszałkowa litewska ma dekolt od pępka do pośladków.

— A drygają za nią, jakby chciały uciekać ze wstydu.

— Byle ich nie zgubiła, jak starościna Wodzińska w Warszawie.

— Luhlli! Jakie perły! Jaki orszak! Paryska pomywaczka!

— Szambelanowa Rudzka ze swoją dziobatą małpą.

Zaręba drgnął i słuchał uważniej, choć ze ściśniętym sercem.

— To jej nowy ami! Mówią, że już wydał na nią trzydzieści tysięcy dukatów. Sprowadza z Paryża sztafetami suknie i cukry.

— Mówił ktoś pewny, jako ona i drugim nie refuzuje...

— To z poczciwości, żeby im w kompanji łatwiej było podołać ekspensom. Biedna cnotka, pieniądz teraz trudny, a szambelan skąpy.

Zaręba aż się skręcał z bezsilnej wściekłości, ale spostrzegłszy, jako Jasiński zabawia się przekładaniem pierścienia z palca na palec, i to w pewien szczególny sposób, przystąpił do niego i szepnął:

— Jakież piękny pierścień!

Jasiński podał go z uprzejmym uśmiechem.

Pierścień był złoty, formy zwanej rzymskiego rycerstwa, z napisem „Fidis Manibus“, datą 3-go Maja i z imieniem wpisanem we środku. Noszono go na pamiątkę konstytucji.

Zaręba wyjął z kamizelki taki sam i podsunął mu pod oczy.

— Podobien tamtemu! — szepnął ze drżeniem, oczekując responsu,

— Jak Zdrowaś do Wierzę! — wionął ledwie dosłyszalny głos.

Wtedy Zaręba przysunął się jeszcze bliżej i zaszeptał:

— Pan z tobą...

I wymienił swoje nazwisko.

— Stań do mnie bokiem, przeglądaj pilnie publikę i jakbyś mnie nie znał. Znasz mnie, kadecie? Z której jesteście brygady?

— Z drugiej. Któżby z nas nie znał pułkownika! — powiedział radośnie.

— Szef zapowiedział mi twój przyjazd.

— Już jest w Grodnie? — Rozglądał się po sali, a chociaż dojrzał Izę w pośrodku tańczących, nie poruszył się z miejsca, przejęty ważnością chwili.

— Będzie w tych dniach. Zbiera się Rada. Gdzie Naczelnik?

— Prawdopodobnie już w drodze do Krakowa.

— A szpieguny tropiły za nim po Grodnie i okolicach.

— Był taki zamiśl, musiał go wydać Mierosławski. Ostrzegam przed nim; prowadzi jakieś konszachty z Targowicą. Miał całe długie sprawy prowadzić. Potrzeba mi czucia z Madalińskim i Grochowskim.

— Jutro dostaniesz planty. Kwateruję w domu hetmanowej Ogińskiej, ale częściej mnie znajdziesz na obiadach u Ożarowskiego lub Kossakowskiego. Nie dziwuj się niczemu — mówił, przysuwając się jeszcze bliżej. — Musisz wejść w komitwę z rosyjskimi oficerami. Woyna ci pomoże, on tu za pan brat ze wszystki-

mi, ale z nim samym ostrożnie: przebiegły i papla, gotów dla dowcipu zaprzedać duszę. Masz pieniądze?

— Bernaux ma dawać, wiele potrzeba.

— Bądź jutro na mszy przeorskiej u Bernardynów.

— Ja tam kwateruję. Czy poczta z Warszawy ustanowiona?

Ale miasto odpowiedzi usłyszał oddalające się kroki, a po jakimś czasie zobaczył Jasińskiego na drugiej stronie sali, w orszaku pięknej Luhli. Prawił jej właśnie jakoweś dusery, już cały w dygach, ukłonach i uśmiechach. Piękna twarz wyraziście odbijała jego wzniosłą duszę, oczy skrzyły się przytającym ogniem, a pełne usta snadź prawily wymownie, bo Luhli spoziierała na niego coraz łaskawiej i czulej.

Mówił szybko, często rozgarniając utrefione, bujne pukle, spływające aż na kołnierz zielonego fraka i gestykulując prawą ręką, jakby rąbał szablą.

Zaręba patrzył na niego gorącymi oczyma dawnego czciciela i czuł się po tem niespodzianem spotkaniu dziwnie skrzepionym na duchu i nie tak samotnym wśród rozbawionych tłumów.

— Więc i on z nami! Artylerja litewska nasza! — rozmyślał, ledwie hamując radość. Jął rozważać wszystkie dobre następstwa, płynące z tego faktu dla sprawy i wiązać je z ogólnymi zamiślami.

— Zatańcujecie wy niedługo! — zaszeptał mimowoli, goniąc oczyma Sieversowych oficerów, jak wilk, drapieżnie i nieubłagane. — I wnet się skończy to wasze psie wesele!

Srożyła mu się dusza, wzburzona tą rozszalałą, bezmyślną wesołością, panującą dokoła i widokiem zdradliwych jurgieltników, wyjawionych przez Woynę. Gonił za nimi przycajonemi spojrzeniami, ważył każdy szczegół ich twarzy i brał w pamięć.

Iza przemknęła obok niego w tanecznym wirze. Nawet się za nią nie obejrzał, ale pierwszy raz w życiu spojrzał na kobiety z nienawiścią.

— Kukły piekielne! Zwodnice! — lał gorzkie słowa i na czułe spojrzenia, jakimi go darzyły, odpowiadał srogimi oczyma wzgardy.

Przystanął jednak w złożonych drzwiach i coraz niespokojniej patrzył na pary, wirujące po sali, na obnażone piersi, bosc nogi, powiewne tuniki, nie ukrywające niczego, na bezwstydne nagości, pożerane zżuchronemi oczami i na lubieżne skręty ciał, wijących się w tańcu.

Dreszcz nim zatargał i krew się wzburzyła, bowiem pierwszy raz zobaczył ten Olimp jakowyś, od którego wiało namiętym szalem i rozkiełznaną lubieżą.

Sromał się w duszy, a nie mógł oderwać oczu i stał, jakby przykuty. Niby sen, pokuszeń pełen i złud czarodziejskich, wirował mu przed zgorzałemi oczyma, snuł się nieskończoną wstęgą i niezmnożenie nęcił, upajał i porywał... Jakby korowód cudnie foremnych niebianek, płynący w obłokach pajęczych osłon, wskroś których grały żywe kolory ciał i wszystek zarys ich straszliwej piękności.

Były tam Psychy, o piersiach paków kwietnych i twarzach jakby z księżycowych promieni; były wy-

niosłe, dumne i nieprzystępne napozór Diany, o ustalonej sławie rozpustnic.

Były westalki, spowite w niepokalaną biel eternalów i białym liljom podobne, a zuchwale zamiatające oczami.

Były Cerery, królewskiego majestatu pełne i siejące dokoła dreszcze namiętnych pożądań i szalów.

Były nimfy i driady, przybrane całkiem à la sauvage, w kwiaty tylko, pióra, klejnoty i nagą bezwstydność.

Były i dziewczątka zaledwie wyrosłe, zasromane swoją nagością; wylękle a szalejące, niby bachantki.

Było i wiele innych, jedna od drugiej piękniejszych, a każda, gwoli modnym obyczajom, wystawiała wszystko, co tylko było na pokaz i przedanie.

— I czemuż w takiej solitudzie? — zabrzmiał naraz cichy, słodki głos.

Odwrocił się. Podkomorzyna stała przed nim z czarującym uśmiechem.

— Zbłąkałem się wśród cudów! — wskazał oczyma na tłum tańczących.

— Mogę być waści Arjadną!

Zwilżyła językiem nabrzmiałe, czerwone wargi, tyftkowa écharpe opadła jej z ramion, że zajaśniała mu tuż przed oczyma, jakby całkiem naga.

Cofnął się nieco skonfundowany bujnością jej wdzięków i palącemi lubieżnie oczyma.

— Zatańczysz waszmość ze mną anglezal! — Tknęła go pieszczotliwie w piersi wachlarzem.

— Jakżem nieszczęsny! Nie odróżniam kozaka od menueta!

— Szkoda, bo z waści chłop naschwał! — strześliła naraz prosto z mostu, przyglądając mu się z nieukrywaną lubością.

Obruszył się srodze i wypalił również porywczo:

— Na nic taksa, bom nie na przedanie.

Skłonił się hardo i odszedł.

Stropiła się nieco podkomorzyna, lecz długo za nim patrzała.

A on włóczył się po pokojach, szukając samotności, wszędzie jednak było pełno ludzi. W zacisznych bokówkach, gdzie mdłe światła, umieszczone w urnach alabastrowych, jakby zapraszały do skupionych dumań, tańczyły się rozekłane szepty amatorów, lub drzemały utrudzone matrony, zaś w paradnych komnatkach, po wyjeździe Sieversa i całego koru dyplomatycznego, grano zaciekle w karty. Izby były wprost zatłoczone i mroczne od dymów, palono bowiem lulki, nie bacząc na damy, ni obyczajność. Faraon panował wszechwładnie, stoły były w obłężeniu, nad zielonemi polami schylały się drażniące głowy, migotały zgorączkowane oczy i roztrzęsione ręce. Raz po raz padały ważne deklaracje, po których następowały chwile męczących oczekiwań, przejęte suchym szmerem wyrzucanych kart, a tak napięte, że słychać było świszczące sapania i dygoty nóg. Potem zrywały się nagłe wybuchy przekleństw, gwałtowne sprzeczki, brzęki przegarnianego złota i ciężkie, złośliwe milczenia.

I tak szło wkółko, przy coraz innym stole i w innym pokoju.

A przytem tak niepomnie pito, że zaledwie liberja nastarczyła podawać i nalewać.

Zaręba miał już dosyć tych aspektów, gdy zjawił się przy nim Woyna. Miał oczy dziwnie błyszczące i wypieki na twarzy.

— Pewnie się zgrałeś?

— Haniebnie, prawie aż do sprzączek! Pożycz mi, co tylko możesz!

Zaręba podał mu dość pękaty worek.

— Z pięćdziesiąt dukatów! — szepnął Woyna, ważąc go na dłoni. — Zagrajmy do motjil!

— Jak chcesz. Któż cię tak obębniał?

— A ten drogi twój towarzysz, Nowakowski.

— Dobrze, żeś mi przypomniał; muszę się z nim zobaczyć.

— Tylko z nim nie graj; ma zawsze takie szczęście, jakby był w cichem porozumieniu z fortuną. Siedzi w okrągłym pokoju. Mam czuć, że się odegram. Dziękuję ci!

Uderzył się w kieszeń nabrzmiałą i poleciał.

Ale Zarębie odechciało się naraz widoku Nowakowskiego.

Wrócił do sali, na dawne miejsce, pod kolumnę chóru i chodził oczyma za Izą. Spacerowała w asyście dziobatego, bladego pana, który łąsił się do niej, niby psiak i o coś natarczywie molestował. Nie odpowiadała, wodząc schmurzonemi oczyma dokoła. Kilka razy poczuł na sobie jej spojrzenie przenikliwe, ale jakby nic nie widzące.

Przeszła mimo niego nadąsana podkomorzyna —

nie zauważył; przeszedł Jasiński — nie zobaczył; jacyś młodzieńcy tuż za nim wyznawali sobie jakieś intymne szczegóły o różnych pięknościach — nie słyszał nawet ich głosów. Ją tylko widział w całej sali, tylko ją jedną...

Ale nawet nie zapragnął zbliżyć się do niej. Wołał tak zdala patrzeć i brać na wieczną pamięć cudny kształt jej postaci. Pocóż mu więcej? Napatrzy się tylko i odejdzie! — Postanawiał, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Spostrzegła go i przystanęła, zatapiając w nim badawcze oczy. Zagadkowy uśmiech przewijał się po jej ustach, a jemu gwałtownie zabiło serce... Odeszła i zginęła w tłumach. Muzyka znowu zabrzmiała i rozpoczął się nowy taniec. Dauvigny, jak biały wiatrak, wymachiwał rękoma, ustawiając niesforne, rozbawione pary.

Naraz Zaręba się pochylił, niby pod ciosem wymierzonym, mróz przeszył mu serce... Szła ku niemu z jakimś cichym wołaniem, usta jej bowiem drżały, jakby jego imieniem. Płynęła, niby fala, roztrącając skłębione ciżby z królewską wyniosłością. Czarne loki poskręcanem rojowskiem wity się po jej czole, skroniach i szyi. Strome, odkryte piersi parły się zuchwale naprzód. Szła ruchem rozkołysanego kwiatu. Chwilami zatapiał ją roztańczony tłum i porywał. Cekał w bolesnym dygocie, aż znowu wypłynęła, aż znowu załśniła jej złotawa tunika, osypana różyczkami i smukłe, nagie do kolan nogi. Przyśmiewiała na ustach, przyśmiewiała pomieszanej radości, a orzechowe, pocentkowane oczy jęły się skrzyć, niby u zaczajonego tygrysa.

Była coraz bliżej; postyszał tupot jej sandałów, już go przejął straszliwy żar, serce biło mu coraz sil-

niej, zapragnął upaść przed nią na twarz, nie poruszył się jednak i naraz począł się rozpaczliwie zbroid w obojętność i osłaniać puklerzem drwiącego uśmiechu.

— Cekałam, że może się ze mną przywitasz.

Zatrząst się. To ona mówi, wyciąga rękę, orzechowe oczy patrzą w niego...

— Jakżebyś śmiał, pani szambelanowo... jakżebyś śmiał? — Urwał, tak własny głos wydał mu się obcym i wstrętnym.

Spojrzała zdumiona i jeszcze oczekująca, lecz nie odezwał się już ani słowa, tylko wpierał w nią nielitościwie zimne oczy.

— Pani szambelanowo, czekamy! — wołał ktoś, podbiegający w tanecznych dygach. Podała mu rękę i odeszła, kryjąc gniew.

Zaręba postąpił za nią parę kroków, ale tłum ich rozdzielił i zepchnął go na dawne miejsce.

Olbrzymia sala zakręciła mu się w oczach, wszystko się splotło w jeden wir — i światła i czerwone obicia i ludzie i lśniące zwierciadła, a na czele tego łańcucha biały Dauvigny wciąż wymachiwał laską, przystrojona we wstęgi, skakał, niby pajac za pociągnięciem sznurka, i wrzeszczał skrzekliwym, starczym głosem.

Zaręba wparł się mocniej w kolumnę i już ani na chwilę nie spuszczał oczu z Izy. I nie żałował niczego, ni dawał się na pastwę tęsknocie. Był zupełnie spokojny, tylko ten triumf nad sobą miał jakiś gorzkawy posmak rezygnacji, bolał go nieco.

A Iza tańczyła teraz jakby tylko dla niego.

Snuła się wciąż przed jego oczyma, niby obłok złocisty.

Była, jak kwiat, jak zjawą księżycowa i zarazem jak szal.

Twarz jej płonęła, oczy sypały błyskawicami, nabrzmięte usta migotały krwawą pręgą, wabiły kuszące uśmiechy, wdzięczne przegięcia pragnęły...

Każdy jej ruch był śpiewem tęsknoty, przypomnień i miłości.

— Nie znęcisz mnie! — odpowiadały jego harde, wyzywające oczy. — Nie dam się już na mękę! Zabiłaś moją miłość! — snuło mu się po mózgu, wraz z przypomnieniami jakichś przygasłych przysięg i palących całunków. Odpędzał te zmartwychwstające mary, gonił je precz z pamięci, ale nie potrafił oderwać od niej oczu i odejść, jak postanawiał co chwila.

Otrzeźwiał dopiero, gdy ktoś trącił go w łokieć.

— Czego chcesz?

Stał za nim jego famulus i wiernik, Kacper.

— Przyjechał kapitan i jakiś gruby pan—zaszeptał mu do ucha.

— Dobrze, niech Maciej zajeżdża.

— Nie mamy przepustek.

Spojrzał, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Po rogach stoją ronty i kozacy patrolują po ulicach. Każdy musi mieć pozwolenie od komendanta Grodna.

— Jakże się dostaniemy do domu? Trzeba poczekać dnia.

— Trzeba wracać natychniast, ważna sprawa. Zmówiłem się już z jednym Bośniakiem. Obiecał nas przeprowadzić.

Jeszcze raz spojrzął na Izę. Tańczyła z oczyma zwróconemi na niego, cała w uśmiechach i niemych błaganiach, cała jak krzyk tęsknej miłości.

Cofnął się gwałtownie za tłumy, przypatrując się tańcom i wyszedł.

Pod tarasem czekał jakiś człowiek, który szepnął:

— Proszę za mną!—I ruszył przodem, rozglądając się na wsze strony.

Na wschodzie już się zapalały pierwsze zorze. Park czerniał i zapadał się w gęste mgły, ciągnące od Niemna. Gdzieś od pastwisk dochodziły rżenia koni.

Zaręba obejrzał się na pałac: świecił wszystkimi oknami, grzmiała kapela, roztańczone tłumy przetaczały się po sali i raz po raz wydierał się zmieszany gwar śmiechów, tupotów i głosów.

— Kto, mówisz, na mnie czeka? — zapytał, naraż przystając.

— Pan kapitan Kaczanowski z jakimś grubym panem.

Zaręba ruszył tak prędko, że ledwie mu nadążyli.

II.

Przed bocznym ołtarzem odprawiało się nabożeństwo.

Kościół był pełen złocistych strug słońca, kadzielnich dymów i przejmujących brzmień organów. Msza bowiem była grana, lecz bez śpiewów i wystawy. Gruby przeor odprawiał ją trochę na pytel, śpieszył się czegoś, a ilekroć odwracał się na kościół, oczy mu ciekawie latały koło dwóch schylonych postaci, ledwie dojrzanych w ławkach i napozór wielce zagłębionych w medytacjach. Zaś niekiedy, przy jakimś Dominus, lub odwracając karty mszału, spozierał ukradkiem i podejrzliwie w twarze pobożnych.

Niewiele się tego dzisiaj zebrało; jakieś bufiaste jejmoście w kornetach rozczapierały się w ławkach, niby indyczki, to mieszcзки w strojnych czółkach i czarnych chustkach pobrzękiwały różańcami, a wreszcie parę krupnych bab, wpatrzonych załzawionemi oczyma w księdza, szeptało półgłosem pacierze.

Kilku kontuszowych starców, jakoby dla ornamentu, klęczało przed ołtarzem, nieco kapot za nimi, a w głębi pod filarami tuliły się oberwane świtki, lipowe łapcie i pospółstwo. A gdy jakowyś dziadyga, postuku-

jąc kulami, parł się naprzód, podtykając pod nosy klęczących żebraczą miseczkę, przeor zmarszczył groźnie czoło i dziw, że go nie sklął. Niecierpliwiły go też swarliwe, chociaż ściszone, rozmowy mnichów, którzy wraz z chłopiętami, przybranemi po bernardyńsku, stroili wielki ołtarz w kwiaty i dywany. Zdał się być cały w gorączce czekania i daremnych nasłuchiwań.

— Nie—szeptał Jasiński, pochylony nad rozłożonym modlitewnikiem.—Mówił mi Tęgoborski, sekretarz sejmowy, jako dzisiejsza sesja będzie salwowana na jutro. Muszą pierwiej wygotować plenipotecję dla delegacji, mającej traktować z Buchholtzem. A przytem Sievers leży w łóżku po wczorajszych fetowaniach. Inni też radzi odpoczną.

Zaręba, wsparty łokciami o ławkę i z twarzą ukrytą w dłoniach, słuchał chciwie.

— Dostałem pilną pocztę z Wilna i muszę zaraz wyjechać. Powrócę za parę dni.

Zabrzęczały jazgotliwie dzwonki, rozległy się przeciągłe westchnienia i wszyscy pochyłili się ku ziemi. Rozpoczęło się podniesienie.

Jasiński przyklęknął, podsuwając równocześnie Zarębie jakiś szary sekstern.

— „Wyjątki z dzieł chińskiego filozofa Good“—zaszeptał ledwie dostłyszalnie.

Dopiero gdy ścisły rzegoty dzwonię, a organy ciągnęły dalej swoją przejmującą modlitwę, Jasiński, przysunawszy się jeszcze bliżej, zaszeptał:

— To nasz konspiracyjny katechizm. W aneksach znajdziesz klucz do jego zrozumienia i plan rozkwate-

rowań wojsk rosyjskich w okolicach Grodna. Naucz ich napamięć i zniszcz. Szpiegunów pełno na każdym kroku, niewiadomo już komu zawierzyć. Miej się na baczności. Zelantów unikaj, bo za nimi chodzą cząstki. Krzywousty Skarzyński pod dobrotliwą strażą. Ruszyć się nie może bez anioła stróża. Rób szalawinę pustaka i z takimi tylko przestawaj. Nim podasz suplikę, złóż czołobitność Moszyńskiemu; był in titulo wicekomendantem kadetów i tyle lat nas objadał, to może ci nie odmówi swojej protekcji.

— Rozumiałem, że trzeba pierwszej uderzyć do Ożarowskiego, ale on pono wyjechał do Peters.

— Bajęda! Nie było go wczoraj na balu, a dziś w Grodnie. Wyjechał hetman Kossakowski. I zdaję jednak, że Ożarowski chętnie mydli obietnicami, ale spełnia je tylko na rozkaz żony lub Sieversa.

— Jakież skutek wzięły zabiegi Haumana?

— Plasuje się u Działyńskiego z pułkownikiem awansem. Parę dni temu na sejmie sam król sił za nim gorliwą instancję, a Gostawski, sandomski, wobec całej izby słał jego wierność ojczyźnie i męstwo.

— Widziałem, jak sobie poczynął pod Zastawieniem. Byłem wraz z moją baterją przy pułku Malczewskiego, którego on wtenczas był podpułkownikiem. Widziałem go i pod Zieleńcami.

— Przeszedłeś całą kampanję?

Zaręba odwinął kłapę, z pod której błysnął krzyż Virtuti Militari, i rzekł:

— Dostałem go pod Dubienką wraz z porucznikiem.

— Nie świeć nim! — zachnął się gniewnie Jakiński. — Czy nie wiesz, jako generalność wzbronila noszenia odznak, zdobytych w tej wojnie?

— Mniemałem, że takich sancitów nikt nie posłucha.

— Pewnie, gdyby imperatorowa nie nakazała siłą zrywać z każdego, który się z tem ośmieli pokazać. Wielu już srodze odpokutowało.

Zaręba z ciężkiem sercem krzyż odpiął i schował do kieszeni.

— Nie masz zwracać na siebie uwagi — dodał Jakiński. — Tak, Haumanowi się udało, uda się także jeszcze paru, mającym protekcję, ale pozostaną kłopoty z rozpuszczonych brygad, którzy nie chcą służyć cesarstwu, a Rzeczypospolitej nie mogą. Tych nam potrzeba przyciągnąć.

— Jestem pewny, że na głos Naczelnika stawiają wszyscy, którzy pozostali wierni ojczyźnie. Gorzej gromadzą się ich włości o zebranych w mieście.

— Jakież są względem nich zamierzenia?

— Mam zbierać, co się da, i wyprawiać do pułku Wodzickiego i za kordon cesarski, a reszta rozkwatakuje się po dworach i w Warszawie. Tutaj polecono im zrobić punkt zborny, bo w takim zbiegowisku łatwiej ukrywać robotę i komunikować się z drugimi.

— Ale się śpiesz z zaciągami. Za Niemnem, pod Tyzenhauzowską karczmą co dnia warczą bębny, go-

rzałka się leje i werbownicy jawnie uprawiają swój proceder. Wczoraj nawet widziałem, jak ze sto chłopów pędzili kozacy do swojego obozu. Aż straszno było patrzeć. Mówiono mi, że werbują i dla króla pruskiego. Grodno stało się jarmarkiem mięsa żołnierskiego; kupuje, kto chce, i wywozi niby tuczne barany.

— Kto werbuje w zabranych województwach?

— Kopec i Wyszkowski. Wkrótce ich tu zobaczysz. Komunikacje z nimi zna Grosmani w Wilnie. Masz kogo sposobnego do werbowania?

— Przyjechał kapitan Kaczanowski. Właśnie śpi na mojej kwaterze.

— Znam go. Tęgi zabijaka i frant na cztery nogi kuty. Koloryzuje i maści niegorzej księcia Panie Kochanku. Tylko culagi udzielał mu skape, bo z niego srogi gracz i hulaka.

— Zalecono, bym mu dawał pod cyfrą i na każdą głowę i konia zosobna.

— On i djabła wyprowadzi w pole. Prawdziwy Mirowszczyk, hultaj, obwieś, koster i szczerą duszą żołnierską. Pozdrów go ode mnie. Ale, nie poznałeś na balu księcia Cycjanowa?

— Pierwszy raz słyszę o takim.

— Asystował wciąż pięknej szambelanowej.

— Niski, dziobaty i jakby z zapleśniałymi oczyma. Pamiętam.

— Musisz się z nim zapoznać. On prawie do mowy szambelanowej.

— Nigdy moja noga u niej nie postoił — wybuchnął zawzięcie.

— To jest konieczne dla sprawy! — pośłyszał surowy głos.

Rozpacz błysnęła mu w oczach, ale po chwili rzekł mężnie:

— Słucham rozkazu.

— Programat działania dostaniesz później. Mniemam, iż z pomocą szambelanowej wejdiesz z nim nawet w bliższą komitywę. To twoja kuzynka?

— I dawna narzeczona — wyrzucił jakby kawał krwi zapiekłej z bólu.

Jasiński zrozumiał jego ciężką sytuację, lecz nie ustąpił.

— Tem snadniej przyjdiesz z nią do porozumienia. Dobrześ u niej zakonotowany. Słyszałem wczoraj, jak się żaliła na ciebie przed Woyną.

— Czy Woyna z nami? — spróbował przerwać dokuczliwą materję.

— Jeszcze nie. Wymiarkuj go i pociągnij. To człowiek wielce zdatny.

— Do puszczania conceptów i szmermeli! — odburknął złośliwie.

— Dla nas i taka broń nie do pogardzenia. Kąśliwy język dalej sięga, niżli kula. Czas mi już odejść. O jakim zmierzchu wśliznę się na twoją kwaterę, to pogadamy obszerniej. Tu niebezpiecznie!

Spojrzał zezem wbok na jakiegoś asana w czarnej kapocie, który jakby strzygł uszyna.

— Jedziesz prosto z Paryża? — zaszeptał jeszcze ciszej.

— Zbaczałem tylko na Lipsk i Drezno.

— *Zali rewolucja tak straszna jak o niej piszą?

— Jak odwet, zemsta i zbrodnia. Ale zarazem jak konieczność.

— I mniemasz... — przerwał, obserwując te strzygące uszy.

— Że i w Polsce topór winien mieć nielada pracę.

— Zdasz mi potem obszerną relację. — Powstał, zabierając się do wyjścia. — Ale, zjawi się u ciebie ktoś, pokaże znak, to mu zawierz. Świadom naszych poczt i komunikacji z komendami. Nie przepomnij o Cycjanowie!

Zaręba siedział, ogłuszony jeszcze tym dziwnym nakazem.

— Rozkaz — słuchać trzeba! — zdecydował wreszcie prosto i po żołniersku. Poczuł naraz głęboką ulgę, pod którą krzewiła się cicha, tajona radość. — To ten, o którym plotkowały owe damy! Prawie jej domowy! Czuły konfident! — rozmyślał, ale już z czołem zmarszczonem i żądłem w sercu. — I każą mi z nim zawrzeć znajomość? A dobrze! Będę rad z przyjaciółstwem! Może mu się czem przysłużyć! A dobrze! — snuł z jakimś jeszcze ciemnym zamysłem zemsty.

I w tych przeróżnych medytacjach ani spostrzegł, jak się msza skończyła. Ocknął się dopiero, gdy ścichły organy i powstał rumor ustawianych krzeseł przed wielkim ołtarzem. Słyszał było powozy, zajeżdżające przed kruchtę, i szum jedwabiów po kościele. Liberja, odpędzając cisnące się pospólstwo, nakrywała kobierczykami ławki, to niosła poduszki, szale i książki do nabożeństwa. Jakież wystrojone damy i panowie zajmowali

miejsca w prezbiterjum, na krzesłach, ustawionych w półkole, niby na teatrum. Migotały lornetki, częstowano się tabaką i cukierkami, zapach perfum roznosił się, niby z trybularzy. Jakiś czarniawy, piękny mnich wdziękzył się białymi zębami, podsuwając damom krowielnicę i pobrzękując skarboną. Robił się asambł, pełen francuskich szczebiotów i dyskretnych uśmieszków, miarkowanych wachlarzami. Przycichło nieco, gdy biskup Skarszewski wyszedł ze mszą, ale nie ustały brzęczeć lotne słówka, ni wygasły wyzywające spojrzenia podczernionych oczów. Liberja, stłoczona przy wielkich drzwiach, również sobie folgowała, strojąc nieprzystojne żarty z dziadów, zalegających kruchtę, a tak kpinkując pomiędzy sobą, że często gęsto jakieś grube słowo sięgało aż do socjety i ołtarza.

Zaręba, wybrawszy stosowną porę, wysunął się z ławki i poszedł przez klasztor, ale już w pierwszym korytarzu czyhał na niego przeor i prawie gwałtem zaciągnął do swojej celi.

— Tylko na minutkę, na jeden paciorek, aniele mój złoty! — wołał, obejmując go wpół. — Siadajże waszmość! Józef, daj fotel! No i cóżeście urządzili?

Ale Zaręba nie mógł odrzec ni słowa, gdyż w ogromnej, sklepionej celi powstał niesłychany wrzask, pisk i trzepyoty. Zerwały się całe stada kanarków, kosów, zieb i skowronków, jeły fruwać nad przeorem i ze szczebiotem radosnym przysiadły mu na głowie, ramionach i gdzie się mogły czepić.

— Cicho, hołoto! Cicho! — krzyczał, opędzając się czerwoną chustką, czem wywołał jeszcze większe

wrzaski. — Co ja mam z tem tałałajstwem! Mnoży się, że niech Bóg bronil — narzekał, wycierając spoconą, tłustą twarz. Cicho mi, hultaje! Zróbno z niemi porządek! — zwrócił się do puciołowatego braciszka.

Rozległo się złowrogie krakanie tak udane, aż Zaręba się obejrzał, a ptaki jakby się zapadły pod ziemię.

— To im dał bobul — zaśmiał się przeor, opadając w głęboki fotel przed dymiącą misą, pełną piwnej polewki, gęsto zabelanej. — A możebyś waszmość napił się kawy? A może tak po żołniersku, kieliszek i wędlinki? Bardzo proszę, aniele mój złoty! Z łaski Boskiej mamy jakie takie zapasiki. Józef, skoczno do kredencera, cymbale jeden, wmig... Wprawdzie to dzisiaj piątek...

— Bóg zapłać, ale towarzysze czekają na mnie ze śniadaniem.

— Jeszcze chrapia, aż się rozlega — wtrącił mniszek, chowając twarz za przeora.

— Imć Hłaskę znam oddawna. Poczciwie mu patrzy z oczu, ale to niemały zbereźnik i łasy na cnotę, niby kot na szperkę. Nie widzi mi się...

— Przyjaciół Prozora i człowiek duszą całą oddany ojczyźnie...

— Prawda, że to bije od niego jakowąś senatorską dostojnością. Prawda. Może wam czego potrzeba na kwaterze? Każę wydać, byście nie wyrzekali na Bernardynów, jako was przywiedli do głodu. Hm! konfident pana Oboźnego! — mruczał, głośno pochlipując z misy i zezował na kosa, który wskoczył na stół i, czając się, rychtował dziób ku kawałkom sera, pływającego w po-
lewce.

— I kiedyż ma się zacząć?.. A obwieś jeden! — wrzasnął na ptaka, uciekającego z serem w dziobie. Pogroził mu łyżką.

— O tem wie tylko Rada — odparł cicho Zaręba, spoglądając nieufnie na braciszka, cmokającego ku pochowanym ptakom.

— Czegoż trzeszczysz oczy, niby kot na gorącym popiele? — huknął na niego przeor. — Przy-
nieś wody dla ptaszków! — A gdy braciszek wyszedł, rzekł:

— To mój wiernik. Chociaż przepieczniej o takich zamysłach nie mówić i przy najpewniejszych. Nie będę waszmości brał na spytki. Moja służba ojczyźnie w tem, aby słuchać i robić, co mi rozkażą. Chcę ci teraz, aniele mój złoty, dać człowieka, który, wedle mojego rozumienia, może się przydać. Na oko nic szczególnego, zwykły Bernardyn, ale człowiek poprostu czyste złoto. Głowa otwarta, zna języki, na żołnierce też się rozumie. A ochotny i zdatny do wszystkiego. Prawda, lubi czasem pociągać z gąsiorka, lecz przytem ^{cał}caleniwny do pracy, ni do służby Bożej.

— Czy aby dobry do sekretu?

— Głowę stawię za niego.

— Kiedy tak, rad się z nim zapoznam.

— Józef!.. Prawdziwa perła!.. Gdzież ten cymbał?

Józef!

Wpadł wylekniony mniszek i pokornie stanął za krzesłem przeorskim.

— Gdzieżeś się wałęsał? Poproś ojca Serafina.

Braciszek, wychodząc, dmuchał swawolnie w klatki, poustawiane pod ścianą na długich stołach. Podniósł się wrzask niemały i pisk.

— Skaranie Boskie z temi lactansami! Psie figle im tylko w głowie, a do służby i brewjarza nawet kijem nie napędzisz — wyrzekł przeor i, usypawszy na stole długą grobelkę ziarna i okruchów chleba, zagwiżdżał przeciągle.

Ptaki cicho spłynęły na brzegi stołu, ważąc się na skrzydłach i trzepocąc.

— Nie rusz! Czekać! Baczność! — zawołał, odsuwając się nieco.

Ptaszki cisnęły się w szeregi, wszystkie dzioby podniosły się, jakby do ataku.

— Naprzód! krokiem! krokiem! Stój! Cell! Pall! — grzmiała komenda, na którą stado rzuciło się na ziarno w karnym ordynku i jęło zawzięcie młócić.

Przeor aż się trząsł od śmiechu, wycierał spoconą twarz i, obchodząc stół, głaskał po skrzydełkach, całował niektóre i pieścił, nie przestając ani na chwilę burczeć, strofować i grozić chusteczką.

— Zwolna, bratku, zwolna! Jadło nie ucieknie! A to zatkasz się, chamie jeden, i co? Znowu będę cię lekował! Panie Kosowski, nie tratuj drugich, bo weźmiesz po skórzel! A cóż to, panno Skowrońska? Mama cię wybiła, żeś taka osowiała? Czekajże, dam ci osobno! Zgodnie, mili bratku! Pani Ziębowa dobrodziejka niech robronami nie zamiata! Cymbale jeden!..— huknął znowu na kosa.—Zjadłeś mi ser, to drugich nie obżera! Boże, jakie to hultajstwo łakome, niezgodne, chci-

we! Niczem człowieczkowie! Aniele mój złoty!—zwrócił się do Zareby—a nie dworuj sobie ze mnie.

— Dziw mnie tylko zbiera nad egzercerunkiem tej ptasiej hołoty. Nielada to była praca!.. Wracając do ojca Serafina, czyby nie można z niego zrobić kwestarza?

— Choćby dzisiaj, aniele mój złoty!

— Ale żeby mógł swobodnie wędrować po całym kraju...

— Przedni zamysł! W sam raz dla niego taka robota. O permisję postaram się u prowincjała, zaś tymczasem bierz go waszmość, jak swojego. Jenó przypominam, jako to niezwyčajny brus Bernardyński.

— Skądże się wywodzi? Może z łyczków?

— Dużoby o tem mówić! Polecę zajrzeć do kościoła, bo biskup pewnie już kończy mszę. In saecula saeculorum. Amen! — rzucił machinalnie na skrzyp otwieranych drzwi. — A otóż i ojciec Serafin!.. A teraz, baczność! Na gniazda, bratkuwie! Marsz!—zakomenderował, powiewając chustką, i w mig skrzydlate bractwo rozleciało się po klatkach. — Józef, a to szelmstwo zapstrzyło stół, że niech Bóg bronil

— Kto chowa ptaki z pisku, ten ma łajno w zysku — szepnął Serafin.

— Aniele mój złoty, każdy błazen swoim strojem! — odparł markotnie przeor.

Zareba patrzył ciekawie na spokorniałą twarz mnicha i, po wyjściu przeora, przystąpił do niego z wyciągniętą ręką.

— Ksiądz przeor wielce mi ojca polecał.

— Wiem już, o co chodzi. Dawno łaknę pociągnąć świeżego powietrza! Ochotnie pójde pod komendę—mówił prędko, podnosząc na niego niebieskie, bystre oczy.

Był straszliwie chudy i mógł mieć lat pięćdziesiąt albo trzydzieści. Chodził przygarbiony i habit wisiał na nim, jakby na szaragach; głowę miał krótką, kwa-dratową, poszytą żółtym, szczecinowatym włosiem, czoło wyniosłe i dziwnie białe, nochał drapieżnie zakrzywiony, usta od ucha do ucha, dolną szczękę wystającą i twarz gęsto upstrzoną cynamonowymi piegami.

— Niech ojciec zajrzy do mnie na kwaterę, to pogadamy.

Na odpowiedź mnich pokazał pierścień i szepnął tajne słowa.

— Jakżem rad, bracie i towarzyszu! — wyrzekł Zaręba, ściskając go serdecznie.

— Imć Sołtan był moim ojcem chrzestnym...

— Czy przeor wie o tem?

— Nie zdawałem mu relacji, bo szkoda balsamu do kapusty, a różanego olejku na buty—rzucił z przekąsem.

— Poczciwy to człowiek i wielce oddany sprawie.

— Kto czyj chleb je, tego pieśnią śpiewa. Odpro-wadzę waszmość pana.

— Jakowys casus, że ojciec nogą zamiata?

— To po dybkach słodkie suweniry! — zaśmiał się, błyskając zębami.

Zaręba spojrział z niedowierzaniem.

— Opowie się o tem kiedyś — mruknął, wyprowadzając go na korytarz.

Szli jakiś czas w milczeniu. Zaręba obzierał go z ciekawością.

— Więc czekam na ojca dzisiaj z wieczerzą, będzie nam składniej.

— Dziękuję za bedłęk, mam doma dość rydzów. Przyjdę, kiedy mi wypadnie pora.

Pociągnął nosem i zawrócił do refektarza na śniadanie.

— Jakiś cudaczny człowiek — szepnął Sewer za nim i, powróciwszy do rozmyślań nad poleceniem Jasińskiego, wziął się na lewo, do klasztorного sadu, rozłożonego na skraju wzgórza, gwałtownie opadającego ku Niemnowi.

Dzień był gorący i upał już doskwierał, chociaż dopiero dochodziła dziewiąta; niebo wisiało bez jednej chmurki, niepokalany błękit mienił się atlasową płachtą, jaskółki szalały z przeszywającym świergotem.

Z rozkoszą zanurzył się w cień, sad bowiem był stary i rozłożysty, nad blademi trawami szarzały rzędy chropawych, spękanych pni, ostro świeciły żółte zatoki mleczów i grały olśniewające płyty słońca. Pod konarami wiał chłód i leżała rozedrgana cisza; dalekie brzmienia organów spływały w słodką melodię pszczoł i owadów, brzęczących nieustannie. A niekiedy wznosiły się od Niemna przeciągłe wołania flisów lub jakieś kłótnie, gniewne głosy.

Sygnaturka też raz po raz dawała znać, co się dzieje w kościele, zaś kiedy niekiedy radosne i ogromne głosy dzwonów płynęły od miasta z taką mocą, że

wróble bractwa z nie małym wrzaskiem podrywały się z wisien i uciekały na dachy.

Zaręba, po chwilowem błędzeniu wśród ścieżyn zarośniętych, natrafił wreszcie na szeroką drogę, biegnącą grzbietem wzgórza do klasztornych zabudowań. Klasztor dotykał jej szczytami, ulica była wysypana żółtym piaskiem i obsadzona poczwórnym płotkiem bukszanów nisko przyciętych, z pomiędzy których obficie wytryskiwały kwiaty: georginje zwieszały ciężkie, kolczaste i różnobarwne głowy, wdzięczyły się strojne malwy, pachniały róże i lewkonje, maki wybuchały śnieżnemi kwiatami, a nisko krzewiły się jakby z lekkiem nasturcje i nagietki. Przygięte, rosochate drzewa kładły przesłonecznione cienie na żwiru ulicy, zaś tu i ówdzie ciężarne gałęzie, obwalone zrumienionemi jabłkami, grodziły drogę, jakby wyciągnięte ręce, lub żrałe wiśnie i nęciły usta i oczy, ale Zaręba, ślepy na wszystko, układał w sobie scenę pierwszego spotkania. Już sobie imaginował, jak będzie wobec Izy chłodny, powściągliwy i nieustępnny. — Tak, nic ponad powinna grzeczność! I ani jednego potrącenia przeszłości. Niech to już będzie pogrzebione w pamięci! — zapowiadał surowo. Przychodziły jednak chwile, w których kłął Jasińskiego, lub w których, jak Piłat, umywał ręce, zwalając wszystką winę na niego. — Nigdybym do niej nie przystąpił, nigdy! — narzekał. I tak szarpał się czas jakiś, przemierzając ulicę z końca w koniec, gdy się natknął na jakiegoś mnicha, który niewiadomo skąd się wziął i szedł wolniutko, macając kijkiem drogę. Zdał się być prawiecznym, tchnęło od niego grobem, oczy miał

pokryte bielmem i twarz omszoną, niby trup. Przystawał co parę kroków, tykał suchemi palcami kwiaty i, uśmiechając się zapadniętą jamą ust, włókł się wskrós przepychu słońca i przyrody, niby zbłąkane, rdzawe widmo. Snadź był głuchy, bo na pozdrowienie nie odpowiedział, przystając dopiero w miejscu, gdzie w przerwie między drzewami rozciągał się ogromny widok.

— Bardzo cudnie! — zamamlał, pociągając nosem. — Bardzo cudnie! Chwałaż ci, Panie na wysokościach! — I rozglądał się po świecie jeszcze niegdyś zapamiętanym, niby po śnie wiecznie żywym i jednakowo miłowanym.

Jakoż istotnie było cudnie. Niemen błyskał w dole modro-srebrzystą wstęgą i wił się wśród brzegów wyniosłych. A za nim, trochę zprawa, strzelały wieże i mury Franciszkanów, otoczone wieńcem sadów i szarych, niskich domostw. Szeroka smuga piaszczystej drogi dźwigała się od Niemna na wzgórze, wymijała klasztor, wlokła się kręto wśród spłowiejących pól, wiosek, pochowanych w kępach drzew, i ginęła w ścianie borów, czerniejących na horyzoncie. Widok był niezmiernie rozległy. Gdzie niegdyś poruszali się ludzie, zajęci sprzętem zboża, snuły się kopiaste wozy, złociały sterty i słupy kurzawy wisiały nad drogami.

Zaręba przejrzał uważnie cały widomy kraj i nagle skierował lunetę na zarośla, położone na prawo od klasztoru, a tuż nad stromym brzegiem, gdzie biegały się liczne namioty i grały w słońcu cielska armat.

— Sześć sztuk, cała baterja, na podsypie i wyrychtowana prosto na zamek. Pewnie dwunastofuntówki: mogliby go znieść doczysta! Za namiotami szanńczyki.

I widety kozackie nad wodą. Brzegi dobrze obsadzone. To nie żarty!—dumał, chowając lunetę.—Nie czas myśleć o amorach — szepnął surowo, biegnąc do mieszkania.

Kwaterował w zabudowaniach klasztornych, oddzielonych od sadu potężnym murem, w domu, zwróconym frontem na uliczkę, prowadzącą ku rynkowi. Zajmował w nim dwie ciasne izdebki, przedzielone sienią i jakąś kletkę od podwórza, w której gnieździł się Kacper wraz z kuchnią.

Cały dom, długi, wielce nieforemny i pełen zakamarków, był straszliwą rudera, przegniłą od wilgoci, odartą z tynków, z powybijanymi szybami i z dachem, niby rzeszoto. Przykazano mu w nim zamieszkać, gdyż dom leżał na uboczu i łatwiej się było z niego wymknąć do Niemna.

— Cóż, śpią jeszcze? — pytał Kacpra, otwierającego mu drzwi.

— Nie było rozkazu, tom nie budził — wyprężył się po żołniersku.

— Czem przyjechali?

— Pocztą. Na przekładane i prosto z Warszawy.

— To im się należy wypoczynek. Trzeba mi się przybrać. Al — zawołał z uznaniem, spostrzegłszy na łóżku już przygotowaną bieliznę i garderobę. Tualetowy sepet stał otwarty na stole pod oknem, a Kacper brał się do rozrabiania mydła i wecował brzytwy.

— Cóż tam słychać? — rzucił, spieszenie się rozdzwiewając.

— Bułanka okulała. Kazałem ją zaraz z wieczora przekuć. Nie pomogło. Na szczęście, zajrzał rano do

stajni jakiś Bernardyn, kazał jej pęciny obwalić maścią; powiada, że do jutra nie będzie znaku.

— Opatrzyć bryki. W zielonej coś chrobotają szprychy. Nie uważałeś?

— Rozeschnięte koła. Już miękną w stawie.

— Cóż tam więcej? — Zarzucił na siebie puder-mantel i zasiadł przed sepetem.

— Maciuś znowu się spił.

— Już zdążył? Z kimże sobie wygodził?

— O zmierzchu kręcili się tu jacyś, niby to się przepytując o kogoś, a ryje ich węszyły na wszystkie strony...

— Może jakoweś szpieguny?

— Jeden powiadał się handlarzem koni, przybrany był z waszecia — szeptał, sprawnie namydlając twarz pańską — drugi patrzył na żołnierza. Przepędziłem ich, ale Maciuś się z nimi zwąchał, i poszli pod Bernardyńską wiechę. Spił się, jak nieboskie stworzenie.

— Na drugi raz weźmie pięćdziesiąt odlewanych i powęduje do domu. Jeszcze co kiedy po pijanemu napiecie niepotrzebno.

— Niema strachu. On jest takiej natury, że jak sobie podchmieli, to już ani mrumru, a tylko ciągiem się śmieje! — powiadał, gołoc sprawnie, niby cyrulik.

— Dobre chłopisko i wielka szkoda, że taki dusikufel.

Kacper, sprawiwszy się z pańskim obliczem, przeodział Sewera w jedwabny, wiśniowej barwy chałat, suto przetykany złotem i podbity żółtą materją, uprzątnął stół i, podawszy ranną kawę, stanął z boku,

wpatrzony w niego wiernemi, oddanemi oczyma. Chłopak był rostry i urodziwy, zielona kurta artyleryjska tylko bez obszegów, obciskała jego muskularną figurę.

— Długo tu będziemy popasali? — spytał nie śmiało, podsuwając garnuszek.

— Dokądże ci to już pilno?

— Tak dawno nie widziałem swoich! — westchnął szczypiąc przycięte wąsy.

— Tęskno ci, widzę, do ekonomskich batów.

— Któżby śmiał mnie poniewierać? Żołnierz jestem, mam przecież krzyż od samego księcia! — Wyprostował się, duma zagrała mu w siwych oczach.

— Już pisałem do ojca, by ci dał wolność, ale z tem będą jeszcze kłopoty.

— Juści, starszy pan lubi robić na sprzeciw, twardy! Mogę się nawet okupić, nie przepiłem tego, co mi panowie oficerowie nadawali pod Zieleńcami.

— Ani się waż z tem wyznać przed ojcem! Ja w tem, żebyś był wolny.

Kacper schylił się do jego ręki, ale Zareba nie pozwolił się pocałować.

— Nie opuszczę cię w każdej potrzebie, bądź pewien.

— Ale pan porucznik pozwoli zapytać, czy w ostatnim liście z domu nie stało czego o mojej matce lub o pannie Dosi?

— Tum cię czekał! Ho! ho! panny Dosi ci się zachciewał Wysoce sięgasz!

Kacper, srodze zawstydzony, bąknął coś ni w pięć, ni w dziesięć.

— Nie zamiataj, jak lizka, bo i tak znać tropyl! — zaśmiał się Zareba, nabijając lulkę. — Już dosyć dawno nie miałem wiadomości z domu.

— Mógłbym skoczyć zasięgnąć języka — szepnął, podając ogień. — Wyrachowałem czas: za tydzień byłbym znawrotem.

Ze drzeniem czekał odpowiedzi.

— Nie przyjechaliśmy tu balować. Zresztą mam dla ciebie ważną robotę.

— Słucham pana porucznika!

Sprężył się, chociaż żałość nim zatargała.

— Gdzieś za Niemnem jest karczma, w której naszych gemejnow z rozpuszczonych brygad łowią, jak barany. Karczma zwie się Tyzenhauzowska. Przewiedź się, czy dużo jest takich w Grodnie, gdzie się zbierają i dokąd ich werbownicy pędzą? Nie żałuj traktamentów.

— Kiepski barszcz bez rury! Udam, jako sam chcę przystać do Rosjan.

— Fortel grzeczny, tylko niech cię naprawdę nie capną i nie popędzą...

— Zje diabła psia mać, jak mnie w pole wyprowadzi.

— I weź się do tego zaraz!

Wysoka kanarkowa karjolka, zaprzęzona w angielskie dryblasy, zaturkotała pod oknami. Kacper wypadł przed dom i wrócił z biletem.

— Nowakowski! Ależ proś! proś! — wołał Sewer, oglądając ironicznie bilet, na którym w otoku czerwono-

nych ornamentów czerniało nazwisko i trzy wiersze tytułów.

Po chwili wpadł wystrojony jegomość w śpiczastym kapeluszu i w śpiczastym, rudym fraku, pobrękując pieczętkami i dewizkami, na łóżko rzucił kapelusz, laskę na stół, rękawiczki pod piec, rozłożył ręce i sam się rzucił w objęcia Zaręby.

— Jakże się masz? Ledwie cię odszukał! Co się z tobą stało na balu?

— Nudziłem się, jak pies na teatrum i wcześniej wyszedłem.

— Nie zrobiłem tego i żałuję. Woyna obłupił mnie do ostatniego dukata. Dziwnie i wyjątkowo sprzyjała mu fortuna.

Taki szczególny uśmiech zaigrał mu na śpiczastej twarzy, że Zaręba poczuł chęć wyrzucenia go za drzwi, ale tylko zauważył rubaszenie:

— Nie graj Wojtek, nie przegrasz... obertelka.

— To pewnie nie wiesz nowiny, o jakiej w tej chwili mówi całe Grodno?

Zaręba, chociaż niegodny nowin, spojrzał pytająco.

— Szambelanowa rozeszła się ze swoim amil

— Z Cycjanowem?

Ledwie zdołał zapanować nad wrażeniem.

— Tak. Zrobił jej jakąś brutalną scenę, za co piękna pani podobno uderzyła go w twarz wachlarzem. Było przy tem wiele osób.

— Pogodzą się—szepnął, pragnąc się więcej dowiedzieć.

— Niewiadomo. Dla niego nie jest to zbyt wielka obraza, lecz pani lubi zmieniać przyjaciół, a że jest impetyczna i rozkapryszona, załatwia od ręki. W każdym razie otworzył się chwilowy vacat. Królewski to kąsekl!

— Tylko dziegiem nieco przejęty — zauważył gryźliwie Sewer.

Nowakowski się zaśmiał i, odpędziwszy woniejącą chusteczką muchy, brzęczące mu nad głową, zrobił ważną minę i powiedział tajemniczo:

— Bal był zgoła nieudany. Zawiele powstało komeraży i mętu. Całe miasto aż się trzęsło od plotek. Bajędy rosną do rozmiarów skandalów.

— Cóż się takiego stało? Ja nic nie zauważyłem — wyrzekł zdziwiony.

— Naturalnie — szepnął z pobłażliwością. — Przewszystkiem Buchholtz odjechał zagniewany prosto od stołu, z nikim się nie żegnając.

— I o cóż się rozsierdziła ta pludracka Mość?

— Nie wniesiono zdrowia jego króla. I w tem miał słuszność. Sam doradzałem, ale marszałek przewidywał, jako przy powszechnej animozji do Prusaków mógłby kto nieprzystojnie zaprotestować. I wyszła przykra kabała!

— Mała szkoda, krótki żal — bawił się jego napuszoną powagą.

— Ale imaginuj sobie, co może z tego wyniknąć!

— Nowa nota pruska do Króla Jegomości. Można wytrzymać!

— Łacno z wszystkiego czynić krotoczwile! Ja zaś powiadam, że kto nie ma mocy, temu nie wolno

zamierzać się nawet palcem — rzucił sentencjonalnie — przewiduję, iż po tem stosunki jeszcze bardziej się zaostczą.

— I Prusy za taki dyshonor ukradną nam o jedno województwo więcej.

— Jakąs satysfakcję z nas wezmą, to pewna — podniósł głos, jakoby na sejmie. — W takim położeniu nie judzić nam wrogów, ale zniewalać ich sobie życzliwością i zabiegami!

Tu trzasnął palcem w złotą tabakierkę, zażył z namaszczeniem i skrzywił się do kichnięcia.

— Nie rozumiem się w tej materji, mów mi lepiej o balowych komerażach.

— A dobrze! — spojrzał na niego z politowaniem. — Otóż potem hrabia Ankwicz tak się pogryzł z Kossakowskim, że skakali sobie do oczu. Biskup na pewno dzisiaj pojedzie ze skargą do Sieversa.

— A cóż na to ambasador?

Był szczerze zdziwiony.

Nowakowski zbył wyniosłym uśmiechem tę prośbę nieświadomością.

— Nie przerywaj... Potem pani Platerowa pokazała plecy generałowej Duninowej, pani Narbutowa hrabinę Camelli nazwała awanturnicą. Słyszało wiele osób. A zadzierzista jejmościanka Dziekońska zwymyślała na pełnej sali jakiegoś oficjerka, który w tańcu coś nie przystojnego zmajstrował. I jakby tego było jeszcze za mało, piękna Luhlli straciła ogromnej ceny sznur pereł i wśród takich okoliczności, że znowu się to musi oprzeć o Sieversa. Wątpliwe jednak, czy je odzyska

— Odnajdą się gdzieś nad Wołgą i wśród takich rodzinnych pamiątek!

— I srebro stołowe pokradziono z altan! Cukiernik, który je był, wypożyczywszy, zwiózł z Warszawy, zakłada grube pretensje do marszałka. Zaś wkońcu popite hultajstwo z Bośniakami porznęło srodze kozaków, z czego powstał niemały tumult. Summa summa: bigos, animozje, żale i obrazy powszechnie!

— Nie miała baba kłopotu — wyprawiła ball — śmiał się Zaręba.

— Były wyższe racje i marszałek musiał to zrobić, nie szczędząc ekspensów.

— Różnie mówiono, kto je ponosi...

— Niegodziwe obmowy! Kogo one szczędzą? — westchnął boleśnie. — Doszło do tego, że tacy, jak Skarzyński, Mikorski i drudzy ich kamraci już publicznie szkalują nawet dygnitarzów o branie jurgieltów. Kłamstwa, wyssane z zawiści! Na szczęście, złożono do laski projekt ukrócenia tej swawoli.

— Mało to już kneblów ogłosiła generalność!

— Wszystko za mało! Nie masz pojęcia, ile krąży po rękach paszkwilów, pisanych gazetek, jadowitych wierszyków i zniesławiających świstków. A wszystko szerzy nienawiść, kłamstwa, wzgardę i nieufność do tych nieszczęślików, pragnących ratowania ojczyzny. To Kołłątajowskie szmermele!

— Czy być może? — zawołał z dobrze udanem zdziwieniem.

— Wiem, co mówię. Przejęto już niejedną ekspedycję tych nikczemnych karteluszków. Książd podkan-

clerzy, jak i czasu bywszego sejmku, każdą bronią wojuje tych, którzy stoją na zawadzie jego ambicji...

— Poczciwych chyba nie dosięga? — wtrącił do brodusznie.

— A któż poczciwy dla tych wściekłych jakobińskich wilków!

Nie było co odrzec, więc po chwili jął mu prawić dusery.

— Zawszem cię miał za zdatnego, ale teraz mówisz, jak prawdziwy statysta.

— Bom nie zalegał pola i zawszem się sposobił do większego! — szepnął z dumą, wspinając się na palce.—Kto ma głowę na karku i pomaluśku a z roz wagą się przepycha, temu i do dostojeństw niedaleka droga.

Chętnie, a jakby odniechcenia jął się zwić rzać ze swoich stosunków i znaczenia. Zaręba słuchał, napół wierząc i w jakimś miejscu mu przerwał:

— Cóż porabia ojcaszek? Jest jeszcze u hetmanowej?

— Teraz już siedzi na swoim kawale ziemi — odpowiedział nieskonfundowany pytaniem. — Ale z tobą, widzę, jakoś kuso! — zmienił przedmiot rozmowy, rozglądając się po izbie.

— Po żołniersku! Szablą nie dobiję się kluczów!

— A pan miecznik po dawnemu mieszka z ręką nie popuszcza?

— Zgadłeś! — potwierdził i jął rozpowiadać o swoich nadziejach na odzyskanie utraconej szarży.

— Będzie ciężko! Redukcja wojsk jakby już postanowiona, więc na każdy vacat w pozostających pułkach wisi po stu aspirantów.

— To zła moja sprawa!

— Projekt złożony do laski, lada dzień będzie deliberowany i znajdzie większość. — Naraz zniżył głos: — Petersburg go popiera i żąda przyjęcia jeszcze przed traktowaniem z Prusami. A i wyższa racja nakazuje zrobić to czem prędzej dla powszechnej bezpieczeństwa. Już i tak dochodzą słuchy, że poniektóre brygady zamyślają o konfederacji. O to właśnie chodzi, żeby do takowych zamysłów nie dopuścić — wykladał z głębokiem namaszczeniem.

— Gdybyś mi jednak nie odmówił protekcji! — prosił, puszczając mimo uszu.

— Dla przyjaciela i syna mojego dobrodzieja zrobię, co mogę, chociaż, czy moje zabiegi wezmą skutek, nie ręczę. A nie chciałbyś jakiego urzędu? Teraz delegacje będą potrzebowały człowieka zdatnego do pióra; dałoby się coś porękawiczego Boscampowi, no a za resztę odpowiadam. Pozycja nie do pogardzenia, bo strony nie będą skąpiły ni rublów, ni talarów...

— Nie zdałbym się na nic, bo umiem tylko pieczętować łby i to armatniami kulami — żartował, przystrajając się w żołnierską rubasznosc.

— A nie poszukałbyś fortuny w służbie Imperatorowej?

Zaręba utonął nagle w kłębach dymu i odparł po dłuższej pauzie:

— Nie znam po tamtej stronie ni żywej duszy.

— Ja w tem, że jak nic weźmiesz kapitańską szlifę. Mógłbyś kwaterować w kordonie, a po jakimś czasie przejść do służby cywilnej, gdzie i łatwiej dochrapać się orderu i jakiej królewskiej. Mają ich dosyć do rozdania. Już mi niejednen dziękował za dobrą radę.

— Jakże! służyć obcemu i może naprzeciw ojczyźnie? — wyjąkał, ledwie hamując gniew.

— Powiadają: pan, jako chce, a chudzina jak musi. Nigdy nie przyjdzie, by się ta potencia przeciwko nam obróciła; żyjemy w aljansie, a daj Boże, oddamy się całkiem pod jej protekcję. Poznam cię z Rautenfeldem lub z Kastalińskim. Wyróżumiesz ich i postanowisz. Ja ci radzę po przyjacielsku: ratuj się, póki jeszcze pora! A że niewiadomo, co komu pisane, to możesz trafić i w kawalergardy. W Petersburgu zawsze są w niemałej cenie dorodni oficerowie! — mrugnął czerwonymi oczkami i zaśmiał się cynicznie. — Fortuna kołem się toczy, a kto w porę za szprychy złapie, tego wyniesie. Ja coś wiem o tem!

Znowu się zaśmiał.

Zaręba cierpiał prawdziwe męki, wstrzymując się od plunienia w twarz temu rajfuirowi, ale na szczęście wszedł Hłasko z Kaczanowskim, więc porwał się ich prezentować.

— Nowakowski! Ależ my się znamy, jak tyse kobyły! — huknął Kaczanowski.

— Tak, w istocie, przypominam sobie waćpana gdzieś ze świata — bąkał lodowato, spieszenie zbierając kapelusze, laskę i rękawiczki. Trzymał go przytem oczy-

ma na taki dystans, że kapitan zapomniał języka. — Ad videndum, mości panowie! Bardzo żałuję! — pożegnał ich łaskawie.

Zaręba wyprowadził go przed dom.

— Mieszkam w pałacu hetmana Rzewuskiego; przychodź do nas na obiady: poznasz ciekawą i wesołą kompanję. A względem twoich zamysłów, to sam ci napiszę suplikę. Ale, dawno znasz Kaczanowskiego?

— Poznałem go dzisiejszej nocy.

— Trzymaj się od niego zdaleka, to łgarz i oczajdusza — ostrzegał z naciskiem, wdrapując się na karkolkę. Wziął lejce od sztywnego żokiejsa w czerwonym fraku, cmoknął na konie, kiwnął głową i pojechał, kolebiąc się na wybojach.

— A to mnie cymbał splantował! — wyrzekał Kaczanowski, szarpiąc wąsy ze srogiej konfuzji. — A wynosi się taka kauzyperda, niby ważna persona. Przecież pamiętam, jak przy lubelskim trybunale węszył za każdym dukatem, niczem wyżeł za kuropatwami. A teraz zwysoka, po jaśniepańsku i ledwie sobie raczy przypominać pocziwego człowieka! Ha! ha! to pękne ze śmiechu!

Ale się nie śmiał, tak go dławiła bezradna wściekłość.

— Bo i wysforował się na nielada personę — wtrącił spokojnie Hłasko, wysoki, poważny szlachcic, w granatowym kontuszu krojem wojskowym i, tak samo, jak Kaczanowski, z feldcechem przy prostej, czarnej szabli, co przy stroju cywilnym oznaczało oficjera. — Ma on przytem całę zaszarganą reputację. Kossakow-

ski wypromował go na posła i zażywa do swoich wiodoków. Zdatny do wszystkiego i ma takie reguły, że zarówno lubi rubla, jak i talary. Czy waszmość z nim w przyjaźni?—zwrócił się do Zaręby.

— Znam go od dziecka. Był pewien czas wraz ze mną u kadetów, ojciec mójłożył na niego. Potem umieścił go przy boku hetmana Branickiego, zaś po jego śmierci zginął mi całkiem z oczu.

— Taki nie przepadnie, wyciągną go djabli z każdej opresji. Znałem go w swoim czasie w Lublinie; czepiał się wtedy poły sędziego Koźmiana, lecz pono i na swoją rękę szachrował. Nie musiał mnie zapomnieć, bo razu pewnej wesołej okazji z panem Granowskim spławiliśmy go w Bystrzycy.

— Krwawy despekt, zwłaszcza jeśli tego łyknął żabiego wina.

— Ledwie mu Goltz zmacał puls! Chciał się potem rąbać z całą kompanją, skończyło się jednak na pijatyce i nowym figlu. Miał się on do pewnej...

— Możebyśmy dali spokój anekdotom — zauważył łagodnie Hłasko.

— Ale i to prawda, jako tutaj nic zapowiedniego w nozdrzach nie wierci.

— Zgapiłem się ze szczeniem, darujcie waszmościowie. Kacperl

— Tylko uprzedzam, że od kaffy cierpię, jak po rodzonej matce, czekulada czyni mnie furioso, a w herbacie zwykłem moczyć koniom nogi.

— Znajdzie się i coś kojącego na humory waszmości.

— A jabym wam coś poradził. Znam tu niedaleko zasobnego kupca, który, chociaż przy świętym piątku, niezgorzej nas pożywi. Ma przednie pieczątki. Nie dowierzam ja porucznikowskiej kuchni. Daruj mi waszmość, ale u mnie po staremu: nim zawierysz gębie, połóż na zębie — prawił Hłasko, obciągając pas na srodze zapadłym brzuchu.

— Byle prędko, dużo a smacznie, to i ja nie wybiedzam! — żartował Kaczanowski, wybiegając nagle, a gdy powrócił, przystąpił z ważną twarzą do Kacpra.

— Gdzie prowadzi przejście między stajniami z podwórza?

— Do rzeki. Ścieżka stroma, lecz koń przejdzie — sprężył się po żołniersku.

— A uliczka przed domem? — indagował rozkazująco.

— Na lewo do miasta, zaś na prawo w pola i cyrkuluje do Horodnicy.

— Basta! Zmykaj, bracie! — zwrócił się do Zaręby. — Rekognoskuje, zali mamy zapewniony odwrót. Rezolutny chłopak, ale czy pewny?

— Jak własna dusza. Mój to brat mleczny i towarzyszyć nieodstępny, przytem żołnierz przedni; w obrobie harmat wziął rany i nagrodzon krzyżem.

— Tak mężnie stawał? Proszę, że to w chamie taka kawalerska fantazja.

— Sam księżę go aplauzował. Święcie godzien nobilitacji.

— Skoro własną krwią wypisał sobie indygenat, Stany muszą potwierdzić.

— Wkrótce każdy będzie szlachcicem z województwa Chłopskiego i z ziemi Chamskiej i herbu pieczona rzepa na złamanym patyku — mruknął Hłasko.

— W obronie ojczyzny wszyscy mają prawo do równych zasług.

— Nie neguję, ale tak spada w cenie klejnot szlachecki, że niezadługo będą go dawali każdemu, którego się chociaż wywiedzie z pocałowania królewskiego konia w ogon — burczał zagniewany.

Kaczanowski się roześmiał, ale Zaręba skoczył za-perzony i jął zapalczywie i prędko mówić:

— Waszmość jest przeciwny zrównaniu stanów i sprawiedliwości?

— Nie, jeno w praktyce wolałbym się nie doczekać owych rajów powszechnych.

— I o cóż to mamy podnosić insurekcję? Wszak o wolność, równość i braterstwo!

— To jakobińska maxima! Nasze polskie hasło, to całość, wolność i niepodległość. I zato dam się porąbać na sztuki, dam ostatnią kroplę krwi, oddam nawet zbawienie duszy! — Aż przybladł ze wzruszenia.

Zaręba, nie chcąc prowadzić kłótni, ścichnął i zaczął się przebierać, ale przy okręcaniu muślinami szyi nie wytrzymał i rzucił półgłosem:

— Wszak o jedno nam chodzi: o szczęście powszechności.

— O całość, wolność i niepodległość! — wpierał Hłasko, przysapując z alteracji.

— Niech mu będzie Wojtek! — buchnął rubasznie Kaczanowski. — Ależ to precudna szatka! — zdumiał się,

spostrzegając barwisty chałat i, nie bacząc na zgorszone oczy Hłaski, przyodział się w niego i jął czynić wielce ucieszne dygi a przegięcia. — I sułtanekę temby znęcił. Musi siła kosztować?

— Coś z piętnaście tysięcy franków — objaśniał skwapliwie.

— Srogi ekspens! Cała fortuna! — Ściągnął go ze siebie z szacunkiem.

— Ale w asygnatach, bo na złoto wypadłoby ze trzy dukaty. Kupiłem w Paryżu od ulicznego marszanda. Pono prawdziwa chińska materja.

— Niechybnie zagrabiona po jakimś zgilotynowanym nieszczęśniku.

— Jestem już gotów. Waszmość obiecał nas poprowadzić.

— Pójdźmy, powiodę was krótszą drogą i nie tak na oczach — odrzekł Hłasko i ruszył przodem. Kaczanowski szedł na ostatku, myszkując swoim zwyczajem bystremi oczyma tu i owdzie. Ciągnęli ku Farze, wąską, boczną uliczką, rzadka obstawioną małemi chałupkami, a pełną sadów i parkanów.

Całe stada dzieci gziły się w tumanach kurzawy, rozczapierzone kwoki taplały się w piasku, a gdzie niedzie srodze brzuchate maciory pojękiwały w chudych cieniach okapów. Upał doskwierał niemiłosiernie.

— Będziemy mieli znojną drogę — zauważył Hłasko.

— Jakto, wyjeżdżacie waszmościowie?

— Zaraz po południu. Musimy być w Zelwie na czwartego, tam walny jarmark na konie! Zastaniemy całą watahę ludzi z różnych stron i musimy się nimi

rozporządzić. Są tam już nagotowane niegorsze magazyny, nie licząc koni obiecanych przez księcia Sapiechę, generała artylerji litewskiej.

— To idźcież wolno, ja tylko skoczę wydać dyspozycję względem koni.

— Rżniemy pocztą, już zamówiona! — powstrzymał Kaczanowski. — Nawet przezpieczniej, można bowiem swobodnie hulać po stacjach, wiązać znajomości, przepytować odniechcenia i swoje pilnie robić. Trakt pocztowy to niby list niezałakowany: wyda wszystko, trzeba go tylko umieć przeczytać.

— Za tydzień będziemy zpowrotem. Co waszmość znowu wyprawia? — zwrócił się do Kaczanowskiego, który nagle przywarł twarzą do jakiegoś parkanu.

— Cicho! Spaniałe kokoszki! Zobaczcież sami! — szeptał rozogniony, wydzierając z płotu kawał deski.

Zajrzeli przez szparę skwapliwie i oniemieli w podziwie. Nieco w głębi stał biały dom, prawie nakryty zwisłemi gałęziami ogromnych brzoź. Na stopniach ganecczku, opiętego kwiatami, siedział jakiś stary jegomość z lulką w zębach, a przed nim spacerowała cudnej urody kobieta. Złotawe, przejrzyste szaty ukazywały ją prawie nagą; czarne włosy miała przetykane perłami, twarz ściągną i śniadą, wargi czerwone, oczy wielkie, strome piersi a figurę wielce foremną. Poruszała się leniwie, robiąc biodrami, jak w tańcu. Kilka służebnych czy towarzyszek, zarówno ledwie osłoniętych w barwiste mgły, kręciło się tu i owdzie między rabatami pełnemi róż. Słysząc było pojedyncze słowa i chichoty. Cały obraz burzył krew i bił do głowy.

— Cipuchny! Cip! cip! cip! — wabił zcicha Kaczanowski, przebierając nogami.

— Milczże waszmość! To hetman Ożarowski! Dałby nam bobu za to wypatrzenie! Chodźmy, lepiej się nie nastawiać wilczej paszczęce—szeptał Hłasko.

Odeszli ociężale, tylko Kaczanowski powracał raz po raz i cmokał.

— Delicje! Rarytasy! Niech mnie kule biją, jeśli nie spenetruję tego rajul

— Wara od hetmańskiego kurnika! Muszą tam być zastawy na szkodników. Dawno mi o tej pańskiej zabawie rozpowiadano pod sekretem, oczywiście nie wierzyłem, a teraz sposobny traf nam wygodził. Pierwsza, to Greczynka, powinowata czy nawet siostra Wittowej, aktualnej Szczęsnego kochanicy.

— Cudniejszej w życiu nie widziałem—wzdychał Kaczanowski.

— Przypomina z urody hrabinę Camelli—wtrącił Zaręba.

— Kudy kuchta do patyny! Nawet podobnej być nie może! Wenus prawdziwa! Psiakrew, że takie przednie antypasty zawsze są dla starych grzybów!

— Każ sobie waszmość puścić krew, to odciąga—śmiał się Hłasko.

— A te drugie muszą być służebne — zauważył Zaręba.

— Powiadali, jako je trzyma dla swoich konfidentów.

— Zaprzysiągłbym takiemu wieczną przyjaźń! — gruchnął ogniście Kaczanowski.

— Zaproponuj mu waszmość, może cię przypuści do szwagrostwa.

— Obejdę się bez jego protekcji. Słowo kawalerskie, ale ja mu ten ul podbiore.

— Byle cię przy tej sprawie nie pokąsały pszczoły.

— Może i pokąsają, ale kto drugi spuchnie.

— Ożarowskiemu rogi nie dziwne, a waść mu nową biedę szykuje—podrwiwał Hłasko.

— Na co ja zaginam parol, tego dotrzymuję! — zawołał, tocząc wyzywająco oczyma, na co Hłasko powiedział z prześmiechem przyjacielskim.

— Radzę waści przystawić sobie na karku pi Jawki, bo nic tak skutecznie nie odciąga humorów. Sie dzi tu niedaleko Kreybich, aptekarz.

— Zobaczycie. Słowo się rzekło. Zobaczyciel

I tak, przekomarzając się, skręcili w miasto.

Ulice z powodu spiekoty i przypołudniowej go dziny były prawie puste i jakby się gotowały w słońcu. Tu i owdzie w chudych cieniach domków wylegiwało się pospólstwo lub przemykał jakiś żyd w białych pończochach, pokłapując patynkami. Na rogach ważniejszych ulic i przejść stały zbrojne warty, zaś niekiedy przeciągały patrole kozackie, podnosząc tumany kurzawy.

— To przyjaciele, nie rób sobie waszmość apetytu — zaśmiał się Hłasko.

— Już znam smak aljanckiego mięsa—odparł Zaręba, przyglądając się żołnierzom wilczym wzrokiem.—A chłopcy roste, dobrane i moderunek mają prosto z igh.

— A najdziwniejsze, że wszystko płacą gotowym groszem — powiedział Kaczanowski.

— Tutaj, pod bokiem króla, stanów, obcych ambasadorów i na srogi przykaz zgóry. Pojedź-no jednak waszmość za kordon, a napatrzysz się takim wiolencom i uciemieniom, że ci włosy powstaną na głowie. Widziałem koło Kamieńca całe okolice, gdzie nawet zielone zboża były stratowane i wypasione, gdzie nie najdzie całej chałupy, ni człowieka niepokrzywdzonego na zdrowiu i majątku. Lud to dziwnie zajadły i łapczywy na cudze, zaś najgorsze, iż często niszczy nie z potrzeby, a jeno z jakowejś niezrozumiałej żądz pastwienia się nad wszystkim. Ale Prusacy bodaj jeszcze gorsi.

— Rzeczpospolita niby gliniany garnek między wałacami się ścianami.

— Przetrzyma, mości Kaczanowski. Nie zmoż jej nawet moce piekielne.

— I w takich ciężkich opresjach jeszcze nigdy nie bywała.

— Dawno te jegry tak paradują po ulicach? — zwrócił się Zaręba do Hłaski.

— Od rozpoczęcia sejmu. Asystują przecież posiedzeniom, strzegą sejmujące stany od złych przypadków. Mirowscy i gwardja litewska pełnią służbę tylko przy królu i kancelarjach, a i to bez bagnetów i ostrych nabożów — targnął gniewnie wąsy i zacisnął dłoń na główni pałasza. — A niańczą nas po swojemu, niewołac pieszczotami do uległości. Siedemnastego lipca, kiedy to brano na deliberacje projekt aljansowego traktatu, a czemu się całą duszą sprzeciwiała garść pocztowych, widziałem, jak zataczano harmaty i rychtowano je na zamek, jak kanoniery stawwały z zapalonymi lon-

tami, jak Rautenfeld rozpierał się przy królu a jegry nastawionemi bagnietami wyciskali arbitrow z izby! Na własne oczy widziałem.

— Można się było napić hańby i wściekłości na całe życie — szepnął Zaręba.

— Starczy tego na wieki i dla całych pokoleń! A teraz sza, mości panowie.

Stanęli przed piętrową kamienicą, w której był wielki handel win Dalkowskiego, i z brukowanej, szerokiej bramy weszli do sklepionej, ogromnej izby.

Gwarno tam było, jak na jarmarku, i prawie ciemno od dymów. Przy długich stołach pod ścianami zabawiano się kieliszkami, prowadząc przytem głośne dyskursy. Za ladą sklepową, zastawioną cynowemi naczyniami i farfurem, królowała opasła jejmość z twarzą, jak księżyc w pełni, a z piersiami niby bochny; korallowe zausznicze zwisały jej aż na grube ramiona; robiła pończochę, licząc półgłosem oczka, lecz jej bystre spojrzenia latały chyżej, niżli druty, i raz po raz cienki głosik poganiał chłopców usługujących i męża, który w zielonym fartuchu i czarnej mycce na głowie, chudy, malusieńki, pokorny, witał wchodzących, kłaniał się, prowadził na miejsce, jak z nut recytował dania i wrzeszczał do kuchni przez okienko.

Hłasko zażądał osobnej stancji, ale musieli się kontentować tylko stołem osobnym, jaki się znalazł w jednej z izdebek od podwórza.

— Świeża Nawaga! Szczupak z szafranem! Lin w kapuściel Pierogi leniwe! — recytował, obmacując ich przytem chytremi oczyma.

— Patrzcie, piątek już i tutaj zdążył zajechać — zarzył się z krotochwilną żałością Kaczanowski.

— Bo i piątek za młodu smakował w prażonej cebulce — wtrącił gospodarz, kłaniając się do ziemi.

— Staryś aspan i trzymają ci się jeszcze głupie koncepty — obruszył się Hłasko. — Daj mi postny piad, nie luter jestem.

— Mogę z postem i mogę z mięsem, byle jeno burgońską podlewać.

— A mnie daj wasze kuropatwy. Nie hołduję zesądom — zdecydował Zaręba.

— A nie zapomnij o śledziu i gorzałce — upominał Kaczanowski.

Gospodarz sprawił się szybko, lecz, gdy zabrali się do jedzenia, nie przestawał im brzęczeć nad uszami.

— Sos do szczupaka z przepisu kuchmistrza jego wielmożności angielskiego.

— Właśnie cuchnie żabim skrzekiem — próbował radzić go kapitan.

— A kuropatwy podlaskie! Pachną, jak trybularz, macierane imbierem.

— To zjedźże asan djabła w szafranie, a nie przekadzaj! — zgromił go impetycznie Hłasko i zwrócił się do Kaczanowskiego, który jadł za trzech i pił za dziećmi.

— Miarkuj się waszmość, przy takim upale jeszcze w drodze szlag trafi.

Kaczanowski roześmiał się na przestrozę, wypił, było, do dna i skoczył do głównej izby, gdzie dawał jakowychś znajomych.

— Za pół godziny będzie się już znał ze wszystkimi.

— Taki łatwy do komitywy? Szczęśliwe usposobienie.

— Przekonasz się waszmość, jakie przyniesie nowiny. On każdemu z pod serca wydrze choćby zaprzyśiężony sekret. Szaławiała to niby, paliwoda, zboreznik a zarazem wielce przeorny człowiek. Szczerze go estymuję.

— Jasiński go chwalił, ale nie bez pewnych restrykcji.

— Co wart, spytaj się waszmość Działyńskiego—zaszeptał Hłasko, pochylając się nad stołem. — Na Onufrejskim jarmarku w Berdyczowie, w przeciagu tygodnia, wsypał do naszej kasy przeszło pięć tysięcy dukatów. Tak kaptował kpinami, śmiechem i kieliszkiem, że jeszcze go szlachta na rękach nosiła. Zaś nie miał kto gotowych pieniędzy, musiał dawać in natura. Cały magazyn się zebrał skór, płótna, ołowiu, nie licząc sporego tabunu koni. Szef nie może się go nachwalić. I do kobiet również ma szczęście...

— Ale pono i koloryzować potrafi.

— I jak, sam nieraz nie mogę wyjść z podziwiania. Ciekawym, jaką on sztukę wytnie Ożarowskiemu.

— Wywietrzeje mu ten kurnik z głowy. I czy to pora na takie kabały!

— Dał słowo i jestem pewny, że coś zmajstruje. Nie brak mu fortelów.

Zaręba odpowiadał coraz krócej, zajęty przegadaniem ludzi, bowiem przez wywarte drzwi widniały

cały szereg izb zapełnionych. Paru posłów sejmowych siedziało opodal, zatopionych w cichej rozmowie.

Nazwał ich Hłasko, dodając wzgardliwie:

— Tacy, którzy zawsze głosują z większością...

— Marais! W Paryżu podobnego zowią „bagnem“—objaśnił, nalewając kieliszki.

— A cóż na sejmie?

— Jedno i toż samo: rozbiór kapłona — obejrzał się na czerwone kontusze posłów—już mu obcięli nogi, odrąbali skrzydła, wygryźli piersi, że pozostał tylko kuperek, ale smakoszom wciąż mało, wyciągają pazury po resztę...

— Znarowali się na łatwe. Dalej nie pójdzie im tak gładko.

— A któż im wzbroni? Zobacz waszmość, co się wyprawia w ogarniętych województwach: bale, asamble, składkowe festy dla gubernatorów i dziękczynne adresy. Przecież w Żytomierzu, po przysiedze nowej pani, szlachta balowała cały tydzień! W Poznaniu Möllendorf aż musiał się zaborgować na jadło i napitki, tyle bowiem zjechało składać homagjum! Indziej również to samo. A tutaj w Grodnie na sejmie sprzedają już ojczyznę en détail, na funty i żywej wagi. Żeby nie ta ostatnia wiara w nasze zamysły, tobym sobie w łeb strzelił—szeptał ponuro.

Zaręba milczał, ogarnięty ciężkim smutkiem, którego nie mogło rozpędzić nawet wino; zaglądali sobie w oczy niekiedy, głęboko aż do dna dusz zatroskanych i pili kieliszek za kieliszkiem, jakby na zapomnienie.

Dokoła brzęczały szkła, wrzały podochocone głosy

i szły już takie zapalczywe dyskursy, aż trzęsły się ściany. Wszystkie bowiem stancje wypełniły się po brzegi a wciąż przybywali nowi goście.

Mieszały się ze sobą w tłoku, jak groch z kapustą, wojewódzkie kontusze, fraki, czamary, granatowe kurty wojskowym krojem, płócienné kitle, księżę sułtanny i nawet tu i owdzie miejskie kapoty, pokapane woskiem, zbieranina bowiem była wszelakiego autamentu, a wszystko jadło, piło i rozprawiało podniesionemi głosami. Wkońcu zbrakło już stołów i siedzeń, więc się kupili w przejściach, spychani z miejsca na miejsce, bo wciąż ktoś się cisnął i kręcił wśród tłumów: to jakiś kwestarski wyga, pobrzękujący skarboną, to żyd siwy w aksamitnej jarmułce i w atłasowym żupanie, przepasany czerwoną chusteczką, to kredencерze, roznoszący potrawy i napitki, to pielgrzym długowłosy z kijem zakrzywionym, u którego wisiła tykwa, obwiązany medalikami, pocieranemi o grób Pański, sprzedawał pamiątkowe muszelki, łącząc przytem niestworzone baję, to Węgier, zachwalający łamanym językiem swoje pomady, olejki i cybuchy, to wreszcie psy, płaczące się pod nogami, zaczynały się gryźć i skomicć, powstawała jakaś kłótnia lub jakiś sierzdysty szlachcic grzmiął pięścią w stół, aż jęczały cynowe misy.

Naraz z głównej izby buchnęły takie ryki śmiechów i tupania, że Hłasko podniósł głowę i szepnął:

— To Kaczanowski zabawia nową kompanję, aż tupią z uciechy... — Urwał i nagle się przechylił, jakby chcąc dać nurka pod stół, gdyż przepychał się ku nim okazały szlachcic z talerzem w ręku i butelką pod pa-

chą. Miał kontusz granatowy z białym, zaplamionym żupanem, brzuch ogromny, potrójny podbródek, sprośnie wywinięte wargi, czerwony nochal, obwisłe policzki, strzępiaste wąsy i małe, rozbiegane bystro oczki. Rozglądał się, wrzeszcząc tubalnym głosem:

— Kredencерz, dawaj choć antał, chámie jeden!

Że nikt się nie kwapił z posługą, zwrócił się prosto do nich:

— Pozwolą mi waszmościowie przysiąść?—I, nie czekając odpowiedzi, zwałił swoje olbrzymie cielsko na stółek. — Już mi kulasy w brzuch włożyły, he! he!

Hłasko patrzył w niego z nieukrywana abominacją.

— Podhorski Adam, wołyński — rzekł, wyciągając spoconą łapę, pokrytą rudym włosem.

Radzi nieradzi wymienili swoje nazwiska.

— Zaręba, herbu własnego. Czekajże waść, toś widzę z Wielkopolski! A może i z Podlasia. Te, capie jeden, dawaj więcej butelek. A ojcu jest Onufry?

— To mój stryj.

— Proszę, jak to góra z górą się nie zejdzie, he! he!

— A gęba z wiechciem zawsze — uzupełnił szydliwie Hłasko.

— Można i tak. A tośmy z nim byli razem w Barskiej, he! he! dobre parę latek temu. Pod chorągwią Częstochowskiej he! he! — rechotał, aż Hłasko, nie mogąc ukryć animozji, odwrócił oczy na stancję. — I zawsze był raptus i wielce skory do szabli i gorzałeczki. Panną go przezywali, że to zgoła, he! he!.. Zabijaka też był srogі, więcej on napsuł wrażego mięsa,

niżli niejedna chorągiew, samowtór ze swoim Kubusiem chadzał na te łowy. Jakże się miewa?

— Zdrowy, dziękuję waszmość panu.

— Taki upał, że chyba się napijemy? — A waszmość jakiego zdania, panie Huśko?

— Hłasko, do usług! — poprawił, czerwieniejąc z irytacji.

— Przygłuchym nieco, daruj, a może waszmość posłuje? nie dosłyszałem.

— Nie miał mnie kto wypromować—odparł wyzywająco. — Niekażdy ma za protekcję dukaty i bagnety, mości pośle wołyński! — ciął niepowstrzymanie, wpijając się w niego wzgardliwymi oczyma.

Zaręba poprostu struchlał i spuścił dłoń na głownię szabli.

— Niceś waszmość na tem nie stracił — zaśmiał się, cale niezbity z tropu. — Zabiegów i turbacyj co-niemiara, a profit żaden, he! he! Gorąco, jakby mnie djabli excytowali. A możebyśmy na drugą nogę, he! A potem po śledziku i po dzwonku szczupaczka z szafanem? Kredencarz, chodźże tu, gamoniu!

— Waści patron daje liche obiady, skoro tutaj musisz dojadać.

— Liche nie liche, jeno djabło nudne! — wyznał się cynicznie. — Zjem byle co, ale w kompanji, mam bowiem principia mądre, jak pacierz: nie wybredzać w picu ni w socjecie! Dla mnie każdy człowiek boskie stworzenie, a trunek dar jego he! he! I nigdy mnie takowe maximy nie zawiedły!

Tak milczeli zawzięcie, że podniecony jął prawie coraz krotoczwilniej.

— Postawią szampańskie, piję i owszem, bo czyni miłe mrowienia po języku; dadzą węgry, ciągnę expedite, jak Bóg przykazał; znajdzie się reńskie lub burgońskie, nie pytam, kto je płaci, byle jeno antał był spory, a mała kompanja. Zaś pragnie jaki asan ukontentować mnie miodem, czy zaprawną gorzałeczką, przysiadam czule i pastwię się nad szelmami, choćby blaszaną kwartą, he! he! — gadał, obiegając ich bystremi oczyma, ale widząc, jako siedzą jakby na niemieckiem kazaniu, mruknął gniewnie: — Waszmoście, widzę, niebardzo mi radzi.

— Cóż znowu, tylko że każdy ma swojego mola.

— A cóż waści tak dolega, he? — pytał dobrodusznie, dolewając kieliszki.

— Obmierzłe towarzystwo! — rąbnął bez pardonu, niby policzek.

Podhorski zerwał się i, macając ręką za szablą, syczał, jak przydeptana gadzina:

— Zdasz mi sprawę, chłystku jeden, ja cię znajdę, popamiętasz.

Podniósł się również Hłasko i, przysuwając podobłą twarz do jego twarzy, bił w niego niby sztychem, raz po razie i nawylot.

— Poszukaj, pruski jurgieltniku, znajdziesz kije, to cię nie minie.

Oniemiał na to grubas i stanął z otwartymi ustami, posiniały z gniewu, ale po chwili dopił kieliszka, zabrał swoją butelkę i odszedł bez słowa.

Na szczęście nikt jakoś nie zwrócił uwagi na to zajście, tylko Zaręba, gdy nieco ochłonął, rzekł dosyć surowo:

— Na tem mogłaby ucierpieć sprawa!

— Moja wina, kiedy nie mogłem już ścierpieć! Ale takiemu szui pluń w twarz, to powie, że deszcz pada, szkoda śliny. Spaceruje, jakby nigdy nic.

Istotnie Podhorski szwendał się po stacjach, pogadując z tym i innym i przepijając z każdym, który chciał.

— Gdyby miał posłuch u Sieversa, to dzisiaj w nocy byłbym już w drodze do Kaługi. Głupia sprawa, nigdy sobie tego nie daruję—trapił się szczerze.

Jakiś tyczkowaty Niemiec w żółtym fraku i ogromnej peruce, który się już od pewnego czasu kręcił wśród cizby, zaproponował wycięcie ich sylwetek.

— A wycinaj, pludro—zgodził się Zaręba—nigdy nie miałem swego konterfektu.

— Zrób i mój. Wylepiał mnie z wosku jeden Francuz, ale nie utrafił.

Niemiec wziął miejsce, aby mieć ich profile pod światło i, ułożywszy na deseczce niebieskawy papier, jął nożykiem wycinać wprawnie i z taką szybkością, iż w niespełna kwadrans sylwety były gotowe i całe utracone.

— Na mnie czas. Już po trzeciej, a musimy wyjechać o czwartej.

Wyszli bocznymi drzwiami w podwórze, zapelnione powozami i służbą.

— Kaczanowskiemu będzie ciężko opuszczać wesołą kompanję.

— Stawi się na porę, nie chybi ani minuty, choćby był pijany, co mu się rzadko zdarza. Zatem do widzenia za jakiś tydzień!

Zaręba kupił w kramie wiadomość stacyj przyjezdnych do Grodna, przebrał się nieco w domu i najętym powozem pojechał składać wizyty różnym ludziom, do których miał polecające listy.

Powrócił dopiero późnym wieczorem tak zgnębiony i zatroskany, że Kacper z łękiem składał relację ze swojej wyprawy do Tyzenhauzowskiej karczmy; w miarę jednak opowiadania Zaręba się otrząsł i zdecydował:

— Dobrze, pójdziemy tam której nocy. Ze sto chłopa, powiadasz.

— Może i więcej. Pokryci po dziurach, jak szczury, wielu służy w mieście, a są...

— Cóż więcej? — przerwał mu szorstko, bo chłopak lubił rozgadywać się szeroko.

Wyprostował się, podając mu list.

Szambelanowa w nader uprzejmych słowach zapraszała go do siebie.

— I cóż dalej? — spytał jakoś ciszej, chowając woniejący list do kieszeni.

Jakby w odpowiedzi, ojciec Serafin stanął w progu.

— Dobrze się składa, właśnie będę ojca potrzebował. Są ważne sprawy.

Zasiedli przy stole i rozmawiali do świtu.

Kacper trzymał czujną straż pod domem.

III.

Podniósł się radosny pisk, jazgotanie piesków i dwie białe rączki wyciągnęły się na powitanie.

— Pan Sewer! Nareszcie! No, no! — wykrzykiwała śliczna blondynka.

— Sługa panny pułkownikówny — odparł tym samym tonem, usiłując być swobodnym i szarmanckim. — A panna Terenia zawsze, jak jutrenka.

Ale pana Terenia porwała pieski na ręce, odstąpiła nieco i, mierząc go roziskrzonym wzrokiem, jęła z groźną miną strofować:

— To taka subordynacja? to dopiero dzisiaj staje się na apel, to trzeba ściągać ordynansami, to milsze ultajenie się Bóg wie z kim, niżli my? Już panu zato Iza zapłaci dobre lenungi!

Zaręba uśmiechnął się tak smutnie, że panienka nagle się zaniepokoiła.

— A może pan chory? — spytała cichutko. — Prawda, taki pan mizerny i blade! Co panu jest? — spięła się na palce, zacierając mu w oczy.

— Zdrow jestem, dziękuję. Czy pani szambelanowa w domu? — wyrzekł chłodno, ledwie już pokrywając niecierpliwość oczekiwania.

Panna Terenia, dotknięta jego tonem, spojrzała wyniośle.

— Proszę wziąć miejsce. Pani szambelanowa zaraz przyjdzie. — Ceremonjalnym gestem wskazała krzesło i, przyciskając do piersi warczące pieski, stanęła schmurzona pod oknem, a z tym dąsem na różowej twarzyczce, pełnej dołków, przytajonych uśmieszków i figlarności, była jeszcze śliczniejsza.

Główka w złotych puklach, przepiętych błękitną wstęgą, wielkie niebieskie oczy o złotych rzęsach, krótki nosek z różowemi chrapkami, lśniąca zęby, malinowe wargi, toczona biała szyja, koronkowy szal na ramionach, spięty pod piersiami koralową broszą, krótka jasna sukienka w niebieskie paski, białe pończoszki z haftowanemi klinkami i białe ciżemki, malowane w stokrocie, czyniły ją podobną do saskiej figurynki. Ruchliwa była przytem, jak wiewiórka, trzpiot i słynna śmieszka, więc i teraz, chociaż zadąsana, takie robiła minki, że musiał się ódezwąć.

— Za cóż ta sroga niełaska, mościa panno?

Parsknęła śmiechem i, przyskoczywszy do niego, trzepała zapalczywie:

— Bo waść nie dba ni o mnie, ni o Iżę, ni o pułkownika, ni o nic na świecie.

— Właściem chciał pytać o kozienickie nowiny.

— Nowiny? Mam narzeczonego — wyrzuciła, namiętnie całując pieski.

— Jakiejże maści? — żartował. — Pamiętam, jak panna Terenia szalała za karoskami, potem przyszyły cisawe, więc może teraz kolej na szpaki...

— Co mi tam koniel Wolę swojego Marcina.
— Niech mnie kule biją, jeśli znam takiej maści cuganta.

— Waszmość nawet przyjaciół zapomina.
— Przyjaciół! Czyżby to miał być Marcin Zakrzewski? Tak? No, toście się dobrali do maści, pstroglowej z czubkami — śmiał się, ale mu nie w smak poszła ta nowina. — Więc skoro panna Terenia przechodzi do gwardji, to chyba komendę Königowskich ułanów obejmie panna Klarcia! Toż musi być lament między porucznikami? Gdzież się aktualnie podziewa Marcin?

— Ma dzisiaj służbę na zamku przy Królu Jego mości.

Tą wiadomością ucieszył się szczerze i dodał nieco żartobliwie:

— Winszuję pannie Tereni awansu.

Wstał, aby wyrzeć do ogrodu.

— A waszmość się ze mnie śmieje.

Zastąpiła mu drogę.

— A ja się właśnie bardzo cieszę — odparł żywo i dla złagodzenia pocałował ją w rękę. — Tylko za-proście mnie na wesele.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłkę wilcy zjedzą — wybuchnęła rozżalonym głosem. — Jegomość podko-morzy napisał Marcinowi, że możemy jeszcze poczekać.

— Bo i możecie, takie żółtodzioby, trzeba wam dodać dyrektora.

— A jabym chciała jak najprędzej kwaterować w Warszawie — wyznała się szczerze, usadzając pieski

na klawicymbale. — Mam już po uszy Kozienic i tych wyranżerowanych szkap pułkowych, z którymi muszę grywać w marjasza. Przecież ostatniej zimy nie tań-czyłam ani razu! Ale wy, mości pieskowie, z ogniem, z ogniem! — chichotała, łupiąc psiami nogami po kla-wjaturze. — Dopiero na Wielkanoc, jak przechodzili z Radomia huzarzy, nasza mamzel, która ma pomiędzy nimi ślicznego kuzynka, namówiła papę, żeby dać dla nich bal, ale byłoby spaliło na panewce, bo burgrabia nie chciał pozwolić sali w pałacu.

— I dobrze zrobił — rzekł stanowczo, otwierając okno.

Z ogrodu buchnęło ciepło, przejęte zapachami kwiatów i radosne ćwierkanie ptactwa.

— I tak mamzel postawiła na swoim. Pan Sto-kowski zajął fabrykę, kazał ją umaić świerczyną, papa dał kapełę i tańczyliśmy do rana.

— Z huzarami? Godni kawalerowie!

— Był przecież cały nasz kor: papa rozporządził i musieli. Zabawa poszła cudnie, bo tylko jeden pan Sieklucki zrobił burdę huzarom, za co posiedział na od-wachu. I dobrze mu tak, niech zabawy drugim nie psuje. Bibi! Mimi! — rzuciła się ze śmiechem za pie-skami, które się jej wyrwały, z piskiem szukając schro-nienia pod kanapą.

Wyciągnęła je dopiero przy pomocy Sewera.

— Mimi jest ultajka, a Bibi obrzydły mordercz! — karciała, obrzucając skomlące psiaki ognistemi pocałun-kami. — Terazby waćpan nie poznał Kozienic! Już broni nie robią, fabryki zamknięte, a fabrykanci rozpędzeni

na cztery wiatry, nawet kafenkauz Dorotki nie istnieje. Niema już balików, majówek, ni tańczących wieczorów, bo młodzież nie pokazuje się w naszym domu nawet dla ornamentu.

— Snadź im zbyt często podawano czarną polewkę.

— Jak Bożię kocham, ani jeden się nie oświadczał — zapewniała żarliwie. — To nie to, tylko założyli sobie klop i tam przesiadywali, tam czynili jakoweś kryjome zebrania, jakoweś przysięgi, aż zwrócono uwagę papy i musiał ichmościów wziąć na mundsztuk.

— Kto to być może? — przerwał jej, wskazując w ogród, na jakiegoś pana w białym kitlu i z gołą głową, który, wspierając się na lasce i odpoczywając co chwila, spacerował w cienistej alei, pociętej słonecznymi progami; chłopak liberyjny, z czerwonym szalem na ręku, chodził za nim trop w trop.

— Szambelan Rudzki. Waćpan nie zna męża Izy?

— Peregrynuje, jakby dla konkokcji żołądka. — Przyglądał się z ciekawością.

— Doktor Lafontaine mówi, że szambelan choruje z imaginacji, ale mnie się zdaje, że mu się nóżki fajtają, jakby zgubił kopyta. Radziłam Izie, żeby go każała przekuć — buchnęła śmiechem.

— Na nic, kopyta musi mieć zdarte do żywego mięsa — śmiał się również, tylko z jakąś gorzką przyjemnością. — Mocno posunięty jegomość...

— Służył jeszcze „w białych rakach“. Papa powiedział — chichotała już, jak szalona.

— Czcigodna pamiątka po Sasach i człowieczek wielce osobliwy.

— Ale ja go uwielbiam. Dobry i taki wyrozumiały. Przekona się waćpan.

— Już mniemam, że musi zadawać lubczyk, skoro panny tak lgną do niego.

Panna Terenia, pojawiwszy intencję, szepnęła poważnie:

— Przecież ją zniewolono! Ona jest bardzo nie-szczęśliwa, okropnie.

Miał na ustach jakieś gorzkie słowa, lecz, spojrzawszy na jej posmutniałą twarzyczkę, pomiarkował i tylko westchnął.

— Iza waćpana bardzo żałuje, ja wiem wszystko — szeptała tajemniczo.

Zarębę ścisnął nagle bolesny skurcz, że porwał się z miejsca i, oglądając się za kapeluszem, mówił beładnie:

— Muszę odejść... panna Terenia powie, że czekałem... przyjdę jutro...

Terenia stanęła wylękciona, nie rozumiejąc, co mu się stało.

Ale w tejże chwili weszła do salonu Iza.

Przywitali się w milczeniu, zatapiając w sobie badawcze oczy.

Panna Terenia zajęła się układaniem niby porozrzucanych nut, strzygąc przytem oczkami, a ze drżeniem wyczekując jakichś słów gorących lub wybuchów, ale nie mogąc już dłużej znieść milczenia, wykrzyknęła:

— Czy państwo gracie w mruczka? — i uderzyła w śmiech.

Szambelanowa rzuciła jej wdzięczne spojrzenie i swobodnie, z czarującym uśmiechem, rozpoczęła rozmowę o różnych bieżących materjach, nie wspominając ani słówkiem o balu. Była nawet dzisiaj cudniejsza, niżli wtedy, cudniejsza nad pomyślenie; nikt obłoczki rumieńców przesuwający się niekiedy po jej twarzy, niekiedy orzechowe oczy lśniły złotemi skrami, a nabrzmiałe krwią usta dyszały straszliwym czarem. I doskonale panowała nad sobą, niczem nie zdradzając, jak wiele ją kosztuje ten udany spokój, tylko chwilami mgliły się jej oczy przelotnym cieniem i przygasały uśmiechy; zaś niekiedy podnosiła się bezwiednie i szła wziąć parę akordów na klawecynie, lub wychylała się do ogrodu, ale, dojrawszy męża, powracała do dawnego tonu rozmowy.

Zaręba czuwał, niby na wedecie, i bacznie śledził każde jej słowo i każde poruszenie, a z powinną grzecznością odpowiadając na pytania, nawet niekiedy, aby złowić jej uśmiech, błyskał dowcipem i próbował wzruszać opowiadaniem przygód wojennych. I dopinał celu, pojąc się cichym triumfem. A jednak ani jeden powiew przeszłości nie zmałował tej udanej harmonji, ni jedna aluzja nie prysnęła z warg płonących, bo chociaż całe piekło wrzało mu w duszy, był wobec niej takim, jakim być sobie zamierzył: powściągliwym i w miarę chłodnym.

Rozmawiali przeto, jak ludzie pozornie sobie obcy i niemal obojętni. Ale męczyła ich ta gra pusta i coraz częściej przychodziły długie pauzy i nagłe milczenia, w których jej oczy strzelały błyskawicami, usta drgały

zemiś niewypowiedzianem, a z piersi darły się krótkie, szybkie westchnienia, on zaś przez te мгnienia już nie amował swojej natury i, jakby padając przed nią na kolana, brał ją w objęcia oszalałemi z tęsknoty rękoma.

Cóż, kiedy jakieś skomlenie pieska czy głos ogrodu rozwiewał upalne koszmara, rzeczywistość naigranym patrzyła im w oczy i znowu szedł grzeczny dyskurs, a francuskie słowa brzęczały kładnie, wymuszenie i galantuomnie, aż panna Teresia, ostatecznie tem znudzona, palnęła prosto z mostu:

— Siedzą i wygadują jakby na teatrze — zaczęła wyrybiać przedrzeźniające miny. — Oui, madame! Non monsieur! Tu śmieszek, tam perskie oko, ówdzie machach wachlarzem, indziej buzie w ciup, a czule spojrzenie. Ślicznie gracie, ale ja wam aplauzować nie będę, bo mnie ta heca już setnie znudziła. Bibi! Mimi! hajda, pogonimy sobie kotki w ogrodzie! Ha! ha! ha! — zanośnięta się śmiechem, spostrzegłszy ich pomieszanie.

Szambelanowa napięła gniewnie brwi, a Sewer powstał przykro dotknięty.

— Nie odchodź, Tereniu. To prawdziwe enfant terrible!

— Pora już na mnie... czekają... a może ci przeszkadzam.

— Jeszcze chwilę, proszę cię! Ma wstąpić po mnie hrabina Camelli, pojedziemy do ambasadora na obiad, jaki wyprawia dla dam i biskupów, z racji imienin Marji Teodorówny, następczyni tronu. On miewa zabawne pomysły.

— Właśnie skręca na most powóz księcia biskupa Massalskiego — wrzeszczała Terenia, wychylając się z okna na ulicę — i cały zapchany kwiatami.

— Wiezie dla Sieversa. Dziwnie to poetyczna i czuła natura: przepada za śpiewem i kwiatami a szczególniejszą pasję ma do róż. Wszyscy też starają się dogadzać tej słabości, że kto tylko posiada jakąś odmianę, chętnie mu posyła. Księżna Radziwiłłowa ofiarowała mu wspaniałą kolekcję. Rozczulające, nieprawdaz?

— I godne uwielbienia — wyrzekł, nie mogąc skryć drwiącego uśmiechu.

— Sam król sprowadza dla niego goździki aż z Holandji. Nawet mój ojciec, jak wiesz, nieskory do expensów, a przysłał mu z Góry jakieś osobliwości.

— Kiedy wuj przyjeżdża?

— Obiecał się w tych dniach, już wszystko nagotowane na jego przyjazd. Bardzo się kłopotce twoim losem — dodała przyjaźnie.

— Poszedłem za jego życzeniem i pragnę odrobić dawne głupstwa — przyznał się, opowiadając zarazem o swoich zamiarach powrotu pod chorągiew.

— A jakby się nie udało, to ci ojciec obmyśli jakąś funkcję zaszczytną — zapewniała, przejmując się gorąco jego sprawami.

— Gdzież aktualnie pani kasztelanowa? Jakże ze zdrowiem?

— Niedobrze, bo, jak zawsze, w plentach za swoim urojonym idolem! Doktorzy mniemają, jako to są zwykłe roxolany. Przyjeżdża z ojcem.

— Bacznosc, wali tutaj książęcy postillon d'amour — wrzasnęła panna Terenia.

Jakoż drzwi się otwarły i liberyjny wniósł na srebrnej tacy prześliczny bukiet, list i puzdreczko sadzone drogiemi kamieniami.

Szambelanowa porwała się gniewnie, cała w ponosach.

— Oddaj temu, który przyniósł! Precz! — krzyknęła bez namysłu, odwracając się do Sewera, który się cofnął dyskretnie pod okno.

Terenia rzuciła się do niej z jakąś gorącą instancją. Odsunęła ją niechętnie i tak groźnie spojrzała na lokaja, że wyniósł się pośpiesznie.

— Mam do ciebie prośbę — głos jej zabrzmiał bardzo serdecznie.

Był usposobiony tak radośnie, iż zgóry wszystko obiecał.

Szło o to, aby pojechał z niemi jutro na piknik, za miasto.

— Z przyjemnością, ale kto aranżuje, bo nie znam tutaj prawie nikogo.

— Młodzież, a głównie von Blum, wielbiciel Tereni.

— Iza... jeszcze pan Sewer pomyśli, że to prawda.

— I powiem Marcinowi — drażnił ją — niech was nie spuszcza z oczu.

— Marcin z nami nie będzie, musi jechać z królem do Poniemunia.

— Tem gorzej dla panny Tereni, gdyż ja go zastąpię w obserwacjach.

— A ja się waćpana nic a nic nie boję—śmiała, się, goniąc po salonie za pieskami. — Marcin tylko mnie uwierzy.

Lokaj zameldował hetmanową Ożarowską i hrabinę Camelli.

— Już mnie niemal Nie cierpię italiańskiego skrzeka! W nogi, pieskil!

I Sewer chciał wyjść, ale wstrzymała go szambelanowa.

— Pozostań chwilę, poznasz dwie piękne damy.

Nim zdążył wziąć postanowienie, weszły panie, a już od progu hrabina Camelli wołała zadyszana:

— Przywożę ci, szambelanowo, wspaniałe nowiny! — Oczy miała rozgorzałe, twarz zgorączkowaną i głos wibrujący od wzruszenia. — Marat zabity! Moguncja poddała się królowi pruskiemu! — rzucała z patosem i, zawiesiwszy głos, dodała po pauzie: — Rewolucja dostała śmiertelny cios.

Szambelanowa pokazała się, jakby niewiele ważąc te wiadomości.

— Moja droga hrabino—uprzedzała Ożarowska—nie wszyscy się tem tak przejmują.

— Ależ... to musi być ważne... istotnie niebardzo się na tem rozumiem. Mój brat cioteczny, Sewer Zaręba — przedstawiła go zakłopotana.

— Ale pana to musi obchodzić? — zwróciła się do niego hrabina.

Sklonił się na potwierdzenie i słuchał z niezmiernem zajęciem, ona zaś, rada ze słuchacza, rozpowiadała

coraz żywiej, nie szczędząc gestów, min i spojrzeń ognistych.

Szambelanowa z panią Ożarowską usunęły się nieco na stronę, zajęte lustracją swoich strojów i jakieś szeptami.

— Hrabia Morelli, mój kuzyn, szambelan królewski, dostał rano extrapocztę — objaśniła na wstępie hrabina. — Mamy przeto wieści z najpewniejszego źródła. Byłam już w kościele dziękować Bogu za te chwile radosne. Ale chociaż wiadomości autentyczne, ja zaledwie mogę uwierzyć, jako naprawdę ten podły morderca królów, ten nieprzyjaciel Boga i rodzaju ludzkiego, ten szatan wcielony, nie żyje. Zabiła go jakaś Charlotte Corday. Bóg ją najwidoczniej wybrał za narzędzie swojej sprawiedliwości. Muszę napisać do Paryża, żeby mi przysłano kopersztych tej nowej Dziewicy Orleańskiej! — wołała z emfazą, podnosząc w górę oczy. — I prawie w jednym czasie wypędzono z Moguncji francuskich rebelizantów. Król pruski triumfuje. Jakże się z tego muszą cieszyć ci biedni wygnani książęta! Nareszcie dobra sprawa bierze górę. Już podobno klubistom mogunckim wytrzepują kije pruskie maximy jakobińskie. Nie pojmuję tylko, dla jakich racji wypuszczono rewolucyjne wojska z miasta? Trzeba im było wyprowadzić chrzest republikański w Renie! — zaśmiała się mściwie i czarne jej oczy zamigotały niby sztylety. — Te szczęśliwe początki przygaszą ferwor i waszym exulantom w Dreźnie i klubistom w Warszawie.

— Ależ pani hrabina ma niezmierną eksperjencję spraw politycznych! — wykrzyknął z udaną atencją.

Powtarzam; czego mnie kuzyn nauczy — odpowiedziała skromnie, przerzucając się do drobiazgów życia grodzieńskiego i chwając nad miarę polską gościnność, oświecenie, piękność kobiet i galanckość mężczyzn; wyniosła przy tej okazji wielkoduszość króla, jego niezwykły umysł i szlachetność.

Nie negował jej w niczem, a tylko tu i owdzie przy zdarzonej sposobności wyznawał się być zasad uświęconych i wrogiem wszelkiego nowatorstwa.

Hrabina z coraz żywszą przyjemnością brała go na spytki, obrzucając przytem powłóczytymi spojrzeniami, gdyż kawaler wydał się jej cale układnym i urodziwym. Popielaty blondyn, o włosach przyciętych à la Titus i orlej twarzy, wysoki, w barach w miarę rozrosły, w stanie smukły, wyraz miał wyniosły, ruchy sprężyste, głos melodyjny i szafirowe oczy o długich czarnych rzęsach i brwiach, przecinających białe czoło groźnym łukiem.

Odpowiadał z wyszukaną, górną grzecznością, lecz patrzył hardo i przenikliwie. Przystrojony był przytem wedle najnowszego wzoru, we frak wiśniowy, wielce ogoniasty, z krótką talją i kołnierzem płasko wywiniętym; na szyi miał białą chustę w błękitne grochy, tak suto owiniętą, że sięgała do pól brody, kamizelę blado-błękitną, zahaftowaną złotemi pasami kwiatków, spodnie paljowe, obcisłe do kostek i pantofle bez sprzączek; laskę ze złotą gałką trzymał w ręku, dwie dewizki od zegarków dzwoniły przy każdym ruchu pękiem pieczętek, uwieszonych na cienkich łańcuszkach.

Pani Ożarowska, słuchająca już od pewnego czasu

jego wynurzeń, naraz odezwała się z pobłażliwym uśmiechem:

— Czy waszmość zawsze nosi barwy szambelanowej?

— Prawda, to szczególne — szepnęła hrabina, wodząc oczyma po obojgu.

— Tylko dziwny zbieg okoliczności!

Okrył się rumieńcem, jak panna.

Panie zaczęły się śmiać, bo istotnie szambelanowa miała suknię tej samej barwy, co i jego frak, tylko jakby pokropioną złotym rzucikiem i katankę błękitną w złote paski, obrzuconą koronkami.

— Szczególny zbieg okoliczności! — powtórzyła ironicznie Ożarowska.

Sewer, aby przerwać kłopotliwą sytuację, spytał o pannę Terenię.

— Właśnie mamczy szambelanowi. Spójrzycie, aspekt zgoła niezrównany — zaśmiewała się Iza, wskazując przez okno w ogród.

W cienistej alei, pobryzganej jaskrawemi płatkami słońca, stał szambelan z ustami szeroko otwartymi, a Terenia, wspinając się na palcach, wlewała mu łyczekką jakiś medykament.

Posypały się śmiechy i bardzo trywjalne uwagi dam, czem niemile dotknięty Zaręba jął się zabierać do wyjścia.

— Gdzież panu tak pilno? — szepnęła hrabina, przytrzymując mu dłoń.

— Na sejm. Muszę się stawić przed porą, żeby mnie wpuszczono.

— Nic tam ciekawego: wrzaski zelantów i nieco pruskiej wasserzupki.

— Hetman będzie znowu dzisiaj przemawiał za opatrzeniem wojska. Nie wiem tylko, czy rozprawy będą przy arbitrach?

— Boże, jak mnie już nudzą te sejmy, polityki, traktaty i te wszystkie kabały! — jęknęła ze szczerem obrzydzeniem szambelanowa. — Nuda poprostu śmiertelna!

— A czyż Grodno mało jeszcze szaleje? Wszak tutaj ciągle święto i balowanie — wystąpił dosyć porwycz, lecz dojrawszy w jej oczach niechęć, spochmurniał i ledwie się zdobył na podziękowanie Ożarowskiej, która go zaprosiła na swoje asamble i wkońcu łaskawie ostrzegła:

— Baw się waćpan, a kazania pozostaw tetrykom.

— I nie zapominaj o jutrzejszym pikniku — dodała szambelanowa.

Wyszedł na ulicę, pełen sprzecznych uczuć i myśli, jakie mu nasunęła wizyta i zasłyszane wiadomości, zwłaszcza upadek Moguncji, a króla pruskiego aktualny triumf przejmował go żałością i frasunkiem.

— A piękną panią wszystko nudzi — myślał niekiedy ze smutkiem i gniewem.

Dzień był upalny. Grodno pławiło się w słonecznej poźodze, w kłębach kurzawy i nieustającego zgiełku, bowiem w ulicach panował ruch znaczny; zwłaszcza na Główniej, wiodącej z Horodnicy ku Niemnowi, na Zamkowej, w Rynku i ku Bernardynom aż wrzało od gęstwy ludzkiej, powozów i koni.

Pod przysadzistemi domostwami, na wąskich kładkach i kamieniach, tu i owdzie porzucanych w porę deszczów, ciągnęły mnogie, różnobarwne roje, cisnące się trwożnie do ścian i parkanów, gdyż co chwila waliły ulicami jakieś ogniste czwórki, cwałowali konni, maszerowały zbrojne ronty, wlokły się kopiaste wozy furazów lub szły truchcikiem kozackie szpice.

A w miarę zbliżania się czwartej godziny, na którą było wyznaczone posiedzenie sejmowe, ruch i zgiełk jeszcze się potęgował; już się pokazywały czerwono-niebieskie karoce, zaprzężone w angielskie dryblasy, pokryte uprzężą nabijaną srebrem i z czerwonymi żokiejami na kozłach; niekiedy, ku ogólnemu podziwowi, zakolebała się na pasach jakaś arka starożytna, wyszklona i złocista, niby feretron, w szóstkę izabelowatych smoków, z liberją w perukach, uwieszoną ztyłu i z konnym laufrem na przodzie. To przelatywały jak wicher dwukolne karjolki, we czwórkę na szpic, przybraną rzęsiście w trzęsidlą miedziane, pióra i siatki, powożone przez oficerów, którzy, stojąc niby w rydwach, poganiali z furją, aż koniom grały wątroby i wszystko przed niemi uciekało.

Niekiedy pędził jakiś znaczny generał w eskorcie dragonów, trąających wszystko po drodze. Śmigwały zielone, pakowne ekstrapocztzy, czyniące sobie rum chrapliwemi głosami trąbek. Przeciagały też kawalkady dość tłumne dam i kawalerów z chmarą zielonych strzelców na bokach i czerwonych mastalerzów. Czasem zaturkotała po wyboistym bruku żółta proboszczowa bryka z dobrodziejem w białym kitlu i słomianym ka-

peluszu, lub człapały ciągi chłopskich mierzynków przy drabkach i wasągach, powstrzymywane na każdym kroku, spychane na boki, wylekłe i często gęsto kropione batami, jeśli nie nazbyt spieszenie ustępowały z drogi.

Niemniejszy był i ruch pieszy. Stronami ulic przepływały wartkie, hałaśliwe potoki przeróżnych kontuszów, rogatywek, fraków, kurt wojskowych, kitlów płóciennych i modnych, śpiczastych kapeluszków, nie brakowało i obszarpanych świtek, ni mnisich głów golonych, ni liberyjnych barw, ni cudzoziemskich strojów ciągnących oczy, ani też lśniących, czarnych jupic i lisich czap żydowskich.

Gęsto się też w tłumach fertały czółkowe jejmoście, rzęsiste, przysadkowate mieszcзки, jakieś asińdzki w kornetach, jakieś wyliokowane wolentariuszki, zamiatające oczyma, zaś przystrojone świątecznie żydówki zalegały bramy i progi domostw; nie dojrzał tylko pomiędzy tem pospółstwem znaczniejszych dam, które pokazywały się na mieście jeno w pojazdach i przy asyście.

Nie obyło się też i bez dziadów, bo co róg ulicy, co jakaś figura, to wyciągały się skomlące wołania lub rzępoliły ślepce, wtórując sobie prośzalnemi pieśniami. Że jakoby ogromny jarmark zalał całe miasto, taki był wszędzie zgiełk, ścisk i nieprzeliczone ciżby.

Grodno było bowiem niewielkie i zaledwie liczące cztery tysiące osiadłych mieszkańców, ale z racji zjazdów sejmowych zostało poprostu zapchane. Nie było już domu, ni stodoły, ni najlichszego budynku, gdzieby nie kwaterowali ludzie. Doszło do tego, że po sadach klecono na prędcie szałaszy z gałęzi i desek dla pomie-

szczenia koni, powozów i służby, a gdzie się również gnieździli różni chudeusze i profesjanci. Zaś w ulicach nieco szerszych i placach, jak pod Jezuitami, w Rynku i na Zamkowej, powstało drugie miasto, złożone z przeróżnych jatek, bud, kramów przenośnych i namiotów, w których kupczyli handlarze wszelakich nacyj: opasłe Niemce, moskiewscy brodacze, smagli Ormianie, rudzi Angielczykowie, Persy w barwistych chałatach i skośnoocy Tatarzy z Kazania, nie biorąc już pod cyfrę żydowskich rojów ani swojaków, pościąganych z Wilna, Lublina i Warszawy. Nie dopuszczono tylko Francuzów, podejrzanych o emisariuszostwo jakobińskich pism i zasad, jak się wyznała generalność, z poduszczenia Sieversa, w odmownym response.

Pozwolono jedynie zjechać na porę sejmu słynnej Le Doux z Warszawy, ze swojemi modami a głośnym z urody fraucymerem pomocnic. Przed jej kwaterą, w ulicy pod Farą, całe dni wystawały pojazdy dam co najznacniejszych, a pod oknami aż się roilo od kawalerów, zapuszczających zórawia do ślicznych Francuzek. A że i w sąsiednich domach, prawie w każdym oknie, widniały fertyczne kapeluszniczki, haftarki, zameszniczki i modniarki, więc i przed niemi młodzież, zwłaszcza wojskowa, wciąż odprawowała stójki a promenady. Nie obywało się przeto bez awantur, które często opierały się aż o Sieversa, gdyż oficjerków przetrzepywano expedite i przy lada okazji.

Dalej znów olbrzymie złote grona oznaczały winiarzy, buty dzierżone w niedźwiedzich łapach—szewców, koła—stelmachów, pęki złotej przędzy—pasamo-

ników, misternie wyplecione z końskiego włosia war-kocze—fryzjerów, srogie z blachy szablice—płatnerzów i rusznikarzy; gdzie znów łyskały w słońcu cyrulickie talerze i srebrne nożyce krawietów, gdzie rozkładały się za szybami lub na opuszczonych klapach modne cuda, płacone na wagę złota. Były nawet księgarnie: Jachowicza i Bielskiego, a w bramie pałacu Radziwiłłowskiego — starego Borucha. U Bielskiego, w domu Lubeckich, prócz ksiąg cnotliwych, broszur i mów sejmowych, sprzedawano angielskie kopiersztychy, zesłego króla francuskiego konterfekt, saską porcelanę, nasiona koniczyzny holenderskiej, a także maść na urodę, oraz niezawodne leki na bolenie zębów.

Było wszystkiego i na każdym kroku tyle, że Zaręba, zbywszy się w tym rozgardjaszu swoich dumań, z podziwieniem patrzył na to morze ludzi, powozów i koni, przewalające się z hukiem w ciasnych, krętych uliczkach, wśród nędznych domostw miasta, nad którem tylko tu i owdzie wynosiły się pałace, grupy drzew odwiecznych i białały strzeliste mury i wieże kościołów.

Oszałamiał go ten ruch i nieustający gwar, że szedł już coraz wolniej i na rogu Zamkowej przystanął, bowiem pod kaffenhauzem strażowała kupa frantów w modnych, różnobarwnych frakach, w śpiczastych kapeluszach, z brodami pochowanemi jakby w białe chomąta chustek i z laskami w rękach. Na czele stał Woyna, rzucając raz po raz jakieś słówka, od których wybuchały głośne szmermele śmiechów. Młodzież zabawiała się lustracją promenujących podjazdami, nie szcędząc przytem nikomu przycinków, jadowitych kon-

ceptów, ni nawet braw rześzystych. Gadali jeden przez drugiego, a co komu tylko ślina przyniosła.

— Prezentuj broń! Podkomorzyna! — komendował Woyna. — Patrzenie, jak obmiata ślepiami Korsaka! Za mały i nóżki mu się już płaczą.

— Starożytna Reszkówna! Codzień komunja i raz w rok kąpielka!

— Wołłowiczówna! W straży czterech hajduków i ciotka kanoniczka, chociaż nikt na tę podziobaną cnotkę nie nastaje.

— Korsaczek, schowaj się w krzaczek, bo twój dyrektor cię szuka.

— Ekscypuję sobie — zamruczał groźnie nikły młodzieńczyk w kawowym fraczku.

— Chapeaux bas, mości panowie! zbliża się majestat z wąsami, stuletnia wypróbowana cnota i miljon złotych rocznej prowenty, Ogińska!

— Uwielbiam majestat i przysięgam respektować jej cnotę, byle mi dała tę resztę.

Z powodu tłoku na skrawku ulic, powozy szły stępa, więc młodzież już nieco ciszej, ale tem zuchwalej podrywała.

— Skirmontówna reguły ma pono śliczne, ale zęby jakby ze starej klawiatury.

— Cycjanow z jakimś rudzielcem promenuje!

— Zaczarowana księżniczka. Widziałem ją na hecy, chodzącą po linie. Prześliczna, lecz imaginujecie sobie, jak te jej białości zrysuje książęca nahajka! Przecież tę biedną Józję ledwie Viryon wykurował!

— Powiem wam tej księżniczki księgę rodzaju: kniaź wygrał ją dzisiaj w nocy w stu dukatach od Ankwicza; Ankwicz wczoraj od Diwowa; Diwow onegdaj...

— Nie kończ, Woyna, bo się wkońcu pokaże, jako księżniczka ma imię Rojza i można ją kupować po dukacie u Fajgi w Rynku.

— Salwujcie się, płotki: Szczuki, Żabowie i Karpie przepływają.

— Coś gęsto tego narybku. Ha! ha! a za niemi brzęczą Komary!

— Respekt, waszmościowie: cześnikówny Raczkowskie, cud w cztery osoby! Brawo!

I jakby na teatrum zaklaskali rżęsiście, pochylając głowy przed czwórką ślicznych panien, jadących z siwą dostojną matroną.

— Kossakowskie nochale i brodawki! — woła Korsak, lecz reszta jakby oniemiała wobec głośniego nazwiska, zaś ktoś prędko powiedział:

— Coś nie widać naszych bogiń ani matadorów.

— Na ambadorskim obiedzie służą za wety dla nuncjusza i biskupów.

— Jełowicka! Ma pozór relikwiarza, unoszonego żywcem do nieba.

— Aż trzy rozwódki z tym kulasem Karwowskim Nec Hercules contra plures.

— Moszkowska i Zielińska! Nie znam tylko tej trzeciej, pulchnej blondyny.

— To właśnie najprzedniejszy kanar, zmieniony już trzech mężów, z kopę kochanków, a dziwnym trafem

fem dzieci ma podobne do pocztmistrzów na Warszawskim trakcie.

— Lubi wojaże z trębaczami. Ja znam i taką okoliczność, że chłopak nie tylko był podobny do kapelana, lecz urodził się już z franciszkańską tonsurą i w habicie.

— Nowakowska w tak czulej dyspozycji serca, jakby z nowym ami.

— Ona ma stałych, przemienia tylko porę i godziny, bo dla mężowskiej polityki musi ich mieć ze wszystkich fakcyj, z dodatkiem oficerów ościennych potencyj.

— Patrzcie, Wańkowicz w komitywie ze starościna. To coś nowego!

— Mogłaż pozostać nieczułą, kiedy on wczoraj wygrał parę tysięcy?

Przycichli, bo od Mostowej buchnęły przejmujące świsty fajfrów i grzmot tarabanów; tłum się nagle zakotłował i parł pod ściany i w sienie, powozy zjeżdżały na boki, gdyż środkiem ulicy waliły jegry, niby zielony mur, najeżony błyszczącymi bagnietami, rypały mocno, twardo i aż ziemia dudniała pod nogami, zaś na przedzie ogromny drab, pstro przybrany, wywijał pozłocistą lachą z lalką na końcu, obwieszoną wstęgami a dzwoneczkami, podrzucał ją wgórę i łapał, aż huknął jakąś hulaszczą piosenką i puścił się wściekłego trepaka; zawtórowały mu przeraźliwe świsty, wycia, piski, tarabany i piszczałki, a kilku gemejnow runęło za nim w prysindy, nie przerywając pochodu. Podniósł się dziki wrzask śpiewających głosów, jakby

świsty siekących różeg, jęki a zarazem i chichoty baraszkowań i bujnej, niepowstrzymanej ochoty.

— Idą na Zamek zaciągać kordony! — pierwszy Woyna przerwał milczenie.

Nikt się jednak nie kwapił z rozmową; młodzież stała zwarzona, spozierając dziwnie mętnie na przechodzące wojsko, jakby wraz z kurzawą, jaka się podnosiła za nimi, rozpościerał się w duszach posępny obłok zgryzot przytających.

— Powiem wam coś wielce uciesznego — zaczął znów Woyna — o szlachcicu, który się zwał Guzik, pochował dwie żony, a sobie taki wykoncypował nagrobek:

„Co dzisiaj mnie — jutro będzie z wami.

Tu leży Guzik, między pętelkami“.

Lecz nie zdoławszy nikogo rozśmieszyć, przystąpił do Zaręby, którego był właśnie dojrzał w tłumie, i razem poszli ku Zamkowi.

— Zostawiłem twojemu famulusowi okragłe tysiąc dukatów; tyle wypadło na ciebie z wygranej. Ale pożyczkę zatrzymałem na dalszą grę, zgoda?

— Kiedy cię nie zdradziła fortuna, próbujmy szczęścia dalej — odparł, uradowany z wygranej i opowiedział wiadomości, zasłyszane od hrabiny Camelli.

— Jej można zawierzyć — zaszeptał Woyna — ona zna każdą tajną pocztę królewską: może ją wie od Sieversa, gdyż dziad w niej srodze rozmiłowany, a może i od Buchholtza, z którym także jest w konfidencji. To ptaszek! Nie kręci się ona tutaj bez kozery i tylko dla czarowania swoim zwodniczym szczebiotem...

— Z tego konkluzja, że dama rączki macza w politycznych kabałach. Teraz pojmuje, skąd wie o wszystkim, co się u nas dzieje i dlaczego się tak ucieszyła ze śmierci Marata i upadku Moguncji! Ale jakiej stro nie ona służy?

— Są poszlaki, że nasłał ją Zubow do szpiegowania Sieversa, ja zaś mniemam, iż naprawdę służy tylko za angielskie złoto. Pitt płaci koalicję przeciwko Francji, ale nie spuszcza z oka lubyh socjuszów! Cudna gra?

— Wiem jedno, upadek Moguncji to nasza klęska, bo triumfujący król pruski obróci się teraz cały przeciwko nam. A śmierć Marata cios to dla ludzkości.

— Mniemam, że ulga: obmierzły to był chleptacz krwi ludzkiej i demagog.

— Ale też był jedynym w rewolucji, który śmiał!

— Ożenić Ludwiczka z Mamsel Guillotin. Cóż, kiedy małżeństwo bezpłodne.

— To się wkrótce pokaże! — wyrzekł Zaręba z tajemniczym uśmiechem, czem dotknięty Woyna wziął go pod ramię i zaszeptał rozdrażnionym głosem:

— Więc i wy śmiejcie! Mnie już nudzą wasze pierścienie, trójkąty, katechizmy i słowa, otwierające spiskowe Sezamy. Byłaby pora uderzyć działaniem.

— Stanie się i to. A każde wielkie zamierzenie musi przywdziać maskę i mieć swój rytuał dla wtajemniczonych. Należysz do nas? — spytał już otwarcie.

— Należę tylko do siebie — odparł wyniośle.

Zmieszał się Zaręba, żałując słów, poprzednio wymówionych.

— Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie mówi — dodał Woyna po chwili ze śmiechem. — Komu ochota łba nadstawiać, nie przeszkadzam, ja wolę faraona i butelki. Bachusowym wolentariuszem uczyniła mnie natura i temu się nie sprzeciwię.

— Wiesz o naszych znakach i nie należysz do koła! — trwożył się Zaręba.

— Wiem i daję ci parol honoru, iż przed pierwszym tobą wyznałem...

Weszli na plac Zamkowy, zapchany już powozami, służbą i żołnierstwem; na środku, pod kępą drzew olbrzymich, stały armaty, pokryte zielonemi płachtami, z pod których wysuwały się spiżowe paszcze, przyręchtowane na Zamek. Żołnierze, w zielonych, opiętych kurtach i lśniących, czarnych szkopakach, z karabinami przy nodze, zamykali kordonami wyloty ulic, nie dopuszczając na plac pospólstwa, reszta biwakowała przy jaszczkach i furgonach za armatami, lub wartowała przy moście i nad zamkowemi fosami.

— Aljanckie konkluzje dla zelantów — rzucił Zaręba, wskazując armaty.

— Tylko dla dobra Rzeczypospolitej i sejmujących Stanów spokojności — drwił Woyna, kłaniając się co chwila dygnitarzom i posłom, jadącym na sejm.

Zamek wznosił się na wysokim brzegu Niemnowym, spiętrzony jeszcze wieżyczkami, mansardowemi dachami, kopułą kaplicy i posągami nad głównym frontem; od strony miasta obiegała go przepaścista fosa wybrzeżona rzędem smukłych topoli, przez którą był przerzucony murowany, szeroki most z balustradami,

zdobnemi w marmurowe wazy i amory. Kamienna, wyniosła brama, zakończona alegorycznemi grupami z barwionej porcelany i o zaworach misternie kutych w żelazie i herbach suto złożonych, prowadziła na wielki dziedziniec, obstawiony gmachami przeróżnej struktury, a świeżo na porę sejmu odnowionemi.

Wielka amarantowa chorągiew z Orłem i Pogonią łomotała nad bramą, jako znak królewskiej obecności i sejmowania Najjaśniejszych Stanów.

Król Jegomość kwaterował bowiem na Zamku z rodziną, nielicznym dworem i kancelarjami. Tylko przyboczne oddziały gwardji koronnej i litewskiej wraz z „wiwatową artylerją“, jak ją przezywali kpiarze, mieścili się w ruderach, położonych na strzał pistoletowy od zamku.

Na zamku również były obie izby sejmowe.

Wszystko zaś obsadzały gęste kordony jegrów pod wodzą co najprzedniejszych oficerów, czyniących takie awantaże, że, ilekroć zajeżdżał pod most jakowyś dygnitarz, zrywał się ostry głos komendy, grzmiały tarabany i prezentowano broń.

— Nie szczędzą im parady! — szepnął Zaręba po szumnem przyjęciu Ożarowskiego.

— Oni trzema sposoby niewolą: złotem, zdradą i głaskaniem — a każdy skuteczny.

— Czyżby i Nowakowski posłował? — zdziwił się na widok dawnego towarzysza, wysiadającego przed mostem, w nowym kontuszu wojewódzkim.

— Igelström go naznaczył, a wybrały dukaty — objaśniał sarkastycznie Woyna. — Persona to można,

żarliwy pacyfikator i jedyny do wszelakich kompromisów, przeto imieniem sejmu w ciągłych delegacjach do Buchholtza i Sieversa. I tak zaciekle w posługach ojczyźnie, że już zgola nie zważa — w rublach mu płacą lenungi czy też talerami.

— Znam go już z famy i wiem, co trzymać o jego pocziwości.

Przeszli most i, minawszy bramę, przystanęli pod sejmowym kruzgankiem, u wywartych podwoi do wielkiej sieni, pełnej już gwarów i ludzi. Przy drzwiach, wiodących do izby sejmowej i różnych bokówek, gdzie mieściły się kancelarje, trzymała dzisiaj straż gwardja koronna, lecz z karabinami bez bagnetów i pustymi lederwerkami.

— Idzie Łomżyński Katon, krzywousty Skarzyński. Zapoznam was ze sobą, niech ci pocyceronuje, bo ja nie mam smaku na oratorskie koszałki-opałki.

Skarzyński, mąż znany z eksperjencji w materjach państwowych, wielkiej wymowy i żarliwego patriotyzmu, przywitał się z Woyną kordjalnie, a Zarebie powiedział o dawnej znajomości z jego ojcem, ale nim miał czas rozgadać się obszerniej, ogarnęło go paru nadchodzących posłów, pociągając w róg sieni, gdzie był zastawiony stół z zimnemi daniami, ponieważ często posiedzenia przeciągały się do późnej nocy.

Niezrażony tem Zareba poszedł za nim, przystając nieco na stronie.

— Kogóż tak admirujesz? — ozwał się Nowakowski, niespodziewanie stając przy nim.

Wskazał oczyma zebranych dokoła Skarzyńskiego.

— Godna kompanja — skrzywił się wzgardliwie, odwodząc go pod okno. — Mazurskie hetki pętelki. Nawet nie imaginujesz, kogo widzisz: toć są owi żarliwi zelanci, o których smutna fama rozgłasza się już po Rzeczypospolitej.

— Pierwszy raz w życiu ich widzę — odparł bardzo żywo.

— To wiedźże, jako ten łysy pijaczyna z miną wygłodniałego kauzyperdy, to Krasnodębski-Liwski; obok niego przyczaja się najwścieklejszy szczekacz sejmowy, Mikorski-Wyszogrodzki; przy nim dmie się zaściankowy Cyceron, Szydłowski-Ciechanowski; zaś to paniątko w wyszarzanej kontusinie i konopnych rapciach przy karabeli, to Ciemniewski-Różański, zaciekle Jakobin, który w Izbie ośmielił się uragać samemu Majestatowi; zaś ten pod ścianą, wysoki, szpakowaty, odęty pychą — Skarzyński-Łomżyński, przezwany krzywoustym i jakby już napiętnowany przez samą naturę za oszczerce sądy i wyniosłość; ostatni, wysoki, czarny, z twarzą ostrą, jak brzeszczot i haczykowatym nosem — Kimbar-Upicki, godny Sicińskiego przekłętej pamięci następcą — wyliczał z taką nienawiścią, że już chwilami brakowało mu oddechu i ceglasty rumieniec pstrzył mu piegowate jagody. — Kompanja jeszcze nie w pełnym komplecie, ale summa-summarum warchoły to obmierzłe, sejmikowi szczekacze, zakute łby i fakcioniści. Muszę cię też oświecić, jako wszyscy zostali wybrani na sejm za moskiewskie pieniądze — zaszeptał ciszej jeszcze i zjadliwiej — a prócz tego, niejednego z nich Igelström mu-

siał ekwipować i dawać strawne na drogę do Grodna. Zato wszystkich, którzy nie dzielą ich zasad, mają i głoszą zdrajcami. Pospólstwo ich estymuje, bo się wystawiają Katonami, biorą pozór Korjolanów, ale gdyby nie nasze zabiegi, jużby za przyczyną tych krzykaczów dawno sejm rozpędzono na cztery wiatry. Na szczęście, są jeszcze prawdziwi patryjoci — rozgadywał się, nie omieszkując przytem wystawiać swoich wielkich zasług w służbie powszechności.

Zaręba nierad był wielce z tej publicznej konfidenccji, zwłaszcza, iż Skarzyński rzucał na niego podejrzliwe spojrzenia, lecz Igelströmmowy socjusz, wyczerpawszy materję de publicis, rzucał się z ferworem na intymności z życia znaczniejszych person sejmowych, wywłócząc je na jaśnię ze szczególną przyjemnością.

— Ciekawe to sprawy, ale ja się w tem nie lubuję — przerwał mu zniecierpliwiony.

Nowakowski uśmiechnął się pobłaźliwie i szepnął znacząco:

— Ale kto je ma w garści, ten w potrzebie może komu nacisnąć taką wstydliwie utajoną bolączkę i powiedzieć, jakby na powrózku.

— Pewnie, że takie arcana znaczą wiele w różnych kabałach.

Spojrzał na z garek.

— Czekamy na biskupów, pojechali na obiad do Sieversa — uprzedził.

— Niepilno im na posiedzenie. Chciałbym się przysłuchać deliberacjom.

— Poprowadzę cię na galerję. Myślę, jako dzisiaj marszałek nie wygna arbitrów.

Powiódł go wąskimi schodami i przez kręte korytarze, rozjaśnione gdzie niegdzie rurkową łojówką, zatknietą w kandelabr, przybył do ściany.

— Suplikę już ci wykoncypowałem, tylko ją podpisać i złożyć w kancelarji. Cóż, nie rozważałeś mojej rady? — rzucił odniechcenia.

— Spróbuję pierwiej szczęścia u króla — odparł wymijająco.

— Jak chcesz. Wczoraj znowu dwóch kadetów, z dawnych freikurów, dostało od Cycjanowa kapitańskie szlufy i sute opatrzenie. Gdybyś zwrócił się do niego, prośba miałaby jak najlepszy skutek.

— To mnie z nim zapoznaj — zawołał pod wpływem jakiejś nowej myśli.

— Z miłą chęcią. Nawet się doskonale składa, bo ma być dzisiaj u mnie, więc po posiedzeniu zabiorę cię do siebie na wieczrę. Nie imaginujesz nawet, jaki to człowiek światły i nam przychylny, a przytem prawa ręka Sieversa...

— Tem szczerzej przyjdzie mi go admirować — odparł, ściskając mu dłoń, ale po jego wyjściu odechnął z prawdziwą ulgą i jał się rozglądać po sejmie.

Izba sejmowa była bardzo wysoka, długa i o białych ścianach, pociętych wysokimi oknami, a przeto dająca pozór jakby nawy kościelnej, tylko z wielką modestją urządzonej; podnosił jeszcze to podobieństwo beczkowaty sufit, pomalowany w błękitnawe rozety, od którego zwieszały się na pozłocistych łańcuchach cztery

mośięzne pajaki, na pięćdziesiąt świec woskowych każdy, i portrety królów w strojach koronacyjnych, wiszące pomiędzy oknami.

Dębowa galerja, wsparta na słupach pożyczowanych na pstry marmur, obiegała izbę z trzech stron, zaś w ścianie szczytowej, w półkolistym wgłębieniu, misternie wyrobionem w kształt muszli, o złotem malowanych dzwonach i ornamentach, było wzniesienie, wykryte czerwonym suknem, gdzie stało wysokie, pozłociste krzesło królewskie.

Naprzeciw, w drugim końcu izby, a również na podwyższeniu, tylko nieco niższem i pokrytem zielono, był stół marszałka sejmowego, sekretarzy i miejsca skryptorów, spisujących przemówienia. Zaś z boków izby i przez całą jej długość ciągnęły się ławy poselskie, obciążone zieloną tryką i z pulpitemi na sekretarzy i kałamarze, w pośrodku leżało szerokie, wolne przejście, a pod ścianami, w cieniu galerji, szły ciasne przesmyki do drzwi wyjściowych, przy których czuwała służba sejmowa.

W muszli za pozłocistym krzesłem, tańczyli się drzwi, przysłonięte czerwoną materją, a nad nimi białe owalne okienko, którem pono dość często przysłuchiwał się deliberacjom Sievers, ukryty za kartunową firanką.

Galerje były już docna zatłoczone i Zareba z niemąłym podziwem przyglądał się publice, nigdy bowiem nie widział takiej w miejscach obrad, ni na żadnych asambalach. Było to zbiegowisko przeróżnego pospólstwa, jakie się tylko spotykało na hecach, w ko-

ściele lub na kontraktach; a pomiędzy nimi przewijały się jakieś lisie, przyczajone głowy, silnie strzygące uszami, jakieś połatane habity i ascetyczne twarze, jacyś wynędzniali ludzie w wytartych kurtach wojskowych i jakieś draby o twarzach zbójów. Nie brakowało też dam, chrupiących cukry, ni moskiewskich oficerów w przebraniach, ni różnobarwnej liberji, czyniącej głośnie uwagi o swoich panach i ludzi wszelakiej kondycji.

Przeto gwar panował już niemały; kilkudziesięciu posłów rozmawiało w ławach i przejściu, inni przy stole marszałkowskim czytali półgłosem diariusz ostatniego posiedzenia i raptularze bieżących materij, a wciąż jeszcze nadchodzili nowi, witani przez galerję szmerem uznania, czasem złośliwym chichotem, a niekiedy takim dosadnem przezwiskiem, że buchał ogólny śmiech i tupania. Wtedy z jakiegoś kąta huczał basowy głos:

— Mości panowie, uciszyć się! Mości panowie!

To wołał gruby Roch, starszy nad służbą sejmową i tłukł lachą w podłogę, ale nie przyciszył zuchwałej gawiedzi, a tylko na siebie ściągnął wyzwiska i kpiny.

— Rrochu! Rrochu! Rrochu, żrej dużo, a kadź po rrochu! — zagruchali ku powszechnej ucieście jacyś żartownisie, naśladując synogarlice.

Ale co najszczerzej zdumiało Zarebę, to widok podkomorzyny Grabowskiej.

Siedziała w środkowej galerji, nad stołem marszałkowskim, cała w czerni, z wachlarzem w rękę i murzynkiem przy boku, który ją nieustannie wachlował, gdyż w izbie było gorąco.

Dojrzała go również, natarczywie przyzywając do siebie.

Wyraził głębokie zdumienie z tego spotkania, na co chełpliwie rzekła:

— Nie opuściłam ani jednego posiedzenia. Spytaj się drabantów, ile razy mnie stąd wypędzali. Marszałek, ni ci sejmowi matacze nie lubią, żeby im patrzeć w karty i za łada przyczyną gonią arbitrów. Siadaj waść bliżej, bym się mogła wesprzeć w potrzebie. Nie jednam tutaj na rezydencji: na prawo siedzi cudna Julia Potocka z synaczkami, a obok niej ta starożytna kwocha Ogińska. Jest również i pani kasztelanowa Platerowa z tą omszałą Badeniówną od Brygidek. Często też wysiaduje marszałkowa Cieńska ze swoim ślicznym fraucymerem. Żarliwie to patriotki! — Ściszyła nagle głos i, przysłaniając twarz wachlarzem, zaszeptła mu do ucha: — Spostponowałeś mnie na balu, ale już ci tego nie pamiętam, nie rób tylko waszmość cnotliwego Józefa, bom nie Putyfara — roześmiała się cicho.

— Zaprawdę musiałbym nie mieć oczu — odpałił z miejsca, ogarniając ją napastliwemi oczyma, bo mu zaimponowała rezolucją i urodą.

— Ja nadewszystko przekładam żołnierzy — szepnęła miódym głosem. — Woyna, chociaż ma język kąśliwy, ale zdał mi pocziwie relację o waszmości.

— Woyna lubi wszystko troić dla żartów lub gwoli własnej uciechy.

— Modestja zawsze przystoi grzecznemu kawalerowi. Co się tak waćpan rozglądasz?

— Zdała się widzieć znajoma twarz w ciżbie i gdzieś mi się zapodziała.

— Czy nie Zakrzewskiego, porucznika, bo właśnie spojiera ku nam?

— Zna go pani podkomorzyna?

— Nawet są między nami dalekie koneksje, z których mu wypadam jakąś ciotką i z tej racji trzymam nad nim opiekę. Ale hultai mi się wisus i nie słucha.

— Zato przed narzeczoną musi znać mores.

Poruszyła się gwałtownie i, skrywając spłonioną twarz wachlarzem, rzekła:

— Wyznawał mi się z tem, ale nie pamiętam — głos miała zdławiony.

— Königówna, ojciec pułkownikuje królewskim ułanom w Kozienicach.

— Ach, to ta smarkata z różowym pyszczkiem! — zapanowała wreszcie nad sobą i ciągnęła drwiąco: — Marcin chyba weźmie za nią na wiano ułański bęben i starą terlicę. Wybór nieszczególny.

— Nie znam jego sentymentów, ale, nie obwijając w bawelnę, myślę, jako z tego małżeństwa będą nici — mówił, nie dając baczenia na jej wzburzenie.

Milczała, pogrążona w jakimś ciężkiem pasowaniu się ze sobą.

— Horrendalne publicum — szepnęła, podnosząc rozszrozone oczy na Zakrzewskiego, który był się wychynął z ciżby i nagle dał w niej nurka.

— I plebs zaczyna się już animować ojczystemi sprawami — ostrożnie zauważył.

— Że tylko gdzieś, niby migdał w pierniku, widny w tem pospółstwie jakiś urodzony. Naturalnie, socjeta przykrzy sobie sejmowe deliberacje, przekłada ambadorskie obrady i asamble z gamratkami. Co im znaczy ojczyzna! — Gorycz brzmiała w jej głosie i pełne usta drgały tłumionem cierpieniem.

Patrzył i nie pojmował tej gwałtownej przemiany, rozumiejąc ją uczynioną dla jakowegoś pozoru. Nie brał więc tego zbyt głęboko.

Przypudrowała spoconą twarz i, orzeźwiwszy się wonnościami, wbiła w niego pałacę, dziwnie lube oczy i zaszeptała z naciskiem:

— Waszmość tu bawi imieniem skonfederowanych pułków?

Wytrzymał spojrzenie, pokazując tylko twarz zdumioną nad miarę.

— Niech się chłopuś nie trwoży, sekretu nie wydieram — wsparła się na nim pieszczotliwie. — Jasiński już mi coś napomyskał, więc jeśli zajdzie okoliczność, gotowam się i ja ważyć na wszystko. Ale po waćpanową komendą — dodała czulej.

— Na Boga, tutaj pełno długich uszów, może indziej — błagał wystraszony.

— To nie czekajże waszmość ceremonijalnej inwencji a przychodź do mnie, kiedy tylko zapragniesz. Zawsze będę ci rada.

Jakiś zegar zaczął wybijać piątą i na ławach po wstały nagle rumory.

— Król idzie! uciszyć się, mości panowie, Król! — zagrzmiął huczący bas Rocha.

Stała się wyczekująca cisza i wszystkie oczy zawisły na czerwonych zasłonach.

Jakoż drzwi otwarły się szeroko, gwardjacy stanęli po bokach z karabinami u nogi. Król ukazał się w progu, a za nim następowało dwóch kadetów w paradnych strojach, strusich pióropuszech i z obnażonemi szpadami.

Król szedł wolno, powłócząc ociężałemi oczyma po chylących się kornie przed Majestatem; głowę miał całą w siwych, utrefionych puklach, twarz białą, jakby nieco obrzękłą, nos wielce foremny, wargi uczerwione i postać dorodną.

Był przybrany w codzienny mundur granatowy z czerwonymi obszlegami, białe pantalfony, pończochy i trzewiki ze złotemi sprzączkami. Koronkowe żaboty burzyły mu się na piersiach, jakby pianą, połyskującą diamentowemi spięciami, a przez białą kamizelę szła skośnie czerwona, orderowa wstęga; lewą rękę wspierał na złotej rękojeści szpady, a w prawej trzymał rękawiczki.

Miał chód jakby lękliwy i niepewny, spojrzenia badające, a w każdym poruszeniu czułą dbałość o swoją prezencję i majestat.

Zasiadł swobodnie na wyzłocnem krześle. Kadeci, pochowawszy szpady, przystanęli zboku, sekretarz przyniósł czerwoną tekę, od której kluczyk król nosił przy dewizce, a lokaj położył przy nim na stoliku chustkę i tabakierkę.

Pierwsi przystąpili biskupi, jeszcze czerwoni po niedawnych libacjach u Sieversa, z jakimiś relacjami,

przyczem Massalski tak się krztusił od śmiechu, aż mu drygała sutanna na tłustych bokach, zaś Kossakowski uśmiechał się kwaskowato, wodząc znudzonym wzrokiem po izbie.

Wielki kanclerz oraz marszałkowie, koronny, litewski i sejmowy, stanęli nieco na stronie, wyczekując swojej kolei.

Posłowie wzięli swoje miejsca, ściszone zaś galerje jakby skamieniały, że nad balustradami czerniały nieruchome, spiętrzone groble głów i oczów, trwożnie wpatrzonych w senatorów i króla.

Zaręba miał go naprzeciw i orlemi oczyma wpijał się w niego, jakby usiłując zedrzeć tę dobroduszną i mamiącą maskę oblicza i zajrzeć do wnętrza duszy, lecz widział tylko jego zwiędły uśmiech, jakby zrodzony z oschłej próżni serca, mętne, wyuczone spojrzenia i sztucznie przybrany pozór dostojności.

— Trup człowieczy, pomalowany na króla! — myślał, rozdrażniony jego widokiem. — Żywa kukła! Rycerz, rozumiejący tylko kapitulację! Hetman narodu, jurgieltowany przez jego śmiertelnych wrogów! Król gamratek! — szeptał w nim coraz potężniejszy głos strasznego wstydu i żalów bezbrzeżnych. — Koroną ci zapłacili za pozwolenie pierwszego rozbioru, a czemu ci teraz zapłacą, rakarzu, czemu? — wołał do niego ranami swej duszy i wraz stanęły mu w pamięci wszystkie nieszczęścia i krzywdy narodu, wszystka hańba i poniżenie, jakby te poćwiertowane części Rzeczypospolitej, spływające żywą krwią, przemówiły w nim teraz wielkim głosem, który mu przeszywał serce

mieczami rozdzierających skarg, że porwał go straszliwy gniew i, nie mogąc już znieść okropnej zgryzoty, zagadał gorączkowo do podkomorzyny:

— Widziałem, jak królewska głowa leciała z pod noża gilotyny, a kat ją pochwycił za włosy i pokazywał ludowi.

Był prawie siny ze wzburzenia.

— Co waćpanu się stało? Możesz chory? — pytała przerażona, nie pojmując zgoła jego słów bezładnych, ni dziko rozgorzałych oczu.

— Wyjdźmy na powietrze, upał musi waści uderzać do głowy — kłopotala się pocziwie jego stanem, rzeźwiąc jakiemiś solami.

Uspokoił się nieco, ale wyjść nie chciał i po chwili znowu się pogрузił w otchłań żrących dumań. Przegarbiał zimnemi oczyma głowy senatorów, posłów i dygnitarzów, niektóre ważył długo, inne jakby odkładał na stronę, ale w większość bił ciężkiem, jak topór katowski, słowem: winien!

I rzucał je w myśli do kosza, ociekające krwią, na białe trociny.

Naraz trysnęła w nim jakaś myśl oślepiająca, niby błyskawica:

„Wszyscy są winni“!

Jakby grom uderzył w niego, ale nie ugiął się pod ciosem i myślał nieubłagane:

— Wszędzie ruina, zgniłość, prywatą; wszędzie zatracenie i ostateczna zaguba. Grzęzawisko wiecznej hańby, występków i podłości! Przekleństwo dzieciom, zaprzędającym w kajdany matkę rodzoną, przekleństwo!

Ale przypaść jakby na kolana przed zakrytem obliczem doli nieubłaganej i zażebrał całą głębią zbo-
latej i miłującej duszy o ratunek.

Na galerjach wraz zaszemrały jakieś szepty i tam poniosły się jego smutne oczy, między wynędzniałe twarze, rozczochrane łby, grube rysy i prostackie postacie pospółstwa. Ważył się przez chwilę nad nimi, jak orzeł, nim uderzy na stado, lecz porwał mu duszę jakiś wicher i poniósł na nieogarnione obszary, na wsie i miasta, pomiędzy mrowiące się rzesze, wdeptane w ziemię przemocą i wiecznie głodujące, wiecznie krzywdzone i wiecznie niewolne, a zaledwie kształtem plemieniu ludzkiemu podobne.

— Do bronil! Do bronil! — huczał głosem, nabrzmiałym rozpaczą.

I z trwogą oczekiwał na odzew, czy postyszą? czy zrozumieją? czy zechcą?

Wszak tylko domem niewoli jest im ta ginąca ojczyzna!

Mogąz dawać żywoty na zratowanie kajdan i przemocy?

— Waszmość się uwziąłś, aby mnie trwożyć posępnością — załiła się podkomorzyna, zacierając mu czule w oczy.

— Naszły mnie takowe imaginacje, że nie mogę sobie dać rady.

— Trzeba się z nich wypowiadać, ja waćpanu nie poskapię rozgrzeszenia.

Nie przyszło już do wyznań, ni czułych absolucyj, gdyż właśnie marszałek sejmowy, Bieliński, trzykrot-

nem uderzeniem laską otworzył posiedzenie i, czyniąc radość regulaminowi, a głównie Sieversowym nakazom, zwrócił się surowo do arbitrów, zalegających galerje.

— Mości państwo, proszę na ustęp!

A chociaż i gruby Roch w niebieskiej kapocie ze złotymi szamerunkami, postukując laską okutą srebrem, powtarzał groźnie toż samo, nikt się nie kwapił.

Tegoborski, sekretarz sejmowy, odczytał doniosłym głosem raptularz spraw, aktualnie idących na deliberacje.

Zaraz po nim marszałek zagał sesję od wprowadzenia materji pruskiej; o plenipotecję dla delegacji, traktować mającej z Buchholtzem, jeśli takową chcą mieć Stany czytana, zapytywał.

— Nie! Precz z plenipotecją! Nie potrzeba! Nie pozwolim! Nie chcemy!

Podniosły się gwałtowne protesty z ław poselskich, a galerje skwapliwie zawtórowały tupaniem i wrzaskiem.

Kancelarz koronny, Sułkowski, podniósł się wtedy ze swojego miejsca w bliskości króla i jął przekładać skrzekliwym głosem, jako plenipotecja, ułożona wedle woli Stanów, już leży w rękach biskupa Massalskiego. Kopję jej w pełnem brzmieniu zlecił czytać sekretarzowi.

Ale znowu wybuchnęły hałasy, kilkunastu posłów natarczywie dopominało się głosu, a galerje czyniły srogi tumult, nie dopuszczając czytania Tegoborskiemu, który raz po raz wstawał i zaczynał, ale nadaremnie.

— Za chwilę rozgonią nas bagnetami — stropił się Zaręba, patrząc ku drzwiom.

— Przeciw królowi pruskiemu wolno powstawać, ale spróbuj-no waszmość uczynić to samo na aljantów! — szeptała z poza wachlarzą.

Marszałek bił laską w stół, aż huczało, król marszczył brwi, senatorowie się niecierpliwicko, ale dopiero gdy zabrał głos Karski-Płocki, przycichło nagle.

Po nim mówił Skarzyński-Łomżyński; mówił i Krasnodębski-Liwski, a wszyscy na jeden tenor: że zlecenie Stanów chciało mieć plenipotencję w projekcie przez kanclerzów przyniesioną, nie zaś już determinowaną.

— Wadzą się o puste słowa — niecierpliwił się Zaręba.

— Chodzi o przewleczenie sprawy, a nie o jej decydowanie — odrzekła, bijąc brawa Krasnodębskiemu, a za nią, jak na komendę, zaklaskali ławą arbitrzy.

— A teraz waszmość pilnie słuchaj — ostrzegła, patrząc przez lornetkę.

Wystąpił bowiem Gostkowski-Ciechanowski, mąż lat średnich, chuderlawej postaci, ubrany w mazowiecki kontusz ciemno-szafirowy i żupan barwy słomkowej; czuprynę miał podgoloną, twarz ściągłą i opieklą, oczy niebieskie i jasne wąsy przycięte nad wargą.

Zaczął z miejsca przyganiać w tej plenipotencji opuszczenie artykułów nieustępowania królowi pruskiemu Torunia i Gdańska.

— I ani jednej piędzi polskiej ziemi, ani jednego kamienia z Torunia i Gdańska! — powtórzył z mocą Gostkowski. — Gwałt, podłość i intryga chcą podać w kajdany całą Rzeczpospolitą! Królu Miłościwy! Najjaśniejsze Stany — wołał głosem nabrzmiałym troską

serdeczną — nie przykładajcież się do rozmnażania jęków i krzywd współbraci, nie dawajcież triumfu gwałtowi a zdradzie, by jeszcze w późne wieki nie powiedziano, jakobyśmy dobrowolnie, z gnuśności jeno, z podłej bojaźni a sromotnego kunktatorstwa ulegli pod jarzmo.

Król pruski z lisią układnością i z kłamliwemi przysięgi mienił się być naszym aljantem i przyjacielem, a pierwszy nas haniebnie zdradził.

Niema być układów z takim przeniewiercą! Niema być żadnych paktów! Bowiem nie pakuje się ze wściekłym psem, któren kąsa i roznosi zarazę, a kto jeno żyw, chwytą, co mu w garść wpadnie, kamień, żelazo czy kół z płota, i bije, bije, póki pary we wrogu, bije na śmierć! — zakończył.

Zerwała się burza aplauzów i galerje aż dygotały od wrzawy i krzyków.

— Nie paktować! Bić pludraków! Precz z Prusakami!

Nienawiść buchała ze wszystkich serc i gniew zatrząsał całą powszechnością na przypomnienie pruskich przysięg i pruskiego wiarołomstwa.

Marszałek, nie mogąc uspokoić hałasów dzwonieniem ni głosem, zawiesił posiedzenie i opuścił swoje miejsce, król również skrył się za czerwonymi zasłonami, a wtedy drzwi, wiodące na galerje, otworzyły się z trzaskiem, zadudniały ciężkie stąpania żołnierzy i błysnęły las bagnetów nisko pochyłonych.

Jęczy w mig oczyścili balkony z rozwrzeszcza-

nych tłumów, pozostawiając jeno damy, swoich oficj-
rów i Rocha schrypniętego od nawoływań.

Zareba, porwany skłębioną ciżbą uciekających
przed bagnietami, ani spostrzegł, kiedy się znalazł na
zamkowym dziedzińcu.

Właśnie był porządkował srodze zmiętoszony fra-
czek, rozmyślając, jakby się zpowrotem dostać do
podkomorzyny, gdy Nowakowski wpadł na niego.

— Szukam cię. Możemy jechać do domu. — Był
zły i wzburzony.

— Czy król już solwował sesję na poniedziałek?

— Jeszcze nie, ale nic tam dzisiaj godnego uwagi
nie będzie.

Siedli do powozu, czekającego na placu, konie
ruszyły z kopyta.

Mrok się już słał nad miastem, jeszcze tylko
gdzieniegdzie świeciły krzyże kościołów i na niebie le-
żały złociste zatoki. Chłód zawiewał z pól, po wzgó-
rzach błyszczały ognie biwaków, po zaułkach poryki-
wały krowy i trzęsły się gęsie gęgoty. Ulice były już
prawie puste, tylko po rogach i placach przybywało
wart i konnych patrolów.

— Słyszałeś tego ciechanowskiego mądrala? —
ozwał się Nowakowski.

— Dobry gracz, wiedział, czem trafić do czuło-
ści. Porwał nawet posłów.

— Mów takim do rozumu, to ziewają, ale praw-
im duby smalone o świętej żrenicy wolności szlache-
ckiej, excytuj bajędą o równości z królami, wypominaj
Aleksandrów Macedońskich, sadź co dwa słowa cnota,

co trzy honor, co pięć służba powszechności, co dzie-
sięć Najjaśniejsze Stany, a wydzieraj się przytem ze
wszystkiej mocy, machaj rękoma, jak wiatrak, to się
wkońcu z czułości popłaczą i gotowi cię nawet por-
wać na ręce a ogłosić zbawcą ojczyzny.

Zaręba milczał, siląc się na odgadnięcie powodów
jego irytacji.

— Ale niech Bóg broni polegać na ich zapale,
bo co dzisiaj uchwalą, jutro gotowi obalać i każdy
sprzeciw zaraz mienią być zdradą lub głupotą.

Pomilczał jakąś chwilę, gdyż jechali przez stra-
sznie wyboisty kawał bruku.

— I znowu się odwlecze traktowanie z Buchhol-
tzem — szepnął z goryczą. — Będą czekali, aż Möllen-
dorf zagarnie Warszawę i wtedy dopiero podniosą
żałosne larum.

Snadź pojął przyczyny jego wzburzenia Zaręba
i ozwał się pocieszająco:

— Tego Igelström nie dopuści, sądzi ją bowiem
już Imperatorowej.

Stanęli przed piętrowym domem. Z otwartych
okien biły światła i gwary.

Pachoł, srodze skołtuniony i w porwanej liberji,
trzymał straż w ciemnej i naprzestrzał wywartej bra-
mie, ale wnet się znalazł czarno ubrany kamerdyner
Francuz z zapalonym kandelabrem i, gnąc się uniżenie,
prowadził schodami, krytymi dywanem, gdzieś na tyły
domu.

— Dużo osób? — rzucił Nowakowski, wchodząc
do niewielkiej komnaty.

— Cztery stoliki lombra i faraon. Reszta w salonie.

— Daruj, muszę się przebrać, dość mi tej maskarady! — wskazał na swój kontusz i zniknął w przyległej bokówce.

Zaręba ciekawie rozglądał się po komnacie, która służyła za kancelarję i zarazem była jakby składem kufrów tego okutych, zamczystych puzder, stojących na stołach, uprząży zwalonej w kąty i różnobarwnej liberji, wiszącej na ścianach. Nie brakowało też łóżek składanych i jakichś parawanów.

Wszedł Nowakowski już w modnym, rudawym fraku, w pończochach i płtykach trzewikach; kamerdyner, z miną wyniosłą, obwinał mu szyję w białą chustkę i, podawszy tabakierkę, stanął dostojnie na uboczu.

— Nabyłem go wraz z meblami po regimentarzu Stępkowskim — pysznił się półgłosem. — Pono jakiś „de“, czy nawet coś więcej, wypędzony przez rewolucję. Książę Cycjanow dawał mi za jego odstąpienie czwórkę angielsów z uprzążą.

— Ciekawym tej książęcej mości — uśmiechnął się drwiąco.

— Trzeba ci jednak zapamiętać, że książę jest w serdecznej komitywie ze starszym Zubowem, aktualnym faworytem.

Wziął go pod ramię i poszli krętymi korytarzami. Francuz oświecał im drogę kandelabrem.

— Imaginujesz, co to za polityczna persona? — szepnęła ciszej, jakby pod sekretem. — Jesteśmy w ta-

kiej konfidencji, że zwierzył mi się ze swoich ciężkich terminów miłosnych.

— Jeszcze się nie pogodził z szambelanową? — spytał podstępnie.

— Ależ ona go nie chce widzieć na oczy, odsyła mu nierozpieczętowane listy, droży się, niby królowa, a on poprostu szaleje z rozpaczy. Wiesz, błysnęła mi jenjalna myśl: pomóż mu w tych tarapatach.

— I w jakim sposób? — pojął wlot, do czego tamten zmierza.

— Gdybyś jej, jako bliski kuzyn, przy okoliczności jakiej przełożył, że pogodzenie się z nim jest pożądané nawet dla dobra kraju.

— Nie pieprz, Pietrze, pieprzem wieprzał! — śmiał się Zaręba.

— A daję ci parol, że mówię serjo. Nie zapominał, Petersburg patrzy na nas jego oczyma. Jego życiwe relacje mogą tam bardzo wiele zaważyć. I tobie zdałaby się protekcja takiego potentata. On jest na śmierć zadurzony w szambelanowej i umiałby ci się wywdzięczyc za przysługę. Wierz mi, możny przyjaciel i opiekun to dla chudopachołka prawdziwa fortuna. Kiedyśmy weszli na te materje, to ci powiem, że przyjeżdża młodszy Zubow.

— Czy to aspirant na przyszłego faworyta?

— Polityczne racje zmuszają nas do wyprawienia balu na jego cześć. Hrabia Ankwicz z hetmanem Kosakowskim już się koło tego krzątają. Dwadzieścia pięć dusiów od osoby, socjeta wybrana i co najpiękniejsze damy. Odmówiłem już wielu, ale ciebie mogę zapisać.

— I owszem. Na psiem weselu czasem najlepiej używają družbowie — drwił.

— Wszystko musi być w najprzedniejszym guście, a zwłaszcza damy! Zubow powinien wywieźć z Polski czułe wspomnienia. Nawet i z tego powodu chciałbym zgody księcia z szambelanową. Uświetniłaby zabawę, pojmujesz?

Tak pojmował, że byłby go chętnie trzasnął w rudy pysk, ale tylko się uśmiechnął, i naprzekór własnym uczuciom, obiecał pogodzić tę poważną parę.

— Niech się kochają dla dobra kraju! Niech się miłują! — mówił, pastwiąc się z dziką zawziętością nad własnym sercem. — Spróbuję jej przełożyć.

Weszli do salonu, wspaniale umeblowanego i pełnego światła.

Pani domu w czerwonej dezabilce spoczywała w głębokim wolterze, z białym pieskiem na łonie, z balsaminką złotą w rękę, z której wciąż wdychała wonności, a w otoczeniu paru młodzieńców, przybranych najmodniej w jednokie fraczki cyrconowego koloru, w obcisłe pantalone do kostek, z kapelusami na kolanach i grubemi trzcinami w rękach. Było ich trzech; mieli twarze, jak świeżo upieczone bułeczki, jasne kędziory, pozwijane dokoła głów, jak rulony, wypełzłe oczy, zawiadające miny i wszyscy zwali się Krotowscy, jednej matki syny, jednego dyrektora światli wychowawcy i jedynych dwudziestu dusz chłopskich dzieci. Ale snadź rozpowiadali wesołe sprawy, skoro pani pękała ze śmiechu i, podawszy Zarębie rękę do pocałowania, nawet na niego nie spojrzała.

Dama była, jak żrała węgierka, co to najśodsza, gdy ją nieco owarzą chłody pierwszej jesieni, piękna jeszcze i wabna. Miała muszki na wybielonej twarzy, oczy palące, głowę w lokach, poskręcanych jak wytłuszkane czarne strąki, niezgłębiony dekolt, głos schrypnięty i nieustannie obliżywała wargi tłustym językiem; w salonie mówiła tylko po francusku, uwielbiała Rousseau'a, jeździła z oswojonym barankiem, marzyła tkliwie o sielskim życiu na zielonych łąkach pod słomianą strzechą szomierek, a tymczasem wypróbowywała wierność berżerków i w domu kłęła, jak dziad odpustowy, biła służbę, nie gardząc przytem anyżówką i egipskim sennikiem.

Nowakowski zakręcił się i poszedł do sąsiednich pokojów, gdzie co chwila wybuchały swarliwe rozprawy graców, a jakiś stary kontuszowy jegomość zaopiekował się Zarębą i po paru minutach już mu się zwierzał serdecznie:

— A ja właściwie uręczam, że wszystko już przepadło. Niema już Litwy, niema Rusi, niema Korony, a jedyne zbawienie we wspaniałomyślniej ludzkości Imperatorowej. Kalkulowałem tak i owak, a wychodzi jedno, że tylko...

Lokaj zameldował Cycjanową, przyjętego uroczystości i z takimi honorami, że nawet pani domu powstała na powitanie.

Nowakowski coś z nim długo rozmawiał na stronie, aż księżę, wielce osowiały, znacznie się ożywił, podał łaskawie rękę Zarębie i, ukontentowawszy go paru miłemi słowami, zasiadł do kart.

Pani wróciła do hotelu, młodzieńcy do przerwanych dykteryjek, a Nowakowski przyjmował licznie napływających gości, tylko Zareba błakał się samotnie, nie wiedząc, co zrobić ze sobą; miał wprawdzie chęć do ucieczki, ale te rybie, białawe oczy Cycjanowa trzymały go, jakby na uwięzi.

Przeglądał mu się z różnych stron i coraz nienawistniej medytował.

Trzy salony były już prawie zapchane; grano przy wielu stolikach; dym z lulek przysłonił wszystko sinawym obłokiem, z którego dobywały się nieustannie brzęki przesypywanego złota, nazwy wyrzucanych kart, cyfry, rozmowy o sejmie, przygodne anegdoty, ciche przekleństwa i przyzywania służby, uwijającej się w liberjach jakby na wyrost, z tacami pełnymi butelek.

— Wspomnisz waść, jako Srokowski ci to rzekł: wszystko przepadło!

Uciekł od tego kraczącego głosu i znowu przeglądał się księciu, to przysiadł do bocznych stołów, gdzie zabawiano się butelkami a politycznem delibowaniem, nigdzie jednak nie mógł długo wytrzymać.

Mierziła go ta dziwna socjeta, złożona z jakichś podejrzanych person, moskiewskich oficerów i znanych powszechnie opojów i szulerów, jak Podhorski, Łobarzewski, Józefowicz, z królem rozpustników na czele, Miączyńskim.

Przejmowali go nieuleczalnym wstrętem i nienawiścią.

Raziło go również to wspaniałe mieszkanie, mające w rzeczywistości pozór prawdziwego Pocijowa

lub zajazdu, tak dostojne resztki z pałaców mieszały się w wywłokami i zdektowaną hołotą.

Jał się wreszcie przemykać do wyjścia, gdy stanął przy nim książę i szepnął:

— Chciałbym z panem pomówić, ale w tem domiszku niesposób.

— Możemy wyjść na ulicę.

Przejęło go nagłe drzenie.

— Jedź pan do mnie. Kwateruję przy sztobie na Horodnicy.

Wahał się jeszcze, ale, wspomniawszy Jasińskiego nakazy, przystał.

Wyszli prawie niepostrzeżeni.

IV.

Biła już trzecia, gdy Zaręba, srodze zadyszany, wpadł do zamkowej antyszambry, ale królewskie posłuchania jeszcze się nie rozpoczęły i podwoje sali tronowej były zawarte na głucho.

Antyszambra była sklepiona, niska i mroczna nieco, pomimo dwóch szerokich okien na dziedziniec, przyćmiewał ją bowiem kolumnowy podjazd. Mirowscy, w paradnych mundurach i pełnem uzbrojeniu, trzymali strażę u wszystkich drzwi, bystro wodząc oczyma za każdym wchodzącym.

Ale bardzo niewiele osób zbierało się na dzisiejsze posłuchania.

Zaręba przysiadł pod ścianą, obok jakowychś ko biet w żałobnej czerni, z których jedna zdawała się ci chutko popłakiwać.

Na środku stał siwy jegomość ze łbem podgolo nym w czub rozwichrzony, z czerwoną rogatywką na głowni karabeli, w długim i srodze buchastym papuzim kontuszu, pamiętającym jeszcze saskie czasy; szarpał obwisłe wąsiska i jakby się wyżałał przed jakiemiś da mami, które wyfiokowane, w mantynach, szalach, mu szkach i spiętrzonych fryzurach, słuchały cierpliwie,

trzymając się pod ręce—zielony strzelec z letniczkami na rękę stał o parę kroków.

Miedzy oknami rozmawiało półgłosem kilku cu dzoziemców we frakach, suto złotem haftowanych, i harcapach u spudrowanych włosów.

Zaś w kącie, jakby chroniąc się ciekawych spoj rzeń, siedział jakiś człowiek w wojskowej kapocie, przy pałaszu i z krzyżem, zuchwale przypiętym do piersi, ale z głową w bandażach i o schorzałej, bladej twarzy; pacholek podawał mu co chwila jakieś leki rzeźwiące.

Czas dłużył się wszystkim, gdyż było niezmiernie gorąco i nudnie; sennie brzęczały muchy i sennie brzmiały rozmowy, tylko niekiedy trzasnęły karabiny o kamienną posadzkę, wyczynioną w kostkę czarno-białą, lub za oknami rozległy się ciężkie, nierówne stapania wart i zamigotał przez szyby bagniet, blacha kołpaków i kolor mundurowych wyłogów.

— Jeśli asumpt nie kwadruje z konkluzją, to psu na budę cała robota—jął naraz prawie głośno i gniew nie siwy jegomość. — Gwarancje i aljanse, a „przy jacielski“ żołnierz łupi nas ze skóry, niby piskorzów. Niemały szwank poniosłem na zdrowiu i substancji, toć wiem jaką zbójcką zgoła procedurą poczynają z nami „aljanci“. Moja okoliczność była taka: Jakoś ultimis Aprilis, przeciągał bataljon grenadierów pod von Blumem, który, podjechawszy pod mój ganek i nie zniżając z konia, zażądał furazów. Pozwoliłem, chociaż prosił modą cale tatarską, ale powiadam: daj mi waść kwitację za wzięte barany i krupyt! A ten psi syn, miasto responsu, buch mnie głownią w piersi! Ja do

szabli, obciąłem juści ultaja i tylem się jeno usatysfakcjonował. Reszta, to już jedno żalne larum. Zniszczyli mnie z kretezem i zrabowali do ostatniego krowiego ogona. Tylko jakimś cudem wyniosłem życie z tej opresji. Ale teraz von Blum jeździ w moje ogiery i żre na mojem srebrze, a ja wędruję per pedes apostolorum od Annasza do Kaifasza i szukam sprawiedliwości.

Weszło parę nowych osób i jegomość ścichnął, ale Zarębie przyszło na pamięć, że Iza wspominała o jakimś von Blumie, wielbicielu Tereni.

— Wyłożyłem ambasadorowi od a do zet — podjął znów głośno — to wsiadł na mnie, jak na łysą kobyłę, że to napastuję wojska i biję mu oficerów. Groził mi nawet wieżą i Sybirem! Myślałem, że mnie krew zaleje. Byłbym mu wypalił rzetelne verba veritatis, alem się pomiarkował: ubliżyć może, a wyzwać go na rękę, to mi nie stanie. Maż to być crimen, że nie pozwalam się postponować ultajstwu? A że tam moi synaczkowie, mszcząc nasz dyshonor, poszli tropem „przyjaciół“ i jak mogli, tak gemejnow łuszczyli — toć odrodne tylko dzieci puszczają płazem krzywdy rodzica! Z taką właśnie sprawą stanę przed królem Jegomością. Ale stanę już nie a particulari, aliquo conventiculo, lecz nomine wszystkiego stanu szlacheckiego, skrzywdzonego w mojej osobie, i spytam; zali żywie jeszcze wolność i prawo w tej Rzeczypospolitej? Zali dziki najeżdźca...

Nagle rozwarły się złożone podwoje, uczynił się rumor i każdy ze stanu szlacheckiego wchodził do sali tronowej, gdzie król co niedziela dawał publiczne posłuchania.

wiel Całemi miłami leżą popalone wsie, znieważone kościoły, złupione dwory i potratowane zboża, nic, tylko jedna goła ziemia i niebo, ruiny, łzy i płacz jeden. Że już nawet pospólstwo, przywiedzione do rozpacz, ucieka w lasy, aby choć zbawić żywoty z tych straszliwych terminów. Łońskie wojenne lato, a nie przywiodło nas do takiego zniszczenia, jak tegoroczne maszerunki i rekwizycje „aljantów“. Niezadługo, a w Nadbużańskim kraju nie pozostanie całej chałupy, ni ziarnka zboża i ni jednego człowieka.

— Wszak wybierają furaze wedle palet i w asystencji komisarzów.

— Tak miało być, ale zabierają swoim sposobem, prawem kaduka, a kto im wzbrania, nahaje ucą go uległości. Trafiają się i pocziwi, bo wezmą sto korcy zsyпки, a wystawią kwitację na pięćdziesiąt. Podpisać ją trzeba, bo bagnietami dyktują. A spodoba im się coś w domu, zabierają bez pardonu. Całe wozy łupów ciągną za nimi; sprzedają je potem żydostwu. Więc staję przed tobą, Najjaśniejszy Panie i pytam, zali niemasz już w Rzeczypospolitej prawa na łotrzyków i miecza na gnębicieli? — dokończył z mocą.

Wszystkie oczy przeniosły się z niego na króla, który stał zmieszany, niecierpliwie szarpiąc orderową wstęgę na piersiach. Ghigiotti uśmiechał się z fałszywym współczuciem, a Friese, będący zaprzędanym instrumentem Sieversa, ze szczególną uwagą przyglądał się szlachcicowi. Wreszcie król, zbywszy go wielce czułem słowy z dodatkiem ręki łaskawie podanej do ucałowania, zwrócił się do wyfiokowanych dam.

Karpiński robił grdyką, jakby udławiony pańską odpowiedzią.

Król zaś coraz spieszniej zmierzał do końca; żałośnie panie już pilnie wycierały zaczerwienione oczy, oficer, stojący za niemi, wypreżał się tak gwałtownie, aż mu brzęczały ostrogi, a Zaręba, nieco wychylony z szeregu, patrzył na Króla przenikliwie i bez animozji, lecz z jakimś cierpkim politowaniem krzepkiej i prawej natury nad tym spróchniałym i wykrygowanym Celadonem, mającym pozór zużytej rozpustą gamratki.

Ręce miał wypieszczone i lubieżne, o cienkich, długich palcach z różowemi paznokciami, diamenty w sutych żabotach, przerzedzone włosy w siwych puklach misternie utrefionych, twarz babkowatą i ubieloną, głos miły, wdzięczące się spojrzenia, usta wyczerwienione i obłok zapachów dokoła. Nie usłyszy jego bystrych oczu sadzone kamieniami sprzączki trzewików ni wątle, drgające łydki, opięte w białe pończochy, ni frak błękitny, dziergany jedwabiami na obrzeżach, po łożach i klapach w cudne ornamenta.

Nie mógł się w nim tylko dopatrzeć króla.

Słuchał bowiem, mówił, spoglądał i uśmiechał się, jakby wcale nie wiedząc o tem, co czyni, a jego pięć na jeszcze twarz nie pokazywała ni pasji żadnej, ni cnoty, ani też górnieszego majestatu ducha.

Zaręba za kadeckich czasów widywał go dość często i zbliża, lecz teraz widział tylko jakby nieprzeniknioną maskę, pod którą można się było dostrzec rozumieć strasznej nudy i obojętności na wszystko.

— Antoni Żukowski, kapitan z bywszego pułku przedniej straży, szefostwa księcia Wirtemberskiego! — rozległ się dźwięczny, donośny głos i raptem urwał, gdyż oficer zachwiał się i byłby runął, gdyby go wporę nie powstrzymano. Zrobiło się zamieszanie, posadzono go na krzesło, liberja przyniosła wody i, gdy się nieco orzeźwił, król przystąpił do niego, nie pozwalając mu się podnosić i troskliwie jął się rozpytywać. Mówili prawie szeptem i snadź coś ważkiego, król bowiem załamywał ręce ze szczerem współczuciem, zaś twarz kapitana nabierała żywej barwy i łyzy mu błysnęły w oczach. Król, przeczytawszy jego suplikę, nakreślił na niej jakąś rezolucję i podał ją Ghiottemu.

I tak się nim zainteresował, że, podszedłszy do żałobnych dam, jeszcze się odwracał do niego i wzdychał; naraz cofnął się wtył wystraszony, bo damy padły mu do nóg wśród szlochów i wołań:

— Ratuj nas, Najjaśniejszy Paniel Ratuj skrzywdzone sieroty!

I, nie czekając pozwolenia i przerywając jedną drugiej, zaczęły rozpowiadać zawile pienia z biskupem Kossakowskim, skarżąc go o gwałty, zajazdy i wyzucie z mienia; miał im zagrabić ziemię pod swoje miasteczko Janów, jakąś karczmę na Świńskim Dołku i kilkunastu poddanych. Żale były przeplecione łkaniami, pełne cytacyj praw, sądowych wyroków, świadków i krzywd rzekomych.

Król, znudzony tą bezładną litanją, obiecywał,

im wszystko, czego tylko chcieli, i śpiesznie zwrócił się do ostatniego petenta.

Zaręba podał suplikę, wykładając zarazem w krótkości jej treść.

Król ani odmawiał, ani obiecywał, wspominał tylko ogólnikowo o ciężkich terminach, w jakich pozostaje Rzeczpospolita, coś o potrzebie służenia ojczyźnie, kiwnął mu głową i, zabrawszy ze sobą cudzoziemców, wyszedł majestatycznie, żegnany pokłonami i szmerem uwielbień.

Zaręba, nie cisnąc się wraz z drugimi do Friesego, aby go molestować o protekcję dla swojej sprawy, wyszedł pośpiesznie i w antyszambrze wpadł w ramiona Marcina Zakrzewskiego, dawnego przyjaciela.

— Widziałem cię wczoraj w sejmie. Terenia mówiła mi, żeś przyjechał.

— I podzielaś mi się, jakby cię pochłonięła ziemia.

— Była z tobą osóbka, z którą jestem nabaquier! — Podkreślił jasnego wąsika, łypnął niebieskimi oczyma i zaśmiał się znacząco.

— Jedziesz z nami na piknik?

— Muszę warować przy królewskiej osobie. Mieliśmy robić wycieczkę do Poniemunia i siedzimy w zamku, bo będziemy dzisiaj wieczorem przyjmowali jakiegoś tajnego wysłańca z Wiednia. Zawierzam ci to pod sekretem. Jutro od rana jestem wolny.

— Widzę, żeś i na order już zarobił!

— Król wielce łaskawy na mnie. Gdzie kwaterujesz?

— U Bernardynów. Przyjdź rano.

Odsunął się, dając miejsce Żukowskiemu, który, wsparty na pacholiku, szedł ciężko ze spuszczonego oczyma, blady i jakby ostatecznie wyczerpany.

— Jakiś nieborak z ukraińskiej dywizji — szepnął Zaręba.

— Nie imaginujesz, ile się ich tu przewija i wszyscy o zaległe lenungi skamlą, lub wprost o zaopatrzenie na dalszą drogę, wracają bowiem z rozpuszczonych brygad i często o zebranym chlebie. Hetman na każdym sejmie zgłasza o zapłacenie wojsk, ale i Salomon z próżnego nie naleje.

Naraz sprężył się na widok dam wyfiokowanych, przebódl je palącemi oczyma, dobił czułym uśmiechem i, wystawiwszy pierś opiętą granatową kurtą, pokręcał zwycięsko wąsika i zaszeptał:

— Młodsza poprostu marcypan!

— Chyba przez podobieństwo do Tereni — wtrącił złośliwie.

Marcin parsknął wesołym śmiechem, aż gwardjacy, wartujący przy drzwiach, ledwie się od niego powstrzymali.

— Nie zmieniłeś się ani na jotę — zauważył z przekąsem Zaręba.

— Król mi to powiada i zato mnie właśnie lubi — wyznał z dumą.

— Ma też w tobie oddanego oficjera — szepnął z rozmysłem.

— Dałbym za niego życie! — zawołał gorąco i szczerze.

— Aż tak! — uśmiechnął się drwiąco. — Przyjdź do mnie rano, to ci zdam relację z dzisiejszego pikniku. Bądź zdrow i życiem tak nie szastaj!

Poleciał za Żukowskim, dopędzając go dopiero na placu Zamkowym. Kapitan, mimo strasznego upału i choroby, szedł pieszo.

Przedstawił mu się i usilnie proponował swój kocz.

— Mieszkam daleko, bo lubię długie promenady — odpowiedział chłodno Żukowski, lecz Zaręba nalegał tak serdecznie, aż musiał się zgodzić.

— Wybacz waszmość moją chałupinę, ale niepodobna było w tym ścisku nająć godniejszej kwatery. To mi nawet dogadza, mam spokojnie, bo, jak waszmość widzi, wybieram się już do Abramka na piwo...

— Miarkując po bandażu, rana musi być sroga.

— Tak, gdyż wraz ręką zadana i niepomszczona. Pamiętka z Nowochwastowa, z chwili, w której niecny Lubowidzki zaprzedawał nas Imperatorowej — szepnął, zwracając na niego mądre, smutkiem nasycone oczy. — Może waszmość tych spraw nieświadomy? Generalność wzbroniła o tem pisać nawet w listach.

— Znam imiona wszystkich aktorów i tenor całego zdarzenia.

— Okropne czasy! — wzdrygnął się, ukąszony przypomnieniem.

— Bo zgniłe i podłe sumienia panują nad nami.

Żukowski zdumiał się jego słowom i zwartej w surowości twarzy.

Zajechali gdzieś na krańcach miasta przed niski domek, słomą kryty i prawie niewidzialny wśród drzew

wyniosłych; niebieska trumienka widniała na słupie bramy wjazdowej, a w sadzie suszyły się porostowane deski.

— Mój gospodarz, Borysowicz, jest murarzem, ale jego starszy syn trudni się stolarką i to znak jego rzemiosła — tłumaczył Żukowski, wysiadając na ziemię, zasłaną heblowiną i trocinami. — Kwatera w sam raz dla chorego i abszytowanego żołnierza. Pozwól waszmość do środka.

Certował się, lecz przemogła ciekawość i poszedł za nim do ciasnej stancji od podwórza; tapczan, pokryty astrakańską burką, nad nim wytarty dywanik z żołnierskim moderunkiem i obrazikiem Częstochowskiej, parę stołków, pod oknem stół, w kącie chude mantelzaki stanowiły całe jej urządzenie.

Jeszcze nie zasiedli, gdy wszedł Borysowicz, wysoki, przygarbiony człowiek o twarzy pocziwej, ale jakby przyprószonej wapnem, oznajmiając, że panowie są już zebrani w sadzie i proszą do siebie kapitana.

— Niech jeno wytchnę a przyjdziemy! — zapewniał, rozciągając się na tapczanie. — Mieszka tu na drugiej stronie domu Krasnodębski, poseł Liwski, cnotliwy obywatel, godzien poznania i głębokiej admiracji.

Zaręba wyjrzał przez okno: paru mężów siedziało pod cienistym drzewem, a pomiędzy nimi krzywousty Skarzyński.

— Sami znaczni zelanci — zauważył mimowoli.

Kapitan, uśmiechając się jakoś zagadkowo, zajął się przy pomocy pacholka zmianą swoich bandażów.

— Prawie cała sejmowa opozycja!—dodał jeszcze, siadając naprzeciw Żukowskiego, i pod wpływem olśniewającego przypuszczenia szepnął słowo wtajemniczonych. Ale kapitan snadź nie rozumiał, spojrzał przełotnie i po chwili jęknął cierpliwym głosem:

— Poty na mnie biją, jakbym wyszedł z łaźni.

Skonsternowany pomyłką, Zaręba podniósł się natychmiast i, mimo molestujących zapraszań, wyszedł, obiecując zajrzeć do niego nazajutrz.

I przez całą drogę rozmyślał, czy Żukowski istotnie nie zrozumiał, czy też nie chciał i dlaczego? Coś mu bowiem szeptało w duszy, że nie chciał się odstąpić, więc tem bardziej trapił się swoją nieostrożnością.

— Gracz to niepośledni, albo tylko żołnierski, ordynaryjny brus...

Jakiś obcy człowiek otworzył mu kwaterę i stanął wyciągnięty, jak struna.

— Zawołaj mi Kacpra!

— Melduję pokornie panu porucznikowi, że namiestnikuję za niego. Pojechał z ojcem Serafinem i wróci późnym wieczorem.

— Skądże się wziął? Czyjżeś?

Pierwszy raz w życiu go widział.

— Pana kapitana Kaczanowskiego; wołają mnie Stasiek albo Warszawiak.

— Kiedyś przyjechał i skąd? — Zaczął się rozdziewać z munduru.

— Z Warszawy. Przed swoim wyjazdem pan kapitan przykazał: „Żebyś siedł na czworakach i nosem się podpierał, a w sobotę zameldujesz się w Grodzie

panu porucznikowi Zarębie“. Dał mi przytem na drogę dukat z Matką Boską i dołożył nogą w okap. Pieniąch zostawiłem grubej Marynie z Pragi, na chrzciny, a kopańca zwróciłem bardziej potrzebującym.

— Tylko bez bałamutni a krotochwil — ostrzegł go surowo.

— Rzekłem prawdę, jak na sądzie marszałkowskim i już po kijach.

— Więc czemuś się opóźnił? — zagadał łagodniej, rozciekawiony zabawną figurą.

Chłopak był szczupły, niski, zwinny, jak małpa, i z siwych oczu patrzył mu spryt i hultajstwo. Brakowało mu przednich zębów, na czole miał głęboką bliznę, w lewym uchu srebrny kolczyk, nochal potężny, czuprynę jasną w jeża i szelmowską gębę, całą w podługnych fałdach i pryszczach.

— Bo za Bóg zapłać niewiele kupi na świecie, a poczty na bory nie wożą. Te żółte trąby, proszę pana porucznika, nie mają żadnego uważania nawet dla gwardjaków, musiałem hyclów uczyć grzeczności. Przez nich się spóźniłem, a gdyby nie tuz czerwienny w Chapance, tobym był musiał promenować się przy kijku, jak jaki święty.

— Dosyć na dzisiaj. Pojedziesz ze mną.

Wyjął z puzderka krucicę i schował.

A po chwili Maciuś palił z bata i pędził przez miasto, przewijając się, jak wąż, między powozami. Stasiek w mundurowej kurcie siedział przy nim sztywno, jak przystało kapitańskiemu ordynansowi.

Przed Dominikanami wstrzymał ich Nowakowski.

— Przesiądź do mnie, właśnie jechałem po ciebie—wołał ze swojej karjolki.

Przesiadł się niezbyt ochoczo, polecając Maciusiowi jechać za sobą.

— Ambasador daje publiczne audjencje, musimy tam wstąpić na chwilę.

— Już byłem dzisiaj na królewskich posłuchaniach—próbował się wykręcić.

— I co ci z tego? — wzruszył lekceważąco ramionami — u króla bywać można, zaś u Sieversa nakazuje rozsądek i przezorność. Ciekawym, jak ci poszło z Cycjanowem?

— Siedziałem u niego do drugiej w nocy, ugościł mnie czajem i gawędziliśmy o różnych materjach; polityczny to i szczególnie światły człowiek.

— Zapewne nie omieszkał ci się zwierzyć? — spytał bez ceremonji.

— Nie przyszliśmy aż do takiej konfidencji, nie leżało to w moich zamysłach.

— Wczoraj zdradzałeś odmienną dyspozycję serca—szepnął urażony.

— Być może, iż wróci mi jutro—odparł szorstko, lecz zaraz załagodził.—Nie mogłem się narzucać z pomocą, inna sprawa jest i jej ode mnie zażąda.

Dostali się na Szerokiej w nieskończony sznur powozów, ciągnących do ambasadorskiej kwatery i wypełnionych najzacniejszą socjetą; trzeba było jechać noga za nogą, wśród tumanów kurzawy i spiekoty, gdyż wysmukłe topole, któremi była wysadzana ulica, niewiele chroniły od słońca.

— Spóźnimy się na piknik, już dochodzi piąta—zauważył kwaśno Zareba.

— Obowiązek przed przyjemnością, to moja maksyma!—wygłosił poważnie Nowakowski—gdy powozy zadudniły na długim moście nad Horodniczanką i zaczęły skręcać ku domom, ledwie dojrzanym przez gąszcz drzew wyniosłych.

Parterowy dom ekonomij królewskich, o mansardowych facjatch i dosyć długich skrzydłach, zajmował Marcin Badeni, szambelan, i główne departamenta rządów, ale tuż przy nim, przywarty szczytem i w jednej linii z jego lewem skrzydłem, a frontem do ulicy Szerokiej wznosił się pawilon pięknej włoskiej struktury o dwóch piętrach, zakończonych kamienną balustradą, przyozdobioną wazonami. Pawilon, dosyć duży, miał na pierwszym piętrze wielkie okna i złożone balkony, a na dole wspinałe podwoje z mahoniem, do których prowadziło parę marmurowych stopni, pokrytych czerwonym sukmem. Rzeczpospolita znacznym sumptem przysposobiła go na mieszkanie dla Sieversa i jego świty.

Kozacy w czerwonych chałatach i czarnych, lśniących szkopkach trzymali strażę przy drzwiach, prócz nich kompanja grenadierów, w bojowej gotowości, kwaterowała w domku, skrytym w gąszczach ogrodu Botanicznego.

Na obszernym podjeździe stało już kilkadziesiąt powozów, a wciąż zajeżdżały nowe i co chwila wysiadały strojne damy, panowie a nawet i dzieci.

— Wala, niby na odpust—mruknął Zareba, wchodząc do przedsionka.

— Bo mus rządzi ludźmi, a nie sentyment—szepnął Nowakowski, kłaniając się na wszystkie strony.

Szli na pierwsze piętro barwną i pachnącą aleją, gdyż na każdym stopniu bardzo szerokich schodów stały kwiaty, a poręcze były oplecione w rozkwicie pędy cypriofoljum.

— Droga, jakby wiodąca do rajul — drwił z gorączkowym pośpiechem Zaręba.

— Ale niechybnie do fortuny! — wyrzekł ktoś z tłumu wchodzących.

Na progu robił honory domu baron Buhler, pierwszy doradca ambasady, w otoczeniu generałów Dunina, Rautenfelda i Kampenhausena.

Salony były urządzone z przepychem; w środkowym, największym, pełnym róż w chińskich wazach, porostawianych na mozaikowych stołach, pod portretem Imperatorowej, wyobrażonej w stroju koronacyjnym, siedział Sievers w galowym mundurze, suto złotem haftowanym, w orderach, brylantowych gwiazdach i niebieskiej wstędze, pogodny wielce i z niezmiennym uśmiechem na wąskiej, drapieżnej twarzy.

Damy brały miejsca obok niego, półkołem, na fotelikach ze złoczonej trzciny, a pomiędzy nimi biskup Massalski jakby drzemał z gorąca.

Sievers witał podchodzących z dworną uprzejmością i na hołdownicze pokłony odpowiadał podaniem ręki, czasem paru słowami, do niektórych podnosił się nawet z krzesła, damom prawil strzeliste komplementy, innym łaskawie kiwał głową, a jeszcze innych zaledwie raczył zauważyć, ale dla wszystkich miał jednako do-

broduszy uśmiech i władcze spojrzenia. Tłum zwiększał się nieustannie, bił pokłony i rozsypywał się po salonach, napełniając je dyskretnymi szeptami i chrzęstem bławatów.

Już się tworzyły grupy, zadziergały kabały, krzyżowały przenikliwe spojrzenia i ważyły wrogie uśmiechy, a co chwila wszystkie oczy zwiślały trwożliwie na siwej głowie pod portretem Imperatorowej.— i każde jej słowo wlot obiegało ciżby, a każde spojrzenie brano w pamięć.

Zaręba, zamieszany w tłum, przyglądał się ambasadorowi, jego generałom i tym, którzy nieskończoną procesją podchodzili do niego. I zdumiewał się coraz głębiej, albowiem wszystko, co tylko było w Grodnie znacniejszego, skwapliwie składało mu swoją czołobitność.

Szli ministrowie, wielcy urzędnicy, wojewodowie, kasztelani, biskupi, posłowie — szła jakby cała Rzeczpospolita.

Zjawili się nawet ambasadorowie różnych potencji, zebrani w Grodnie. I wkrótce przepełniły się salony, a przed ambasadorem utworzyła się ciżba dygnitarzów i, gdy już zbrakło krzeseł, przystawali, nie bacząc na tłok, byle się tylko znaleźć bliżej, w promieniu jego wszechmocnych spojrzeń. Zaś w pierwszym rzędzie zasiedli: udiamentowany, jak zawsze, i najwierniejszy z wiernych, graf „percepta“ Moszyński; piękny i mądry hrabia Ankicz; nikczemnej duszy wytwornis Miacyński; wspaniale przybrany i majestatycznej postaci regimentarz Ożarowski; ironicznie wyniosły i na wszystko

raczący poseł angielski Gardinet; puszący się orłem pruskim na piersiach Sułkowski, kanclerz wielki koronny; hetman polny litewski Zabiełło; protegowany przez Igelströma i własną żonę do wszystkich wakujących dygnitarstw Załuski; przysadkowaty, w białym mundurze, pokrytym złotem i orderami, a głupawą twarzą i nigdy o niczem nie wiedzący poseł cesarski, de Cachet; rudawy, suchy jak klinga, Stecki, miecznik koronny; Pułaski, marszałkujący konającej generalności; podkanclerzy wielki litewski Plater; powolny na każde życzenie „aljantów“, biskup chełmski, Skarszewski; chwiejny, chełpliwy podskarbi litewski, Ogiński; jowjalny staruszek w ogromnej peruce i z tabakierką zawsze otwartą w rękę, poseł holenderski, Kriegenheim; milczący, arystokratyczny, z oczyma jakby z lodu, szwedzki, Toll, szczerze przyjazny Rzeczypospolitej, a obok niego króla pruskiego pełnomocny de Buchholtz, nieśmiały w ruchach, zatabaczony, źle ubrany i otoczony ogólną nienawiścią, że nawet Podhorski nierad się z nim pokazywał. Był i nuncjusz Saluzzi w purpurze i ze złotym krzyżem na piersiach, smukły, wytworny i pachnący, który pod stu pozorami zbliżał się do Sieversa i, zbywany półsłówkami, przenosił pomiędzy damy swoją purpurę i twarz podstępного arlekina.

Biskup Kossakowski był również, ale trzymał się na stronie, otoczony adherentami: Giełgud, szef 7-go regimentu; Narbutt; X. Wołłowicz, referendarz; Łopot, ex-obożny litewski; Jeziorkowski, generalny sekretarz sejmowy i paru jego krewniaków, ustawicznie mu szepotało jakieś uwagi, na co się tylko uśmiechał, spozie-

rając drwiąco na Sieversa i na cały ten tłum, jakby do niego rozmodlony w bałwochwalczej admiracji.

Zaś Boscamp, prawdziwa „anima damnata“, najmędrszy, najchytrzejszy i najpodlejszy z jurgieltników, wciąż przenosił się z miejsca na miejsce, był wszędzie, gdzie tylko szeptano, i, wężąc niby wyżeł, strzygł tropiącemi oczyma na wszystkie strony.

Było jeszcze wielu innych, zapełniających salony.

I nietylko jurgieltnicy, nietylko oczajdusze, zakładający swoje fortuny i wyniesienia na jego faworach, lecz i zgoła nieskazitelni ludzie, cnotliwi obywatele i dusze oddane ojczyźnie—wiera bowiem w judaszowe „gwarancje“ była powszechna i dla wielu zaślepionych stanowiła jakby dogmat nieomylny, jakby prawdziwego patryotyzmu katechizm.

Nic to, że aljantka zagarnęła najpiękniejsze województwa, że „przyjacielskie“ wojska łupiły kraj niegorzej hord tatarskich, że Igelström poczynął sobie w Koronie obyczajem satrapów, a Sievers bagnetami niewolił Sejmujące Stany do powolności.

Wierzono wciąż niezachwianie w puste słowa gwarancyjnego aljansu.

Nie wierzono już tylko w siebie.

W jakiejś chwili jasnowidzenia pojawił tę prawdę Zareba i już się nie dziwił sromotnemu widowisku, nie szarpał nim gniew i więcej nie bolała hańba, poczuł bowiem — jak kiedy chłop, gdy mu chałupę luty wicher rozwali, a dobro rozkradną złodzieje, czuje, stając na gruzach; w dolę swoją pojrzy, ogrom nieszczęścia zważy i, nabrawszy tchu, splunie w garście, za topór

chwyci a do podźwigania ruiny się weźmie. W tej chwili czuł tak samo i rozumiał, że czego się tknąć—próchno, zgnilizna od samego rdzenia, żrąca pleśń i ruina. Na nowo trzeba wszystko wznosić i od fundamentów.

Praca bezmierna, trud na całe pokolenia, nigdy końca wysiłkom i ofierze, ale rady już nie wiedział.

Chyba śmierć lub haniebne pęta niewoli.

Póki życia, póki tchu ostatniego — potąd walka nieubłagana i potąd nadzieja.

Są przecież, którzy czują tak samo i pragną tak samo; są, którzy już rozmierzają węgly nowego budowania, pracując nad niem żarliwie.

I pora nadchodzi, by krzyknąć: Którzy macie w sercach miłość i wiarę, powstańcie i lejcie krew swoją na zleczenie ran odwiecznych i odkupienie win!

Naraz odezwał się brzękliwy dźwięk gitary. Zaręba jakby się ocknął. Sievers, Buchholtz i de Cachet siedzieli już razem pod portretem Imperatorowej, jakby w krwawym cieniu jej purpurowego płaszcza, a u nóg im pełzało żebracze mrowie, łaszące się o każdy ochłap łaskawości. Gitara znówu zabrzęczała i perlistą fontanną buchnął jakiś głos przecudny:

„Piacer d'amor più che un sol di non dura:
martir d'amor tutta la vita dura.

Tutto scordai per lei, per Silvia infida:
ella or mi scorda, ad altro amor s'affida“.

Śpiewała na środku salonu hrabina Camelli, przebrana za neapolitankę, w krótkiej ponsowej spódniczce i żółtawym gorsecie; na kruczych włosach miała kwadratową chustę w pasy złoto-zielone i w uszach ogrom-

ne, srebrne koła; brat jej, Martini, przedzierzgnięty w lazzarona, wtórował na gitarze, zawracając przytem smolistemi oczyma.

Sievers promieniał uwielbieniem, a za nim wszyscy, akkomodując się dwornie, dawali pozór wniebowziętych. Po każdej więc strofce trzaskaly rzęsiste aplauzy i rośły głośne zachwyty.

Zaręba, korzystając z tego, wyniósł się niepostrzeżenie.

„Martir d'amor tutta la vita dura“.

Leciała za nim słodka skarga hrabiny, obejrzał się tylko za Nowakowskim i kazał śpiesznie jechać do szambelanowej.

W pałacu już nie zastał nikogo: przed godziną pojechali do Pyszek, parę wiorst za miasto i w licznej kompanji.

Maciuś wykręcił na trakt Wileński.

Ale na rogatce czekała go nowa mitrega: szlaban był zamknięty i obsadzony jegrami. Na szczęście miał kartę Cycjanowa, dającą wolne przejazdy o każdej porze dnia i nocy; zabrało to jednak sporo czasu, nim zjawił się dyżurny oficer i rozkazał przepuścić.

— W konie, Maciuś! — krzyknął, gdy się nareszcie znaleźli na wolnym trakcie. Właśnie zabiły ponieszporne dzwony i wiatr rzucił na nich taką ulewę huczących dźwięków, że konie z miejsca poniosły, aż im zagrały wątroby, a przydrożne drzewa jęły uciekać wtył z szaloną szybkością.

— Bimbają, jakby nad generałem! — zaczął Staszek, odwracając się z kozła. Ale Zaręba nie słyszał, zatopiony w medytacjach,

Upał już przechodził, od lasów ciągnęły rzeźwe tchnienia, powietrze było pełne różowych brzasków i lśnień, niebo wisało modrawą taflą, bez chmur.

Droga szła sypana, okolona rowami, z obu stron gęsto wysadzona brzozą i bardzo szeroka. Wsie były dosyć gęste, tylko ledwie dojrzane z sadów i zarośli, sporo też ludzi snuło się po drogach i powracało z miasta, ale było tak jakoś pusto, cicho i tęsknie, aż Staszek mruknął:

— Jakbym jechał na postną stypę, już mi się na płacz zbierał

Maciuś się nie odezwał, zajęty prażeniem lejcowego za ciągle wpadanie w żydowski galop.

— Obóz, proszę pana porucznika! — meldował naraz Staszek, wskazując na lewo. Jakoż za niskimi krzakami zabelwały gęste rzędy namiotów; na szerokim majdanie kurzyły się liczne ogniska, otoczone przez kupy żołnierstwa i brząkały bałabajki.

— Czy to armaty tam pod drzewami?

— Tak, proszę pana porucznika. Stoją w zielonych giezłeczkach, jak sierotki od Dzieciątka Jezus za procesją w Boże Ciało. Żeby tym panienkom zadać czopki, gdzie trzeba, nie czekałyby długo na połów! — śmiał się w kułak.

— I za nimi stoi widać jakaś konnica? — zdziwił się niezmiernie.

— Smoleńskie dragony — wtrącił Maciuś, powstrzymując nieco konie. — Rychtyk, poznaję po gnidoszach. Kamraty powieadały, jako wczoraj przywalilo ich całe trzy szwadrony. To ci sami, którzy łoni kon-systowali w Krakowskiem.

— Zostają w Grodnie, czy ciągną dalej?

Ale Maciuś nie umiał dalej objaśnić, więc Staszek wyrwał się skwapliwie:

— Wartałoby dostać języka! Jabym, proszę pana porucznika, sprawił się w mig...

— Swędzi cię skóra? Nie próbowałeś, widzę, kozackich nahajów?

— Nie zdarzyło się jeszcze, smakowałem tylko w naszej rodzonej leszczynie, czego mi nie żałował! Ale jabym się sprawił chybcikiem! Trajluję po ichniemu, że nie zniuchają, djabeł czy jego ciotka! Przecież przez cały czerwiec markietanowałem po ich obozach pod Warszawą. Pan kapitan może poświadczyć, jak wszystko regularnie spenetrowałem. I na pamiątkę puściłem im czerwonego koguta! Hil hil

— Cóż to znaczy? nie rozumiem.

Patrzył na niego bardzo życzliwie.

— Że to niby niechcący naumyślnie skurzyły się ich magazyny z furazamil! Na ratunek nie leciałem, bo to wzbronione postronnej publice, wolno tylko bronić sposobnym i którzy do tego przez samego Igelströma wyznaczeni.

— Djabeł w warszawskiej osobie! — bąknął Maciuś, spluwając od uroków.

— Takaś to facies?—szepnął z uznaniem Zaręba.

— Aż wszystkie jurydyki pękały ze śmiechu, bo magazyny były pełne, czegoś się nikt nie spodział. Przy tej okoliczności poszły też z dymem żołdackie baraki, że od przypieczonych kozackich schabów zrobił się fęor na całą Pragę. Powiedział Szmulowicz, ich główny

markietan, jako sam Igelström rwał sobie resztki kłaków z żalości. Hił hił bo też skwierczały w ogniu chudziaki, jakby naszpikowane. Psi mieli niezgorszą uciechę!

— Masz wilcze serce, mój Staszku! — zauważył dosyć chłodno.

— Z wrogiem się ceckał nie będę. Naszych też nie szczędzą!

— Muszę się sprzęgnąć do roboty z Kacprem — wyrzekł po długiej chwili.

— Lubię do pary, ale tylko w sztajerze. Wedle rozkazu pana porucznika — dorzucił śpiesznie, zobaczwszy groźną zmarszczkę na jego twarzy.

Dosięgli wreszcie Pyszek, a raczej ogromnej karczmy, stojącej na ostrem załamaniu drogi, pod starym, wyniosłym lasem. Już tam stały wyprężone pojazdy i część służby, porozdzielana do koszuli, grała w karty pod drzewami.

Rudy żyd, karczmarz, kłaniając się jarmułką, objaśniał, że piknik odbywa się nad rzeką i ruszył wskazywać drogę. Zaręba zabrał ze sobą Staszka, który jakoś żałośnie zezował ku flachom, stojącym przy graczach.

I zaledwie weszli na wąską, leśną drożynę, dosyć gwałtownie spadającą do Niemna, gdy doszły ich grania fletów i śpiewy.

Socjeta bowiem rozłożyła się tuż za lasem, na wielkiej polanie, pokrytej bujną trawą i porośniętej rzadko stojącemi dębami. Niemen połyskiwał w dole modrą i krętą drogą, po której tu i owdzie bieleły się ogromne płachty żagliów. Czas był cichy, przedwieczorny, słońce wisiało już nisko nad lasami, że dęby

kładły długie cienie, a powietrze, przesycone oroszonym zapachem nagrzanym lasów, było pełne mgiełek, włóczących się po nizinach błękitnawymi welonami.

I w tej upajającej cichości, nakrytej przez czystą kopułą nieba, wybuchał chór cudnych, dziewczęcych głosów i śpiewał srebrzystą kaskadą przy wtórze fletrowersów i dalekich, zamierających dzwoniemiach.

„Il pleut, il pleut, bergère,
Presse tes blancs moutons;
Allons sous ma chaumière,
Bergère, vite, allons!“

Wołały czułe głosy i chór, kołysząc się rytmicznie w pośrodku polany, niby grzęda kwiatów pod powiewem, powtarzał co pewien czas tę zwrotkę, a Terenia, stojąc na przedzie, wybijała takt laską i wiodła piosenkę niezmiernie wysokim i ślicznym głosem.

Wszystkie były przebrane za pasterki, w jasne, krótkie sukienki przepasane szarfami, w słomiane wielkie kapelusze, zawiązane pod brodą; miały w rękach wysokie trzciny, przyozdobione pękami wstążek i złożone koszyczki, przewieszane przez ramiona.

Muzykanci, skryci w jakimś krzaku, że im tylko wystawały głowy, zwieńczone kwiatami, przygrywali na fletrowersach i piszczałkach.

Zaręba, porwany nadzwyczajnym aspektem, ruszył śpiesznie ku nim, ale osadził go na miejscu i zawrócił głos szambelanowej.

— Czekaj! — szepnęła tkliwie, wskazując miejsce przy sobie.

Przysiadł radośnie. Grupy strojnych dam i świetnych kawalerów, jakby wycięte z ostatnich paryskich kopersztychów, krążyły cicho rozszeptane; gdzie czuli Celadonowie rozciągali się na trawie u nóg swoich Astrei, siedzących na kobierczykach i poduszkach; rozamorowane pary promenowały po peryferji wielkiego koła, chytrze cyrkulując ku niedalekim gąszczom; niektórzy zabawiali się w jakieś gry srodze hałaśliwe; jeszcze inni próbowali tańcować, ale większość miała twarze znudzone, ospałe ruchy i żalosne spojrzenia. Napróżno kapela wygrywała skoczne dryganty, sztajery i menuety, liberja, w białych, kosmatych surdutach, niestrudzenie roznosiła słodkie muszkatele i alikanty, a czarujące gospodynie usiłowały ożywić gnuśną zabawę — nuda nie dała się rozproszyć.

Nie pomogły nawet bałabajki, chóry i trepaki grenadjerskich gemejnow, sprowadzone przez von Bluma i jego przyjaciół. Dostały estymacyjny aplauz i garść dukatów za swoje wrzaski niehumanitarne i dzikie skoki, nie zdoławszy nikogo prawdziwie usatysfakcjonować.

Nie rozśmieszał również słynny baranek pani Nowakowskiej, który wyzłoconemi rogami trykał zuchwale każdego, kogo mógł tylko dosięgnąć, ku słodkiej radości swojej pani, obsypującej go co chwila pieszczotami.

— Ale co robi Woyna przy tej zwiędłej Klelji? — dziwił się Zaręba.

— Nawraca ją na cnotę, na złość braciom Krotowski.

— I jakąż rolę gra to rogate bydlę! — wskazał baranka.

— Nie myślisz przecież o mężu? — zaśmiała się ironicznie.—Baranek to jej wierny przyjaciel, nigdy się z nim nie rozstaje, nawet wizytuje w jego asyście.

— Imaginuję sobie ten aspekt!—śmiał się ironicznie.

— Wkracza do salonów, niby zwycięska Aurora; biały baranek w złotych lejcach na przedzie, a z boków jej nieodstępni wielbiciele, bracia Krotowscy.

— Byłoby jeszcze ucieśniej, gdyby jeździła w tych trzech osłach.

— I często ją widują w okolicznych boskietach, błądzącą z barankiem, jakby szukała czułych berżerków i słodkiej solitudy w ustronnych kabankach.

— Łacno znajdzie, czego szuka: tyle obozów w okolicach Grodna!—drwił rubasznie.

Obrażona jego słowami, szepnęła z żalosnym wyrzutem:

— Tylko kobieta może śnić o szczęściu au pays du tendre!

— Ach!—podchwycił złośliwie—tam, gdzie płyną te czarowne rzeki: Estime, Inclination, Tendresse! Tam, gdzie to parfait amour prowadzą des billets doux, petits soins, a zwłaszcza szczodre cadeaux! Znam ja te bałamutnie.

— Jota w jotę to samo powtarza szambelan — odparła wzgardliwie.

— Jakże jego zdrowie?—rzucił z uśmiechem.

— Spytaj się Tereni, a mnie menażuj!

Orzechowe, tygrysie oczy zapłonęły gniewem i ru mieniec opylił jej policzki, ale on, nie zważając na je oburzenie, wskazał jakąś grupę dam i spytał:

— Któż to ta cudna blondyna? Ależ prześliczna!

— To Chapeau à l'anglais et Châle de Casimirs! Spojrzał, nic nie rozumiejąc.

— No tak, a tamta obok, drobna i ruchliwa, to Capote en crêpe amaranthe; trzecia, brunetka z orlim nosem, to Chapeau de velours à fond plissé, zaś czwarta to Spencer de linon i Capote de taffetas. Nazywam stroje, gdyż wszystko, cobym rzekła o personach, może ci się znowu wydać bałamutnią, godną jedynie drwiny—mówiła zjadliwie.

Nim zdążył odparować ten mściwy sztych, zerwały się wrzawy. Kapela buchnęła fanfara, w lesie trzasnęły salwy karabinowe, sperlone kielichy szampańskiego jęły gęsto krążyć, a von Blum wiwatował ognisćie na cześć dam, biorących udział w pikniku. Jeszcze nie przebrzmiały rześiste brawa, gdy Woyna zadzwonił laską w kryształową wazę od ponczu.

— Woyna odpowiadał Cicho! Woyna wnosi toast!—wołano zewsząd, otaczając go zwartem kołem.

Woyna wstał ociężale i, podnosząc filiżankę, zawołał:

— Chciałem tylko prosić o cukier do czarnej kawy!

Po chwilowem osłupieniu, wybuchnęły szalone śmiechy, a Terenia, przypadłszy do Zareby, zaczęła gorączkowo molestować:

— Mój złoty, niech Woyna odpowie Blumowi. Przecież Blum urządzał piknik i pił nasze zdrowie i należy mu się podziękowanie. Byłoby niepoczciwie. Niech pan idzie ze mną i prosi. Tylko prędko!

Rad nierad musiał jej posłuchać, ale Woyna, rozpowiadający właśnie jakąś facecję, od której słuchacze pękali ze śmiechu, ani chciał słuchać o toaście.

— Jaki niedobry! Jaki niegodziwy! Jaki... powiem Marcinowi... niech on... — szeptała, połykając łzy, i na piersiach szambelanowej wypłakała swój gorzki zawód, wyrzekając na wszystkich, przyczem dostało się i Zarębie. — To pan powinien. Zawsze oficer odpowiada oficerowi. Żeby był Marcin!.. W Kozienicach to sam papa pił zdrowie huzarów!

— Żeby tu miał swoją baterję, tobym im zawiatował!

Pokazała mu koniuszczek języczka i ponieważ zabrzmiały pierwsze dźwięki angleza, wytarła śpiesznie oczy, poprawiła kapelusza i po chwili już tańczyła w pierwszą parę z von Blumem, różowa, uśmiechnięta i tak cudna w płasach, dygach i minach, że porywała wszystkie oczy.

— Terenia nie na żarty zajęta tym dragalem.

— Zwykły marivaudage, cał zabawny a niegrzeszny.

— Mam o tym oficerze relacje, godne ostatniego huncwota.

— Ależ to najtkliwszy z trubadurów, sama wzniosłość. Uwielbia go.

— Wszak ma narzeczonego, którego pono kocha—zauważył surowo.

— Cóż to przeszkadza? — Będę broniła świętych praw miłości — rzekła wyzywająco, wpierając się ramieniem w jego pierś, gdyż znowu siedzieli przy sobie,

na kobiercu. Zadygotał i, zazierając zbliżając w jej twarz nieprawdopodobnie piękną, szepnął z bladym uśmiechem:

— I nie wódź mnie na pokuszenie!

— Pragnęłam, abyś przyjechał

Przymknęła oczy, wysuwając nabrzmiałe usta, podobne do napiętego łuku. Dyszała coraz szybciej.

— Myślami byłem zawsze przy tobie!—wymówił ledwie dosłyszalnie.

— Pozostań, nie odchodź, pozostań przy mnie!—rwały się ciche, palące słowa.

Podniosła nagle powieki, zatapiając w nim ogniste szpony oczu, aż cofnął się mimowoli, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza, i rzekł smutnie:

— By znowu być wypędzonym z rajul

— Wszystko się stało malgré moi. Ani wiesz, w jakich żyję supirach, ani wiesz!

— A ja! A ja! — jęknął, pobladły śmiertelnie, i chwycił się za serce.

— Uwielbiam cię! Muszę ci dzisiaj wszystko opowiedzieć. Wszystko! Poświęć mi dzisiejszy wieczór... Powstańmy, idzie ku nam pani Ożarowska i hrabina Camelli.

— Jakąż nową kabałę mi gotuje?—pomyślał, odstępując nieco, gdyż grono dam, przybyłych z przyjęcia u Sieversa, otoczyło szambelanową. Patrzył na nią znacznie chłodniej, jakby oprzytomniony jej namiętne półśłówkami, w które nie wierzył i sama ich pamięć sprawiała mu przykrość.

— Kłamała, jutro to samo powie drugiemu. Rozeszła się z Cycjanowem i mniema o mnie, że w braku laku dobry i opłatek. Nazbyt zadufana w moce swoich wdzięków—przeżuwał posępnie.

— Cóż, rycerzu — zaszeptał Woyna, przystępując do niego—twierdza wywiesza białą chorągiew i gwałtownie pragnie kapitulować.

— Stare fortele dla pognębienia łatwowiernych—odparł tym samym tonem.

— Nieżle filujesz miłosne karty, mógłbym zagrać va banque!

— Gdyby mnie nęciła wygrana — uśmiechnął się apatycznie.

— Jakże ci się dzieje w Grodnie?—zaczął z innej strony.

— A tłukę się, jak Marek po piekle. Jak wiesz, byłem na sejmie, byłem dzisiaj u króla, byłem nawet u Sieversa. Patrzę, słucham, rozważam i zaczynam mniemać, że albo ja jestem niespełna rozumu, albo powszechność.

— Dlaczego? Rezolwuj powiedzieć prawdę.

— Znasz ją lepiej ode mnie — rzekł smutnie. — A na dobitkę, przed godziną widziałem prawie całą Rzeczpospolitą u nóg Sieversa. Ale ożeniłem swoją rozpacz z nadzieją i tem salwuję zmysły.

— Nie pora i miejsce na dyskursy w tej materji—zauważył ostrożnie Woyna.

— Tem wykrecają się wszyscy od spojrzenia prawdzie w oczy.

— Bo może i lepiej nie znać jej spojrzenia. Jakże znajdziesz piknik?

— Nad wyraz nudnym. Przynajmniej dla mnie.

— Masz rację, chociaż von Blum i jego kamraci nie szczędzą trudów i ekspensów, aby piknik zrobić prawdziwie champêtre.

— Tandem zabawiamy się dzięki ich wspaniałomyślnej łaskawości.

— Książę Cycjanow, Blum, Arseniew i inni tegoż autoramentu rycerze zapragnęli się odwziąć całą socjecie za ciągłe bale i asamble.

— Jacy poczcwiwi, ale odbijają to sobie i jeszcze z dobrym profitem. Blum ma już nawet niezłą eksperjencją.

Opowiedział jego historję z Karpińskim.

Woyna nie wziął jej zbyt do serca, tylko, podparwszy wargę złotą gałką laski, zauważył jadowicie:

— Z tego konkluzja, że Blum jest „czynnym obywatelem“. Tak nazywają Rojaliści Jakobinów i złodziejasków. A gdzieś powiedziano: „Kto nie łupi ze skóry bliźniego, ten będzie złupiony“. Nie wiem, czy moja cytacja jest wierna, muszę się o to spytać biskupa Kossakowskiego. Ale, pójdźmy złożyć powinne hołdy pani Ożarowskiej.

Zastąpiła im drogę panna Terenia, impetycznie napadając na Zarębę.

— To waćpan tak się mną opiekujel — wołała krotochwilnie.

— Musiałem ustąpić przed kapitańską szarżą. Gdzie mi się równać z von Blumem!

— Aha, teraz wiem, co w trawie piszczy! Zaraz powiem Izie, jaki waćpan dla mnie czuł!

Dygnęła z komiczną przesadą i poleciała.

— Biedny Marcin, jeśli ją bierze na serjo! Jej tylko w głowie zabawy i amuretki.

— Wszystkie takie same — syknął Woyna z nienawiścią. — Coraz więcej admiruję rozum Mahometa. To jedyny z mędrców, który pojął naturę kobiety i dał, czego jej było potrzeba: haremowe więzienie, a w perspektywie stryczek. Kobieta jest najpiękniejszym tworem natury, ale szkoda, że również nieudany.

— Starościc znowu coś wygaduje na kobiety! — zaśmiała się Ożarowska, zbliżając się do nich w otoczeniu dam i całego dworu młodzieży i oficerów.

— Właśnie słauiłem Mahometa i rozkosze haremów.

— Więc pan nienawidzi kobiet? — pytała hrabina Camelli.

— Z rozpacz, że nie mogę wszystkich naraz uwielbiać!

— Za taką nienawiść powinien być skazany na dożywotnie małżeństwo.

— Litości, kara zbyt okrutna! — wołał jakiś fircyk we fraku „zebré“.

— Nudna i przytem całe w złym guście! — wyrokował jeden z braci Krotowskich.

— Waćpan naprawdę słaui haremy? — napierała księżniczka Czetwertyńska.

— Lubię przywileje, które mogę utrzymać batem i pieszczotą! — drwił już po swojemu, puszczając takie

szmermele dowcipów i złośliwości, że śmiano się powszechnie, mimo ich kolącej zaprawy.

Szambelanowa, przysunawszy się do Zaręby, szepnęła:

— Chciałabym wyjechać prędzej i niepostrzeżenie.

— Czekam twojego skinienia!

I gdy odeszła, przywołał Staszka, który coś zbyt zarliwie gospodarzył przy zielonej „teledze“, gdzie były zapasy oficerów.

— Niech Maciuś będzie gotowy każdej chwili!

— Kiedy proszę pana porucznika—spojrzał z rozpaczą na antały — kiedy ma być jeszcze iluminacja... kiedy...

Jezyk mu się już plątał, ale, spotkawszy chmurny wzrok, sprężył się i odszedł krokiem wojskowym.

Zaręba chciał się odsunąć od towarzystwa, lecz co chwila ogarniały go różne grupy i musiał rozmawiać, prawić komplementy, ścisnąć jakieś dłonie i pić, pomimo że nudziła go cała zabawa, drażniły rozwzdzięczone damy, a ci Sieversowi oficerkowie butni, przesadnie szarmanccy dla dam, a zbyt protekcyjnalni dla mężczyzn, doprowadzili go do gniewu. Wkońcu już rozmyślnie rzucał im gryzące, urągliwe słówka, potacał łokciami, a przy najbliższej oznace niecierpliwości kładł wyzywająco dłoń na rękojęści szpady. Zwłaszcza bolał go do żywego Blum, nie odstępujący ani na chwilę Tereni, ale i ten, pomimo wyraźnych zaczepów i docinków, nie dał się wyprowadzić z równowagi, przyjmując wszystko pobłażliwym uśmiechem. Dał im wreszcie spokój, pod wpływem namiętnych spojrzeń

szambelanowej, która jakby nad nim czuwała z nie-zrównaną tkliwością, mistrzowsko przytem grając uwielbienie i miłość, gdyż co chwila znajdowała się na jego drodze, wciąż spotykał jej miłujące oczy, wciąż brał słówka, dyszące żarem i rzucane w przelocie; to poczuł dotknięcie jej dłoni, lub musnęły go pachnące loki, to wyróżniała go w tak znaczący sposób, że budziły się powszechne szept i zazdrosne spojrzenia kawalerów, zakładających nadzieję na spadek po Cyrcjanowie. Nawet chwilami sprawiało mu to radość i wtedy triumfująco toczył oczyma po twarzach rywali, ale jeszcze częściej przyjmował te wyznania z niechęcią i niepokojem.

— Nęci mnie, jak dziecko figa!

Ledwie pomyślał, gdy stanęła przy nim.

— Za chwilę będą jakieś siurpryzy, a potem się wymkniemy. Milczysz?

— Modłę się do ciebie! — z trudem złożył ten gładki a kłamliwy frazes.

— Masz w moim sercu świątynię! — wionął jej szept i odeszła.

— Raczej tam oberża, gdzie popasa, kto chce! — rozmyślał, zastanawiając się równocześnie, skąd się w nim bierze ta dziwna złość i rozdrażnienie, gdy o parę kroków ukazał się Nowakowski. Obok niego szedł jakiś jegomość z brzuchem beczkowatym i gębą świecąca się, jak miska zrumienionego masła; miał na sobie płócienny kitel, przepasany prostym, rzemiennym pasem, u którego wisiała szabla w czarnej, żelaznej pochwie. Szlachcic miał minę kutego franta i sejmiko-

wego opoja, lecz, zobaczywszy damy, zdjął wyszarzaną czapę, musnął konopne wąsiska i kłaniał się na wsze strony. Smukły pacholik, w granatowym żupaniku i z twarzą cherubina, trzymał się jego boku.

Nowakowski szepnął coś Blumowi, a ten uprzednie podszedł do nieznanego.

— Prosimy do kompanji, na podwieczorek!

— Z kimże mam honor? Jestem Kulesza, stolnikowicz liwski, a to mój syn!

— Sjadajże waszmość, bez ceregieli! — zapraszał zniecierpliwiony Nowakowski.

Musieli jednak się zaprezentować i przedstawić go damom; cmokał w rączki wszystkie pokolei, aż do pokojówek, tylko że pierzchnęły na strony.

— Ptaszyny nieskubane zawsze są płochliwe. Jasiu, puc dobrodziki w rączki!

Jasio, rozczerveniony jak piwonja, dziw, że się nie rozbeczał z onieśmienia, lecz pod srogiem okiem rodzica całować musiał, aż damy wzięły go pomiędzy siebie i, admirując jego urodę, jęły go paść cukrami, niby ptaszka, głaskać, a wkońcu i całować bardzo tkliwie.

— Musi nas waszmość dogonić! — śmiał się Blum, nalewając Kuleszy wielki kielich.

— Ex fructibus eorum cognoscetis eos.

Młasnął językiem o podniebienie, jakby kto strzelił z bicia i połknął kielich.

— Fraszki małe ptaszki! Nie z takimi miewałem sprawę. Mogę wyciągnąć ten antał do ostatniej kropli,

nie odejmując gęby — wskazał spory półbeczek, leżący na koziołkach.

— Trzyma z pięć garncyl

Wziął go za wątory i zważył.

— Wypijesz waćpan? — zawołał Woyna zdziwiony. — Jednym tchem.

— In magnis et voluisse sat est. A kto chce, dokona — rzekł chełpliwie.

— Łacina przednia, brzuch bernardyński, ale za kła¹, że waćpan nie zmoże.

— Trzymam, że wypiję! — wyciągnął rękę, mrużąc chytrze zapuchłemi oczkami.

— Stawiam dwadzieścia pięć dukatów contra! — gorączkował się Woyna.

— Ja stawiam za nim! — zawołał Blum, zawsze skory do azardów.

— I ja! i ja! — ozwały się liczne głosy. Otoczyli go ze wszystkich stron, zbiegły się nawet damy, rozpytujać z ciekawością, co by się stało?

— Mości panowie, nóżki na stół! — krzyknął Woyna, syjąc do jakiejś czapki swoje dukaty; za nim poszli drudzy, że po chwili zebrało się pięćdziesiąt cz. złotych.

— Przyjmujesz asan zakład? W puli jest pięćdziesiąt czątychl

— Przyjmuję! Pecuniae oboediunt omnia — wyrzekł uroczyście.

— Wypijesz — dukaty twoje, a nie, to pięćdziesiąt odlewanych bizunów wrzepimy aspanowi. Oto nasze warunki! — wyrokował stanowczo Nowakowski.

— Zgoda, ale baty na kobiercu. Szlachcic jestem, jak i waszmoście...

— Dobrze! Bierz się aspan do dzieła! Jużci, że na kobiercu!—wołano.

Odwrocił się, by rozpiąć pas i hajdawery, szablę wetknął w ziemię, zawiesił na niej czapę i, zasiadłszy na trawie, kazał sobie podłożyć pod łopatki zwinięty w rurę kobierczyk.

— Te, chamy, odbijać szpunt! — krzyknął zgóry na służbę.

Staszek wyciągnął go sprawnie i podał beczułkę.

Kulesza się przeżegnał, chwycił antał za wątory i, podniósłszy go nad usta, przechylił się nieco wtył i jął wlewać w siebie wino.

Zrobiło się cicho, nawet muzyka umilkła, wszyscy się zbiegli na to widowisko, wlepiając w niego oczy, a on pił i pił, robiąc jeno grdyką i sapiąc, przechylał się coraz bardziej, aż wsparł się plecami o kobierczyk i ciągnął coraz wolniej.

Oczy mu już wyłaziły nawierzch, pot rzęsisty oblewał posiniąłą twarz, żyły na szyi nabrzmięwały, niby postronki, a brzuch pęczniał z przerażającą szybkością.

Scena z krotochwilnej stawała się tak wstrętą, że damy pouciekały, zaś młodzież z niepokojącym biciem serca wyczekiwała tej chwili, gdy Kulesza dopił ostatniej kropli, antał odrzucił i zabełkotał:

— Nil admirari! Słowo się rzekło, kobyłka u płotu Jasiu, czuwaj!

I zwałił się na trawę śmiertelnie pijany.

Pacholik czapkę z dukatami podsunął mu pod głowę i jął żdźbłem trawy ekscytować gardziel ojcowską, aż dobroczynny skutek nastąpił.

Wszyscy odsunęli się z obrzydzeniem, tylko jeden Staszek z dziwną troskliwością okrywał pijanemu twarz połą kitla, sięgając zarazem do dukatów, ale Jasio warknął groźnie:

— Nie ruszaj, bo po łbie oberwiesz!

I buńczucznie chwycił za szerpentynkę.

— Żeby się tylko nie dopił Królestwa Niebieskiego — kłopotał się Zaręba.

— Wyśpi się i jutro znowu będzie gotów! Ma spust, niech go kule biją.

— Opój to znany w całej Rzeczypospolitej! Wprawił się pono pod protekcję samego ś. p. księcia Panie Kochanku! Ale majster! — zdumiewał się Nowakowski.

— Skądżeś go waszmość wytrzasnął?

— Z pod karczmy, prawili mi takie facecje i tak szpikował łaciną, że zabrałem go dla rozweselenia towarzystwa. Nie myślałem, że on aż taki gracz! Dokąd jedziecie?—zwrócił się do chłopaka.

— Na sejm do Grodna — odparł, szorując chustą oblicze ojcowskie.

— Znajdzie godnych kompanjonów, ale wątpię, zali go kto przepije!

— Są jeszcze sławne gardziele, zwłaszcza pomiędzy szaraczkami. Mniemam też, jako Podhorski mógłby z nim stanąć do rozprawy.

— Pięć garncy borgońskiego jednym tchem nie wypije. To proste bydlę z tego stolnikowicza—syknął z obrzydzeniem Woyna i poszedł wraz z Zarebą do pań, wielce zafrasowanych kaprysem księżniczki Czetwertyńskiej, której gwałtownie zachciało się świeżego mleka. Blum był zrozpaczony, gdyż mleka nie było w zapasach, ani nawet w karczmie. Na szczęście ktoś rzucił projekt sprowadzenia krowy z najbliższego pastwiska.

Pobiegło na tę bohaterską wyprawę trzech Krotowskich z paru oficerami, a po jakimś czasie ukazali się na polanie, pchając jakąś ryczącą krowinę; za nimi leciała, lamentując w niebogłose, pastuszka z rozwianymi włosami.

— Jest mleko! — wołał triumfująco Blum — ale kto je wydoi?

— Naturalnie, że ja sama — oświadczyła rezolutnie księżniczka.

— Fe, ależ ona okropnie pachnie oborą! — krzywiła się pani Nowakowska.

— Nawet w romansach krowy nie pachną liljami—zauważył drwiąco Woyna.— Można ją wreszcie skropić wonnościami, to będzie bardzo poetycznie.

Jakoż istotnie wymyło jej wymiona larendogłą i całą zlano wonnościami ku powszechnemu roztkliwieniu a wielkiej ucieście służby. Szczególniej Staszek, stojący za swoim panem, wprost pękał od konwulsyjnego śmiechu.

— Proszę pana porucznika, bo się wścieknę... O mój Jezu, że to moje grzeszne oczy jeszcze się czegoś podobnego doczekały! O psia twarz! hi! hi!

Krowę wprowadzono ceremonjalnie na rozpostarty kobierzec, służba przytrzymała ją za rogi, grzbiet i ogon, księżniczka siadła pod nią na stosie poduszek i wśród nabożnej ciszy zaczęła doić do jakiejś wazy.

— Boski obraz! Sublimel! Czarująca! Invoynable! — sypnęły się naraz zachwyty, gdy księżniczka, nadoiwszy z pół wazy, uniosła ją do góry i zawołała:

— Kto pragnie, tego napoję prawdziwym nektarem!

Naturalnie zapragnęli wszyscy, lecz tylko niewielu dotknęło ustami świętej czary i piło jakby w ekstazie wniebowzięcia i nieopowiedzianej szczęśliwości, a kiedy przyszła kolej na Woynę, ten zauważył:

— Przedziwna przemiana: krowa czarno-biała a mleko fiołkowe!

— Prawda! Ależ to cud! Niebywałe! Mleko fiołkowe! — zdumiewała się powszechność.

— I nawet pachnie fiołkami — dowodziła z powagą pani Ożarowska.

— Księżniczka doła w rękawiczkach i puściły farbę — zaśmiał się Woyna.

Księżniczka podniosła ręce. Jakoż długie, fiołkowe rękawiczki, haftowane złotem, były na palcach i dłoniach już prawie białe, puściły od mleka.

Zaperliły się dyskretne chichoty, a Woyna znowu rzekł:

— Tak się kończą wszelakie cudowności.

— Obrzydliwy wolterjanin — szepnęła srodze dotknięta pani Nowakowska.

Juści, że natychmiast mleko wylano na ziemię i krowę odpędzono ze wzgardą. Ale ktoś zauważył pastuszkę, stojącą jakby w osłupieniu pod dębem.

— Śliczna dziewczyna! Czyjaś ty?

— A tatusiowa! — skoczyła do krowy, szczypiąc trawę o parę kroków.

— Przebrać ją, a dałaby obraz leśnej Driady — powiedziała hrabina Camelli.

Panie, pochwywszy wlot ten pomysł, złapały dziewczynę, powiodły w gąszcze i, mimo jej wrzasków i płaczów, przebierały śpiesznie na nimfę.

Tymczasem słońce już zaszło, białawe mgły zalewały polanę, mrok obtulał lasy i rozpełzał się po nizinach; zapalono wielkie ogniska, bijące skołtunionami chłustami dymów i płomieni. Gdzieś od Niemna rozlegały się przeciągłe porykiwania krów spędzanych i dalekie, ściszone śpiewania.

Towarzystwo zaczęło zbierać się do odwrotu i powstawały krzyki na służbę, szukanie zagubionych rzeczy i bieranina, pełna śmiechów i zamętu.

Zaręba był już mocno zniecierpliwiony daremnie wyczekiwaniem na znak od szambelanowej, ale jeszcze czekał, trzymając się jej zbliśka, chociaż nie zamieniła z nim ani jednego słowa, wielce rozbawiona otaczając ją młodzieżą.

Już ruszali ku karczmie i powozem, gdy naraz z gąszczów wyblysnęło kilkadziesiąt pochodni, a w ich płomiennem obramieniu pokazała się kapela Faunów i, dmąc ze wszystkich sił w piszczałki, wiodła w pośrodku zasromaną i nieprzytomną pastuszkę, przybraną

za nimfę; na lnianych, rozpuszczonych włosach miała wieniec kwiatów; była prawie naga, pokryta jeno girlandami z traw i zieleni; sukieneczyna, podpięta z boków nad kolanami, odsłaniała jej chude i brudne nogę. Szła pełna lęku i oszołomienia, łyzy ryły po jej twarzy wyróżowanej głębokie brózdki, ale niebieskie oczka świeciły zachwyceniem i na otwartych ustach kwitnął uśmiech dziecinnego oczarowania.

Obraz, pomimo dziwaczności, był zgoła niepowszedni, a pastuszką tak pełną dzikiej piękności i spłoszonego wdzięku, że porwały się brawa i krzyki zachwyty.

— Poproście cudowna! Trzeba ją zabrać do Grodna — zawyrokowała pani Ożarowska.

— Złowiliśmy leśną rusałkę i zawieziemy ją całą kawalkatą pani Dziekońskiej.

— Aniby kto zdołał wyimaginować na kopersztuchu coś piękniejszego! — wołano.

Nikt już nie zwracał uwagi na śpiącego w trawie Kuleszę, ni na Jasia, który przy nim siedział.

Spłynęli z polany wzburzoną falą i mroki leśne rozedrgały się migotem pochodni, świegotem fletrowersów i wrzawą podnieconych głosów.

— Czekam na ciebie. O północy będzie światło od ogrodu. Kocham! — posłyszał naraz Zaręba i zaraz jakieś palące usta spadły na jego usta w tak straszliwie żarłocznym pocałunku, aż zabrakło mu tchu i w oczach zaiskrzyły się gwiazdy.

Po chwili znowu szedł leśną drożyną. Szambelanowa rozwiła się w ciemnościach i tylko usłyszał

jej srebrzysty śmiech gdzieś w pośrodku towarzystwa.

Obejrzał się trwożnie; był sam, nawet Staszek raptem gdzieś zniknął.

Przed karczmą już stały gotowe pojazdy; do pierwszego wsiadła szambelanowa wraz z panią Ożarowską, ks. Czetwertyńską, hr. Camelli i z nimfą, którą troskliwie usadziły między sobą; reszta siadała, jak się komu podobało.

Pojazdy wyciągnęły się długim gąsiorem, a każdy był poprzedzany przez dwóch konnych hajduków z pochodniami w rękach i czerwonego kapelistę z gotowemi trąbami przy wargach, którzy na jakiś znak huknęli triumfalną fanfarę i całą kawalkata sprawnie ruszyli.

Było już zupełnie ciemno. Noc szła cicha, przejęta pachnącą wilgocią łąk i nagrzana; białe pnie brzoź przydrożnych i obwisłe wisiory gałęzi majaczyły sennie w blaskach pochodni; w bliskich wioskach psy zajądły naszczekiwały.

— Jezus Marya! — wrzasnęła naraz pani Ożarowska, rzucając się w tył, gdyż nad drzwiczkami pokazała się jakaś rozkuślana głowa i jęknął płaczliwy głos.

— To moje dziecko! Oddajta mi dziecko!

— Głupi pejsanie, przyjdź jutro do pałacu, to odbierzesz swój skarb! — ofuknęła, wtykając mu w rękę dukata, lecz równocześnie Blum natarł na niego koniem i, ściągawszy harapem przez plecy, krzyknął rozniewany:

— Poszoł won, a to zatłuc każdego!

Chłop z jękiem zwałił się na ziemię. Odpowiedział mu rozdzierający krzyk z powozu, lecz wszystko utonęło w grzmiących dźwiękach trąb, w turkotach i końskich tętentach.

Zaręba, jadący prawie na samym końcu, tak był pogrążony w miłosnych rozważaniach, że nawet nie poczuł, gdy Maciuś raptownie wstrzymał konie.

Bowiem na przodzie kawalkaty powstało zamieszanie: pochodnie się skłębity i pojazdy śpiesznie zjeżdżały na bok, gdyż naprzeciw, od Grodna, pędził całą szerokością drogi oddział jakowejś jazdy.

— Wali na nas konnica — meldował Staszek — kozunie eskortują kibitkę.

Już czarna chmara pędzących jeźdźców była o kilkadziesiąt kroków, gdy naraz wyrwał się z niej ogromny, rozpaczliwy krzyk:

— Pomocy! Ratunku!

Zaręba odruchowo chwycił za rękojeść i rzucił krótki rozkaz:

— Na lewo, zastaw barjerą, w konie!

Maciuś zebrał lejce, skrzył z miejsca, konie podewrał i runął koczem pod nadbiegającą kupę; równocześnie huknął strzał, dyszlowy u kibitki zwałił się na ziemię, reszta się splątała i powstał nieopisany wrzask i tumult.

— Ratunku! — zacharczał po raz ostatni przydużony głos.

Zaręba ze Staszkiem skoczyli ku kibitce, ale zastąpiły im w porę rury karabinów, mur piersi końskich i rozwścieczony głos oficera:

— Z drogi! Sztafeta jej Imperatorskiej mościł Z drogi tam, bo każę strzelać!

Niepodobna było już marzyć o odbiciu wiezionego. Przyjechał Blum z towarzyszami, rozbłysnęły pochodnie, odcinano postrzelonego konia, zaś oficer eskortujący krzyczał, wymachując groźnie pięściami, ale Blum jakoś łacno go udobruchał i wkrótce kozacy zwarli się dokoła kibitki, świsnęły nahaje, oddział śpiesznie ruszył i przepadł w nocy.

— Konie się zestrzchały, ledwie powstrzymał — odcęwał się spokojnie Zaręba do Bluma, który patrzył jakoś podejrziwie, ale odjechał bez słowa.

— Z paradą juchy eksportują na Sybir—mruknął Maciuś, oglądając się za siebie.

— Gdzie Staszek? — Był wściekły, że dał się porwać pierwszemu wrażeniu.

— Znurował gdziesik ze strachu, ale taki obwieś nie zginie.

— Djabli, mogłem się wkopać w ciężką kabałę—medytował i już nie pojechał za szambelanową do pani Dziekońskiej, tylko prosto do domu.

Kacper już czekał z relacją, opowiadając z poczywą chępliwością o swoich werbowaniach, zabiegach i triumfach.

— Ilu masz i gdzie kwaterują? — przerwał mu niecierpliwie.

— Stu dziesięciu w lasach poniemuńskich, ze dwie godziny drogi Niemnem. Łodzie już narychtowane, pojedziemy o północy, akuratnie w porę obluzu warty nad rzeką. Zobaczy pan porucznik co to za naród: chłopcy

wybrane i aż kwiczą do wrażego mięsa. Komendę nad nimi dałem Furdzikowi. Stary bombardjer z Połonnego. Wziął ich z miejsca za łby przy samej skórze.

— Gdzieżeś nałowił aż tyle? — z niepokojem spozjrzał na zegarek.

— Trochę ojciec Serafin powyciągał z różnych dziupli, trochę wygrzebałem od grodzieńskich łyčzków, gdzie się pozaszywali, a resztę odbiłem całę uciesznym fortelem moskiewskim werbownikom. Cała to historia.

— Nieciekawym! I wszystko dezerterzy?

Zaczął chodzić po izbie.

— Z bywszej dywizji ukraińskiej generała Lubowidzkiego; mało niewiele zdezarmowanych, boć większość bagnętami zapędzili w obcą służbę, więc kto poczciwszy, czekał jeno okoliczności do ucieczki. Chudziaki wlekli się o żebranym chlebie, przebierali się tylko nocami, a lasami, wielu z nich padło po drodze, a wielu pochwytyanych skończyło pod kijami, ale kaźden z pozostałych wart dziesięciu kantonistów. Powiadali, że niech jeno pójdzie głos o wojnie, to ani jeden żołnierz nie pozostanie pod obcym znakiem. I tak całę tysiące przedzierają się z najdalszych stron do korony. Nic to, że w Kijowie pochwyconych zbiegów obdzierają żywcem ze skóry, wplatają w koła i rozdzierają na ćwierci: któren posłyszał w sobie święty głos ojczyzny, tego i śmierć nie powstrzymał.

— A nie powstrzymał—powtórzył, myśląc o czemś zupełnie innem.

— Gdzie pójda?

— Pułkowi Działyńskiego brakuje trzystu ludzi do kompletu.

— Dobrze się składa, gdyż obiecałem, jako za-
ległą lafę dostaną w Warszawie. A po przysiedze,
jeszcze dzisiaj mają wziąć po pięć dukatów.

— I trzeba mi do nich pojechać? — spytał nagle.

— Czekają i nie można zwłóczyć ani godziny, bo
szpieguny węszą po całej okolicy. Mam ich akuratnie
wpisanych do tabeli, ale pan porucznik musi być przy
przysiedze i dać pochodne planty i wyznaczyć drogi.

Zaręba już nie słyszał, zapatrzony w chwiejny
płomień świecy.

— „O północy... światło od ogrodu... kocham“ —
zaszeptały mu naraz słowa Izy przejmującą melodią
upojenia. Zatrząśł nim rozkoszny dreszcz oczekiwania.

— Jak tam na dworze?

— Pochmurno i ani jednej gwiazdy. W sam raz
dla nas!

— W sam raz! — powtórzył echowo, siadając przy
stole, ukrył twarz w dłoniach i zwolna zagłębił się
marzeniem w tej nocy bezgwiezdnej. Jakiś park sze-
mrał nad głową... przedzierał się gęstwinami... światelko
woddali... na szybach migotliwy cień... czeka, wypa-
truje... Jeszcze tylko parę kroków do rajów...

Wybiła gdzieś jedenasta i Staszek pokornie stanął
przy drzwiach.

— Za pół godziny musimy wyjść z domu — za-
brzmiał stanowczy głos Kacpra.

A jego nagle ogarnęła ciemność i chłód przejm-
jący do szpiku, wszystko się naraz rozwiało i przemó-
wił nieubłagany głos obowiązku.

Powstał od stołu i rzucił krótko:

— Naszykuj pieniądze, trzeba się zbierać! — Od-
wrócił twarz jakby w obawie, że zdradzi się z tajem-
nicy i, chodząc po pokoju, znowu się oddawał ma-
rzeniom.

Ostatnie słowa Izy wciąż snuły mu się po mózgu
jakby tęsknotą wszystkiej miłości i nadzieją wszystkiej
rozkoszy świata, że chwilami rozglądał się oślepleni
oczyma za kapeluszem, szukał rękawiczek i nawet już
brał za klamkę, ale nie poszedł, trzeźwiły go bowiem
ufne oczy Kacpra, zdające się mówić: „a kżon raz
posłyszysz w sobie święty głos ojczyzny, tego i śmierć
nie powstrzyma“.

— Więc już nigdy dla siebie! Więc już ani chwili
własnego szczęścia? — Targał się w bezmiernym bólu,
ale gdy Kacper naszykował mu ubranie na drogę, za-
czął się bezwiednie przebierać. Naraz, spostrzegłszy
Staszka, przyskoczył do niego z dzikim błyskiem oczu.

— Strzelałeś do kozaków?

Staszek pobladł i zabelkotał coś zgoła bez związku.

— Bez komendy? — syczał w największej pasji. —
Ja cię nauczę gwizdać po kościele. Kacper, piętnaście
kijów temu ultajował!

Staszek rymnął z płaczem na ziemię.

— Zarobiłem dwadzieścia pięć i mniej nie we-
zmę — skowyczał, obejmując go za nogi. — Zarobiłem
rzetelnie, bo z tego mogło się stać nieszczęście! Mój

kapitan nie pożałowałby mi pięćdziesięciu. Bij, Kacper, jak w bęben, tylko niech się na mnie nie gniewa pan porucznik.

Zaręba porwał go za kołnierz i, postawiwszy przed sobą, huknął:

— Nie wyłiesz się fortelami, weźmiesz jutro, co ci się należy!

— Już czas, panie poruczniku! — przypominał Kacper, podając mu długą, wojskową kapotę.

Ubrał się, popatrzył jeszcze raz na zegarek i, wstchnąwszy ciężko jakby nad grobem własnego szczęścia, zawołał rozkazująco:

— W drogę! — I ruszył naprzód, jakby w gwałtownej ucieczce.



V.

Ale skoro się znaleźli za klasztorne budynkami, Zaręba nakazał Staszce wracać i mieć szczególne baczenie na Maciusia i konie, a wszystkich podejrzanych włóczęgów, kręcących się koło domu, przepędzać kijem.

Staszek, dotknięty niełaską, żarliwie napierał się zabrania na wyprawę.

— Odrób pierwszej kije, jakie ci grożą — fuknął gniewnie — Kacper, prowadź!

Kacper, odszukawszy w ciemnościach dróżkę pod drzewami, powiodł zygzakiem po zboczach, wdół ku rzeczce.

Noc była ciemna, po niebie przewalały się bure, poszarpane łachmany chmur; czasami uderzył hukliwy, gorący wiatr, aż drzewa szarpały się jakby na uwięzi, a niekiedy szły głucho, niepokojące cichości.

Mijali jakieś domki pokryte w gąszczach sadów, to jakieś nory i legowiska, z których psy groźnie warczały i wsunęły się pomiędzy dwa domy, stykające się prawie szczytami. Wąska szczelina prowadziła na ulicę Mostową, którą trzeba było przejść wpoprzek, co przedstawiało pewne niebezpieczeństwo, gdyż o kilka-nasćce kroków na lewo, nad zamkniętą łańcuchami ro-

gatką paliła się latarnia i tuż pod nią stały konne i piesze straż.

Przemknęli się na czworakach i zaledwie przywarli w cieniu karczmy zamkniętej na głucho, gdy z góry od miasta rozległy się człapania koni.

— Obluz warty! — ostrzegł Kacper i, zmacawszy drzwi, otworzył je kluczem i starannie zamknął za sobą. Sień, w której się znaleźli, szła naprzestrzał domu; z boków, przez liche drzwi, sączyły się światła, ściszone głosy i brzęki szkieł.

Na podwórzu, obstawionem szopami, a pełnem wozów i koni, kręciły się jakieś cienie, ale Kacper szedł śmiało do znanego sobie przejścia i wyszli na drogę, biegnącą od mostu wdół Niemna.

— Teraz będzie gorąco! — mruknął, przepatrując ciemności; niesposób było co dojrzeć, nawet o parę kroków, bo wyniosłe nadbrzeżne wzgórza rzucały głębokie cienie na drogę i część rzeki, mrowiącej się połyskliwe.

Ruszyli z największą ostrożnością, przystając co chwila lub zapadając między szycity drzewa złożonego nad drogą, gdyż co kilka minut rozlegały się ciężkie tupoty koni przejeżdżających patrolów.

Po drugiej stronie Niemna dosyć gęsto błyskały ogniska biwaków.

— Strzeż, jak fortacy.

— Co pięćdziesiąt kroków konny, zaś od pól rozstawiają nawet sekrety.

Dosięgli jakiegoś domku, wciśniętego między drogę a rzekę, Kacper brzęknął w szybę umówionym sposobem i natychmiast zjawiono się dwóch ludzi.

— Gotowe, można jechać! — ktoś szepnął, prowadząc nad sam brzeg, gęsto porośnięty krzakami, gdzie w głębokich cieniach tała się łódź.

Weszli do niej i ten sam szept rozkazał:

— Położyć się na dnie.

Spełnili rozkaz, łódź drgnęła, spływając na głębie, niby łabędź, i cicho a chybotliwie popłynęła nad brzegiem.

Rzeka bełkotała w ciemnościach; fale ściżbione i jakby zadyszane czołgały się z nieustannym, swarliwym dygotem, czasem któraś zamiotła z sykiem o piałchy spienioną pletwą lub plusnęła wgórę, jak ryba.

Niebo wisiało nisko, wzdęte kłębowiska chmur zdały się gonić te wody, wiecznie uciekające w niepokoju i trwodze.

Zarysy wzgórz przesuwwały się czarnemi, pogarbionemi grzbietami.

Wiatr szumiał górą, że tylko czuby drzew poruszały się sennym szmerem. Noc była głucha i późna, po wsiach już zaczynały pisać pierwsze kury.

Łódź sunęła śmiało, czujnie jednak, wymijając ławice piachów i oczy wedet; ciemność wiernie ją strzegła i siwe, rzadkie mgły obtulały wilgnemi zwojami.

Zaręba podniósł się nieco. Z górnych okien zamku, jakby gdzieś z chmur, błyskało jakieś światelko. Westchnął ciężko i opadł zpowrotem na dno, szept Izowionął go znowu przesłódką melodią miłości, niecąc zarazem przenikliwy, szarpiący żal. Leżał wpatrzony w niezgłębioną topiel nieba i cały w serdecznej udręce; szklane dźwięki fal, bełkoty, westchnienia wstające niewiadomo skąd, ciekliwe pluski i tajemnicze gędźby

nocy pomnażały jego mękę, każdy bowiem z tych głosów zadawał nową ranę, budząc przypomnienia i nigdy nieziszczone nadzieje i każdy był jakby szlochom pożegnań.

Ale w jakiejś chwili otrząsnął się z płonnych rozczuć nad samym sobą, wyżenał je precz, niby kupe zwiędłego kwiecica i, uniósłszy głowę nad burt łodzi, przeglądał baczenie rzekę i czarne, ledwie dojrzone za-risy kozaków.

Mijali właśnie miejsce, gdzie Horodniczanka wpada do Niemna, gdy naraz uczyniło się jaśniej, chmury się nagle rozdarły i księżycowa srebrzysta smuga rozlała się po rzece, wydając ich oczom straży.

— Stój! stój! — zakrzyczano groźnie z brzegów.

Łódź dała szalonego szczupaka i równocześnie huknął za nimi strzał.

— Pod brzeg! prędko! — rozkazywał Zaręba, wyciągając pistolety.

W paru susach łódź znowu wpadła pod obwisłe gałęzie i uciekała.

— Stać! — rzucił ostro, chwytając się gałęzi.

Przewoźnicy zaparli łódź wiosłami, lecz, nie mogąc poradzić prądowi, który ich gwałtownie znosił na środek, zsunęli się do wody i wstrzymali.

Zaręba i Kacper z pistoletami w rękach, zdeterminowani na wszystko, czekali, tając oddechy i nasłuchując wrzasków, jakie się podniosły. Chwile zdążyli być wiekami, patrole przysuwały się coraz bliżej i wśród przekleństw, nawoływań i biegania penetrowano brzegi, zajądło szyjąc pikami każdy krzaczek; słyhać nawet

było pluski wody pod kopytami i trzaski zapalanych pochodni.

— Bij zbliżka na upatrzonego — ostrzegał spokojnie Zaręba.

Przewoźnicy szczękali zębami z zimna i przeżalenia.

Ale po kilkunastu minutach straszliwej niepewności krzyki zaczęły ścichać i oddalać się, że, przeczekawszy jeszcze pewien czas, ruszyli w dalszą drogę, trzymając się długo cienistych brzegów. Dopiero za Łososną, po wyminięciu grenadjerskich obozów i gdy zdradziecki księżyc przepadł w chmurach, łódź chlusiła wartko na środek rzeki i poleciała jakby na skrzydłach.

Poniósł ją bowiem bystry prąd, rwały naprzód wiosła i popędzał wiatr, który był wstał, dmąc im nie-ogorzej w plecy.

Skrzypiały dulki, bryzgały wyrzucane piany i wiosła, niby długie pletwy, biły raz po raz, w takt pochyłań się przewoźników, nie szczędzących gnatów.

Wpadli w lasy, schodzące z obu stron do samej wody, jakby na dno czarnej łyskotliwej rozpadliny, nakrytej szarą, wzburzoną płachtą obłoków.

Lecieli wskroś jakichś łąk, potrząśniętych białawym kożuchem mgieł i wrzących od skrzeczeń derkaczów, huczenia bąków i kwilących zawodzeń czajek.

Lecieli wskroś pól omglonych, pachnących gryką i dymami, gdzie od wiossek, niedojrzanych w nocy, naszczekiwały psy i drżały jakby ciężkie westchnienia śpiących.

Było już blisko trzeciej i na wschodzie zaczęła się przecierać, gdy dobili pod wysokie wzgórze, pokryte lasem i wysiedli.

— A jakże powrócicie?—troskał się Zaręba, przeciągając strudzone kości.

— My już, nibyto wyjechawszy jeszcze rano na połów, mamy poświęcenie mostowego, to wrócim przezpiecznie, choćby i z pustemi sieciami.

Chciał im wetknąć po dukacie, nie wzięli jednak, a starszy rzekł z godnością:

— Nie dla grosza stawimszy głowy. Ojciec Serafin wpisał nas do polskiego bractwa, to służym z dobrej woli a powinności.

— Bym znał, komu winien jestem wdzięczność!

— Trojakowski Szymon jestem, rybak, a to mój syn, Wojciech.

Gorąco uściśnął im spracowane ręce, wzruszony tem szczerem oddaniem się sprawie i poszedł za Kacprem wgórę, niezmiernie stromą i śliską ścieżyną. Bór ich ogarnął nieprzeniknioną ciemnością, szli omackiem, natykając się co chwila na pnie, stojące zwartym gąszczem; dopiero na szczycie zrobiło się nieco jaśniej i przez rozchwiane, szumiące konary widniało niebo.

— Kto idzie? — rozległ się nagle groźny szepł i zgrzyt odwodzonego kurka.

— Wolność!—odszeptał Kacper, przystając.

— Kto idzie? — powtórzył ten sam głos, tylko łagodniej.

— Równość!

— Kto idzie?—padło po raz trzeci. Otoczyli ich zbrojni ludzie.

— Braterstwo!

— Swoi. Idźcież z Bogiem! Deptuch, prowadź do obozu.

Ale mieli jeszcze przed sobą kawał drogi przez dzikie wertepy wzgórz, poręb, dolinek i bagien. Szli w milczeniu, tylko Deptuch co pewien czas gwizdał przeciągle, rozglądając się na strony i potem zwracał się do porucznika:

— Pokornie melduję, jako wedety na swoich miejscach.

— Dobrze rozstawione — pochwalił, nie mogąc jednak dojrzeć nawet cienia.

— To nie kantonisty, ani towarzysze z kawalerji Narodowej — mruknął Kacper.

— Nie czepiaj się — odrzekł, trzymając się wytężonym słuchem kroków przewodnika, gdyż w gęstwie i mrokach nie było nic widać, że tylko zrzadka tu i owdzie zamajaczyły ściżbione cienie pni.

— Zalatuje dymem — zauważył w jakimś miejscu.

— To z bud smolarskich, bo dym ciągnie z prawa — objaśnił Deptuch, wyprowadzając nad brzeg jakowychś bagien, zarośniętych krzakami, z których gdzieś błyskały czarne, pośleple wody, zmętniało niebo wisało brudną, pogurbioną płachtą. Droga była ciężka i niebezpieczna, szli jakby po wiśnych rzemie-niach, pękających co parę kroków, aż błoto tryskało im w twarze i zapadali po kolana; przegniły zapach wiercił w nozdrzach, jakieś wielkie ptaki zrywały się z cięż-

kim łopotem, krążąc nad bajorami, niby czarne chusty porwane przez wicher.

— Ostatnia górka — meldował Deptuch, ciągnąc pod wzgórze tak pełne jam, wykrotów, korzeni, że, potykając się na każdym kroku, już na głos klęli.

Ale ze szczytu roztoczył się przed nimi wielce malowniczy aspekt.

W ciasnej i głębokiej kotlinie, obrośniętej niebotycznymi drzewami, gorzało parę ognisk. Płomienie buchały czerwonymi chłustami, rzucając krwawy brząsk na całe obozowisko, dymy napelniały kotlinę postrzępionym, sinym obłokiem, w którym mrowili się ludzie ledwie dojrzanymi zarzysami.

— Nie alarmuj! — wstrzymał Deptucha i, zeszedłszy na dół, przystanął za jakimś drzewem.

Obóz był liczny, ale jakiś niemrawy i wielce osowiały; dużo ludzi spało porozciąganych prosto na ziemi, drudzy coś majstrowali koło przyodziewków, zaś insi, obnażeni do pasa, wyprażali nad ogniem koszule, niektórzy zapamiętale rzucali kości lub grali w chapankę, jacyś z lulkami w zębach łazili dokoła, nie mogąc nigdzie zagrać miejsca; przy którymś z ognisk jakiś stary żołnierz, przesuwając ziarna różańca, patrzył tępo w płomienie i ciągle się żegnał i bił w piersi; to znowu szewczyzna, z gębą pełną kołków, prał młotkiem w bucisko, aż się rozlegało; pobok kwitnęły przysadziste baby; młodsza iskała tęgiego chłopaka, który wydierał konopiastą głowę z rąk matczynych, wierzgając gołemi nożętami, zaś druga pilnie robiła pończochę. Paru ludzi, całkiem już na stronie,

sprawiło grzecznego świntucha, dyndającego u gałęzi; wychudzone psy cisnęły się, skomlać żałośnie i gryząc między sobą.

Dwa wozy nakryte budami stały nieco w głębi, a przy nich mizerne szkapiny ze łbami w opaskach, zawieszonych u dyszlów.

Stadko owiec, z ogromnym, rudym prowodyrem na czele, biegało się między drzewami, niby gęsi. Żołnierskie „cielęciuki“, torby, pasy, patrontasze i kociełki wisiały na sękach i leżały porozrzucane przy ogniskach.

Kudłaty, bury kundel łąził trop w trop za ojcem Serafinem, który to komuś podtykał tabakierkę, to wspomagał szczyptą tiutuniu, albo prawił coś ucieśznego, że często gęsto parskały śmiechy i setne kichania.

Ale przy tem wszystkiem było dziwnie cicho, mówiono bowiem tylko szeptem, trwoga zdała się unosić nad obozem i co chwila ktoś przysłaniał oczy dłonią i patrzył w las, psy też jakoś często i groźnie warczały.

— Barłóg dziadowski, ale gęby zbójcekie! — mruknął Zaręba, ruszając z miejsca.

— Żołnierz to nie od parady, ni od rozwożenia kresów! — bronił dotknięty Kacper.

Deptuch dał sygnał i wszyscy porwali się na nogi, sprawnie formując szereg wzdłuż ognisk, nawet baby stanęły w powinnym ordynku.

— Jak się macie, chłopcy! — rzucił, stając przed rozwiniętym frontem.

— Życzymy dobrego zdrowia! — gruchnęli, wbijając w niebo oczy i tężąc się w słupy.

W blaskach smolistych szczap, niesionych przez dwóch wyrostków, Kacper jął z tabeli wyczytywać nazwiska: przy niektórych ojciec Serafin, idący z boku, czynił ciche uwagi, a Zaręba w surowem skupieniu lustrował surowe a wynędzniałe twarze, wychudłe postury i ten ich dziadowski moderunek, byli bowiem w strzępach i łachmanach jakowychś kapot wojskowych, upstrzonych resztkami najrozmaitszych obszegów, a wielu zgoła tylko w lejbikach, parcianych portkach i boso. Głowy też mieli przybrane cale grzecznie w zrudziałe baranice, żydowskie aksamitne jarmułki, trójkątne kapelusze i kozackie szkopki, a nawet jeden, z gębą jak donica, paradował w księżym birecie. Aż śmierdziało od nich długa, żołnierską nędzą. Zgoniny to były różnych pułków i rodzajów broni, oraz i różnego wieku: puciołwate jeszcze lactansy i deresze kute na cztery nogi, ale wszystko chłopcy jakby wybrane, rosłe, żylaste, zawiedle i w biedach zahartowane. Juści, jako gęby mieli ultajów i obwiesiów, lecz ani jednej nie uwidział bez godnego plejeru, zaś niektóre aż się przęgały od nacięć, niby brzozy, z których co wiosna sok wypuszczają.

Stali mocno zaparci w ziemię, patrząc się w niego hardo i śmiało, a ze ślepiów wyzierały im żelazne dusze i dzikie, nieustraszone męstwo.

I chociaż powagę trzymał w twarzy, a obmacywał ich srogimi oczyma, jak sztuki na rzeź wybrane, aż ręce zacierał, tak mu się bardzo podobali. I bez Kacprowej tabeli rozpoznawał z pierwszego rzutu oka, jako ci patrzący wilkiem, zpodółba i robiący biodrami, niby dziewczki w tańcu, to naród od harmat; zaś drudzy,

w pasie przęgięci, o pałakowatych nogach i kaczych ruchach, to pocztowi; a reszta, z piersiami wystawionymi jak bębny, prosta, strojna i w sobie zwarta, to piechota snadź już w tęgim egzercerunku wyćwiczona.

— Żołnierzyki kochane! Żołnierzyki! — dyszał radośnie. — Moderunku wam jeno, podpaść was jeno a karabiny w garście dać i hajda z wami choćby na cały świat!

Strasznie mu się udały te obwiesie, deptał też niby koło panienek i, rozglądając każdego z osobna, w oczy im łaskawie patrzył i pocziwych słów nie szczędził.

Naraz wyrwał się z szeregu jakiś dragal w zielonym lejbiku, czerwonych portkach i łapciach, trzasnął dłonią w daszek artyleryjskiego kaszkietu, sprężył się i wyrecytował jednym tchem:

— Melduję pokornie panu porucznikowi: sto dziecięć luda, dwie markietany, dziesięć pistoletów, dwóch fajfrów, taraban i...

— Jak się masz, Furdzik—przerwał mu z uśmiechem.—No dobrze, stary, dobrze.

— Wedle rozkazu! — zamruczał skonfundowany, cofając się do szeregu.

Kacper spiorunował go oczyma, a skończywszy tabelę, huknął donośnie:

— Odstąp, spocznij!

Szereg się połamał i rozsypał na wszystkie strony.

A kiedy Zaręba zasiadł przy ognisku, pogarnęła się wiara do niego, gdyż rad z każdym rozmawiał. Ujmował ich za serce swoją szczera, jasną twarzą

i żołnierską sprawnością, jaką widzieli w każdym jego ruchu. Spenetrowali to wmg starzy wyjadacze, czyniąc o tem ciche między sobą uwagi:

— On nie z tych, co szarżę dostali jeszcze w kolebce, kadet przecie.

— Sierdzisty, taki od ręki grzmi w pysk, ale srogi nie bywa.

— Są, którzy go znają rodzonym ojcem dla żołnierzów, dobrodziejem.

— Pod Zieleńcami przodkary razem z nami dygował, aż mu gnaty trzeszczały.

— I charakternik. Drugi tak deszczu nie wytrzyma, jak on stał pod kulami.

— A swojemu Kacprowi dał wolność i ziemię.

— I śliczny, kieby ten Jezusek, a przylepny! — unosiła się markietanka z chłopcem.

— Pocałujże go kuma gdzieś i obacz, czy taki przylepny!

Gruchnęli śmiechem, aż zwrócił się do nich i, ujrawszy chłopaka, kazał go sobie podać i pohuśtywał na kolanach.

— Jakże mu na imię?

Odchylił głowę, bo chłopak sięgał mu już do nosa.

— Pietruś! — pisknęła matka radośnie, a po chwili dodała chełpliwie: — Trzymał go do chrztu sam p. pułkownik König z panienką Terenią.

— Toście z Kozienic? A cóż was za лихо przyniosło aż tutaj?

— Nieszczęście! — odparła cicho, podnosząc oczy, błyszczące łzami. — Mojego pan komendant Orłowski

wypisał do Kamieńca, że to mieli przelewać harmaty, a mąż był majster, od tego i w Kozienicach fabryka szła jego głową. I pojechalim w tyli świat na naszą biedę. A nim się zabrał na dobre do roboty, przyjechał generał Złotnicki i fortecę sprzedał nieprzyjacielowi. Sprzedał nas wszystkich, mój Boże!

Zapłakała głośno, niezmierny ból widniał w jej wynędzniałej twarzy, pierś się szarpała rozrywana łkaniem.

— A teraz jestem sierota! Sierota! — ciągnęła, pochlipując. — Mój był Polak szczery i za królewskie pieniądze zagranicą edukowany na majstra, to jak się dowiedział, aż głową bił o ścianę i chciał mordować tego piekielnika! Ledwie powstrzymała, gdyż nie sposób było dosięgnąć zdrajcy, już obcy żołnierz zalał fortece i nasze kwatery ogrodzili kordonami. Ale zaraz pierwszej nocy mój zrobił co był powinien ojczyźnie: wygniółł, które mu broniły i zagwoździł co najlepsze harmaty. Tak, on to śmiał i dokonał.

— Prawdę mówi, prawdę! — potwierdził jakiś głos z tłumu.

— Juści, jako generał Złotnicki wydał go potem na mękę i śmierć! A kiedy go wlekli, to zdążył jeno powiedzieć: „Chowaj dziecko na pomstę“. I tylem go już widziała. Skończył pod kijami.

Umilkła, zanosząc się rozdzierającym szlochem.

Zaszumiły górą drzewa, zaś jej płacz żalсны sływał jakby żywą krwią we wszystkie serca, budząc w nich taki żal, ból i nienawiść, aż rwały się dygotliwe sapania, przekleństwa i zaciskały się pięście.

— Akuratna żołnierska dola — mruknął któryś, przecierając kułakiem oczy.

— Przynajmniej pomarł nie za darmo.

— Ja w tem, że jego pamięć przejdzie do potomności, a wdową z dzieckiem zaopiekuje się Rzeczpospolita — wyrzekł Zareba.

— A kto się zaopiekuje temi, które wróg zagarnął? Kto wspomże te sieroty nieszczęśliwe? — podniósł się jakiś ponury głos.

— Tylu ich zdycha pod kijami, a i pies po nich nie zapłacze.

— O tych tysiącach uciekających z pod wroga kto pomyśli?

— Jako ten pszczelny rój bez matki, rozsypalim się na marną zatrąę.

— A któren ujdzie pościgów, nie ujdzie głodowej śmierci, nie ujdzie.

Rozżalali się coraz boleśniej i ciche, a z głębi dusz udręczonych wyrwane słowa spadały na pochyloną głowę porucznika, niby uderzenia toporów.

— Zaprzędali nas! — ktoś jęknął przeciągle, niby echo, odbite sto razy.

— Siłą, mocą do wojska pędzili, naszą biedą się wypaśli, naszemi gnatai wymościłi pół świata i wkońcu nas wrogowi zaprzędali.

— Zaprzędali wszystką ojczyznę! — niby echo jęknął znowu głos poprzedni.

— Żaden dobrowolnie nie przeszedł do nieprzyjaciela, chyba jedne oficjery, to jak się nadarzyła okoliczność, każdy uciekał jak do matki.

— A matką ci jeno śmierć, żołnierzu, chudobą rany, a przytuleniem dół! Każdy dom pański stoi na fundamencie twoich kości, żołnierzu, każdy zagon opity twoim potem, a ty, chłopie, żebyś urobił kulasy, żebyś wygrał sto bitew i wiernie oddał ojczyźnie ostatnią kroplę krwi — zawsze niewolny; ni tobie ziemi, ni nieba, ni dachu, ni nawet psiej budy, kajbyś nieszczęsną głowinę przytulił! Ostatniś, żołnierzu, przed Bogiem i ludźmi, ostatniś! — prawil ktoś monotonnym, żalnym głosem.

Zareba ukrył twarz w dłoniach i płakał wewnętrznie łzami, gdyż te żołnierskie lamente targały mu duszę, pałac wstydem i upokorzeniem. Nie śmiał im spojrzeć w twarz, bo każde ich słowo gryzło prawdą, każde było jękiem krzywd prawiecznych i każde straszny wyrzutem sumienia.

Kacper, wypisujący tuż przy nim w brzaskach ogniska jakieś karteluski, snadź odczuwając jego udręczenia, zagadał cicho:

— Jak na żołnierza przyjdzie żalna godzina, to staje się płaksiwszy od starej baby. Ale niech sobie chudziaki ulżą biadoleniem! Czy wszyscy pójdą na Białystok?

— Wszyscy, ale partjami, wybierz dziesiętników. Weźmiesz nad nimi komendę, zdasz ich kapitanowi Biełskiemu, on ich parę dni przekarmi, oporządzi i pchnie dalej. Przygasić ognie; świt dobry, a dymy biją słupami.

— Nic to, bo po lasach pełno smolarni, które kopcą dzień i noc.

— A mijaj karczmy i wsie, by się który z czem niepotrzebnem nie wyznał.

— Wiedzą tyle, że idzie na nową wojnę i trzeba się strzec Moskwy i tych, które z nią trzymają. W Warszawie powiedzą im więcej. Ależ skwierczą, no, no!

— Krzywda dłużej piecze, niżli ogień. Śpiesz się z pisaniem.

Ojciec Serafin wespół z kobietami a fajframi przystrajał ołtarz, zaś jego kundel, zasiadłszy przed porucznikiem, nie spuszczał z niego oczu i raz po raz to skamlał cicho, to nawet kładł mu łapę na kolanie, ale Zaręba nie zauważył, zasłuchując się znowu w żołnierskie biadania.

— Nie bój się—posłyszał szydliwy głos.—Niech się jeno twój dziedzic dowie, żeś przywiózł z wojaczki chociaż te resztki gnatów, a w gazecie upomni się o ciebie, i byś, chudziaku, nie zbłądził w drodze, wysłał naprzeciw starościńskich pacholów! Przywiedą cię w parady, a on ci nogę na karku postawi i z wołem do spółki zaprzęże, by cię unieść, by twój honor żołnierski podeptać, a batami przypominać, żeś jeno bydlę jest, z którym on mocen zrobić wszystko.

— A za lata, któreś przesłużył Rzeczypospolitej, każe ci nocami odrabiać pańskie.

— Zaprzędali wszystką ojczyznę!—jęknął ten sam głos żałosny.

— A milczeć tam, chamy! Milczeć, psy podłe, bo skuję mordy, pasy z was, wszarze, drzeć każe, kijami zatłukę! A, kundle, ja wam dam bunt!—zawrzeszczał naraz jakiś drab, podnosząc się z pod drzewa. Wysoki

był i chudy, twarz miał dziobatą, jak plaster wosku, nos krogulczy, sine wargi, wasy czarne, sztywno nagumowane, długie buty, strzępy jakiegoś fraczka, brudną szmatę na szyi, głowę okręconą w czerwoną chustę, w rękę trzcinę i w ruchach górne manjery. Nieco utykał na prawą nogę i mówił skrzekliwie, cudzoziemskim akcentem.

— Kto zacz? — krzyknął Zaręba, porywając się z miejsca.

— Łaski, bywszy kapitan z regimentu ordynacji Ostrogskiej. Musiałem skarcić to zuchwałe chamstwo! Waszmość im zbytnio folguje, nie można przecież...

— Milczeć! — huknął, podchodząc do niego ciężkimi krokami.

— Szanujże, waszmość, w mojej osobie wyższą szarzę i urodzenie.

— Ja asanowi razem z zębami wybiję tę wyższość, ja cię, szlachetko, nauczę, jak się przemawia do żołnierzy Rzeczypospolitej! Kacper!

Łaski podkręcał wasy, nic a nic nieskonsternowany.

— Co to za jeden? Skąd się wziął w obozie?

— Pokornie melduję — zaczął jeden z żołnierzy, nim Kacper zdążył — on nas prowadzi od samej Białejcerkwi, sierota jako i my, tyle, że jak na głodne kiszkę sobie naleje, to mu zaraz pańskie fupy biją do głowy. Pokornie za nim prosimy, na piszczałeczce pięknie przygrywa, wszystkie drogi zna i na żydowiny ma sposoby.

Porucznik ochłonął i spojrzał na niego łagodniej.

— Tak śmierzdą te godne citojeny, że muszę się ratować anyżkiem — wyrzekł zgłupia frant Łaski, przystępując z dwornym ukłonem. — Z kimże mam honor?

— Kiedy waści śmierzdą, możesz odejść pod wiatr, wolna droga.

— Ależ ja ich admiruję i nie opuszczę aż do Warszawy. Jeśli waszmość partję zbierasz, to uręczam, że pod moją komendą będą się bili, jak lwy! Kiedy byłem kapitanem muszkietarów jego królewskiej mości Ludwika XV — i pewna...

— Waść się prześpij, to później pomówimy nawet i o muszkietarach.

Zabrzączał dzwonek, ojciec Serafin wychodził ze mszą.

Ołtarz był przysposobiony na opuszczonej klapie markietąńskiego wozu, przykrytej białą i przystrojonej sośniną i zapalonemi świecami, fajfry służyli za ministrantów.

Żołnierze przyklekli wielkiem półkolem, Zareba nieco zboku, a tylko Łaski nagle się gdzieś zapodział.

Posypały się szepty pacierzów wraz ze szmerem okapującej rosy i głosami przebudzonych borów. Dzień się już bowiem podnosił niemały, przez zwarte gałęzie drzew sączyły się modrawe światłości, z głębin pociągał chłód, nabrany jędrnym, grzybnym zapachem, niekiedy zaś wiatr uderzał o wierzchoły, aż drgały ciżby sosen czerwonych, gasły światła na ołtarzu i sypało się potrącane igliwie.

Ksiądz śpieszył z nabożeństwem, niby przed bitwą, i słowa jego modlitw padały twardym głosem

komendy, a czynił znak krzyża, jakby rąbał szablą lub sięgał po krócićę, lecz biło mu przytem z twarzy takie żarliwe uniesienie, że kiedy się odwracał, rozkładając ramiona, to zdał się tym ruchem przygarniać do serca te wszystkie pochylone głowy i błogosławić im.

Msza juści szła cicha, tylko czasami dzwonki buchały brzękliwym jazgotem, rwał się z szeregów jakiś szloch przytłumiony, jęk gorący, to długie, nabrzmiałe wiarą westchnienie i łzy też kapały po niejednej srogiej twarzy, a rozgorzałe oczy wlokły się z żebrzącą pokorą do stóp krzyża, widnego na ołtarzu.

Bory gwarzyły cicho, jakby do wtóru pacierzom, wysoko nad niemi krzyczało przelatujące ptactwo, a niby gdzieś z pod ziemi dobywały się głuche, przeciągłe, dalekie ryki dzikiego zwierza, zaś dymy ognisk i mgły poranne zasnuwały wszystko błękitnąwą, kadzielną kurzawą.

Po podniesieniu wielu żołnierzy wraz z kobietami przystąpiło do komunji.

Tarkowska, z dzieckiem przy piersi, wzięła przy ołtarzu pierwsze miejsce, a za nią czołgała się z wniebowziętemi oczyma markietanka, nie przestając ani na chwilę robić pończochy.

— Robotnica od siedmiu boleści! — fuknęła ksiądz, cofając gwałtownie twarz przed rozmigotanemi drutami, niby przed jeżem.

Babina aż się popłakała ze wstydu i konsternacji.

Po mszy ojciec Serafin stanął przy ołtarzu z krzyżem w ręku.

— Żołnierze! — zawołał z mocą. — Przysięgliście bronić ojczyzny do ostatniego tchu?

— Przysięgli! — runął odzew ze wszystkich gardzieli.

— To idźcież w bożą godzinę, dokąd was poprowadzą. A któren w duszy nie żywi zdrady, niech całuje Jezusowe nóżki.

Podawał krzyż do całowania i każdego z osobna błogosławił, każdemu coś pocziwego rzekł i za głowę ścisnął.

— Na wielką potrzebę idziesz, żołnierzu, na świętą i zapamiętaj: trzeba bić, jeszcze raz bić i pobić! — wołał ogromnym głosem. — A któż to winien, żeś głodny żołnierzu? żeś w łachmanach? żeś tropiony gorzej wściekłego psa? żeś jako ten Łazarz wzgardzony? Wróg tego sprawca! To mówię: bij go bez miłosierdzia, bij bez pardonu, bij na śmierć! Nie żałuj krwi serdecznej, żołnierzu, nie szczędź żywota, bo wolność i ziemia czeka cię w nagrodzie! Wspomnisz, coć mówię, żołnierzu, kiedy po latach zasidziesz otoczony wnukami, a prawić im zaczniesz, jakieś to wojował, wroga biął i wolność, a ziemię z pazurów mu wydierał. A padniesz w polu, żołnierzu, to ci zagrochocą tarabany, znaki się pokłonią, towarzysze łzami pożegnają — zaś święty Piotr na takie larum żalosne rozewrze szeroko niebieskie wierzeje, wyjdzie naprzeciw, a słodko ci rzeknie:

— A chodźże, duszo sprawiedliwa, chodźże, żołnierzu świętej sprawy!

Anieli w trąby zagrają, całe niebo się rozweseli, święci sformują szeregi i powiodą cię, żołnierzyku, mię-

dzy najznacześniejsze persony, między same hetmany posadzą, boś im równy, boś okupił swoją szarżę niebieską krwią, wylaną za ojczyznę, to zażywał będziesz chwały i szczęśliwości aż po wieki wieków! — prawil ojciec Seratin.

Tak im do serca przypadła ta mowa, że raz po raz ktoś go całował w rękę, ktoś chociaż w łokieć, albo w poię habitu, ktoś nawet oblał za kolana, wszyscy zaś słuchali w dziwnie radosnem skupieniu. Jakoby miody lał im w dusze, a dymy kadzielne przejmowały lubością, zatwardziały w poniewierkach i nędzach serca nabrzmiewały weselem, niby paki pod dżdżem wiosennym, strzelając tu i owdzie kwiatem nadziei, że co tkliwшему zradna łza uciekała z pod powiek, drugi tylko wzdychał z uciechy, cisnąc się bliżej księdza, a już poniektóry wesał junacko pokręcał, nabzdyczał się, zapadły brzuch wypinał i hardo ślepiami toczył, gdy skądś wydarło się przeraźliwe gdakanie, czem wystrachane owce uderzyły w żalosny bek, a psy jęły docierać do jednego z wozów i naszczekiwać zajadle.

— Głośno się chwali, że niesie żołnierzowi jajko — zaśmiał się któryś.

— Moja kokoszka! — jęknęła markietanka. — Za łeb zdeń, kto ją wypuścił! Kucusia! kucu, kucu! — nawaływała pieściwie, uganiając się za kwoką.

— I baranki proszą się wędrować z nami.

— Chude, nawet wilkby na nich nie ugryzł.

— Kurę se, jucho, macaj, ale od moich owiec zasię! — groził Bernardyn i skoczył do nich, by się nie rozleciały po lesie, ale już rudy prowodyr tego je trykał

rogami, zganiając do kupy, zaś ksiądz zawrócił do wozu. Po chwili księży chłopak wydobył z niego niezgorszą beczułkę i postawił niedaleko ognia. Skoczył do niej zapalczywie Łaski, dno sprawnie wyłupał i, wzięwszy od pacholika kwartę, zaczerpnął do pełna, podniósł ją lewą ręką w górę i, zasalutowawszy, wydeklamował z tkliwością:

„Gorzałeczko, gul, gul, gull
Panienczko, tul, tul, tull
Szynkareczko, lej, lej, lejl
Żołnierzyku, pij, pij, pij!”

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przytknął kwartę do warg i, zadzierając zwolna głowę, a robiąc grdyką, wypił do ostatniej kropli, po czem wyrzekł uroczyście:

— Kiep, komu śmierdziucha nie zastąpi małmazjil

— Pij złe — dopijesz się lepszego. Ale waszmość masz kiszki za długie! — zauważył szydliwie kwestarz, odbierając mu kwartę i sam zabierając się do rozlewania gorzałki w podstawione manierki. — Jenó bacz, jeden z drugim — zwrócił się do żołnierzy: — kto siła pije, rad się pobije. Po ździebełku, bratkuwie, i nie na pusty brzuch — ostrzegął.

Tak skwapliwie jednak przypinali się do gorzałki, aż Kacper krzyknął:

— Wara! Zostaw na potem, a teraz sam do mnie.

Przysiadł na widnem miejscu wypłacać każdemu, co było obiecano.

— Jeśli zdążą jeszcze uwarzyć, to śniadanie im wydaję — spytał ksiądz.

— Dzień, jak wół, nie wyruszym przed zmierzchem.

Znalazły się w bryce kwestarskiej bochny, niby koła, krupy, zwoje kielbas i nawet spory boczek, że wmg zaroilo się przy ogniskach, stanęły kociełki, rynki, sagany i zaczęło się prażyć, gotować i skwierczeć, aż w nozdrzach wierciło od lubych zapachów. Tarkowska z wiwandjerką przysmaczały po swojemu, a Bernardyn czuwał, aby przy podziale nikt pokrzywdzony nie został, sam też dopiero na końcu zasiadł do kociełka wraz z Kacprem i Łaskim. Zaś wygodniałe bractwo rzuciło się na jadło, niby na wroga, pałaszując zaciekle, aż rozdzwoniły się naczynia i zaskomlały pieski, niecierpliwie wyczekując swojej kolei.

— Porucznik, widzę, suszy dzisiaj? — zagadnął Łaski.

— Robi, co mu się spodobał — odmruknął niechętnie Kacper.

Zaręba bowiem siedział zdala, pogrążony w jakowychś dumaniaich.

A wkoło stawał się cud święty jasności, cud dnia, cud wschodzącego słońca! Już tu i owdzie zapłonęły czerwone pnje, mroczne głębje zamigotały od strzał świetlistych i zaiskrzyły się oroszone mchy. Bór stanął w niemem zachwyceniu, ptaki wybuchnęły wrzaskliwym śpiewaniem, a wszelaki stwór podnosił radosny głos dziękczynień. Opadły mgły, wiatr ustał i przez gałęzie widniało lśniące, błękitne niebo, jak oczy miłościwie patrzące.

Dzień się już wyniósł na cały świat, gdy Kacper zameldował:

— Zwołam dziesiętników i zaraz będzie mógł pan porucznik odjechać — a dojrzawszy potakujące skinienie, jął wyczytywać donośnym głosem:

— Pierwszy szwadron brygady Dzierżka, wachmistrz Mateusz Ryś. Wystąpi!

Wystąpił sążnisty chłop z twarzą pochlastaną na zrazy, wbił świdrujące oczy w porucznika i, sprężony jak struna, czekał z dłonią przy czole.

— Drugi bataljon regimentu Lubomirskiego, kapral Tomasz Kwak. Wystąpi!

Wystąpił przygarbiony frant, rudy, jak wiewiórka i srodze pigowaty.

— Brygada Jerlicza, pierwszy szwadron, pocztowy Antoni Pyza. Wystąpi!

Wystąpił ogromny młodziak z gębą niby księżyc w pełni, przybrany w księży biret, granatową kurtkę, łątaną płótnem i żydowskie patynki na nogach.

— Regiment przedniej straży Karwickiego, trzeci bataljon, druga kompanja, szeregowy Jan Finczek. Wystąpi!

Wystąpił szpakowaty człowiek z przeciętym nosem i krótką, drapiezną twarzą.

— Brygada kawalerji Narodowej Szwejkowskiego, towarzysz Borejszał

Wystąpił smukły chłopak, różowy i śliczny, niby panna; włosy miał jasne, oczy lodowate, wilcze szczęki, a przyśmiejch zatruty beznadziejnym smutkiem.

— Pierwsza kompanja kamienieckiej artylerji Gębarzewskiego, bombardjer Furdzik. Wystąpi!

— Pułk przybocznych kozaków Poniatowskiego, pocztowy Semen. Wystąpi!

— Trzecia kompanja artylerji Łuczyńskiego, fajerwerker Kiryluk. Wystąpi!

— Drugi szwadron brygady Jerlicza, pocztowy Deptuch. Wystąpi!

— Pierwszy szwadron brygady Mokronowskiego, pocztowy Pośladek. Wystąpi!

Stanęli wszyscy dziesięciu zwartym szeregiem przed porucznikiem, który jął pytać o różne okoliczności służby, życia i ucieczki, próbując pociągać za języki, gdyż wielu z nich mieniło się być z wojsk jeszcze niedezarmowanych, ni zagarniętych przez nieprzyjaciela, lecz wszyscy wyznawali się dezterterami z wrogich szeregów, prawiać na ten tenor duby smalone. Jeśli łgali, to tak wprawnie, że nie miał sposobu domacania się prawdy. A zresztą i poco? Żołnierz był w rzemiośle wojennem zaprawny, na wszystko zdeterminowany i dla sprawy potrzebny. Dał więc spokój dociekaniom i raptownie zwrócił się do Kwaka z pułku Lubomirskiego:

— Toś z takich zuchów, którzy uciekali pod Ziełńcami?

Żołnierz zadygotał pod jego wzrokiem, ale odparł krotoczwilnie:

— Nasz komendant kłaniał się w pas każdej kuli, to i gemejnom zmierzilo się stać pod ogniem.

— A waść skąd się tu wzięłeś?—spytał Borejszy.

— Z pod przemocy, aby wziąć zemstę i zginać—odparł górnje a ponuro.

— Słyszałeś, co mówił Bernardyn? Trzeba się bić, jeszcze raz bić i pobić! To hasło generała Kościuszki. Nie pomsty waść szukaj, ni śmierci pragnij, lecz zwycięstwa.

— A ty — zwrócił się do Semena — czemuś opuścił Matuszkę?

— Bom jest powinien matce rodzonej, Rzeczypospolitej.

— Prawyś syn, bracie, ale reszta twoich zdradne pasierby.

Kozakowi poczerwieniała blizna na policzku i wyszeptał lękliwie:

— Niech pany oddadzą wolność, a naród kozacki opowie się przy Polscze.

Smutnie uśmiechnął się Zaręba i stanął przed Furdzikiem, dawnym znajomym.

— Dawno wyszedł z Kamieńca?

— Temu trzy miesiące. Musiałem czekać sposobnej pory. Taka forteca zatracona, mój Boże, tyle harmat i wszystkiego. Nasz komendant już od jesieni opatrywał mury i reduty, z własnego worka ekspensował na proch, kanonierów egzercyrował całymi dniami, harmaty chciał przelewać. Że i rok moglim się bronić choćby przeciwko wszystkim djabłom!...

— To czemuście ją wydali? — rzucił nieopatrznie pod wpływem nagłego żalu.

— Wydały ją oficerzy i panowie! — ryknął bez namysłu. — Mogliśmy to nie pozwolić? Tośwa jak psy warowali o chłódzie i głodzie! A wielu to pomarło pod kijami, że nie chciało przysięgać, a wielu to pognał

w Sybir, a wielu to gnije po kazamatach! A zdrajce patrzyły na taką marną żołnierzy suchym okiem! Wedle rozkazu! — urwał nagle, dojrawszy mękę w jego oczach.

Zaręba nikogo już więcej nie zagadywał, tylko przemówił twardym głosem:

— Każdy z was powiedzie dziesięciu gemejnow. A to wasz dowódca — wskazał na Kacpra — on wam wyznaczy trakty i postoje; każda partja musi się przemknąć innym szlakiem. Który swoją komendę w całości doprowadzi do Białegostoku, zaawansuje. Tam wszystkich wyekwipują i zapłacą zaległe lenungi. Ruszajcie o pierwszym zmierzchu. Odstęp!

Żołnierze się rozpierzchli, ale przystąpił Łaski z jakimś cierpkim uśmiechem.

— Może i ja byłbym zdatny do jakowejś funkcji?

— Waść zaopiekuje się kobietami: drogi niepewne, pełne maroderów.

— Anim imaginował kiedy o awansie na wojskiego! — poczerwieniał z alteracji.

— Jużem pod siedzenie wstawił pełniuską półgarncówkę — dobruchał go ksiądz.

— Dobrodzieju mój i zbawco! — rozczulił się nagle — prawda, przystojniej dla mojej szarży jechać, niżli z chamstwem tłuc się po wertepach. Szkoda tylko, że te moje kokoszki już wypierzone! — Podkręcił zabójczo wąsy i tak strzelił oczyma, aż parsknęli śmiechem, a on jął prawić konfidencjonalnie:

— Parol kawalerski, ale właśnie za przyczyną amatorów musiałem powędrować z ultajstwem. Jak czło-

wiek ma szanse u podwik, to już djabeł nie opuści go do śmierci. Nawet w drodze zdarzyła mi się okoliczność poprostu nie do wiary...

— Jaby m uwierzył, ale czas nam w drogę—prze-rwał Bernardyn, ruszając w las. Zaręba podał mu rękę, poszeptał z Kacprem i, uściskawszy go całe po bratersku, poszedł śpiesznie za księdzem.

— Łże szelma jak najęty i pewny, że mu zawierzą.

— Ma już takie reguły, mam go jednak za coś gorszego i kazałem mieć na oku.

Wyszli długim wąwozem na drogę, gdzie już czekała bryka kwestarska.

Pachołek rżęsiście kropił mizerne chabety, ale jechali wolno, gdyż głęboki, sypki piach aż się przelewał przez szprychy, a przed końmi, w tumanach kurzawy, wlokło się kilka baranów z prowodyrem na czele, zaś kundel, wesóło naszczekując, obganiał je ze wszystkich stron.

— Dobrodzieje nie nazbyt się wyekspensowali—, zaczął porucznik, wskazując stadko.

— Wstępowałem tylko po drodze i więcej dla zamydlenia oczów, nie w głowie mi była kwesta. Ale werbunek udały, he? Sam cymes, każdy wart dziesięciu kantonistów. Żeby z takich żbików uciuć jakąś grzeczniejszą watahę, dopiero by to można zalewać wrogowi gorącego sadła za skórę. Takie zbóje gotowe z gołemi pięściami na harmaty. A waszmości dałbym komendę.

— A jaby m wziął — zaśmiał się szeroko. — Utyłabym obwiesiów po szyję we krwi, a pasłbym ży-

wem, wrazem mięsem. Ale gdzie mnie chudopacholowi marzyć o jakiejś wyższej szarży! — westchnął ze szczerą modestją.

— Małe stopnie się dostaje — największe bierze się samemu.

— Jać to wiem, Cezar pierwszym przykładem, a Cromwell, a drudzy...

— Sami się wypromowali na pierwszych w swoim narodzie. Dziwi mnie, że u nas jeszcze się taki nie znalazł, nawet dla zbawienia ojczyzny!

— Bo szlachtaby zaprotestowała i trybunały wyjęłyby go z pod prawa.

— Trafnie ktoś wyrzekł, jako w Polsce dlatego szanują Pana Boga, że to Pan nieobieralny i nie można go przekreśkować! Na pluchę idzie: rwie mnie po łystach.

— Myślałem, że gościec omija kwestarskie gnaty.

— To nie gościec. Kiedyś obżały mi kajdany mięso do kości, że teraz lepiej kalendarza przepowiadam każdą odmianę powietrza.

— Kajdany? Cóż to za krotochwila.

— Bowiem w młodości przytrafił mi się takowy casus, że mnie złowili werbowniki i zaprzędali kaselskiemu landgrafowi, ten mnie odprzedał Angielczykowi, ci zaś powlekli aż do Ameryki, bym się za nich bił z Francuzami. Więc rada nierada, zjadła baba prosię. Dłuższa to historia, niżli mój pacierz — zaśmiał się i, przesuwając w palcach ziarnka różańca, zaszeptał poranne pacierze.

Nie ważył się mu przerywać Zaręba, lecz poglądał z niedowierzaniem.

— Wiadomo światu, że niemieckie książątka handlują mięsem człowieczem, jak nasi wielmoże ojczyzną — wyrzekł po chwili Bernardyn i na jego chudej twarzy zagrały błyskawice gniewów i nienawiści. — I mną handlowali, niby juczne bydłem. Łacińskie przysłowie powiada: Contra vim non valet ius, ale to cuchnie rezygnacją. Na siłę bowiem potrzeba nie prawa—jeno siły! Każdy ma prawo, kto ma pięść mocniejszą. Tak się dzieje na świecie między oświeconemi nacjami. Tylem doświadczył przemocy i podłości, że w prawo ni w sumienia królów nie wierzę. Boże, bądź miłościw duszy mojej, ale Ty panujesz na niebie, zaś na ziemi djabeł profity zbierał — uderzył się w piersi.

— U nas lepiej, niżli indziej, bo jeszcze ludzi na wywóz nie sprzedają.

— Bo są potrzebni szlachcie do roboty. Ale żołnierzem już kupczą. Słyszałeś waszmość, że Zabięto i Złotnicki sprzedawali Kreczetnikowowi gemejnów na sztuki?

— Mam te wieści za zmyślenia niegodne wiary.

— Nie byłem jużci przy tej facjendzie, nie przysięgnę, ale cóż to jest świętego dla wielmożów? Małoż przykładów, jako sprzedają żony, córki własne i ojczyznę, wszystko, za co tylko mogą capnąć dukaty? Polska nierządem stoi, Polska ginie, Polskę krucy rozdrapują! A jakoż ma być, kiedy chłop w niewoli, szlachcie głupi, a wielmoża nikczemny? Strach, co się wyprawia w tej Rzeczypospolitej.

— Wyrzekaniem złego nie naprawi, ni choroby nie zleczy.

— Że tylko Bóg miłosierny zdolen nas wyratować—westchnął frasobliwie.

— I on trzyma z mocniejszymi.

— Nie bluźnij waszmość! Franek! — huknął na pachotka—śpisz, ultaju, czy co? A skropno kobyłę po portkach, bo się leni.

Zabrał się żarliwie do brewjarza.

— Nie pora już na wyrzekania! — wyrzekł Zareba, lecz dojrawszy, jako kwestarz siedzi z nosem w brewjarzu, zaziewał przeciągle i oddał się drzemce.

Bór się niebawem skończył, wyjechali na płowe ugory, porośłe zrzadka jałowcem i pełne wydmy piaszczystych; droga staczała się łagodnie do zielonej doliny, gdzie modrzały wody Niemnowe; za niemi podnosił się kraj pagórkowaty, poprzecinany głębokimi jarami, któremi ciekły lśniące przedziwa potoków.

Słońce już szło wysoko nad światem i niegorzej przypiekało, że szkapiny ciągnęły coraz wolniej, nawet barany ustawały z gorąca i prowodyr raz po raz odwracał rogaty łeb i pobekiwał żałośnie, ale ojciec Serafin przynaglał nieustannie i co trochę wołał:

— Franek, popędzaj, odpoczniemy za rzeką.

— Ojciec wie, że wszystkie przewozy na Niemnie są obsadzone przez kozaków?

— Wiem, właśnie dla zmylenia musimy wrócić do Grodna traktem Kowieńskim. Waszmość wozisz tydy, aż miło!—zauważył, podsuwając mu tabakierkę.—Kładź się i śpij, ja będę czuwał.

Nie pozwolił się prosić i w parę minut już chrapał, aż się rozlegało.

Obudził się dopiero w Grodnie; właśnie zegarek wydzwaniał czwartą z południa.

— Jak ojciec przewiózł mnie przez kordon rogatkowy?

— Meldowałem pijanego i oficer uszanował taką okoliczność.

— Z księdzem idzie wszystko jak po maśle. Bóg zapłać.

Uściskał go serdecznie.

— Jak zając bębna, tak rad tego słucham!—rzekł kwestarz wielce usatysfakcjonowany. — Z bratem kijem sylabizowałem w życiu niejedno, to eksperjencja jest. Pójdę żdziebełko przyłożyć ucha i od jutra jestem znowu na rozkazy pana porucznika.

— Roboty nam nie zbraknie. A, Staszek! Jakież przynosisz awizy?

Staszek podał jakieś bilety wizytowe i radośnie przypadł mu do ręki.

— Wszystko w porządku, panie poruczniku.

Stanął w propernej pozycji.

— „Książę Cycjanow, pułkownik grenadjerów“. „Von Blum, kapitan“—czytał Zaręba, nie mogąc skryć zdumienia i pewnej obawy. — Cóż im powiedział?

— Że pan kapitan poszedł na obiad właśnie. Byli w samo południe.

— Mili goście. Cycjanow oddał wizytę, ale czego szuka Blum? Muszę się zaraz pokazać między ludźmi. Może się ojciec dowie, kogo wczoraj wywieźli z Grodna?

— Wywożą pod zmyślonymi nazwiskami, a dla zatarcia tropów, na każdej pocztowej stacji zmieniają

nazwiska wywożonych, że i djabeł za nimi nie trafi. Spróbuję jednak. Mówiła chuda, jako się uda!

Zaśmiał się i wyszedł.

— Czekaj tu jakiś markietan. Powiada się być znajomym pana porucznika.

— Tak powiada? Nim go zawołasz, daj mi co jeść.

— Przewidziane— zaczął wyliczać na palcach:— jest czerninka z klusieczkami, jest młoda kaczusia z rożenka, są boróweczki, jest...

— Nie błażnuj, dawaj, co masz, tylko prędko! Ale... przynieś wody, rozrób mydła i naszykuj wiśniowy frak...

Staszek związał się, jak cyga, prawiąc przytem takie ucieszne koncepty, że Zaręba wybuchał śmiechem, a wkońcu zapytał, wielce rozbawiony:

— Gdzieżeś się taki uchwalał?

— Nie wiem, proszę pana porucznika, bo mnie już gotowego znaleźli w kapuście.

— Mógłbyś przystać do komediantów.

— I tegom praktyk, bom z szopką chadzał po Warszawie. Łatki wystroił jeden kamrat, a ja udawałem i za Heroda i za Djabła i za Małgorzatkę i za Żyda i za wszystkie figury. Ale, że to było w ostatni mięso-pust wielkiego sejmu, przycapnęli nas marszałkowscy Węgrzy i pan marszałek, zato, że znaczne osoby wystawujemy na śmiech powszechności, kazał nam wrze-pić po dwadzieścia pięć odlewanych. Szczodry pan, niech mu choroba zwróci z profitem! Wziął nas potem pod swoją protekcję pan Weyssenhoff, pan Niemcewicz

i ksiądz Dmochowski, ułożyli śmieszne wierszyki na wielkich panów, dali nam kukły podobnusiennie do nich, jak kropla wody, ja udawałem głos każdego i pokazywaliśmy taką szopkę po pałacach, kwaterach i pierwszych kafenhausach. Były dni, że i po sto złotych kapnęło. A co było śmiechu, a wyżerki, a pijatyki!

— Potrafisz udać każdy głos?

— Pan porucznik tylko pozwoli...

I, nie czekając odpowiedzi, cofnął się w głąb izby i przemówił tak udanym głosem Kacpra, że Zaręba obejrzał się zdumiony. Potem naraz jakby zgrubiał, brzuch wysadził, policzki wydał i zagadał głosem Kaczanowskiego. Udawał również Maciusia i kwestarza, wreszcie zagadał, niby kokosz, zarżał, zaszczekał na trzy głosy razem i gwizdał niby kos.

— Niech cię kule biją! Masz za te sztuki. A toby i na teatrze lepiej nie udali.

— Raz posłyszę i już zapamiętam! — chwalił się, ucieszony dukatem i łaskawością.

— A wieleż ty masz lat?

Wydał się bowiem Zarębie w tej chwili młodzieniaszkiem.

— Że mnie z łaski porodziła ciotka i że się to jej przytrafiło w panińskim stanie, wstydała się wyjąć metryki.

— Ha! ha! — zaśmiał się głośno Zaręba. — Sprzątnij, łobuzie, ze stołu i wołaj markietana.

Po chwili wszedł człowiek nieduży, krępy, o rzadkiej bródce, farby rdzawej, skośnych oczach i szerokiej twarzy; krymkę miał na wygolonej głowie, malinową

koszulę, wypuszczoną na hajdawery, a na to niebieską kapotę, srodze w pasie pofałdowaną. Podał siny karteluszek, naznaczony wyklutym w rogu trójkątem.

Zaręba obejrzał papier, ale, obawiając się jakowego podstępu, rzekł zimno:

— Cóż to za krotochwila! Czy asan niemy?

Markietan uśmiechnął się i, wyszeptawszy formułę wtajemniczonych, dodał głośno:

— Jestem Mahmud Bielak z Łostoi, brat majora Amurada. Tatar, jak waszmość widzisz i wierny sługa polskiej ojczyzny.

— Rozgoście się waszmość i daruj mój pierwszy traktament, ale ordynans meldował mi jakiegoś markietana. Bardzo proszę.

— Od pół roku jestem prawdziwym markietanem. Zaraz się porucznik przekona, jakie mam grzeczne towary.

Krzyknął w sień po tatarsku, a po chwili wniesiono długie, łubiane pudła, okryte postronkami.

— Staszek! — rozkazał Zaręba — siądź w ganku i niema nikogo w domu.

Markietan sam drzwi zamknął na klucz i wydobył z pudła worki ze złotem.

— Dziesięć tysięcy dukatów. Trzeba je choćby dzisiaj wręczyć podkomorzemu nurskiemu, Zielińskiemu: to rozkaz szefa Działyńskiego, który w pięciu dniach obiecał zjechać do Grodna. Teraz pokażę prawdziwe towary.

— To waść naprawdę kupczy? — pytał dotknięty nieco, chowając worki do sepetu.

— Takowy proceder daje znaczne prowenty i pozwala mi zarazem służyć naszej sprawie — odpowiedział, wywalając z łub na podłogę kosztowne towary, z pod których dobywał jakieś ciężkie, długie przedmioty w bajowych pochwach.—Przywiozłem pięćdziesiąt karabinów, trzeba je dostawić pułkownikowi Grochowskiemu do Parczewa.

— Zaiste, czarodziejskie to łuby! — wołał Zaręba niezmiernie ucieszony, oglądając karabiny z prawdziwym nabożeństwem.—Prosto marcepany! Na tem nam zbywa najwięcej. Nowiuteńkie — powąchał lufy — i już przestrzelanel Siłaż kosztują?

— Po złotym rublu za litkup, że Koran wzbrania mi trunków i częstowania niemi. Wygodziłem w potrzebie jakiemuś grenadjerskiemu oficerowi. Nic mi do tego, skąd wziął karabiny! Nie mój grzech i nie moja pokuta. Jest i torba z tysiącem najprzedniejszych skałek. — Ułożył broń w jednym pudle, towary poskładał i zabierał się do wyjścia. — Kwaterę mam w pocztowym dziedzińcu. Często jestem w drodze, bo dostawiam furaże do obozów aljanckich, ale parobek przy koniach zapasowych da mi znać i stawię się na zawołanie. Szef napierał, by karabiny zaraz wyprawić.

— Mam kwestarza, który je jutro powiezie.

Bielak nie chciał przyjąć żadnego poczęstunku i wyszedł, a Zaręba kazał śpiesznie zaprzęgać i, obładawszy się złotem, pojechał do Zielińskiego, u którego już był zaraz po przyjeździe, ale go nie zastał.

Podkomorzy kwaterował na ulicy Wileńskiej, w małym dworku i na szczęście był w domu.

Wyszedł do niego Zieliński, mąż lat średnich, wielce postawny, o pięknej twarzy, zdobnej w zawiesiste wąsy, ujmujący serdecznością uśmiech i szpakowatą, podgoloną czuprynę. Nosił się po polsku przy karabeli.

Wprowadził go do bokówki, pieniądze skrupulatnie przeważył i, zamknawszy je do skrzyni, zwrócił się do niego przyjacielsko:

— Jutro powiozą je do Kapostasa. Tak rozporządził szef, przyczem polecał mi gorąco pana porucznika. Żebyśmy to mieli więcej takich godnych oficerów!

Zaręba obruszył się i wyrzekł porywczo:

— Abyśmy więcej mieli takich obywatelów jak pan podkomorzy! Oficerowie wiedzą, co powinni ojczyźnie, i nie zwątpili o niej ani na chwilę.

— Dobrodziejaszku złocisty! — wykrzyknął podkomorzy, biorąc go w ramiona. — Żebyś tak pypcia dostał na języku, jeśliś cię chciał urazić! Toć jestem największym chwalcą całego koru i wiem, że wy jedni czuwacie, gdy wszyscy śpią lub rezygnują, stumanieni koszmarem zdradnej przyjaźni. — Ścichnął nagle, gdyż z dalszych pokojów huknął jakiś tubalny głos:

— Upewniam waszmościów, jako aljantka, co tylko czyni — czyni dla naszej pomyślności. I tylko przy jej wspinałomyślnej protekcji...

Podkomorzy drzwi przywarł, ale Zaręba dosłyszał i syknął przez zęby:

— Zgoła jak w bajce o wilczej protekcji nad stadem baranów.

— A najgorsza, że mówi to człowiek pocziwy

i prawy obywatel, a tak, jak on, święcie wierzy prawie cała Litwa. Desperacja z taką ślepotą!

— Przewidzą, jeno że będzie już za późno.

— Kossakowscy ich durzą w tym względzie, już bowiem otwarcie głoszą, że dla Litwy jedyny ratunek, aby się dobrowolnie związała unją z Rosją.

— Wierzą wszystkim podszeptom, byle tylko nie słuchać głosu sumienia i obowiązków!

— Ale, wyznał mi się Jeziorkowski, sekretarz sejmowy, jako Załuski-Sendomirski ma już sobie konferowane podskarbstwo koronne nadworne.

— Ona wysłużyła je u Igelströma, wszak to jego gamratka.

— A Miączyński-Lubelski dostał pisarstwo polne koronne.

— Szubieniczna para: rajfur i łotrzyk z gościńca.

— Ambasadorowi potrzeba na sejmie więcej dygnitarskich głosów i każe swoich zauszników nominować. Król się przecie nie oprze.

— Już mnie nie zdumieje, nawet gdyby hetmanem wielkim koronnym został sam arcyłotr i rakarz Lubowidzki.

— A propos, Branicki zrezygnował z buławy. Podszeptują, że hetman „z woli powszechności“, Kossakowski, zabiega o nią w Petersburgu dla siebie. Król zaś z Sieversem forytują Ożarowskiego, ale są jeszcze, którzyby chcieli widzieć hetmanem koronnym Pułaskiego-Wołyńskiego.

— Chyba za cnoty i zasługi jego brata, ś. p. Kazimierza.

— Właśnie Trębicki przyniósł mi takowe zamysły względem niego. Rozumiem je tylko jako kabałę dla poróżnienia generalności. Pułaski bowiem już narzeka na targowickich socjuszów, na ich nienasyconą chciwość i przedajność.

— Aktualnie innego zgola nam potrzeba wodza.

— Jać wiem nawet kogo, lecz, nim co nastąpi, Pułaski przydałby się naszym zamysłom: to człowiek o gorącym sentymencie dla ojczyzny.

— Czyżby z tego sentymentu marszałkował Targowicy?

— Powstał też projekt — ciągnął, nie zważając na przycinek — żeby na sejmie zalecić go do wielkiej buławy królowi i Stanom. Mikorski już się zdeterminował przemawiać za nim. Jakże się to widzi waszmości?

— Żadnej dywersji nie zgłoszę, bom w takich materjach ciemny, jak tabaka w rogu — wykręcił się z niemilej rozmowy i wstał, sięgając po kapelusz.

— To pójdźmyż teraz, dobrodziejaszku złocisty, na podkurek, czekają tam na nas. Poznasz paru żarliwych zelantów i kapitana Żukowskiego.

— Z reguły nie przestaję z patriotami, aby nie ściągać na siebie uwagi szpiegunów. W Grodnie każdy cnotliwy jest podejrzany i pod baczną obserwacją. Powinienem więc dla przepieczności brać pozor jarmarcznego gapia lub hulaki — tłumaczył poważnie, ale musiał obiecać przyjść na jutrzejszy obiad, za co uściślał go serdecznie podkomorzy i rzekł przy pożegnaniu:

— Traktuj waść mój dom w każdej potrzebie, jak swój.

Zareba konie odesłał i prawie bezwiednie znalazł się przed mieszkaniem szambelanowej i to w chwili, gdy zajeżdżał Blum, a żołnierz wynosił za nim z powozu ogromny kosz róż.

Przywitali się całe przyjaźnie i oficer protekcyjnym gestem zapraszał do wejścia.

— Niestety, nie mam czasu, chciałem tylko zasięgnąć języka o kasztelanie.

— Przyjeżdża jutro. Tak mówiła przy obiedzie panna Terenia. Idziemy dzisiaj na teatr, nie wybierze się pan z nami?

— Licznaż będzie kompanja?

— Sami domowi: pani szambelanowa, panna Terenia, ja, no i szambelan.

— A książę? — nie mógł powstrzymać tego pytania.

— Zjawi się na koniec spektaklu, gdyż teraz ma na głowie młodszego Zubowa, który przyjechał z Petersburga, więc tylko ograbił z róż ambasadora i polecił je złożyć pani szambelanowej. On już w stanie szczęśliwości, odzyskał bowiem utracone łaski — szeptał z głupowatym uśmiechem.

— Bardzo się cieszę — wykrztusił, zmuszając się potem do paru słów usprawiedliwienia, że go nie zastali w domu.

— Książę tego żałował, bo jechał do pana z podziękowaniem.

Zareba pokazał twarz szczerze zdziwioną.

— Zwierzył mi się, jako za pańską przyczyną uzyskał przebaczenie.

— Za moją przyczyną? Ach, tak, tak! — zaśmiał się dziwnie i, rozstawszy się z nim, poszedł wolno, bardzo wolno, jakby uginając się pod niezmiernym ciężarem.

— Za moją przyczyną! — powtórzył z nie dającym się wyrazić uczuciem. — Zemściła się! jak ordynaryjna dziewczka! — wybuchnął na gnienie, lecz, przybrawszy maskę obojętności, przystanął pod kafenhauzem, gdzie, jak co dnia o tej porze, gromadziła się modna młodzież, lustrująca promenujące się damy. Był tam i Marcin Zakrzewski, ale jakiś skwaszony, mrukliwy, a w takiej kłótlivej dyspozycji, jakby szukał okazji do zrobienia burdy.

— Cierpkis, jakby ci podkomorzyna dała abszyt! — szepnął Zareba.

— Nieco chybiłeś, ale ktoś mi u niej szyje buty. — Spojrzał na niego podejrzliwie.

— Suspacje zgoła fałszywe, szukaj innego tropu.

— Bym wiedział, kto mnie tam dysgraduje! — zawarczał, szarpiąc wąsiki.

— Pilnowałbyś, aby cię nie odsadzono od Tereni.

— Afrontujesz mnie, czy ostrzegasz? — przysunął się groźnie.

— Pragnę tylko, byś zobaczył, kto ci szyje buty i gdzie...

Zakrzewski pobladł, jego łagodna twarz stężała na kamień.

— Rozumiem cię przyjacielem, więc mnie nie szczędź.

— Przekonaj się sam! Panie będą dzisiaj w tea-

trze, naturalnie w asyście... Pamiętaj tylko, że oficj-rom Sieversowym nie wolno się pojedyńkować!

— Ale mnie wolno każdemu z nich pomacać boki choćby kijem.

— I przejechać się zato do Kaługi. Licha satysfakcja i nie prowadząca do celu.

— Nie wyprawiaj awantur, trzeba poszukać skuteczniejszych sposobów.

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą—mruknął wzgardliwie i poleciał.

Zaręba również miał już odejść, gdy naraz z kafenhauzu wytoczył się jakiś pijany olbrzym i runął na niego całym ciężarem, bełkocąc rozkazująco:

— Prowadź mnie asan—i czknął mu w samą twarz.

— Nie jestem twoim pacholkiem.—Odepchnął go z obrzydzeniem, aż tamten potoczył się na ścianę i, czepiwszy się jej kurczowo, zaczął wrzeszczeć płaczliwie:

— Pomóścież, psie syny! Nuże, chłystki! Zawołać mi powóz!

Nikt się jakoś nie kwapił z pomocą, natomiast posypały się drwiny.

— Położy się pod kafenhauzem i sprzątną go marszałkowsy.

— Obmierzłe bydło! Zaraz on tu przyozdobi ścianę.

— Oddać go patrolowi. Prześpi się w kordegardzie i sam już trafi do Massalskiego.

— Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy — rzekł jakiś przechodzień.

— Sic transit gloria mundi! — dodał drugi, spluwając w stronę opoja.

— Panowie—wtrącił jakiś kontuszowy, poważny jegomość—jak wam nie wstyd natrzasać się z pijanego i dawać go na śmiech pospólstwu. Ośłońcie go przynajmniej, a ja polecę po jaki powóz.

Radzi nieradzi zasłonili go sobą przed oczyma gawiedzi, powstrzymując od upadku.

— Cóż to za jeden? — pytał Zaręba, wskazując pijanego.

— Poniński, bywszy podskarbi, aktualnie ostatni pijaczyna.

Jakoż był to osławiony książę Adam Poniński, swojego czasu najpierwsza i najpodlejsza persona w Rzeczypospolitej, którego sąd sejmowy odsądził jako nieprzyjaciela ojczyzny od czci, szlachectwa, tytułów, nazwiska i urzędów i skazał na wieczną banicję. Miał nawet być oprowadzony po mieście przy odgłosie trąb i obwołany zdrajcą.

— Z najgorszych, ale nie jedyny!—myślał Zaręba, patrząc z pewnem politowaniem na jego twarz plugawą, jakby ociekającą błotem i nikczemnością.

— Targowica przywróciła mu prawa, lecz stronią od niego, niby od zarazy.

— Któż może zdjąć z niego hańbę! — rozmawiali obok Zaręby.

— Wypierają się go nawet dawni socjusze. Jeden biskup Massalski daje mu przytułek i czasem rzuci parę dukatów. Imaginuję, jak go żre sumienie.

— Sumienie i Poniński! Ha! ha! nie znasz go, widzę, nawet z reputacji.

— Zato wie coś o nim motłoch. Patrzcie, ile się tu zbiera tałałajstwa.

— Bowiem nie przebiera w kompanji, pije, z kim się zdarzy okazja.

Zajechał wreszcie powóz, wsadzono go z trudem i, gdy konie ruszyły, chmara pospólstwa popędziła za nim, podnosząc przeraźliwe świsty i wrzaski.

— Rakarzl! Łłodziejl! Zdrajca! — sywały się krzyki wraz z kamieniami i błotem.

Paru grenadjerskich oficerów, stojących na uboczu, zaklaskało rżęsiście, śmiejąc się przytem do rozpuku.

— By to widzieli aktualni ministrowie! — rzucił któryś z młodzieży.

Zaręba odwrócił się śpiesznie od tej sceny i poszedł do domu.

Było już po zachodzie, niebo pokrywało się jakby łuską z rozżarzonej purpury, zaś od ziemi wstawał modrawy zmierzch, przesycony pyłem i głosami zamierającego dnia. Po placach i rogach ulic zmieniano warty przy głuchym warkocie bębnow i wrzaskach dzieci. Na ulice wyległy tłumy mieszkańców, obsiadając wszystkie schody i progi. Uprzątno już kramy i zawierano kafenhauzy i karczmy, bo pachółkowie grodowi, trzaskając halabardami, wołali przeciągle:

— Zawierać! Gasić ogień! Zawierać!

Zaręba chciał się rozmówić z kwestarzem względem transportu karabinów, lecz, nie odszukawszy go w klasztorze, wstąpił do celi przeora i stanął osłupiały.

Cela była zalana światłem zórz, a pod oknem, na brzaskwiniowem dnie zachodu, klęczał przeor, jakby

w migotliwej chmurze roztrzepotanych skrzydeł ptactwa, które mu obsiadły głowę, ramiona i nawet ręce złożone do modlitwy. A w tej świętej i słodkiej cichości zmierzchów rozkwitały tylko ptasie świegoty i słowa litanji.

— „Ucieczko grzesznych!“ — podnosił się w bezmiary uskrzydłony szept miłości. — „Módl się za nami!“ — zdał się odpowiadać rytmiczny wybuch ptasich szczebiotów i milknął nagle, że jeno migotały skrzydła przelatujących z miejsca na miejsce.

— „Pocieszycielko strapionych!“

I znowu żarliwy świegot i milczenie jakby kwiatów, dyszących aromatami w upalne, ciche zmierzchy letnie.

— „Wspomożenie wiernych!“ — ciągnął przeor, nie dosłyszawszy otwierania drzwi.

Zaręba cofnął się na palcach i długo stał pod oknem w ogrodzie, sycąc duszę zbożnem rozmarzeniem, aż wspominki domu, matki, dzieciństwa zagrały mu żywymi farbami w pamięci. Tamte lata, tamte marzenia, tamte nadzieje! Ponościł go do nich pachnący wichur i doniósł nieubłaganą koleją do pierwszej i jedynej miłości, do Izy. Wzdrygnął się, żelazna ręka bólu szarpnęła mu sercem.

— Czemuś ty taka? — zajączał, bo oto cudny kwiat marzenia osypał mu się w dłoni, konał i leciał w ohydne, grząskie błota i błotem się stawał.

Ale po jakimś czasie powlókł się znowu do miasta, w kierunku Sapieżyńskiego pałacu, w którym dzisiaj grano teatr francuski.

VI.

Kasztelan czule przycisnął go do piersi.

— Bardzo rad cię widzę. Jakże się miewasz?

— Jak groch przy drodze — odparł wesoło Zaręba, całując go w rękę.

— Straciłeś na cyrkumferencji, zeszkapiałeś.

— Abszytowany żołnierz lenieje z pierza, niby kwocha po kwoczetach.

— Słuszną konkluzja. Terenia mi trajkotała, jako pragniesz perfekcjonować swoje wojskowe talenta — uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Już podałem suplikę i żywię niepłatną nadzieję dobrej rezolucji.

— Na takim fundamencie nie zakładaj fortuny, boć redukcja być będzie i z wojsk zostaną zaledwie strzepy.

— Jak z całej Rzeczypospolitej — wtrącił cichutko.

— Jeszcze wystarczy pod stopy Najjaśniejszemu. Żali to nie on sam wyrzekł, jako dotąd korony nie złoży, dopóki mu ziemi starczy pod nogami?

— Byle mu jej nie zbrakło pod trumnę.

— Rzekłeś — zastanowił się głęboko. Któż jutro przewidzi? Takowe terminy przychodzą na nas, że

gdybym nie wierzył we wspaniałomyślne gwarancje Imperatorowej...

Zaręba wpił się oczyma w jego twarz i szepnął:

— A jeśli nas zawiodą?

Kasztelan zażył tabaki, pokrywając nagłe zaniepokojenie.

— Ta wiara to nasz ratunek. Niema innego wyjścia z tej matni, niema innego ocalenia. Chyba, gdyby się konjunktury szczęśliwie ułożyły.

— Nim słońce wszędzie, oczy rosa wyje.

— To radź-że, mój ty statysto — zachnął się przykro dotknięty.

— Moja rzecz bić się, a w potrzebie dać głowę za ojczyznę.

— Wybrałeś najłatwiejszą część — mruknął, patrząc przez okno na szambelana, który, spowinięty w szale, wygrzewał się pod drzewami.

Westchnął frasobliwie i, zażywając raz po raz tabakę, jął spacerować po komnacie. Mąż to był lat dojrzałych, lecz jeszcze krzepki w sobie i wspinał się postawy; twarz miał piękną, wygoloną, nos rzymski, wielkie piwne oczy, uśmiech wabny, głos rozkazujący i senatorską dostojność w ruchach; nosił się po francusku i siwe, trefione włosy odgarniał na tył głowy, jak Ignacy Potocki, do którego był niezmiernie podobny. Człowiek to był chytry, wyziębły z pasji, wytrwały, ostrożny i zawsze dopinający swego. Zaciekły aktualnie króla antagonistą, lecz niegdyś jego najzaufańszy konfident, bowiem w młodości razem wojażowali, dobijając się w Petersburgu znaczenia i fortuny.

Ożenił się był po raz drugi z damą ze znacznej familji, ale o której szeptano, jako o bywszej faworytce królewskiej i wziął za nią prócz koligacji, wielkich majątków i jakąś drażkową kasztelanję na odczepne. Wyznawał się być wolterjaninem i człowiekiem bez przesądów, ale dla całę poziomych względów głosił się zawziętym przeciwnikiem konstytucji 3-go maja, stał się filarem Targowicy, był żarliwym obrońcą przywilejów szlacheckich i srogim ciemieżcą swoich poddanych. A przytem nie zaniedbywał pomnażać fortuny i pięć się coraz wyżej.

— Jakże ci się podoba szambelan? — spytał naraż, przysiadając.

— Ledwie go widział, ale wydaje mi się jakby już nieco ochwacony.

— Sflaczałe bałwanisko — wybuchnął gwałtownie — toć on już ledwie włóczy kopytami za sobą. Pan Bóg mnie skarał takim zięciem.

— Pono wiele po świecie wojażował — uśmiechał się zjadliwie.

— I z tych wojażów przywiózł w kościach takie suweniry, że go z nich już żaden doktor nie wyprowadzi. Obmierzły dziad.

— Powiadają, jako ma dostać od Imperatorowej tytuł hrabiowski?

— Sam o to zabiegałem i gorzko teraz żałuję. Nawet nie imaginujesz, jaki to sknera, liczykrupa i tyran domowy. Zamęcza Izę scenami zazdrości, groził jej nawet skandalem, już ci bez najmniejszej przyczyny, przez złość tylko. Iza stanowczo żąda rozwodu.

— Zmiana paszy raduje bydło — szepnęła, ledwie kryjąc przedziwną radość.

— Dałbyś pokój kpinom. Prawdziwy to dramat dla Izy.

— Nikt jej przecież nie zmuszał wyjść za niego... — Spojrzał mu w oczy.

— Naturalnie, już ci — widać — widoki zdały się najpomyślniejsze, zrobił zapis, obiecywał złote góry, a teraz odmawia jej na pierwsze potrzeby. I jeszcze te sceny zazdrości, wprost niepojęte... śmieszne...

— A Izie uśmiecha się zupełna wolność. Taka młoda i piękna!

— Widziałeś kobietę, rozwodzącą się dla nowego kochanka? One tak sobie wazą wolność, jak pies gramatykę. Trafia się jej świetna partja w całę tego słowa znaczeniu.

Zaręba pobladł, lecz, skrywając wzruszenie, rzucił na chybił trafił:

— Czyżby książę już się zdeklarował?

— Wielki to jeszcze sekret, zatrzymaj go przy sobie — uśmiechnął się porozumiewawczo — aktualnie czekam na konsystorskich jurystów. Sprawa będzie drażliwa i przychodzi mi całę nie w porę. Przytem nie lubię pieni, a szambelan do kompromisu nie pójdzie, zechce sprofitować z okoliczności.

— Wuj ma już ten zamiysł uformowany? A zna wuj dobrze księcia?

— Tylko z opinji Sieversa i listów Izy; już ci wiem, że jest pułkownikiem grenadjerów, przyjacielem

Zubowa i faworytem petersburskiej socjety. Substancję ma pono znaczną, kilkadziesiąt tysięcy dusz, no i tytuł.

— Ta jego krymska książęca mość cuchnie baranami skórami, czabaństwem.

— Taki już świat, że dosyć ma pozorów dla estymacji. Zasięgałem o nim tu i owdzie języka: renomowany to kawaler i cieszy się uwielbieniem powszechności.

— Bo nikomu nie szczędzi komplementów i złoto rozrzuca garściami.

— Masz do niego jakowąś awersję?

— Mówię sine titulo, bom nawet z nim w pewnej komitywie, jeno, że to człowiek obcy, choćby i najgodniejszy, obcy wiarą i obyczajem.

— Ludzie oświeceni wszędzie są jednej wiary — w rozum i naturę. Zostawmy takie przesady pospółstwu — począł się niecierpliwić.

— Ależ on służy przeciwko nam!

Ledwie się już wstrzymywał.

— Tum cię właśnie czekał. Otóż to jedna z największych racyj, aby wydać za niego Izę. Sievers mi szepnął, że on zostanie gubernatorem wszystkich oderwanych województw. Zważ tylko rozumem, jakie z tego dla nas mogą być następstwa, jakie splendory i jakie korzyści. Zawierzę ci na ucho, jako w Petersburgu wzmaga się z dnia na dzień partja Następcy, z którym Cycjanów jest w tajnej i zażyłej komitywie. Imperatorowa jest w latach i przy jej burzliwych pasjach trzeba być przygotowanym na wszelaką okoliczność. Rozumieją to już drudzy. Ks. M. Czetwertyński, który pojechał do Petersburga w hołagjalnej deputacji imieniem

oderwanych województw, już zabiega koło Pawła i robi pakt z Naryszkinami o swoją śliczną córkę. Wiele naszych domów zamyśla podobnie. A pocóż kazał się wybrać do tejże delegacji ks. Sanguszko? i ks. A. Lubomirski i M. Sobański i Rzewuski, kasztelan witebski i Grocholski i Wyleżyński? Składać hołd powinny Imperatorowej, ale i zabiegać o swoje partikularne sprawy.

— Pojechali łowić panem bene merentium.

— Stawiam głowę, jako z pustemi rękami nie wrócą. I słusza to rzecz, aby, co odebrano Rzeczypospolitej, wróciło chociaż w części do rąk obywatelów.

— Obyczaj szakałów karmić się trupami — szepnął zdławionym głosem.

— A jeśli mi się z Izą nie uda — ciągnął, nie zważając na jego słowa — to mojego Stasia umieszczę w pułku Następcy: niechaj się chłopiec szlifuje i dorabia fortuny i znaczenia.

— Gdzież on aktualnie przebywa?

— W Sieniawie u księcia generała ziem podolskich. Zdumiał się Zaręba, gdyż kasztelan był antagonistą „Familji“.

— Pogodziłem się z konieczności — mrugnął przebiegle. — Książę generał jedyny to w Polsce wielki pan i chociaż rozdyma go pycha, że nawet o królu pruskim wyrzekł, jako ma lepszych od niego szlachciców do podawania lulki, człowiek to wielce oświecony, wspomniały i szczodry. Wziął Stasia do swego boku; chłopak nabierze światowego poloru, górnych manier i wyćwoczy się w materjach krajowych. Książę ma zachowanie u wszystkich sąsiednich potencji, jego więc protekcja

może każdego wysoko wypromować. Zaś księżna prowadzi swoją politykę, popiera gorąco zelantów i ma czucie z egzunami w Dreźnie i Lipsku. Takie stosunki mogą się Stasiowi w ewentach życia wielce przydać. Kto na dorobku, temu nie wolno azardować się na burzliwych fluktach sentymentów, musi mieć rozum za przewodnika.

— Maksimy godne uwielbienia—wyrzekł Zaręba, nie patrząc mu w oczy, ale musiało coś w jego głosie zaniepokoić kasztelana, gdyż dodał:

— Bóg świadkiem i pocziwi ludzie, że służyć ojczyźnie, jak potrafię i rozumiem, ale też i nie poczytuję sobie za grzech zabiegać o przyszłość jedynaka.

Wyznawał się coraz szczerzej, aż Zaręba, nie mogąc już znieść wylewu plugastwa, przerwał mu bardzo pokornie:

— Wuj na długo do Grodna?

— Biskup słał pocztę za pocztą, aby zdążyć na porę ratyfikacji traktatu z Rosją, potem przyjdą do deliberacji materje pruskie i tyle jeszcze innych, że wypadnie mi tutaj pozostać do końca sejmu.

— Aż do solennych egzekwii za Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

— Pleciesz!—obruszył się—najłatwiej drwić a krytykować. — Nakręcił złoty pektoralik, obsypany brylancikami i ozwał się łaskawie: — Siadaj, ja sobie jeszcze popromenuję dla konkokcji żołądka. Powiem ci otwarcie, mój chłopcze, iżeś opuścił swoich jakobińskich sojuszków, uczyniłeś i mądrze i pocziwie. Przepowiada-

lem twojemu ojcu: niech się jeno wywojuje i na własne oczy zobaczy, a wnet przyjdzie do statku.

— Jakoż i nabyłem eksperjencji słusznego o świecie rozumienia.

— Długoś bawił w Paryżu?

— Z górą pół roku.

— Jakże ci smakowała owa wielbiona równość, wolność i braterstwo? Jakże ci się wydał ów raj rozbestwionego pospólstwa? Milczysz? Wstyd ci przyznać się do błędu? Tak i rozumiałem, że wrychle wytrzeźwiejesz. Francuskie medykamenta skuteczniej leczą żywoty, niżli choroby. Jatki uczynili z tej Rzeczypospolitej i generalną mordownię. Znam ja ich maksimy, znam. Na bywszym sejmie, skorom zobaczył tę „czarną procesję“ z Dekiertem na czele, wlot zrozumiałem, że nie praw przyszli się upominać, lecz panowanie brać nad nami. Słyszałem, jak krzyczeli: wiwat król, wiwat wszystkie stany! Nie dałem się uwieść sentymentom, ni pozorom. Ks. podkanclerzy i Małachowski i Weyssenhoff i drudzy ich obrońcy protektorzy byliby, jak w Paryżu, pierwsi dali głowy, a za nimi drudzy, zaś niechby się potem ruszyło chłopstwo, a jużby po nas...

— Ale możeby ocalała Rzeczpospolita — wtrącił szeptem.

— Rzeczpospolita to my—zawołał gwałtownie—usuń kamień węgielny, a cała budowa runie i pozostanie jedna kupa gruzów. Widziałeś, co się wyrabia we Francji? Jakobini ścięli króla, wytracili szlachtę, skasowali kościoły, zrównali stany i wypędzili Pana Boga! A cóż z tego za szczęśliwość powszechności? Że się

teraz między sobą wadzą i gryzą niby wściekłe wilki o panowanie! Może tak nie jest? Może zaprzesz mi?

— Nie zapieram niczemu, niczemu — odpowiada głucho.

— I zobaczysz, jak się to sankiulockie psie we-sele skończy! Król pruski zaczął już w Moguncji uczyć rozumu swoich jakobinów.

— Tak, tak — potwierdzał, dygocąc ledwie hamowaniem wzburzeniem.

— Ale dajmy temu spokój — zakonkludował naraz kasztelan — te materje żółć mi poruszają. Pomówmy o tobie lepiej. Dałbym głowę, jako twoja suplika do króla nie weźmie skutku, ale ja ci obmyślę jakąś intratną funkcję. Zdaj się na mnie. Już mówiłem o tobie z biskupem Kossakowskim, właśnie rozgląda się za kim godnym zaufania i zdatnym do pióra. Masz głowę otwartą, wyćwiczone nauką talenta i przez niego mógłbyś się wypromować. Pójdiesz ze mną do niego na dzisiejsze przyjęcie. Gdybyś mu się udał i mnie byłoby to wielce na rękę. Bo widzisz, chociaż z nim pozostaję w serdecznej komitywie, ale radbym zboku wiedział, co się tam sub secreto wyrabia u niego. Biskup to głowa in statu, tylko nieco gorączka, z Sieversem niepotrzebnie drze koty i zbytńo zadufany w potęgę Zubowa. Wiadomo zaś, jako i najpotężniejszym faworytom przychodzi tracić łaski. Powiem ci na ucho, że i tego wypiera już zwolna jego rodzony brat, bawiący aktualnie w Grodnie. Otóż w tem dowcip, by się nie dać pogrążyć nieprzewidzianym okolicznościom i wiedzieć naprzód na jaką pogodę się zanosi. Byś

chciał, a twoja fortuna roślaby wraz z moją. Czasy teraz przyjazne dla mądrych i przezornych. Po sejmie może mi się uda zasiąść w Radzie Nieustającej. A wejść do Rady, to i dla ciebie się tam należeć musi jakowaś funkcja. Junctis viribus, mój chłopcze, zakonotuj sobie, a rychło dosięgniesz fortuny i znaczenia. Patrzaj, jak się prędko wynieśli Kossakowscy! A Ożarowscy! Czem to jest Ankwicz! Jakie widne miejsce zajął Miączyński! A Załuski? Wszak to o miłościwie nam panującym napisano takowy wierszyk:

„Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrności,
Syn królem, ojciec w krześle, a dziad podstarości“.

Więc czemuż to nie mogą sięgać choćby najwyżej Górcy i Zarębowie? Masz-li przeciwną rację? Nie trzeba się jeno lenić i spuszczać z uwagi sposobnych okoliczności, każda bowiem droga prowadzi do Rzymu. Dodam tylko, że bez substancji niczego znacniejszego nie dosiędziesz. Zali personat na pięci chłopach może stanowić o losach powszechności? Wiem ja coś o tem, zaczynałem przy panu Krakowskim jako pacholik. Nie sztuka urodzić się z kasztelaństwem w kolebce, ale trzeba głowy nielada, by się dźwignąć z chudopacholka na senatorskie krzesło i dojść fortuny.

Rozszerzał się z lubością i nad miarę nad samym sobą, Zaręba zaś słuchał tych szczerých zwierzeń z uśmiechem, jakby wylękłym od głębokiego obrzydzenia i awersji. Potakiwał mu jednak, w niczem się nie przeciwiąc, i postanawiał iść ślepo za jego radami, byle się jeno znaleźć w samym obozie wrogów. Już sobie

bowiem wystawiał te pożytki, jakie dałyby się wyciągnąć z takowej sytuacji dla sprawy, gdy kasztelan, przyszedłszy na aktualne materje polityczne, naraz powiedział znacząco:

— Ma się na jakąś odmianę, może być plucha, a może i coś gorszego.

— Niby, jak to wuj rozumie? — spytał żywo.

— Że w Lipsku i Dreźnie coś się agituje; darmo tam nie siedzi ksiądz podkanclerzy i jego socjusze, żeby nie znali jakowejś kabały. Wszak i zelanci na sejmie nie czynią oporu wszelkim rozsądnym zamierzeniom, bez zachęty stamtąd. Kłują się jakieś zamysły, dałbym głowę. A utwierdza mnie jeszcze bardziej w podejrzeniach to, że na Onufrejskim jarmarku w Berdyczowie spotkałem wojewodzica Działyńskiego; pił, hulał, dawał codziennie stoły i asamble, bratał się nawet z rosyjskimi oficerami. Znają go przecież, jako jest wielce wstrzeźliwy i nie lubi próżnych ekspensów, więc takie szastanie się nie może być bez kozery. Mój Klotze, który słyszy jak trawa rośnie, szepnął mi, jako wojewodzie najchętniej przestaje z abszytowanymi oficerami, rozsyła po kraju jakieś sekretne sztafety, a konie i woły całemi stadami skupuje i wysyła do Warszawy.

— Wiadomo, że wielce dba o swój pułk, więc może dla niego.

— Mnie to jednak zastanawia. Klotze powiada, że nawet gemejnów ściaga i kompletuje swoje szeregi i to teraz, kiedy ogólna redukcja wojsk prawie jakby już postanowiona na sejmie.

— Jakże to sobie wuj imaginuje? — spytał z bijącym sercem.

— I Haumana skaptował do siebie na pułkownika.

— Rozumie się bowiem na wojskowym rzemiośle, a ludzi rycerskich kocha, zaś Hauman w bywszej wojnie stawał mężnie na podziw.

— Przysięgłbym jednak, że coś się gotuje; w województwach, objętych kordonem, latają pisma burzące, wierszyki zjadliwe na generalność, szlachta zwłaszcza drobniejsza burzy się i odgraża. Ktoś musi podżegać owe nieszczęsne sentymenta, lecz kto?

— Niechybnie tylko pocziwa troska o przyszłość ojczyzny.

— Powiadają, jako abszytowani oficerowie zamyślają o konfederacji, ale tybys coś wiedział? — Bystro spojrział mu w oczy.

— Nic a nic nie wiem. Wszak za podanie supliki o powrót do szarży moi dawni towarzysze teraz bij zabij na mnie, nie poznają mnie na ulicy i mają za przeniewiercę — zapewniał gorąco.

— Wždy postponują każdego, kto innych opinij. I mnie głoszą zdrajcą i jurgielnikiem, że wedle swego rozumienia pracuję dla ojczyzny.

Byłby się dłużej wyżałał nad ludzką niewdzięcznością, ale wszedł Klotze, jego wiernik, a za nim wpęzło bez szelestu dwóch jurystów z twarzami psów zgłodniałych; mieli lisie uśmiechy, przygięte grzbiety w czarnych kontuszach, łby podgolone, długie drapieżne ręce i pliki papierów pod pachami. Kasztelan przywitał się z nimi kordjalnie i, usadziwszy za długim stołem, wziął

na stronie coś szeptać z Klotzem, który co chwila wybuchnął rubasznym śmiechem, obcierał spoconą twarz i tłuste, jakby napuchłe ręce. Był to człowiek o potężnej cyrkumferencji, rumiany niby bułka świeżo upieczona, siwy, cały w dygach i podskokach. Kasztelan przepadał za nim, gdyż był niezmiernie czynny, wesoły, sypał anegdotami, zawsze pełen nowinek, znał wszystkich, wiedział o wszystkim, był sposobny do wszystkiego, a jedyny do sekretu. Wywodził się ze starej rodziny niemieckiej, ale miał się za Polaka, i wielce się pysznił indygenatem, jaki dostał z przyczyny dukatów i kasztelana, którego był prawą ręką i najzaufanszym konfidentem.

Zaręba wyszedł niepostrzeżenie, gdyż tak był zgnębiony, że ledwie się trzymał na nogach. Na szczęście w salonie było pusto, więc mógł dać folę wzburzeniu powstrzymywanemu tylko niezmiernym wysiłkiem. Jakże ten wuj czczony przez całą rodzinę, jej splendor i duma ten senator nieugięty w cnocie i sentymentach dla ojczyzny—wyjawiał się w prawdziwym kształcie duszy! O Boże, co za gorzki posmak hańby i zawodu! Rodzina nauczała mieć go za człowieka wyższego rozumu i oświecenięcia, za niezłomnego w cnocie obywatelskiej męża. A znalazł podłego egoistę, którego jedynym celem było własne wywyższenie i bogactwa. Nielepszy od tych, którym stryczek poprzysięgał, nieinny. Wspomniawszy o maximy i jęły mu się wic przez mózg niby płazy pląskawcem kłębowiskiem. Cóż teraz począć? Pójść za jej radą, uczyć się biskupa, zostać delatorem i szpiegiem? — Każda droga prowadzi do Rzymu — wygłoszczone, mimo lat, matowo białą i jakby zastygłą w mar-

sztelan. A czyż każdą iść wolno do świętego celu? — Szarpało nim sumienie. — Byłbym u źródła wszelkich machinacji przeciwko ojczyźnie — zabrzmiał w nim głos rozsądku. — Tambym rozpoznał jej przyczajonych wrogów, tam byłbym okiem i uchem ku pożytkowi sprawy! — Szarpał się, deliberował i chwiał, targany przeciwnymi uczuciami. Ale w jakiejś chwili nakazał sobie surowo: Spełnię, com powinien ojczyźnie — i, porzuwszy po tem nieodwołalnym postanowieniu niemając wątpliwości, poszedł do apartamentów kasztelanowej.

Lokaj w białej peruce wprowadził go do wielkiej, ozdobionej komnaty; zapalone kasolety były wdzięczną wonią, słoniącą rudawemi mgiełkami wszystkich kształtów wspaniałych sprzętów, że nawet zwierciadła odbijały ze ścian oczami zasnutymi bielmem; pachniało również woskiem i przywiedłemi ziołami, jak w kościele po nabożeństwie. Fioletowe obicia w złote ornamenta na ścianach, cisza, drgająca okwiatem westchnień i ścisłej przed chwilą muzyki, jeszcze bardziej dawała pozor kaplicy.

Kasztelanowa, uniósłszy się z markizy wysłanej do pocatowania, witała go bardzo życzliwie, podając śliczną rękę do pocałowania.

Siedzący obok niej Dominikanin, o surowej, ascezycznej twarzy, odstawił wiołę i, usunąwszy się pod łóżko, zabawił papugę, rozkołysaną w złotej obręczy. Zaręba zajął jego miejsce i, słuchając kasztelanowej, wodził roztargnionemi oczyma po komnacie, przebiegając je niekiedy a ukradkowo na jej twarz piękną, jeszcze, mimo lat, matowo białą i jakby zastygłą w mar-

mur; tylko pełne usta znaczyły się ostro, jak żywa, krwią opłynięta rana i czarne oczy o ciężkich powiekach i rzęsach, niby skrzydła jaskółcze, świeciły promieniście. Była przybrana w czarny dezabil, zapięty pod szyję, a doskonale uwydatniający jej szczupłą i bardzo foremną figurę. Siwe, gładko przyczesane włosy tworzyły nad jej niskim czołem majestatyczną koronę. Nie miała na sobie ani jednego klejnotu.

Szeptła z omdlewającym wdziękiem, głosem pełnym dziwnych modulowań, nieoczekiwanych spadków i cudaczych zwrotów francusko-polskich. Melancholijny smutek sączył się z jej słów, niby słodka woń kwiatów wędnących, ale w każdym zdaniu zdradzała żywy dowcip i wielką znajomość spraw i ludzi. Zdumiewał się temu, znajdując ją zgoła niepodobną do wyobrażenia, jakie miał o niej od dzieciństwa, słuchał też z rosnącą uwagą i nieskrywanym podziwem. W jakiejś chwili natrafiwszy oczyma na królewską miniatyrę, stojącą obok na pękatej szyfonierce, przeniósł badawczy wzrok na kasztelanową.

Snadź przeczuła wagę spojrzenia, bo jakiś cień przewionął po jej bladej twarzy, zatrzepotały trwożliwie jaskółcze rzęsy, na czole zawisła chmura i po ustach zalsnił prześmiewch niby to tęsknot nagle zbudzonych, niby żalów i niby gorzkich politowań.

— Nieszczęśliwy człowiek! — westchnęła, wskazując portret.

Nie odrzekł, nie śmiał jej czemś urazić, ona zaś, jakby nie pomnąc wyrzeczonego słowa, zaczęła się wyżalać na polskie barbarzyństwo, upadek ducha, nierząd,

zanik cnoty, a ze szczególnym naciskiem na rozwiązłość kobiet i przedajność mężczyzn. Mówiła mądrze i powściągliwie, jak statysta, z czułością jednak serca pełnego sentymentów i troski o przyszłość ojczyzny i powszechności. Ujęła go tem niezmiernie, aż z uwielbieniem ucałował jej precudne, prawie przezroczyście ręce. Orzeźwiwszy się wonnością ze złotej balsaminki, wyrzekła cicho:

— Wiem, co zamierzacie, i niech was Bóg błogosławi. Ratujcie ojczyznę i tego nieszczęsnego króla, póki jeszcze pora, ratujcie! — Głos jej obwisł i załamał się pod nawałą łez tryskających cienkim sznurem pereł.

Zaręba, nie wierząc własnym uszom, siedział w oniemiałej konsternacji.

— Bóg ponad wszystko! — zakrzyczała naraz papuga.

Obejrzał się i, napotkawszy błyszczące oczy mniacha, poruszył się niespokojnie.

— To Hiszpan, nie rozumie ani jednego polskiego słowa — uprzedziła. — Nie zawieraj tylko w niczem kasztelanowi, ani Izie — ostrzegła z naciskiem. — Wiem, jakoś całą duszą przyłgnął do sprawy ratowania ojczyzny i gdyby mój Staś miał wiek odpowiedni, oddałabym ci go bez jęku: niechby poszedł, gdzie wszystkich pocziwych wzywa powinność i honor. Wczoraj wieczorem był u mnie ojciec z księciem Karolem i hetmanem...

— Wojewoda! Księżę „Panie Kochanku“ i hetman Branicki — powtarzał w zdumieniu najwyższem imiona dawno pomarłych.

— Tak — potwierdziła spokojnym, szczerym głosem. — Niekiedy mnie odwiedzają. Otóż wczoraj nakażał mi ojciec przyczynić się do dobrego skutku waszych zamierzeń. Gotowych pieniędzy nie mam, gdyż dużo uwieźło w banku p. Prota Potockiego, zaś nad resztą kasztelan roztoczył swoją kuratelę, ale mam jeszcze swoje klejnoty, niechaj więc usłużą przeciw nieprzyjaciołom — wyjęła z szyfonierki pękaty worek z zielonego zamszu, zawiązany starannie i pod pieczęcią. — Miałam je posłać do Częstochowy — uśmiechnęła się, sypiąc sobie na kolana grad, jakby uczyniony ze stężałej tęczy. — Kapostas potrafi je dobrze sprzedać — przegarniała je końcem palców, lecz ze źle skrywaną lubością. Były tam w tej rosie różnobarwnej pierścienie w starożytnych oprawach, sznury pereł, zausznicze, manele obsypane kamieniami, spięcia, guzy od kontuszów, szlify, pieczętki rżnięte w rubinach, wysokie grzebienie ze złota, sadzone perłami, łańcuchy, balsaminki drążone w koralach i ametystach; było też sporo nieoprawnych kamieni. Niebylejaka fortuna leżała w tej kupie złota i kamieni, polśniewającej cudnymi farbami.

— A możeby grał Moszyński kupi? On się lubuje w klejnotach — szepnęła, zsypując zpowrotem. — Błyskotki to czcze i dziecinne. Jakże się ojciec ucieszy, kiedy mu zdam relację — dodała, wręczając mu worek.

Zdumienie Sewera sięgało już granic trwogi; partrył w nią z lękiem, ale siedziała, jak przedtem, spokojna, piękna, władająca rozumem i jakby z bólem zczajonym w kątach ust. Żart-li czy też chora imagi-

— Co jednemu prawda, drugi ma za szaleństwo! — wyrzekła jakby w odpowiedzi jego zatrwożeniom i oczom badającym. Zmieszał się okropnie i tłumaczył tak zawiłe, że mu przerwała z pobłażliwym uśmiechem:

— A zaglądać do mnie, zawsze będę ci rada. Weźże te klejnoty i schowaj.

Pozwoliła mu łaskawie ręki do pocałowania i czule pożegnała.

Skwapliwie już pochował kosztowności po kieszeniach, ale był tak pomieszany i wzruszony tem wszystkim, że wszedł do salonu, jak pijany.

W sąsiednim buduarze słyhać było podniesione głosy Izy i szambelana. Kłócili się zawzięcie. Przez słabo przymknięte drzwi roznosiły się ordynaryjne i brutalne wyzwiska. Złe, okrutne i mściwe słowa Izy świstały, niby bicz zacinający nieubłaganie. Szło im naturalnie o pieniądze i kochanków, a skończyło się płaczem i spazmami Izy i chrapliwym wrzaskiem szambelana i łomotem przewracanych sprzętów.

Zaręba już chciał wyjść, gdy z buduaru wypadł szambelan i zakrzyczał na swojego Kubusia, by mu podawał lekarstwo, nim się jednak zjawił famulus, przychwycił Zarębę i zaczął mu skrzekliwie kłaść w uszy.

— Nie żeń się waścpan z modną panną; lepiej się obwieś, niżli miałbyś później paść się zgryzotą i pośmiewiskiem. — I, nie czekając responsu, jął utykać po sali, wspierając się na grubej trzcinie i wyrzekał na kobiety. Był wystrojony w paradny fiołkowy frak, suto zahaftowany, w białych pończochach na pałakowatych

nogach i w peruce z harcapem, omotanej złotą siatką, przygarbiony, schorzały, istny grat ludzki, lecz z twarzą wielce rozumną i bystreimi oczyma.

Zaręba poczuł do niego jakąś litościwą czułość i właśnie był z nim zawiązał dyskurs, gdy weszła Iza z książką w rękę, piękna jak zwykle, wystrojona i zasiadła pod oknem w głębokim wolterze. Zdała się pokrywać wrzącą jeszcze złość wysiłonym uśmiechem i lekceważącym skrzywieniem ust, skinęła głową. Zarębie i jej orzechowe oczy ślizgały się po nim obojętne i niewidzące. Odczuł to boleśnie, odpłacając się wzgardliwymi spojrzeniami i głośniejszą rozmową z szambelanem. Jakby jeszcze niedość było w powietrzu wiszących swarów, wpadła Terenia, cała w rumieńcach, łzach i wzburzeniu, rzuciła się do Izy i buchnęła spazmatycznym płaczem, a za nią wleciał Marcin i, nie witając się z nikim, szarpał wąsiki, potoczył groźnie oczyma i zwrócił się do Sewera.

— Wyjdź ze mną, mam do ciebie ważną sprawę — szeptał ponuro.

— Nie mogę teraz, czekam na kasztelana. O zmierzchu będę w handlu Dalkowskiego, to poczekaj na mnie.

— Jedziesz na bal do Zubowa?

— To dzisiaj? Jeśli wydołę pilnym sprawom, zajrzę na chwilę.

— Wszyscy się wybierają na te festy, nawet Terenia.

— Nic tam po niej—wyrzekł z rozmysłem bardzo głośno.

— Terenia ze mną jedzie — odbiła Iza, przyszywając go spojrzeniem.

— Terenia zostanie w domu — zawrzał porywczym Marcin, czerwony z alteracji.

— Waćpan przywłaszcza sobie prawo, co ona ma robić?

— Przecież to moja narzeczona, przecież jakoweś prawa mam.

— I dlatego chcesz praktyki tyraństwa na niej odprawować! Waćpan coś za wcześniej pokazuje rogi!—uśmiechnęła się z miażdżącą wyniosłością. — Biorę Terenię pod swoją opiekę, czy waćpanu to nie wystarcza?

— Wielce sobie szacuję ten zaszczyt, ale trwam przy swoich opinjach.

— Trwajże waćpan przy swoich przekornych opinjach, a ja Terenię zabieram — zwróciła się do Zaręby. — Nie będziemy tam przecież same, jedzie z nami cała socjeta. Zabawa obiecuje się być wspaniała i urozmaicona siurpryzami. Wszak jedziesz z nami?

— Nie mniemam jednak, aby to było odpowiednie dla panny Tereni—odrzekł zimno, wpierając w nią wyzywające oczy.

— Więc dla kogóż znajdujesz ją tylko godną? — złość ją targnęła i, podrażniona jego tonem, stanęła przed nim w groźnym wyczekiwaniu.

Nie ścierpiał jej lekceważącego głosu i rąbnął na odlew, bez namysłu:

— Jedynie tylko dla tak zwanej wyższej socjety, lecz nie dla cnotliwych panienek.

— Katon! — bluznęła ironicznie, mszcząc zarazem niedzielny zawód.

— Tylko bywszy porucznik artylerji, Sewer Zaręba, mościa pani szambelanowo — gruchnął szydliwie z zuchwałą impertynencją, skłonił się i odszedł na stronę.

— Grubjanin! — posłyszał za sobą jadowity syk. Weszło parę osób, gdyż u szambelanowej był punkt zborny całej socjety, fetującej Zubowa, skąd mieli wyruszyć do Stanisławowa na podwieczorek, zaś następnie do Sapieżyńskiego pałacu na teatr i bal.

Zjawił się też Cycjanow w otoczeniu swoich oficerów i już nie odstępował Izy ani na chwilę, tak przez nią awansowany, że szambelan, piniąc się z bezsilnej wściekłości, szeptał do ucha Zarębie:

— Ten książę ma maniery zgoła kozackie... Guza tu znać szuka... ja mu zrobię afrontację — mamrotał groźnie, nie ruszając się jednak.

— Vae victis przez kobiety! Snadź damy podobają sobie w jego parobczańskich manierach i dziobatym pysku — odparł drwiąco, lecz był rad, gdy mu Klotze oznajmił, że kasztelan czeka na niego.

Marcin, chmurny niby noc jesienna, zastąpił mu drogę i szepnął:

— Tak mnie damy obligują za Terenią, że nie wiem co począć?

— Bądź na prośby nieczuły i nie pozwalaj.

Kasztelan już czekał w powozie i zwrócił się do Klotzego:

— Ale, kupiłeś aspan woły?

— Kupiłem w Zelwie trzysta. Sto zaraz popędzili kozacy do obozu generała Dunina, resztę zaś spędzą do Grodna, popłyną do Prus. Jarmark był drogi, bo jakaś kompanja skupowała i agent pana Starzeńskiego też podbijał ceny. Na szczęście miałem pod ręką konwojowych kozaków i trochę musiałem rekwirować. Tylko do koni nie można się było docisnąć, bo co było wybrańsze, wykupili jacyś oficerowie, podobno dla brygady Madalińskiego i artylerji Jasińskiego.

Zaręba nadstawił uszu, domyślając się, jako mowa o Kaczanowskim i Hłasce, lecz odezwał się dopiero w drodze.

— Nie wiedziałem, że wuj zabawia się handlem.

— Jeśli ksiądz Kołłątaj może przedawać płótna i kartuny, to czemuż ja nie mam handlować zbożem i wołami! — zaśmiał się z jego miny. — Klotze mnie namówił i źle na tem nie wychodzę. Wziąłem nawet warendę śpichlerz w Gdańsku; Klotze skupuje flotę i jesienią pchnę już ze dwieście sztuk i komięg ze zbożem. Wprawdzie król pruski ścisnął nasz handel paskudnymi cłami, na komorach robią przeróżne utrudnienia, ale moim statkom obiecali pofolgować. Kasztelanowa jest przeciwna temu, respektuje bowiem Swedenborga, Martiniego i uczone dyskursa o nieśmiertelności, ja zaś uwielbiam zdrowe zasady ekonomji, dającej całę grzeczne prowenty.

— Będzie wuj na balu dla Zubowa?

— Powinienem, tyle mam jednak spraw na głowie! — westchnął, zagłębiając się w rozmyślenia i dopiero gdy powóz stanął przed pałacem, zaszeptał:—Po-

leceć cię biskupowi, musisz jednak się podrożyć i wziąć czas do namysłu, żeby nie zwąchał ukartowanej kabały.

Pałac Kossakowskich był nie nazbyt obszerny i miernej architektury, lecz urządzony z gustem i nie małym przepychem. W antyszambrze na pierwszym piętrze stały rzędy hajduków w herbowych liberjach i jakiś chudy ksiądz w okularach rogowych, przyjmujący gości, zaś w salach czyniły honory domu bratowe biskupa, on zaś sam, powłócząc nieco nogami, przechadzał się łaskawie uśmiechnięty. Co chwila w innej stronie widniała jego głowa, pokryta siwemi, podwiniętymi dokoła puklami i blada dziobata twarz. Przewijał się między grupami, nie szczędząc pochlebnych słówek, przyjacielskich skinień, tajemniczych szeptów i błogosławiących spojrzeń. Zdał się być samą dobrocią i dostojnością, którą wszystkich porównywalnie obdzielał. Nawet z chudopachołkiem rad się zadawał, suponując mu, jako uważa go ponad drugich, gdyż każdego umiał zażywać dla swoich celów. Był wysokiego mniemania o sobie, ale pychę pokrywał niewolącą uprzejmością, byстрым dowcipem i nauką, chciwość pocziwiał troską o szczęście powszechności, egoizm głębokimi racjami polityki, nienawiść słusznym gniewem poniżonej moralności.

Konfidentów wynagradzał szczerze, zaś nieprzyjaciołom wybaczał głośno, lecz przez zaprzędane sobie ręce gniótł ich bez miłosierdzia, obdzierał z majątków i słodkimi, bolejącymi szeptami podawał na wzgardę. Pokazywał się być księdzem wielce dbałym o służbę bożą, nawet msze odprawiał prawie codziennie, lecz

jeszcze żarliwiej zabiegał o tłuste beneficja i, jak każała okoliczność, zagarniał je zbrojną ręką.

Człowiek był przytem oświecony, górnych manier, opinij miarkowanych rozsądkiem i okolicznościami, podstępny, intrygant, nie przebierający w środkach i wiecznie głodny dla siebie i swojej rodziny dostojęstw, władzy, bogactw i znaczenia.

Wszak-ci to on czasu Wielkiego Sejmu najżarliwiej intrygował przeciwko reformom i konstytucji.

Płaciła mu zato Imperatorowa.

Wszak-ci to on stał się później duszą Targowicy i wszelakich machinacyj, na zgubę Rzeczypospolitej uformowanych.

Brał zato szczodre w rublach jurgiety.

Wszak i aktualnie przewodził na sejmie potężnej faksji, powolnej na każde życzenie Petersburga, za co wciąż otrzymywał sute łaski w beneficjach, biskupich krzyżach, kamieniami sadzonych, i dukatach.

Takim był ten obywatel, biskup i człowiek, nad którego mogli się należeć jeszcze gorsi, lecz nie było szkodliwszego dla Rzeczypospolitej.

Kasztelan przedstawił mu Zarębę. Biskup obrzucił go bystremi oczyma, a wielce łaskawie przywitawszy, pociągnął kasztelana na stronę.

Zaręba, rad z osamotnienia, chociaż obciążony klejnotami kasztelanowej, a bardziej jeszcze gniewem Izy, jął się rozglądać pomiędzy ludźmi.

W głównej sali, obciążonej amarantem i pełnej kosztownych sprzętów, zwierciadeł, bronzów i złożonych mebli, a nakrytej sufitem uczynionym z pozłocistej sztu-

katerji na dnie czerwonym, siedział biskup wileński, Massalski, ze swoim godnym socjuszem, biskupem chełmskim, Skarszewskim. Obaj byli zaciętymi antagolistami Kossakowskiego; zwłaszcza Massalski, gracz, utracjusz i pijak, mimo potężnej cyrkumferencji i lat sędziwych, nienawidził go całą duszą i posępnym, złym wzrokiem chodził za nim, poszeptując coś zgryźliwie, na co Skarszewski prześmiewał się jadownicie, przytakuując wyłysiałą, śpiczastą głową.

W bliskości prześlizgiwał się węzowemi skrętami, a z przyczajonym wzrokiem ksiądz Ghigiotti, czarny, suchy Włoch, króla partikularny sekretarz, lecz i zarazem powolne Sieversowi instrumentum. Węszył też między ludźmi osławiony Boscamp i Friese rad częstował tabaką, wyciągając przytem na słówka, i wielu podobnych żarliwie pełniło swoje rzemiosło, gdyż na przyjęciach biskupich zbierała się liczna i przeróżnego automatu socjeta.

Za biskupami, na czerwonych ławach, obiegających ściany, drzemały wybrane dostojne ciemięgi, omszałe damy, pachnące woskiem i święconą wodą, niby stare kropielnice, zatabaczeni profesorowie w wyświechtanych sutannach i frakach, nieco staroświeckich kontuszków i pocziwych rupieci z zapadłych powiatów Litwy. Czasem pokazał się na głównej sali jakiś mąż głośnej cnoty, jakby jeno dla ornamentu prezentowany lub modny cudzoziemiec. Resztę zaś komnat, biegnących amfiladą i bogato przystrojonych, przepełniał różnobarwny, strojny tłum: modne franty z nastroszonymi czuprynami, z gałkami lasek w zębach, pobrzękując pękami pieczętek

i wisiorków, podpierały kominy; nie brakowało pomiędzy nimi aljanckich oficerów, ni pieczeniaryzy, bywających wszędzie, gdzie się tylko kurzyło z komina, ni polowaczów nowinek, ni person zgoła zagadkowym procederem żyjących; sporo wiecznych suplikantów krążyło w cieniu znacznych osób, wyczekując okoliczności. Większość jednak zebranych była złożona z posłów sejmowych, konfidentów i powinowatych biskupa, cała zgraja zaprzędanych mu socjuszów, która żarliwie stawiała się bić czołem wszechmocnemu patronowi, brać instrukcję działań, wyzebrywać łaski, chełpić się przewagami na sejmie i składać relacje co się dzieje u króla, co u Sieversa, co u Buchholtza i co u wszystkich dygnitarzów. Co chwila bowiem ktoś długo nakładał w biskupie uszy, lub wsuwał mu w rękę nikłe karteluszeki. Musiała się obocznie formować jakowaś tajna narada, bo co znaczniejsze figury, jak Zabiellowie, Giełgud, Narbutt, kasztelan, paru sejmowych jurgieltników biskupich, a nawet i Nowakowski, wyniosło się niepostrzeżenie w głąb pałacu.

Właśnie deliberował nad tem Zaręba, gdy stanął przy nim Srokowski, którego był poznał u Nowakowskiego i szczerze unikał i jął mu pleść niestworzone banialuki o politycznych konjunkturach i upadku ojczyzny; jęczał przytem, łamał ręce, targał wąsiska i coraz lamentliwiej powstawał na upadek obyczajów i panowanie wszystkich grzechów.

— Przepadło już wszystko — krakał złowieszczym głosem — mówię wacpanu, jako przepadła Rzeczpospolita. Musi przyjść kara za grzechy. Musi Bóg pokarać winne i ogniem zgładzić tę Sodomę i Gomorę!

— Profetuj waszmość babom pod kościołem, a mnie oszczędź! — mruknął zgniewany i, dosłyszawszy z bokówki głos Woyna, tam poszedł.

Paru młodzieńców z twarzami jakby zamarzłemi siedziało na kanapach, a Woyna czytał im półgłosem.

— „Potem rzekł Szczęsny (Potocki): „Ja jestem panem i stwórcykiem waszym, a wszystkie ziemi polskiej mieszkańce są buntownikami“. I nazwał Szczęsny wojsko polskie wojskiem nieprzyjacielskiem, a wojsko moskiewskie nazwał wojskiem wybawienia i wolności. I zaczęły się mordy, pustoszenia i pożary, a Szczęsny widział, że to wszystko było dobre dla niego, i radował się.

„I to był dzień pierwszy stworzenia.

„I rzekł Szczęsny: „Niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną, niech szlachcic posłusznym będzie panu, a miasta niech się znowu pogrążą w ubóstwie i ciemności. To, co wybrani od współziomków zgodnie postanowili, niech będzie zbrodnią i spiskiem, a to, co ja rozkazuję, niech stanie się prawem“. Rzekł też Szczęsny: „Niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie niech przestaną czytać, mówić, pisać i myśleć“. I nazwał to Wolnością.

„I to był dzień drugi stworzenia“.

— Jakże się wam podoba „Biblia Targowicka“? Przedni dowcip, nieprawdaz?

— Pusta złośliwość, z której wyłażą ośle uszy jakiegoś gryzmoły bez talentu i nauki — odpowiedział biskup, niespodzianie stając między nimi.

Skonsternowana młodzież porwała się z miejsc,

tylko Woyna, nie straciwszy rezonu, ozwał się ze zwykłą swadą i w tonie żartobliwym:

— I mniemam, że Szczęsny po takiej pigułce dostanie żółtaczkę.

— A waćpan zapłaci trzysta złotych kary za rozpowszechnianie pism wzbronionych sancjami generalności — zawarczał groźnie biskup.

— Dobry żart tyńfa wart, a ta krotochwila godna sutszej zapłaty. Mówią, że pisał ją Weyssenhoff, ale czuję żądła Niemcewicza lub Dmochowskiego.

— Daj mi waszmość egzemplarz — wyciągnął drapieżnie rękę.

Woyna oddał niechętnie i chciał się jeszcze wykręcać dowcipkami, lecz biskup skinął na Zarębę i, zaprowadziwszy go do ustronnej komnaty, w rozmowie swobodnej, przyjacielskiej, a najeżonej podstępnie hakami, brał go na spytki. Snadź egzamin wypadł pomyślnie, gdyż, przybierając ton serdeczności, wyznał otwarcie:

— Kasztelan wnosil za waćpanem gorące instancje.

— Wuj dobrodziej zawsze jest wielce na mnie łaskawy.

— Właśnie też rozglądałem się za człowiekiem z nauką, umiarkowanych opinii a godnym zaufania, mógłbyś więc przy mnie zaprawiać się do późniejszych posług Rzeczypospolitej. Miejsce wprawdzie skromne i nie nazbyt profitujące, ale dałoby się hetmańską protekcją odzyskać twoją dawną szarżę wojskową wraz z poborami, zaś kwatere i stół miałbyś u mnie. Czy cię to kontentuje?

W niemem podziękowaniu schylił się do jego ręki.

— Możesz przy mnie wyjść na ludzi — dorzucił wielce łaskawie.

Spojrzał na niego zezem, lecz biskup, lubiący górną swadą i wzniosłością swoich zamierzeń kaptować przyjaciół i wielbicieli, jął niby to odniechcenia wyznawać się ze swoich trudów i niemałych ekspensów dla dobra publicznego. Były to niby szczere zwierzenia cnotliwego męża, z których wychodziło, że cokolwiek czynił, czynił tylko dla ocalenia ojczyzny i szczęścia powszechności.

Byłby może i dłużej snuł swoje pełzające, kręte i wielce podejrzane arcana polityki, gdy wszedł kasztelan i, szepnąwszy mu coś na ucho, zwrócił się do Zaręby:

— Poczekaj na mnie, mamy teraz ważne materje do rozważenia.

Wyszli pośpiesznie, a on zaś powrócił do sal opustoszałych, gdzie już hajducy wywierali okna i jakiś kleryk wykadzał miedzianym trybularzem, i srodze się zamedytował nad biskupiem i słowami, a zwłaszcza nad swoją wielce szczególną sytuacją. Nie czuł się bowiem sposobny do służby, jaką mu rał kasztelan i nakazywały względy na dobro sprawy.

Wzdrygał się na taką okoliczność i pośepniał, jak te pokoje zasypywane popielnym zmierzchem i czerniejące niby jamy, z których tylko rwały się tu i owdzie ślepnące błyski zwierciadeł i złotych.

Kasztelan długo kazał na siebie czekać, czem wielce zniecierpliwiony jął peregrynować po pustych pokojach i zaglądać do bokówek, aż wkońcu trafił na bisku-

pią sypialnię; olbrzymie łoże pod baldachimem stało w pośrodku na grubym, puszystym kobiercu, a za niem przez zastony sączyło się światło i wrzały jakieś głosy.

Zajrzał bezwolnie i stanął jakby przykuty do miejsca.

W komnacie obitej arasami, na których była wyrażona cudnemi farbami męka Pańska, rozmawiało parę osób. Srebrne kandelabry jarzyły się światłami, w kryształowym pajaku również płonęło kilkanaście świec. Przy dużym okrągłym stole, zarzuconym papierami, siedział biskup, obok niego brał miejsce kasztelan, a dalej widniała głowa hetmana Kossakowskiego i cynicznie skrzywiona twarz Ankwicza. Opasły, o wypełzłych niebieskich oczach i jakby ze zmurszałemi policzkami, Bieliński, marszałek sejmowy, siedział obok Zabielfy i młodego Narbutta. Ksiądz referendarz Wołłowicz kręcił młynka pulchnemi palcami na wielce wypukłym brzuchu, patrząc z pod krzaczastych brwi w biskupa, za nim tuliły się pokornie jakieś nieme persony z wylekłemi oczyma. Kwitnął też i na widnem miejscu Nowakowski, jakby zachłystujący się rozkoszą słuchania.

Była to wybrana kompanja konfidentów i zauszników biskupa.

Rozmawiano jednak ostrożnie, ważąc słowa, tylko Bieliński, ćmiący nieustannie lulkę, rzucał niekiedy uwagi szczere i cynicznie zuchwałe, Ankwicz parskał szydlwym śmieszkami, a Zabielfo jakby zcicha warczał, szczerząc przytem żółte, ostre zęby, niby pies. Hetman raz po raz zażywał tabakę i kichał solennie, wciąż potakując wywodom biskupa, który mówił miodyptownie, pieszcząc się każdym słowem, i, oglądając swoje ró-

zowe paznokcie, niekiedy rozpędzał chustką kłęby dymów i nalewał Bielińskiemu ze sporego gąsiorka.

Co pewien czas zjawiał się, niby cień, jakiś liberyjny, objaśniał świece srebrnymi szczypcami i przepadał bez szelestu.

Narada miała swoje szczególne racje i Zaręba trafił właśnie, gdy hetman odchrząknął i lodowatym, starczym głosem rzekł:

— Markow żąda jak najrychlejszej ratyfikacji traktatu z 17 lipca i redukcji wojsk. Trzeba się z tem pośpieszyć, bo Imperatorowa się niecierpliwi.

— Nie jesteśmy jeszcze pewni sejmowej większości — wyrzekł kasztelan.

— Jedyna rada: kupić potrzebne wota — rzucił niedbale Ankowicz.

— Możliwe to uczynić w moty z ambasadorami, wszak i do traktowania materij pruskich będziemy potrzebowali większości — radził Nowakowski.

— I Petersburg policzy to w zasłudze nie nam, jeno Sieversowi — zauważył biskup i zwrócił się do Bielińskiego. — Wiele mamy swoich głosów?

— Czterdzieści, ale żeby uzyskać w pełnej izbie większość, potrzebujemy junctim affirmative mieć wotów osiemdziesiąt, wraz z głosami senatu.

— Srogi ekspens! — westchnął biskup — okoliczność żąda przerzedzenia opozycji.

— Można, lecz zawsze ktoś zostanie, który podniesie wrzask, zaprotestuje na sejmie i zmusi króla do solwowania sesji — wtrącił Wołłowicz.

— A Skarzyńskich i Szydłowskich nie nakryje

czapkę, jak wróbli; potem wzburzą całą opinię przeciwko nam, a sami się przybiorą w postacię Katonów i prawdziwych patryjotów — ostrzegł kasztelan.

— Niepotrzebne zgoda ceregiele — zabrał głos hetman — Sievers jest mocen całą opozycję wysłać choćby na Sybir: starczy mu kozaków i nahajek.

— Ale niechby to zrobił z własnego rozumienia i bez naszej supozycji...

— Będzie się wahał, jest bowiem czuły na głos powszechności, a rządzi się regułą: Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. Gdybyś, mości starosto — zwrócił się biskup do Ankowicza — przedstawił mu polityczne racje pozbycia się ich ze sejmu przed ratyfikacyjnymi deliberacjami, suponując sub secreto, że takowe racje uznał już za słuszne Markow?

— Zaś sejm zawotuje, czego żąda Imperatorowa, to można ich powrócić stęsknionym familjom i społeczności — poddał szydliwie Narbutt.

— Spróbuję. Będzie cierpiał, będzie przysięgał na ludzkość i swoje wnuczeta, rozchoruje się z alteracji na żołądek, ale może się zgodzi.

— Przeczytam waszmość panom spis, a nie sprzeciwię się, jeśli kto dołoży do niego jakiego przyjaciele — uśmiechnął się jadownicie.

— Gdybym tam mógł pomieścić moich kredytatorów! — westchnął Bieliński.

— I bez tego nie zostaną usatysfakcjonowani — mruknął jakoś żałośnie kasztelan.

Bieliński okrył się obłokiem dymów, a biskup jął odczytywać nazwiska tych cnotliwych, którzy się żarliwie

opowiadali za ojczyzną, tych, którzy jej wszystką mocą bronili na sejmie przeciwko drapieżności ościennych potencyj i przeciwko zbrodniczej powolności zdrajców.

Zarębę ogarnęła gorączka i powstrzymywał się całą mocą, by się nie rzucić na te nikczemne Judasze. Przemógł się jednak i słuchał dalej biskupa, który, oddawszy listę proskrypcyjną Ankwiczowi, szeroko rozwiódł się o szkodliwości egzulantów, siedzących w Dreznie i Lipsku.

I znowu padły jakby wydane pod topór nazwiska najszlachetniejszych.

— I. Potocki, bywszy marszałek, X. Kołłątaj, bywszy podkanclerzy, J. Weyssenhoff, bywszy poseł Inflancki, J. U. Niemcewicz, St. Sołtan—czytał prędko—pominę mniejszych, ale ci to są prawi hersztowie i wichrzyciele, podżegający kraj do buntów, ci to są posiewcy przewrotnych maxim jakobińskich, nieprzyjacioly Boga i ojczyzny — syczał, ledwie się już miarkując w nienawiści. — To zarzewie za blisko naszych granic, trzeba je zdeptać w porę. Już zimą podałem notę do kolegium spraw zagranicznych, aby zażądano wypędzenia ich z granic saskich. Markow obiecał i notę wysłano, a oni spiskują tam najspokojniej i w dalszym ciągu miotają na nas i naszych aljantów najpodlejszemi oszczerstwami. Kołłątajowska kuźnica, jak i w czas bywszego sejmu, zasypuje powszechność paszkwilami; burzy to publiczną spokojność, roznieca waśnie i nieufność, przeszkadza skuteczności zabiegów naszych o dobro ojczyzny, a najważniejsze, że osłabia naszą sytuację w Petersburgu: z tego płyną nieobliczalne dla nas szkody.

— Sievers powinien żądać ponowienia noty do dworu saskiego — zabrał głos hetman — wszak w Dreznie zrobiła się ekspozytura paryskich bezceństw i stamtąd rozszerza się ta zaraza na całą Rzeczpospolitą.

— I do tego już doszło, że nawet w Grodnie, pomimo wart licznych, prawie co dnia znajdują na murach nalepione paszkwile — skarżył się Nowakowski.

— Ba, dzisiaj czytano jeden z takich nawet w moim domu—szepnął biskup, podając sekstern, odebrany od Woyny. Szare karty obleciały socjetę. Czytano je z uwagą i gniewną awersją, tylko Ankwicz zaczął się śmiać.

— Ależ Szczęsny pęknie ze złości. Splantowali go nadzwyczajnie. Ha! ha! ha!

— Prawie każda poczta przynosi takie smakołyki.

— Sartorjusz ma nakazaną konfiskatę podobnych pism.

— Niepodobna mu przeziierać wszystkich listów, otwierają tylko podejrzone, a i temu ledwie podołają—objaśnił Ankwicz. — Wczoraj dostałem pocztę warszawską, zaś w niej spory rulon, na którym jest wyobrażona szubienica. Zgadnijcie, mości panowie, kto na niej powieszony in effigie?

— Zawsze i wszędzie pierwsze miejsce biorą króle — zaśmiał się kasztelan.

— Niestety, nam oddano pierwszeństwo: dyndamy tam, niby drozdy złowione w sidła. Uśmiełem się do łez z tego konceptu i pokazałem rysunek biskupowi Massalskiemu. Srodze się zgniewał na swój konterfekt nadzwyczajnie utrafiiony, wisi bowiem wespół z ulu-

bioną charciczką, kartami w rękach i butelkami borgońskiego pod pachą. Nieporównany aspekt!

— Panie hrabio, mamy jeszcze pilne materje na deliberacje i dla Zubowa bal, a godzina dosyć późna—prosił z uprzejmym uśmiechem biskup.

— Słucham, dodam jeno, że wisimy tam in gre-mio, całem ministerjum, z odpowiedniami emblematami, a w pozycjach tak nieprzystojnych i krotochwilnie oddanych, iż można umrzeć ze śmiechu. Słucham, mości panowie.

— Względem redukcji wojsk i prorogacji sejm—przeczytał biskup w serjarzu.

— Głównie zaś względem odstąpienia części wojsk naszych Imperatorowej.

— Jest taki zamiar? Któż go podaje? — pytał kasztelan poruszony do żywego.

— Powstał, by ulżyć Rzeczypospolitej w kłopotach finansowych — odparł hetman — boć kasy wojskowe puste, a żołnierz zdawna nieopłacony.

— I drugie racje, nawet ważniejsze, wpłynęły na uformowanie tego projektu — wsparł biskup brata, wyjmując gruby sekstern z pod sukna.

— Pocóż odstępować, kiedy i tak wojsko się roz-lazi, miasta są już pełne maruderów, a przytem generalność pozwoliła je trzebić obcym werbownikom.

— Nie pozwoliła, lecz, nie mogąc się przeciwić, musi o tem nie wiedzieć.

— Redukcji żąda Petersburg i wymaga jej konieczność; kraj znacznie uszczuplony w ludności i zasobach, więc pocóż nam aż tyle wojska? Pod protekcją

wspaniałomyślniej monarchini Rzeczpospolita nie będzie miała okazji prowadzenia wojen, zakwitnie błogi spokój i ludność będzie mogła oddać się owocnej pracy—wykładał hetman. — Jest pewna okoliczność godna rozważenia, płynąca z projektów redukcyjnych: oto jeśli się zdearmują wojska, konsystujące jeszcze w kordonie rosyjskim i na Litwie, to słuszość nakazuje zapłacić im zaległe lenungi. A skądże Rzeczpospolita weźmie na ich opatrzenie? Ale jest jeszcze ważniejsza okoliczność, że tysiące zwolnionych ze służby i z pod dyscypliny rozlecą się po kraju śladami jakby wilków zgłodniałych. Wszak do swoich panów i pracy dobrowolnie nie powrócą, boć żywioł to burzliwy, rozswawolony żołnierką, spróżniaczony i przeto gotowy na każdy buntowniczy podszept. Klubowcy już na to rachują, gdyż widziano ich emisariuszów po obozach. Jakby ogień rzucał niebacznie na prochy. Któż przewidzi, co się może wydarzyć? Jedni mogą się porwać przeciwko aljantom, lecz drudzy, uwiedzeni jakobińskimi maksimami, spróbują, jak we Francji, podnieść taką rebelję, że nie ostoi się ani jeden dwór i ni jedna szlachecka głowa. Naszą powinnością przewidywane nieszczęścia odwrócić od ojczyzny. Mniemam więc, jako jednym ze skuteczniejszych sposobów jest odstąpienie Rosji chociażby całego korpusu wojska. Profit aż nadto widoczny: kraj pozbędzie się przyszłych terrorystów i zarobi na wdzięczność monarchini — zażył tabaki, włócząc przytem martwemi oczyma po twarzach.

— Po ileż otaksowani z głowy?—Kasztelan miał w głosie cierpkość.

— Sto pięćdziesiąt rubli wraz z całym materiałem wojennym. I Rosja odniesie z tego niemłą korzyść, gdyż ekwipacja żołnierza kosztuje prawie czterysta rubli, no i o cały gotowy korpus wzmacnia swoją armję.

Zapadło głucho milczenie. Hetman żuł bezzębnymi szczękami, tępo patrząc w pobladłe twarze, biskup coś pilnie obliczał na papierze, a reszta, jakby pod wpływem wstydu i wyrzutów sumienia, nie śmiała podnieść oczów. Kasztelan drżącymi rękoma jął nakręcać pectoralik.

— Za naszą przyczyną wzmacnia się polski handel — przerwał milczenie Ankwicz, podnosząc się z miejsca. — Potąd sprzedawaliśmy jeno województwa i prowincje, zaś aktualnie już i gemejnów. Niemą progresja. Czy nie korzystnie byłoby wyprzedać wszystką ludność z bebechów? — głos mu brzmiał drwiącym sarkazmem, lecz w oczach miał cierpienie.

— Projekt był powzięty a go stróża, rozpatrywany przez Sieversa, brany na delibercacje w Petersburgu, a nam zalecony do przeprowadzenia na sejmie i królewskiej confirmacji — podjął zimno biskup, przyszywając go sępiemi spojrzeniami. — Kto sprawuje rządu, winien powodować się racjami stanu i rozumem a nie czułościami. Pracujemy nad ratowaniem ojczyzny wedle sił i rozumienia; pracujemy dla przyszłości, więc dopiero potomność przyłoży sprawiedliwą miarę do naszych zabiegów. Zaś kto mniema...

— Wszystko da się wybielić, niby płótno na rosie — przerwał mu dość szorstko — ale pocóż mamy się obęłgiwać górnio i pompatycznie? Chcecie sprzedać wojsko? Sprzedajcie, nie sprzeciwię się, jeśli tylko płacą

gotowym groszem. Właśnie dzisiejszej nocy zgrałem się do Zubowa i na gwałt potrzebuję paru tysięcy dukatów. Marszałek jest w podobnej sytuacji, nieprawdaż?

Bieliński wyjął z ust lukę i rzekł z powagą:

— I głosuję za odstąpieniem choćby wszystkiego wojska.

— To mowa prawdziwego męża — zawołał Ankwicz z emfazą i, nie dopuszczając nikogo do głosu, gadał prędco: — Nie mamy już nic do stracenia, więc zagramy otwarcie va banquet Wygramy, to wprowadzimy ojczyznę rozdrapią sąsiedzi, ale biskup pocieszy się prymasostwem, hetmana Imperatorowa ukontentuje wielkorządnictwem Litwy, Zabielle pozwolą złupić choćby całą koronę, kasztelan uhrabia wraz z jego zięciem, drugim też nie przeszkodzi słusznego panis bene merentium. A zawiedzie i t. p. podyndamy na konopnych szarfach, jak to nam zcicha profetują zelanci. Bo i w Polsce może się wzbudzić sumienie. Patrzycie, mości panowie, jakbym miał w głowie roksolany? — rozśmiał się swobodnie. — Mam przytomną imaginację, ale czasem brzydną własne i cudze gałgaństwa, że człowiek rad pluje sam sobie w twarz. Wracajmy jednak do delibercacji nad ratowaniem ojczyzny! Mamy mówić o prorogacji sejmu?

— Konkluzja z tego, że Bachus i Wenera sił nie krzepią — szepnął biskup.

— Nie krzepią też podle praktyki — wybuchnął niespodzianie. — Muszę wyjść, duszno mi od tych łajdackich fetorów, Zubow na mnie czeka.

Biskup zagroził mu drogę i coś długo a gorąco przekładał.

Zaręba już nie mógł dłużej wytrzymać, musiał uciekać, aby nie paść trupem z gniewu lub nie oszaleć. Jak się wydostał z pałacu i jakim sposobem przeszedł swobodnie przez gęste patrole, krążące po mieście, nie umiał później powiedzieć. Poniósł go jakiś huragan wzburzenia i przeprowadził.

Kacper czekał w domu z relacją o nowych werbunkach, Staszek przekładał szczegółowe rozłożenie baterij dokoła Grodna, ojciec Serafin zjawił się z jakimś karteluszkim, który trzeba było odczytać zapomocą klucza, poczta wileńska przyniosła list Jasińskiego, ale Zaręba zbył się wszystkiego skinieniem ręki i, zamknąwszy się w stancji, dopiero popołgował wzburzonej do dna duszy. Wiedział bowiem o nikczemnych machinacjach tych ojczymów ojczyzny, lecz tego, co usłyszał, ani mógł imaginować podobnem do wiary.

— Wojska sprzedają, ostatnią oporę i nadzieję, by łacniej podać ojczyznę na łup wrogom! — Włosy mu powstały wobec takiego świętokradztwa i nikczemności. — I natura wydaje takie potwory! Więc niema już granic podłości ludzkiej — jęknął uderzony niespodzianem zrozumieniem.

I długo się męczył w ponurych medytacjach, co mu teraz począć?

Bo żeby przy nim miano formować zdrady i spiskować na zgubę Rzeczypospolitej, a on miałby to puszczać płazem i tylko potem składać powinne relacje? Na samą myśl o czemś podobnem, już mu ręka szukała szabli, krew biła do głowy, a całego przejmował war srogiego wzburzenia. Nie, nie zdał się na bisku-

piego adlatusa i konfidenta zdrajców, za nic, za nic... Ale wymogi sprawy, ale dobrowolne podjęcie się służby dla niej, ale wprost słuszną konieczność zasięgnięcia języka we wrażym obozie—oto, co mu znowu stanęło w myślach z nieubłaganą jasnością.

Jak sprząć i pogodzić jedno z drugim?

Więc, jakby uciekając przed powzięciem decyzji, kazał Maciusiowi zaprzęgać i, chociaż dochodziła północ, pojechał na bal.

Pałac Sapieżyński już zdala bił łunami, muzyką i gwarem, a dokoła błyszczały bagnety jegierskich kor-donów i stały chmary kozactwa.

Na sali ogromnej, piętrowej, przybranej w kwiaty i zalanej jarzącem światłem kryształowych pajaków, uprzątno po wieczery do tańców, że tylko w pomniejszych pokojach wykrytych kobiercami, a zastawionych kosztownym sprzętem, wypożyczonym na ten wieczór, zabawiała się świetna socjeta. Całe bowiem Grodno stawilo się uczcić Zubowa: nie brakowało ni ambasadorów, ni dygnitarzy Rzeczypospolitej, ni dam najznaczniejszych, ni nawet nuncjusza z biskupami Massalskim i Skarszewskim.

Zaręba na samym wstępie wpadł w ręce Nowakowskiego, który go prezentował damom i najznaczniejszym personom, a wkońcu rzekł:

— Po całym pałacu szukał cię biskup z kasztelanem.

— Sądziłem się być niepotrzebnym i wyszedłem.

— Taka protekcja może cię doprowadzić do fortun... winszuję ci...

Zaręba, wykręciwszy się od dalszej rozmowy

i jego towarzystwa, z rozmysłem brał w sali najwidniejsze miejsca i pchał się na oczy. Rychło też zwrócił uwagę dam swoją urodą, galantuomją pełną czarującego wdzięku, dowcipem i szaloną werwą w tańcach. Zwłaszcza angiezy i menuety tańczył tak nadzwyczajnie, że damy okrywały go rześnistymi aplauzami, nie szczędząc przytem słówek uwielbienia i czułych spojrzeń. Nawet Iza, szczególnie wyróżniana przez Zubowa z całego wieńca najpiękniejszych kobiet, jakie go nieodstępnie otaczały, często podnosiła na niego zamglone oczy.

W jakiejś chwili porwał go Cycjanow, by wyzalić się na podłą zmienność kobiet, żarła go bowiem zazdrość i bezsilna wściekłość na Zubowa.

— Każda potrafi psu oczy sprzedać! — przytwardził, goniąc oczyma Terenię, tańczącą zapamiętałe z von Blumem, i poszedł do bokówek, gdzie już niepodzielnie panował faraon i hulaszczka, wrzaskliwa pijatka.

Już na świtanu pochwyciła go podkomorzyna.

— Odwieź mnie waszmość do domu, czeka tam Działyński z Prozorem.

Uradowany niezmiernie podał jej rękę i, wdzięcząc się, a prawiąc modne dusery, powiódł do wyjścia.

Właśnie wybuchnęły srogie wrzaski, podpita młodzież porwała Zubowa na ręce i obnosiła po sali wśród wiwatowań i grzmiących fanfar muzyki.

Zaręba obejrzał się z politowaniem i wyszedł powolnym krokiem.

VII.

Któregoś dnia rano pod Sapieżyńskim pałacem jęło się zbierać pospólstwo, jakowys bowiem niebieskawy papier grubo zadrukowany, a widniejący na czarnej desce, gdzie zwyczajnie przylepiano ogłoszenia, ściągał powszechną ciekawość. Próbowano go odczytywać, ale czy był umieszczony za wysoko, czy też brali się do tego nie nazbyt biegli w tej sztuce, dość, że napróżno ten i ów mozolnie składał litera po literze i bąkał, nic z tego nie wychodziło; tylko drwiny a śmiechy wybuchały w ciżbie z czytającego.

— Takie papiery wyrażają, jako przyjeżdża heca — zabrał głos jakiś aspan w zielonym fartuchu. — Jak generalność zjechała do Grodna, tak...

— Stoi, jak wół: „za pozwoleniem“... — Czytaj dalej, Trojakowski.

— Na książce do nabożeństwa wyczytam co do litery, ale tu coś inaczej...

— Nie przy tobie napisali — zadrwił drągał w białym, kosmatym surducie i z gębą franta. — A pies ich jechał z famielją i jeich drukowanem!

— Łacniej ci ozorem zbierać sopory z pańskich półmisków...

— A może tu wydrukowane naprzeciw generalności?

— Tyla nalepiają, że ktoby to wszystko zrozumiał i zapamiętał.

— I generalność tego wzbrania. Sam widziałem, jak pod Dominikanami marszałkowscy zdybali na czytaniu starego Krygiera, zamesznika z ulicy Wileńskiej i powiedli. Rozpowiadano, jako dostał kije.

— Panowie się kłóca, a naród w skórę bierze.

— Wczoraj rozlepiali kartelusze, gdzie było na króla pruskiego, jako jest zdrajca, krzywoprzysięzca i najgorszy zbój.

— Nie lepsi ci, co pozór przyjaciół biorą i pod harmatami miasto trzymają—podniósł się z cizby znaczący głos.

Obejrzeni się trwożnie w stronę Horodnicy, a ten sam głos dorzucił:

— Ale w Bogu nadzieja, że ich jeszcze naszatukują na psi bigos.

— Odstąpi! — zagrzemiał naraz rozkazujący głos Staszka, który, wystrojony na warszawskiego franta, z lulką w zębach i trzcina w ręku, przepychał się zuchwale.

— Co to, przemówił dziad do obrazu, a obraz ani razu? — zaczął drwiąco. — Citojeny wytrzeszczają ślepie na afisz, niby krowy na wrota kościelne i ani me, ani be! Hil hil ja wam w puste pały naleję oleju. Posaďte mnie, chłopcy, bo przez moje okulary nie dojrzel! — spojrzał w dłoń zwiniętą w trąbkę, wykrzywił się dla śmiechu, zarżał, udał szczekanie małego pie-

ska, że zaczęli się odsuwać i, dawszy się podnieść na ramionach, zawołał:

— Trzymajcież delikatnie, czułe sankiuloty, gdyż mam hajdawery świeżo zaafutowane przez pewną wojewodziankę, a iżby ścięgi puściły, uczyniłby się prospectus zgoła dla dam nieprzystojny i sancitami generalności wzbroniony.

Zatoczył oczyma, czy gdzie niewidne szpice kozackie i jął odczytywać afisz łobuzowskim i po warszawsku spieszczonym akcentem.

„Za pozwoleniem konfederacji obojga Narodów“.

Pospółstwo cisnęło się z zapartym tchem i w skupieniu słuchało.

„Entrepryza austriacka, pruska i moskiewska będzie miała honor dać w tych dniach przed świetnem publicum Grodna i okolic reprezentację komedji we trzech aktach, oryginalnie przez Imć Króla pruskiego ułożoną, a od roku 1772 nieprzedstawianą, pod tytułem:

Rozbiór Polski.

Akt pierwszy poprzedzi trio: Wolność, Równość i Niepodległość, odśpiewane przez JW. ambasadorów ościennych potencyj i nahajki.

Akt drugi: Jak nie przyzwolą to i tak rozdriapiemy. Przed aktem trzecim nastąpi balet p. t.: „*Ucieszne igraszki Trifolium*“, w którym Szczęsny Potocki, Rzewuski i Branicki tańcować będą triumfalnego poloneza przy rzęsistem biciu z harmat i pożarach wsiów i miast, zaś ku ich usatysfakcjonowaniu, na zakończenie nastąpi ogólna rzeź nieskonfederowanych obywatelów.

Biletów po miernej cenie, albo i zgoła na borg,

dostanie u. J. de Sieversa, de Buchholtza i u niektórych dygnitarzów koronnych i litewskich“.

Jakby powiał lodowaty wicher, tak zwarzyły się twarze i zamgliły oczy.

Ból rodził się w tych prostackich duszach i głęboka troska osepiła czoła. Spoglądali na siebie w poczuciu bezsilności, ale snadź dobrze zrozumieli treść ogłoszenia, gdyż ktoś zaczął kłać i wytrząsać pięścią:

— Psia ich sobacza mać, psia ich sobacza mać!

— Do czego to przywiedli ci jaśnie wielmożni, do czego! — westchnął drugi.

— A to ci wykoncypowali facecje! niechże ich pierogi ruszą, hil hil — zaśmiał się udanie Staszek, by wzbudzić jakowys sprzeciw.

— To całkiem nie do śmiechu — zgromił go aspan w zielonym fartuchu, że Staszek dał nura w ciżbę, ale skwapliwie powiódł ją pod Dominikanów, gdzie przy wejściu do kruchty wisiał kartelus z takim ogłoszeniem:

„Podaje się do wiadomości publiczności, jako na Nowym Zamku, na pokojach Króla Jegomości, odbywa się nieustająca aukcja za gotowe pieniądze na pozostałe jeszcze przy Rzeczypospolitej województwa i ziemie; oraz różne zbędne już efekta, jak korony, berła, królewskie przysięgi, wojska i wszelki sprzęt wojenny. Tamże sprzedają za pomierną cenę tytuły i dygnitarstwa moskiewskie, orderzy i odebrane cnotliwym majątności“.

Czytał stłumionym, poważnym głosem, gdyż też zgoniny ludzkie, złożone z handlarzy ulicznych, profesorów, krupnych bab i przeróżnego ultajstwa słuchały w coraz większej powadze zrozumienia, że skoń-

czywszy, jął im przysalać wrogów, judząc na nich zaciekłe, a umiał to robić, jak mało kto, wiedząc, gdzie było potrzeba wsadzić żart, gdzie smagnąć drwiną, gdzie zaś dobranymi słowami wyrazić całą grozę gwałtów, grabieży i uciemieżeń, by słuchaczom włosy powstały na głowach. Właśnie był w najlepszym rezonie, gdy zatętniały nagle kopyta.

— Kozuniel uciekał! — porwały się krzyki.

Lecz nim zdążyli rozpierzchnąć się, patrol wpadł z całym pędem w ciżbę, zaświstały nahaje i rozległy się wrzaski tratowanych, ale po chwili nie było już nikogo pod Dominikanami, tylko jakiś jegomość w siwej bekieszy skwapliwie zdierał nalepiony kartelus, a jakaś znaczna dama, wyjrawszy z powstrzymanego powozu, rozpytywała, co się stało?

— Dońcy chrzcili na konfederacką wiarę — odparł Staszek, wyłażąc z kruchty.

— Rezolutny pachoł! A czyjżeś ty, mój chłopcze? — podniosła lorynetkę do oczu.

— Ojca i matki, moja wypierzona kwochoł — odpalił i drapnął, opierając się dopiero przy Zarebie, stojącym pod kafenhauzem, jakby na czatach.

Rozpowiedział, co zaszło, i naraz sprężył się i szepnął przerywanym głosem:

— Melduję pokornie, jako muszę nakręcić pyska w inną stronę świata temu asanowi, który mię obserwuje — wskazał oczyma siwą bekieszę. To z psiarni Boscampa, z Maciusiem szukał konfidencji, pomaga też werbownikom.

— Udać, że go nie znasz. Stań bliżej i mów ciszej. Kto rozlepił kartelusze?

— Ojciec Serafin dostał je z Wilna wczoraj, a ktoby nalepiać, nie wiem. Pokornie melduję, jakom je odczytywał pospólstwu. Ale to nie z mojej komendy ci lyczkowie; niema w nich fajeru ani za dydka. Ja im rozpowiadam o aljanckich wiołencjach, a ci jeno wzdychają, frasobliwie w nosach dłubią, a imienia Boskiego wzywają nadaremno. Zwyczajne gawrony. W Warszawie naród czulszy: rzucim im tylko trafem słówkiem, a gotowi z miejsca ciągnąć pod Zamek i tłuc choćby marszałkowskich, albo żydowinów. Do aljantów mają szczególny rankor i możnaby ich niezgorzej zażyć...

— Cicho! Gdzie pan kapitan? — przerwał mu, gdyż obok stali oficerowie moskiewscy.

— A frasuje się na borg u Dalkowskiego. Właśnieniem szukał wykupnych dydków.

— Wiecznie trzymają ci się tylko krotochwile.

— Taka nędza, panie poruczniku, że nic inszego się mnie nie trzyma. Dopraszam się choćby o kulfona dla mojego pana, bo jak się pomartwi do południa, to i paru obrączkowych nie wystarczy.

— Zaraz tam przyjdę, niech na mnie poczeka.— Odwrócił się śpiesznie, bo od Łazarewiczowej, słynnej modystki, wyszła Iza z Terenią i wsiadały do powozu. Podeszedł się przywitać. Terenia, cała w różowościach, lokach i uśmiechach, szczebiotała jak ptaszek, zaś Iza w kapeluszu z żółtej słomy, zawiązanym pod brodą na kokardę z zielonej wstęgi, w białej sukni w rzucik, jakby nieco wzdętej na piersiach i biodrach, wyglądała

tak ślicznie, że spojrzał na nią z admiracją. Zapłaciła mu za to uwielbienie czułym uśmiechem i cieplejszym uściskiem dłoni.

— Szkoda! byłbyś mi pomógł dobrać kolory dla Tereni.

— Bym umiał kwiaty przystrajać jeszcze we farby!—rzucił szarmancko.

Terenia spojrzała wdzięcznie, ale z impetem natychmiast zawołała:

— Ależ waćpan ma pozór, jakby po karczerze o chlebie i wodzie. Patrz, Iza, jak to ma podbite oczy, jaki błąd i wymizerowany! Co się waćpanu przydarzyło?

— Snaż mi nie służy grodzieńskie powietrze — zażartował.

— Więc i złe powietrze winno, że cię tak rzadko widzujemy?—zagadnęła Iza.

— Zauważyłaś!—szepnęła.—Moje służby zabierają mi zbyt wiele czasu.

— Mógłbyś znaleźć jakąś chwilę dla przyjaciół.— W wymówce brzmiała i prośba.

— Będę to sobie miał za powinność.

— A może waćpan, jak wszyscy, tylko birbantuje dniami i nocami?—wyrwała się po swojemu Terenia.— A może jakieś nieszczęśliwe amory?—dorzuciła ciszej.

— Katon nie przemienia się w czułego Celadona! Nie znasz go, moja mała: on sentymenta ma za grzech, nieledwie za występki.

Jadowitość głosu przebodła mu serce, ale odrzekł chłodno:

— A ty znasz mnie jeszcze mniej, niżli panna pułkownikówna.

Odszedł zaraz, bo Terenia zaczęła pisać radośnie nad jakimiś stroikami, które całemi tobołami znosili kupcy do powozu. Odwrócił jeszcze głowę i zwał się na mgnienie z oczyma lzy, jakby pełnemi wołania i czułości.

— Przywidzenie imaginacji, przywidzenie! — odpędzał powracające wrażenia.

Dzień był chmurny, omglony i dziwnie przejęty smętkiem i cichością; turkoty powozów i wrzawliwe pogłosy rozpełzały się, jakby więznąc w murach i ziemi, nawet dzwony, bijące południe, padały ogłuchłemi dźwiękami, nawet krzyki dzieci były niby w niską, nieprzenikliwą powałę. Białe chmury oprędały niebo jakby skołtunionem białem latem, a czarne skrety jaskółek wiły się coraz niżej nad dachami. Miało się na słońce, ale pomimo tego ulice były pełne pojazdów i ludzi, jak zwyczajnie. Tylko jakoś więcej, niżli zwyczajnie, spotykał patrolów, a kozacy kwaterowali, pokryci nawet w dziedzińcach domów, zwłaszcza w okolicach zamku. Częściej też przeciągały ulicami zbrojne rotę wśród tarabanich warkotów, świstu piszczałek, rzęgotu janczarskich dzwonek i pijanych śpiewów i krzyków. Przepływali groźną falą rumorów i połyskujących jadownic bagnetów, nie napełniając jednak zamierzonym lękiem publiki, a szczególnie zelantów, nieustraszenie broniących ojczyzny na sejmie. Widziały ich bowiem oczy, słyszały uszy, lecz miasto trwogi, budzić zaczynały te zgiełkliwe egzercerunki słuszny gniew i obrażoną dumę

wolnych obywateli. Zaś postawa pospólstwa zwróciła baczniejszą uwagę Zaręby, albowiem ci nie zatajali politycznie swoich resentymentów, witając maszerujące szeregi groźnym pomrukiem i wyzwiskami, a nawet tu i owdzie garścią piasku i przeraźliwym świstaniem.

— Może i reszta przejrzy! — pomyślał, wchodząc do Dalkowskiego.

Że zaś aktualnie jął mżyć uporczywy deszcz i pora była południowa, małe stancyjki zapełniły się po brzegi. Gruba gospodyni, jak zwyczajnie, panowała nad bufetem, kredencierzami i mężem, którego zielony fartuch fruwał po izbach. Zaręba rozglądał się za Kaczanowskim, ale w środkowym pokoju musiał przystanąć z racji ciżby, otaczającej jakąś personę w sieradzkim kontuszu, która głośno coś odczytywała.

Było to przemówienie Ciemnowskiego, posła Rózańskiego, miane na sejmie w dniu 10 sierpnia i wymierzone przeciwko królowi. Mowa ta zrobiła wielkie poruszenie i rozleciała się po kraju w tysiącach druków i odpisach, do czego najskuteczniej przyczyniał się Jasiński.

— Albo i to miejsce, mości panowie—wołał Sieradzanin, nakazującym ruchem przytłumiając wrzawy.— „Wszystkie twoje czyny, Najjaśniejszy Panie, zapisane są na czarnej karcie dziejów, jedna ci tylko pozostała karta złota, jeśliś nie dopuścił innym i sam nie ściągnął ręki do potwierdzenia zaboru pruskiego“.

— Cnotliwy głos i słuszny!

— Słuszny! Słuszny! — podniosły się wołania i na przypomnienie króla pruskiego zdrad i przenie-

wierstw, zawrzał srogi gniew, aż ten i ów trząsał w szable.

— Podam jeszcze waszmościom ostatni a najprzedniejszy antypast. — „Winienieś, Miłościwy Panie — czytał dobitnie Sieradzanin — coś znakomitszego narodowi poświęcić, niżli tylko traktatów rozbiorowych podpisy“.

Snadź mocno dojęła żywa, krwawiąca rana, bo uczyniła się chwila złowrogiej ciszy, aż ktoś jęknął posępnie:

— Jedna klęska to nieszczęsne panowanie.

Zakrzyczeli go jednak królewscy adherenci, a którzy zawołał gniewnie:

— Magnaci, oto sprawcy wszystkiego, oto najwinniejsi...

— Święta prawda — popierał go chudy jegomość w wytartej kontusinie. — Wszak już Gosławski wołał na sejmie: „Któż zebrał pomocy obcego oręża przeciw współrodakom, jeśli nie możni? Któż przeszkadzał w prawie Rzeczypospolitej, jeśli nie oni?“

— Wszyscy są winni grzechów przeciwko ojczyźnie — zagrzemiał uroczyście siwy jegomość, któremu kredencarz obwiązywał serwetę pod obwisłymi podbródkami. — Nasza pycha ją gubi, nasza swawola, nasza niezgoda i brak ludzkości. — Przeżegnał się i jał łakomie chlipać zupę.

— A któryż to bierze pozor Skargi? — pytał z cizby szydliwy głos.

— Sędzia Nowogródzki, Woyniłowicz; on przed zupą rad napomina bliźnich, lecz...

Reszta przepadła w rozgwarze zapalczywych dyskursów i w pobrzękach farfurów i łyżek, gdyż wszyscy zasiadali do obiadu.

Kaczanowski siedział samotnie w małej izdebce, mającej wyjście na podwórze, którą był Zaręba zaarendował na wyłączny użytek wtajemniczonych, spojrzał radośnie na wchodzącego, ale się nie odezwał.

Staszek, stojący za krzesłem, zabawiał się łowieniem much nad jego głową.

— Nie imaginowałem, że kapitan wytrzyma w solitudzie choćby jedno zdrowaś.

— Wiele może, kto musi. Rezonuje tam jeszcze szlachcic w sieradzkim kontuszu?

— Właśnie słuchał, jak odczytywał przemówienie Ciemnińskiego.

— To abszytowany porucznik z brygady Biernackiego, Tarnowski, sławny rębacz sieradzki, cale oświecony i grzeczny kawaler, ale ma u mnie od wczoraj piętnaście dukatów, ja zaś nie śmierdzę ani szelągami.

— Znać to, masz bowiem waszmość minę, jakby po occie siedmiu złodziejów.

— Jakże, od samego rana ciągnę na borg tę podłą lurę i nie mogę się doczekać, ktoby mnie wykupił. Staszek, każ dać temu szelmie prawdziwego wina.

— Cóż za ewenty wysupłały mieszek i popsowały humory?

— Wiadomo: zła karta i nieszczęśliwe amory. Primo: zgrałem się do nitki. Secundo: dostałem w pysk od sułtanka Ożarowskiego, co nie czyni dyshonoru i może się jeszcze nieraz zdarzyć. A tertio: deliberuję

nad wielce ryzykownem przedsięwzięciem o grubym wagomiarze. Możesz mi waszmość dać ludzi, koni i pieniądze?

— Jeśli okoliczności wymagają, dać powinienem. Cóż to za przedsięwzięcie?

— Dowiedziałem się, jako kozacy prowadzą od Warszawy całą kupę zwerbowanych gemejnów, ciągną nie traktem na Białystok, ale kłuczą lewym flankiem i Niemen mają przejść pod Mereczem, cyrkulują na Wilno. Prowadzą też i konie wielkiej ceny i wozy srodze wypchane łubami. Łakomy transporcik!

— Waszmość masz na niego apetyt. Prawdziwy azard, można zapłacić głową.

— Jeszcze ją mocno czuję na karku. Żebym miał pewnych ludzi, a odbiłbym jak Bóg na niebie. Okazja zgoła wybrana.

— O ludzi łatwo, trudniej o konie potrzebne do tego przedsięwzięcia.

— Żebym był przeczuł... Niedalej jak onegdaj wyprawilem całą partję do Madalińskiego, przeszło czterdzieści koni, jakie tylko zdobyłem w Zelwie.

— Melduję pokornie — Staszek wystąpił w powinnej pozycji — Mirowscy mają konie na paszy, właśnie nad Niemnem gdzieś przy trakcie kowieńskim, możnaby od nich pożyczyć konie, jak smoki.

— To jest przednia myśl, ha! ha! Spaniały fortell! Cały szwadron! Ha! ha!

— Tak, ale trzeba nad całym przedsięwzięciem dobrze podeliberować.

— Poco tu deliberacje? Wsadzić ludzi na koniki i jazda choćby dzisiaj na noc! Toby była sztuka! Gwardjackie konie, na królewskich obrokach wypasione, w sam raz przydałyby się nam dla sztabu. Koniuchom łby poskręcać i wszystko zwalić na aljantów! Proste, jakby strzelił. Jakbym ożył na nowo! Staszek, gołnij sobie gorzałki, a nam każ dawać jeść i parę flach. Porucznik płaci.

— Przypuśćmy udanie, co waszmość pocznie z całym transportem?

— Bylem jeno Niemen miał za plecami, a dam sobie radę. Kraj tamten znam, jak swoją kieszeń. Pociągnę do moich Kurpików, a tam nawet djabeł mnie nie wyszpera! Boże, jakżebyś nie pomagał Kaczanowskiemu! Boże!—gorączkował się, nie mogąc wysiedzieć na miejscu.

— Konwój może dać opór.

— Jeśli się nie pozwolą zażyć z mańki, to karabiny zrobią swoje, ceckał się z nimi nie będę. Właśnie rasztag wypadnie im w Mereczu na przyszłą środę, t. j. 19 augusta. Zawierzył mi to sub sigillo mój serdeczny konfident, Iwan Iwanowicz Iwanow. Biedny oficjerek, płakał mi w żupan z rozpaczy, że musi opuścić swoją „duszeńkę“, bo ma nakaz transport z Merecza powieźć dalej. Kobyła jego mać, dwa dni przestawałem z nim za pan brat i piłem jak z równym, a za własne dukaty. Takeśmy się pokochali, aż mnie namawiał do służby Imperatorowej, nawet rżęsiście oblewaliśmy przyszłe braterstwo broni. Dzisiaj wieczorem mamy się znowu spotkać, a ekspens to niemały! Mam podejrze-

nie, iż z Grodna wywiedzie też niemało zwerbowanych gemejnow. Coś mi już o tem napomykał.

— To i konwój powiększą. Uprzedzam, jako przezozy na Niemnie aż do Kowna są obsadzone przez kozaków, brody strzeżone również, a po większych stacjach pocztowych stoją załogi.

— Lepiej za wiele nie przewidywać. Okoliczności zdarzone wskażą najskuteczniejsze rady i sposoby. Nie mów tylko waszmość o tem Działyńskiemu, bo jakby zaczął kalkulować a rozważać, toby sposobna pora minęła. Możemy tę sprawę poczynąć i bez niego, dowie się post factum.

Chętnie się na to zgodził Zaręba, w którym żyłka do azardów przemogła powinna ostrożność i porwała.

Przy obiedzie ułożyli zgruba plan działania, wtajemniczając w niego Staszka. Napierał się też, aby mógł spenetrować gwardjackie pastwiska i porozumieć się z ludźmi. Zgodzili się, bo nikt tego sprawniej uczynićby nie potrafił, upraszał tylko o sutszą culagę na poczęstunek.

Rozmowa zesła na materje aktualne i Zaręba spytał o Hłaskę.

— Był w Chojnikach u Prozora i wróci lada dzień, bo szef niepokoi się, a i ja radbym go miał pod ręką, człowiek to bowiem mężny i zarazem przebiegły.

— Pchnę dzisiaj Kacpra na zrekonoskowanie okolic Merecza. Jakby się jednak nie udało waszmości? — zasępił się tem przypuszczeniem.

— To ojcu Serafinowi daj waść na mszę i zmów pacierz za moją duszę — żartował.

— Proszę pana porucznika — wtrącił Staszek wielce poważnie — my nie mamy czasu na umieranie, niech to zrobia od nas znaczniejsi.

Zaręba wyszedł zgorączkowany tym azardowym projektem i gdyby nie misja, jaką miał do spełnienia, i powinna subordynacja względem szefa, z radością wzięłby udział w tej wyprawie. Rwało mu się serce do rozpraw wojennych i przygód. Grodno bowiem już mu docna obmierzło, zaś to podwójne, wytężone życie, jakie musiał pędzić, wyczerpywało mu siły. Dusił się poprostu w tem powietrzu, przejętem nikczemnością. Po tysiąc razy chciał przemówić podłości po imieniu, a musiał milczeć i trzymać na wodzy cnotliwe wzburzenie. Musiał wdziąć maskę i dawać pozór obojętnego, lub, co mu było jeszcze ciężej, takiego samego, jaką była większość socjety. Że chwilami uczuwał awersję nawet do samego siebie. A jakby na dopełnienie udręki, lza bolała go, niby cierń wiecznie tkwiący w ranie. Nie kochał jej, ale że niegdyś kochał, zapomnieć jeszcze nie potrafił. Kiedy bowiem myślał o niej, serce wzbierało mu wzgardą, lecz na jej widok bladeł i dźwięk jej głosu lał mu trującą słodycz. Uciekał od niej, a uczęszczał na wszystkie asamble i zabawy, by się przekonać, jako pożąda widoku choćby jej foremnej postaci. Znał cenę jej serca i duszy a tęsknił. Więc też z gryzącą zazdrością pomyślał o Kaczanowskim:

— Taki w karczemnej dziewce upatrzy Wenere i radość w byle przygodzie.

— Właśnie szukam pana porucznika — wołał mu nad uchem Klotze.

— Cóż się stało?

Z niechęcią podał mu rękę.

— Nic szczególnego, mam tylko polecenie za-
wieść waszmość pana na obiad do Sieversa, racje
wyłuszczy sam kasztelan.

— Za wysokie progi na moje nogi, a przytem
już obiadowałem.

— Tem lepiej, bo tyle się tam ciśnie, że często
głodni wstają od stołów. Ambasador coraz bardziej
skąpi ekspensów na traktamenta dla przyjaciół.

— Snadź mu już są zbędni! — mruknął, wsiadając
do wysokiej karjolki.

W drodze Klotze, rozumiejąc go nietylko siostrzeń-
cem, ale i najzaufanszym kasztelana, jął się zwierzać
z tarapatów, jakie mieli z przyczyny szambelana, który
ani chciał słyszeć o rozwodzie, ni nawet separacji.

— I co takiemu przyjdzie z pięknej żony? Dru-
dzy cieszą się jej łaskami, a on ślinkę łyka! — zaśmiał
się cynicznie. — Cała ta sprawa jest zgoła niedorzeczna!
Rozwodzić się z jednym, kiedy drugi jeszcze niepewny
i odkłada stanowczą deklarację na później. Juści
Zubow jest tego przyczyną, całe dnie przesiaduje przy
szambelanowej, a książkę wścieka się z zazdrości za
drzwiami. Wczoraj skopał hajduka, że mu się znalazł
na drodze. Ach, te kobietki, te kobietki! — cmoknął lu-
bieźnie i zaśmiał się, aż mu brzuch drgał spazmatycz-
nie i zabrzęczały łańcuszki i pieczętki. — Szambelanowa
radaby, wzorem wielkich dam, mieć amanta na codzień,
drugiego od święta, innych jeszcze na przerwy, a męża
od ponoszenia ekspensów! — gruchnął serdecznym re-

chotem z własnego konceptu, nie bacząc, że Zaręba
kurczowo zaciska zęby. — Mamy i cięższą turbację —
westchnął i kładł mu w samo ucho. — Kasztelanowa
odmówiła swojego podpisu na generalnej plenipotencji.
Tyle lat była powolną, a teraz, kiedy mamy ciężką
okoliczność, stanęła okoniem. Kasztelan aż dostał pal-
pitacyj ze zmartwienia i widzi w odmowie niecne su-
pozycje Kapostasa, jej bankiera z Warszawy, który
właśnie przyjechał i zabawia ją iluminanckimi prakty-
kami a stawianiem astrologicznych horoskopów. Praw-
dziwa to kabała, gdyż aktualnie po kabritowskich ban-
kructwach złoto jakby się zapadło pod ziemię i niepo-
dobna go niczem wydobyć, nawet najzasobniejszym
brakuje gotowego grosza. Kasztelan ma próbować u Sie-
versa. Odradzałem, bo on sam często ratuje się u Meis-
snera, nawet nierzadko Boscamp łapie dla niego u ży-
dów po parę tysięcy. Tylko jeden Buchholtz mógłby
wygodzić.

— Buchholtz? — nie wierzył własnym uszom —
poselć imć króla pruskiego?

— On jedenby pożyczyl i pod niezbyt uciążli-
wymi warunkami.

— To mi waść prawi nowiny!

— Wszak materje pruskie muszą lada dzień przyjść
na sejmie ad deliberandum — szeptał, pochylając się ku
niemu — i muszą przejść affirmative, muszą — dołożył
gorąco — zaś tymczasem przeciwi się temu srogo opo-
zytja! I nietylko zelanci, warchoły i sejmowi szcze-
kacze stają nam wpoprzek, lecz nawet niektórzy mi-
nistrowie i adherenci Rosji. Zawziętość przeciw Prusom

rośnie z dnia na dzień, zwraca się już nawet do osoby posła, że nie waży się pokazywać na ulicy, jak w zbrojnej asyście. Wiemy, jako Sievers podzega do sporu i zcicha całe odium powszechności zwraca w pruską stronę. Otóż kasztelan mógłby wiele zdziałać dla uformowania przychylniej większości na sejmie, ale kasztelan ani chce o tem słuchać dla jakowychś dziecinnych sentymentów, jakby dukaty same się trzęsły z nieba. Gotówem wymówić swoje służby, jeśli nie mamy korzystać z takich okoliczności...

— Więc tenor waści wywodów? — zawrzał zniecierpliwieniem.

— Że kasztelan przegrał do Zubowa dwadzieścia tysięcy i winien je zapłacić.

— To i wujaszek dobrodziej puszcza się na burzliwe flukta faraona?

— Nie z pasji, a jeno dla dalszych widoków — uśmiechnął się z drażniącą tajemniczością — bywa, jako i przegrane dawają sute prowenty...

— Nie wątpię. Ale dlaczego ja mam obiadować u Sieversa? — spytał nagle.

— Racje wyłoży kasztelan, moja rola kończy się przy tym progu.

Jakoż wysiedli przed pałacem Ekonomji na Horodnicy, w którym rezydował Sievers i szerokimi schodami dosięgli pierwszego piętra.

Ogromny pokój stołowy, urządzony z przesadnym przepychem, już był pełen; właśnie tłoczono się przy bocznym stole, zastawionym smakowitemi antypastami, ambasadorska zaś liberja skwapliwie podawała pękate

flachy gorzałek. Łobarzewski, major rosyjski oraz poseł na sejm i zaufany konfident Sieversa, ruszył do wchodzących z kordjalnem powitaniem i pełnym kieliszkiem, a przepiwszy do nich, powiódł do stołu i jał zachwalać świeże angielskie śledzie i jakoweś tłuczenie, obsypane imbirzem.

Socjeta była liczna, gwarna i swobodna; brał każdy miejsce, gdzie chciał i robił, co mu się spodobało, ambasador bowiem całe nieczęsto prezydował na tych obiadach; częściej bywał Bühler, pierwszy jego doradca, lecz już codziennie brał postać amfitrjona Łobarzewski, czuwając żarliwie, aby najmiłsi goście podjedli dosyta i by zwłaszcza napitku nie brakowało nikomu. Nieladajaka to była rzecz, gdyż do stołów zasiadała codziennie cała fakcja, zaprzędana Rosji, person ze sześćdziesiąt, nie biorąc pod cyfrę przygodnych, ni też przeróżnych pieczeniarków.

Wniesiono dymiące wazy i wraz obsiedli skwapliwie stoły, a w cichości, że tylko szedł po sali pobrząk farfurów i łapczywe chlipania.

Zaręba miał za sąsiada z prawej strony Srokowskiego, ku niemałej irytacji, a z lewej rozpierał się opasły personat w granatowej kurcie, który przedstawił się jako Antoni Czarnecki, rotmistrz kawalerji narodowej, juści z takich, jacy nigdy nie wachali prochu, ale z feldcechem przy szabli, a ze Stanisławem na piersiach.

Rotmistrz miał kark byczy, włosy szpakowate, brzuch wysadzony, niby bochen, twarz zaś gapiowatą i dziwnie drobną, prawie chłopięcą, powleczoną rumieńczykami, a krwiste lubieżnie wargi; przypinał się do

jadła z animuszem, ale, podnosząc raz po raz twarz unurzaną w sosach, bełkotał zgorszony:

— Przepodfel! Żarcie dla trzody! A może tamto będzie smakowitsze! — I bez ceremonji zgarniał całe góry mięsów, ku niemałej żalości najbliższych. Tylko Nowakowski, siedzący przy nim, zabawiał się expedite, biorąc go na fundusz.

— Spróbuj waszmość baraniny: specjał nad specjały. Ma wprawdzie akuratnie fetorek zgniłego kozucha, lecz przyrządzona wedle przepisu sułtańskiego kuchmistrza. Podlewa z kobyłej śmietany, prawdziwy rarytas! — kładł mu w uszy, mrugając oczyma ku Zarebie. — Wszak o tych sławnych obiadach układają wielbiące wierszyki, exemplum: „sztuka mięsa ze szczapy, sosy z jalapy, na pieczone padło — ambadorskie jadlo!” Sievers nie szczędzi ekspensów dla przyjaciół!

— Ja mu ta nie konfident. Powiedzieli: „dobrze dają” — przyszedłem spróbować.

— Niezawsze płaci się chorobą za takie próby! — szepnął z powagą.

— Nie może być! — odsumął nagle talerz — kiedy i w traktjerniach dają jeść podle, a takie marne porcyjki, że jeszcze człowiek nie zazna smaku, a już zobaczył dno miski! — uskarżał się głęboko zmarzwiony. — Naprzykład wczoraj u Dalkowskiego... Te, drabie, podaj mi półmisek — zwrócił się nagle do lokaja, wystraszonego, że go pomija z daniem. Więc wczoraj u Dalkowskiego...

Zareba nie dosłyszał więcej, gdyż Srokowski zaczął mu szeptać do ucha:

— Błogosławie nieba za zdarzoną okoliczność spotkania i skwapliwie suplikuję porucznika o protekcję. Wiem od Nowakowskiego o możnych związkach...

Parsknął śmiechem na ten pompatyczny wstęp o protekcję.

— ...waszmość pana, o wielkich koneksjach...

— To słucham — odparł z rezygnacją — prosiłbym jeno o ścisły konspekt sprawy.

— Da się to łącznie zrobić. Jakoś in anno 1772 — zaczął wielce uroczyście, nie, jakoś czasu sejmu konwokacyjnego po śmierci ostatniego Sasa ś. p. rodzic mój, stolnik przemyski, że był to mąż oświecony i całe czuły na dobro ojczyzny, wszedł w związki z przyjacielską potencją celem forytowania na tron najmiłościwiej nam panującego. On to po województwach ruskich formował przychylne dla pretendenta opinie, on to na sejmikach, nie szczędząc ekspensów ni zdrowia... — wyliczał jego zasług szereg długi, że Zareba, setnie znudzony, spoglądał rozpaczliwie na Jasińskiego, któremu Podhorski również coś nudnie klarował, to przeziarał twarze zebranych i nasłuchiwał coraz żywszych gawęd, a z nieskończonego powiadania Srokowskiego to jeno wymiarkowawszy, jako rząd rosyjski winien mu znaczne sumy, rzucił żartobliwie:

— Podaj waść do sądu Imię Imperatorową i zatrudnij.

— Może przyjsć i do tego, boć zobowiązanie Repnina, własnoręczne, mam za wystarczający dowód. Każdy sąd odda mi słuszną rację.

— Repnina? bywszego ambasadora w Polsce?

— Właśnie. Mam jego listy, pisane w tych materjach do ś. p. rodzica mojego.

Pilnie nastawił uszu, gdyż tenor całej sprawy mieścił się w tem, jako ś. p. stolnik przemyski był oddanem instrumentum Repnina i moskiewskim jurgielnikiem, synaczek zaś żarliwie zabiegał o rewindykację judaszowych srebrników, niedopłaconych rodzicowi. Zajrzał mu przeto zbliższy w twarz, ale ta facies, wytarta niby trzygrosznik z czasów saskich, dawała pozór rozbrajającej bezmyślności: ani mogło w niej błysnąć rozumienie hańby, płynącej z takich zabiegów.

Więc mu Zaręba rzekł w jakimś miejscu z gryzącym przekąsem:

— Snadź rodzic wasci oddawał Repninowi ważne posługi...

— Skaptował mu powolność całych wojewodztw — potwierdził chępliwie — i tak mu się wdzięcznie wypłacił. Ale krzywda nie zna przedawnienia. Ja też swego nie daruję. Mam dowody na słuszność pretensyj, a w ostateczności gotówem z żałobą paść do stóp wspaniałomyślniej monarchini. Trzydzieści tysięcy, toć niebyłe substancja. Mamże je darować wrogowi?

Zaręba, zatopiony w gorzkiej medytacji, już go więcej nie pytał, ni mu odpowiadał.

Czarnecki, jakby spęczniały z nadmiaru jada i napitków, jął głosić z namaszczeniem:

— „Po zwierzyńie utop smak w węgrzyńie. Po szpinaku dawaj pontaku“ — tu głos mu rozbrzmiał uroczysto, jakgdyby mówił wszystkim społeczności: — „A po cieście zmyj buzię w szumiącym Francuzie“.

Oto maksimy niewzruszone, jak amen w pacierzu. Trochę się jednak, że ten obiad mi zaszkodzi, jeśli się go nie zaleje tokajem. Obrzydliwość! ambasadorski kucharz wart pięćdziesiąt bizunów za podlewę do baraniny i kurczęcia.

— Zaiste godzien — dogadywał Nowakowski — to były parciane sakwy, nadziane sieczką.

Nieco dalej dwóch posłów coraz zapalczywiej spierało się o konie.

— Ha! ha! jeśli waszmość folbluta nazywa koniem! Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu, ale waść winienesz płonąć na stosie za takie bluźnierstwa. Koń o jednej kiszce, niby glista, z konopnym ogonem, z grzywą z grochowin, z girami z klepek, a bokami, jakby je bednarz powprawiał, ma się zwać koniem! Ha! ha! cugant jucha godny pod morągową małą albo dla raka.

— Jak pragnę szczęścia ojczyzny — replikował ktoś rozdrażnionym głosem — ale waszmości arabczyki więcej przypominają cielne krowy, niżli konie, a ze łbów możnaby je brać za osły, uszy im przy łbach wiewają, niby chusteczki do nosa.

— Waszmość postponuje moje araby! Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu...

Naraz ogromny śmiech wybuchnął, ktoś bowiem w drugim końcu stołu opowiadał tak trefne anegdoty, że co chwila zrywały się ryki i aż tupano z uciechy.

Jeden tylko Zaręba, gorzko nastrojony wynurzeniami Srokowskiego, siedział zatopiony w dumaniach, że przecież prawie cała socjeta, wypasająca się tutaj

na ambadorskim chlebie, to jurgieltnicy Moskwy. Powłókł smutnemi oczyma po twarzach spromienionych nasyceniem i osunął się jakby jeszcze głębiej w serdeczne udręki. Oto już strzelają koncepty, już tłuste żarty, już bezmyślna wesołość się podnosi, już oblicza się śmieją, błogość dosytu rozpiera serca zadowoleniem i błyska w oczach.

Przecież Rzeczpospolita się wali, sądny dzień nastaje, a oni przy zastawionych stołach baraszkują z bezmyślnym śmiechem, sprzedają wolność za obiad, za dukaty, za ambadorski uśmiech, za protekcję w sprawie granicznej, za order, przez złość do pocziwszego sąsiada, często z obrażonej pychy, częściej z żądzy wyniesienia się nad drugich i chciwości, a zawsze przez obojętność na sprawy krajowe i niepodobną do pojęcia bezmyślną lekkomyślność.

Na szczęście dla Zaręby obiad wrychle się skończył i on mógł powstać od stołu, ale nikt więcej nie ruszył się z miejsca, gdyż na skinienie Łobarzewskiego, Borowski, majordomus Sieversowy, puścił w obieg kilkadziesiąt pękatek flach węgrzyna. Zdumieli się takiej niecodziennej siurpryzie, przyjętej zresztą powszechnym aplauzem i wnet humory jęły wzrastać, jakby na drodze i rosła lubość, konfidencjonalne zwierzenia i wybuchy rzewnych serdeczności. Poszły różne zdrowia, Łobarzewski pił ambadorskie, ktoś huknął kochajmy się, zaczęli jęli się cmokać z dubeltówki, a prawie sobie czule dusery, ktoś nawet rzewnie zapłakał, gdy zaś przeminęło wzruszenie, przysiedli znowu do kielichów i pociągali akuratanie, że liberja ledwie nastarczyła do-

lewać. Ktoś zapalił lulkę, ktoś prawił, ktoś rozwalony w krześle zadrzemał błogo, ktoś przysunął się do większej kupy, gdzie jakiś facecjonista łągał, aż się kurzyło, a wszędy szła luba gawęda w materjach najmielszych, o koniach, o sporach granicznych, o spodziewanych sperandach, o polowaniach, że zrobiło się w sali jakby na jakich imieninach w jakiejś Wólce, gdzie to wszyscy się znają, wszyscy powinowaci, a przyjaciele i sąsiedzi. Na próżno Nowakowski przypominał porę pójścia na sejm, bo właśnie wybiła czwarta, na którą solwowano sesję.

— Sesja, nie zając, nie ucieknie—śmiał się jeden z posłów.

— Ważne materje są wyznaczone, sprawa delegacji do traktowania z Prusami.

— Bierz lichu króla pruskiego i ciotkę jego, nie marudź waszmość i siadaj. Mości Borowski, każ-no dać jeszcze tego z czarnym krzyżykiem na laku.

— A nam borgońskiego, jeśliś łaskaw — dorzucił ktoś drugi.

— Srogi ekspens co najprzedniejszych win—szepnął Klotze do ucha Zarębie.

— Właśnie, a waść zapewniałeś o skapstwie ambadora?

— Ba — zaczął drwiąco — na sobotę naznaczono w sejmie ratyfikację traktatu z Rosją, więc Sievers już od dzisiaj nie ma serca odmawiać niczego swoim sojuszom! Ale chodźmy, czekają porucznika w pałacowym żardinie.

— Kasztelan?

— I ktoś więcej. — Poprowadził bocznymi schodami do ogrodu.

Po deszczu nie było już ani śladu; wspaniałe, sierpniowe słońce niosło się po błękitach, potrząśniętych tu i owdzie białawymi chmurkami; tylko boguwole zawzięcie gwizdały w gąszczach, żywiej polśniewały liście i rzeźwiesze powiewy biły światem.

— Cudnyż to prospectus! — szepnął Zaręba, stając na pałacowym tarasie.

Jakoż ogród, niegdyś przez Tyzenhauza założony, był nadzwyczaj foremny i w najlepszym smaku: kwadratowy, ujęty przez wysokie pod sznur cięte grabowe szpalery, pełne szmaragdowych nisz, gdzie się bielili wdzięcznie powyginane boginie, hermy z głowami satyrów, lub półkoliste marmurowe ławy; żwirowe drożyny biegły wzdłuż tych ścian zwartych i akuratnie wyciągnięte rabaty, obrzeżone barwinkiem, z których dźwigały się potrzaskane kolumny, spowinięte bluszczami, oraz wielkie białe urny, w pośrodku zaś żardinu przyciętymi bukszpanami malowane ornamenty dawały postać olbrzymiej tarczy herbowej o polach płonących żywymi farbami róż nisko rozpiętych, lewkoni i goździków krwawych; królewski ciołek leżał na tarczy wyczynionymi białymi kwiatuśkami stokroci.

Po ścieżynach śmigały jakieś dzieci rozwrzeszczane, a na pałacowym tarasie, w cieniu kwitnących granatów, cytryn i oleandrów, zabawiała się nie nazbyt liczna socjeta wspaniałych dam. Sievers we fraku barwy piaskowej, w białej chuście do pół brody, w kunsztownie zafryzowanych puklach, uśmiechnięty, jak zwykle,

z dobroduszną i wielce dworną galantuomją, czytał półgłosem jakiś list, snadź bardzo czuły, gdyż łyżwieciły mu w oczach i głos brzmiał rzewnością.

Damy, siedzące zwartym kręgiem i wpatrzone w niego, dawały postać wniebowziętych, wznosiły rozłzawione oczy z omdlewającym uśmiechem, a z ich piersi, jakby zniewolonych nadmiarem czucia, rwały się ciche westchnienia i niby bezwolne głosy uwielbień. Czytał bowiem list, ostatnio otrzymany od swojej córki, a treścią jego było, że małej Frydzie wyróżnął się pierwszy ząbek, że Jakóbek, faworyt dziadka, rozbił sobie nosek, ale dzięki Najwyższemu i okładowi z rumianku, już mu przeszło. List kończył się gryzmołami najstarszej wnuczki, Trudy, które ambasador pokazywał z dumą i szczerem wzruszeniem.

Właśnie na cześć jej urodzin wyprawiał był dzisiaj podwieczorek dla progenitury swoich przyjaciółek i, nasyciwszy wierne serca swoim szczęściem, zawołał na dzieci, biegające po ogrodzie. Opadły go ze wszystkich stron, a on, niezmiernie temu rad, tulił je do piersi, gładził, całował i obdarowywał szczerem cukrami.

Scena była tak wzniosłe wzruszająca, że kasztelan, siedzący nieco na stronie, ledwie powstrzymał się od śmiechu, lecz dojrzawszy wchodzącego Zarębę, położył palec na ustach i wskazał miejsce obok siebie, bo po rozpierzchnięciu się dzieci, damy jęły podziwiać minjatury ambasadorskich latorośli, a czyniły to z pobożnym namaszczeniem, znowu nie szczędząc kłamliwych uwielbień i przewracania oczami. Panie Ożarowska, Radziwiłłowa, Potocka Julia, hr. Camelli, Załuska, Narbu-

towa i parę jeszcze innych wprost się prześcigały w głównych admiracjach, tylko szambelanowa, siedząca zboku i zapatrzona w dzieci, nie brała w tym chórze udziału.

Przysiadł się do niej Zaręba.

— Wypada, byś mnie zabawiał, skoroś tu jedy-
ny! — żartowała, wyciągając rękę.

— Nawet nie imaginuję, jakbym temu podołał.

— Spróbuj! Czemuż tak na mnie dziwnie pa-
trzysz? — poruszyła się niespokojnie.

— Boś piękna, jak nigdy. Na ludzkie nieszczę-
ście — dodał cichutko.

— Wszak zbrojnyś w najdoskonalszą obojętność—
uśmiechnęła się dziwnie smutnie.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż kasztelan powiódł go prezentować. Sievers okazał mu szczególną łaskę, zaszczycając paru słowami i życzliwym uściskiem ręki, poczem damy wzięły go w swoje obroty, zwłaszcza hr. Camelli zaczepiała go ustawicznie ognistemi spoj-
rzeniami, pani Ożarowska wyrzucała zaniedbywanie ich domu, pani Załuska inwitowała na swoje poniedział-
kowe causette'y, ks. Radziwiłłowa próbowała z nim dyskursu o różach, Julia Potocka traktowała o swoich synaczkach, a jakaś piękność, podobna wystrojonej kukle, dobywała z niego wiadomości o barwach szalów, no-
szonych w Paryżu. Znalazł się w nielada opałach, lecz wyszedł z nich zwycięsko, szermując słowami z wprawą i brawurą. Był przytem dwornie chłodny, uprzejmy i w tem ożywieniu tak dowcipny, błyskotliwy i piękny, że Izie zrobiło się czegoś przykro. Przysiadła się bliżej, usiłując ściągnąć na siebie jego spojrzenia, lecz on,

zajęty tą pustą szermierką słów, spojrzeń i uśmiechów, nawet jej nie zauważył. Odsunęła się obrażona.

Naraz ostro zabrzączały ostrogi, jakiś oficer w pełnym moderunku podszedł do Sieversa, promenu-
jącego się wraz z kasztelanem po tarasie, i podał mu list. Ambasadorka złamała pieczęć i, przeczytawszy, zwró-
cił się cicho do kasztelana:

— Nowe kabały! Szydłowski w gorącym przemó-
wieniu protestuje przeciwko ratyfikacji naszego trak-
tatu, właśnie na dzisiejszej sesji złożonemu do łaski
przez hr. Ankwicza, Skarzyński mu sekunduje, zelanci pod-
noszą burzę i wszyscy zapisują się do głosu. Marszałek
skonsternowany brakiem większości, opozycja górą.

Zaklaskał w dłonie i szepnął coś starszemu nad
liberją.

Za chwilę zjawił się Łoborzewski z wielce wy-
straszoną twarzą.

— Czemu waś jeszcze nie na sejmie? — pytał
surowo ambasador.

— Właśnie piją zdrowie waszej ekscelencji—beł-
kotał pijanym głosem.

— Każ wszystkim posłom ruszać natychmiast:
w sejmie pilna okoliczność. Hr. Ankwicz wyda dyspo-
zycję względem głosowania. Mości majorze, proszę mi
rychło wyzbyć się chmielu! — Był już groźny, uśmiech
gdzieś się zapodział z wąskich, zaciętych warg, oczy
błyskały gniewem, sprężył się cały, głos mu świszcział
niby brzeszczot, stał się naraz władczy, rozkazujący
i nieubłagany. Relację marszałkowską schował i, odpra-
wiwszy oficjera i Łoborzewskiego, szepnął: — Ach, ci

zelanci, zmuszają mnie do postąpień wbrew życzeniom serca. Protestacje zgubne dla kraju fanfaronady! — Mości majorze — zawołał nagle za oddalającym się — w dni sejmowe nie przetrzymuj kompanji przy stołach, niechże na sejmie wypełniają swoją powinność! Chodźmy, kasztelanie, do róz, jakie mi dzisiaj ofiarowała księżna Radziwiłłowa. Zobaczysz cuda.

W końcu tarasu różany gaj, podobien do gorejących krwawo płomieni, dyszał odurzającemi zapachami: były w nim róże, niby stężale płyty krwi, były jak tajemniczo lśniące karbunkuły, jak rozkoszą spalone tchnienia, jak usta nienasycone pożądaniem i uśmiechy anielskich obietnic, wtulone w pąki warg dziewczęcych, były jak krzyk mdlejący w pustce i jak rozpacznie daremne wyzwania; były krwawe, jak rany wiecznie żywe, były okrutne wyniosłością i w tragicznej urodzie jedyne; lecz były też czarem nocy czerwcowych opite, zapachów pełne i takiej piękności, że jeno sennym zjawom podobne.

Purpurowa pieśń zdała się dobywać z onego gaju i bić w niebo, w słońce, we wszystkich świat śpiewała triumfalną glorię upojenia.

Sievers całą istnością zanurzał się w ten wonny, purpurowy obłok, obchodząc dokoła, tykał wyschłemi palcami chłodnawych płatków i tak satysfakcjonował rozmodloną duszę, aż mu oczy zachodziły bielmem rozkoszy i wstrząsał się z lubości. Napawał się barwami, brał je w pamięć zmysłów, odchodził z żalem i powracał jeszcze, nie mogąc się oderwać, ni dostatecznie nasycić.

Dopiero lokaj, oznajmiający podany podwieczorek, wyrwał go z lubych kontemplacyj i zwrócił do stołu,

gdzie już sadowiła się rozbawiona dzieciarnia pod okiem matek, wziął pierwsze miejsce pomiędzy niemi i, niby dziadek najczulszy, sam rozdawał łakocie i pilnie łagodził wybuchające co chwila spory.

Kasztelan z Zarębą, zepchnięci na szary koniec, siedzieli obok siebie.

— Czy byłbyś gotów na dalszy wojaż? — zapytał cicho.

— Jeśli ważne okoliczności, a wujaszek gdzieś rozkaże...

— Pojechałbyś do Petersburga, jako towarzysz tego, który powiezie traktat...

Oniemiałe oczy podniósł na kasztelana i znowu postyszał:

— Bądź gotowy na każdy wypadek... wielu już zabiega o ten zaszczyt, ja pragnę go dla ciebie. Ani pary z ust o tem! Staraj sobie ująć ambasadora...

Powstały nagle rumory, liberja bowiem wносиła spore łuby, z których Sievers ją wydobywać kosztowne suweniry i rozdawać je dzieciom wśród szalonych wybuchów radości; damy rozczuły się do łez jego wspałałomyślną dobrocią.

— Chodźmy na promenadę — zaproponowała Iza — nie znoszę wrzasków.

Zaręba podniósł się posłusznie i poszli drożyną pod szpalerami.

Boguwole gwizdały im nad głowami, przelatując z drzewa na drzewo, cierpki zapach świeżo ciętych bukszpanów drażnił nozdrza; słońce było już nisko i chłód zawiewał od pól. Szli w milczeniu, często pod-

nosząc na siebie oczy, czegoś niepewni oboje, wzruszeni oboje, z rozkołatanemi sercami oboje. Coś nagle stawało się pomiędzy nimi, jeszcze nikłe, niby pajęczyny, jeszcze łamliwe i trwożne, ale już obmotujące ich jakby w kokon przeczuwań tego, co ma przyjść za chwilę. Zaręba poczuł, jako coś musi się stać niechybnie: powiedziały to jej oczy dziwnie świejące, a zarazem nieprzytomne, jej zadumana twarz, jej usta rozdrżane i jakby z trudem powstrzymujące jakiś krzyk. Szła nieco pochylona, skupiona w sobie, jakby szła naprzeciw czegoś dawno wyczekiwanego. Jakieś wichry ją szarpały, jakieś myśli kłębiły się pod czaszką i pierś rozpieęły uczucia gwałtowne, gdyż bił od niej gorączkowy niepokój. Szła coraz prędzej, obtulając się nerwowo w złoty szal, spadający jej co chwila z ramion.

— Pamiętasz nasze spacer-y w Górach?—spytała, przystając nagle.

— Radbym o nich zapomnieć—padła odpowiedź, nie poradził jej powstrzymać.

— Dlaczego?—rzuciła krótko, błędąc straszliwie.

Mróz przeszywał mu serce, lecz, zlitowawszy się jej błądności, rzekł śpiesznie:

— Wydajesz się być zmęczoną, usiądźmy...

— Dlaczego?—powtórzyła, jakby wywołując cios, na który już oczekiwała z pochyloną głową i zamierającym sercem.

— Aby nie pamiętać twoich zdrad — uderzył kamiennym głosem.

Osunęła się na ławę, ukrytą w niszy szpaleru,

łzawy żal wyjrzał z jej rozgorzałych oczu i czoło osunęło się palącym cieniem wstydu.

— Chciałaś, tom ci rzekł. Zdradziłaś mnie, byłaś moją wobec Boga i przysięg, ufałem ci, a posłaś za innego! Zniewoliła cię przynęta bogactw i swawoli — ciągnął nieubłagane. — Czy ty rozumiesz mowę nie-szczęścia? Prawda, ciągle bałe, asamble i amuretki nie dały ci sposobnego do zastanowienia czasu — szydził uniesiony gwałtownym przypływem żalów. — Nie kochałaś mnie nigdy i kłamliwymi były twoje przysięgi, kłamliwymi twoje całunki, kłamliwem wszystko. Ćwiczyłaś się tylko na mnie, przymierzałaś na mojem sercu swoje zaloty, niby stroiki na kukle, dla zabawy jeno i wprawyl

— Sewer! — jęknęła — Sewer, menażuj mnie.

— Sponiewierałaś mnie, ale i sponiewierałaś siebie — syczał i, ogarnięty szalem mściwego okrucieństwa, jął wymawiać wszystkie jej przewiny. Nie darował jej niczego, a całe niedobieranemi słowy smagał dziką, kąśliwą wzgardą. Przyszła mu nareszcie ta upragniona chwila zapłaty za wszystkie udręczenia i rozpacze. Oto siedziała przed nim z twarzą zalaną łzami, wystawiona jakby pod pręgierz, ledwie już żywa z bólu, lecz zarazem taka bezbronna, męczeńska i smutna, że naraz chwyciła go litość. Nie było już bowiem tamtej, pięknej i wyniosłej szambelanowej, damy królewskich salonów, nie było nawet tamtej, dawnej Izy z Gór, a jeno jakaś nieszczęsna dusza, wijąca się w męce, targana szponami zgryzot i rozpacz.

Ułakł się własnego dzieła, nie wiedząc teraz, co

począć, gdy ona podniosła na niego przełzawione oczy i przez błyskający tkliwością uśmiech szepnęła:

— Kocham cię, kocham cię zawsze!

Porwał się precz, jakby odtrącony strachem, tak jej niespodziewane słowa wydały się obłudne i zgoła niepodobne do wiary. Jakiś zawrotny dur go pochwycił, że stał, nic nie pojmując i wszystek w lodowatym dreszczu, patrzył w jej oczy rozwarte szeroko, jak w złowrogie przepaści. Naraz piorunowy błysk przeszył mu serce, omroczone trwogą i zalał ślepiącą radością—oto zrozumiał prawdę jej słów i uwierzył w cud. Porwany płomienistym wichrem, rzucił się do jej stóp, w jej objęcia rozchylone, niby wrota rajów. Co mu było wieczną tęsknotą, spłynęło teraz świętą łaską szczęścia, słonecznym hymnem miłości. Ogarnął ją żarem uniesień i miłowania, zcałował wszystkie łzy i taką mocą uczucia przejął, że spragnionemi usty szukała jego ust, że każde jej spojrzenie było pocałunkiem, a każdy pocałunek wyznaniem, przysięgą i ognistym oddawaniem się na śmierć i życie. Jej szept, sycone namiętnym warem, przesłodka litanją osnuły mu duszę, iż wszystką rozkosz kochania poczuł i szczęście wszystkiego żywota.

— Daj ust, daj jeszcze! — bełkotał, pijąc z nich nienasycenie.

— Lituj się, zamrę...—szepnęła mdlejąco, aż wypuścił ją z ramion, sam również nieprzytomny i ślepy od żarów. Lecz nim nabrał tchu i zdołał powiązać rozpierchłe myśli, poczuł znowu na ustach jej palące usta, i nowe fale warów grały go na dno niewypowiedzianej rozkoszy.

Od tarasu zabrzmiały wrzaski dzieci, więc powstali spiesznie i, trzymając się za ręce, jak niegdyś w Górach, przemknęli się w park, za szpalery.

Objęła ich cisza, chłód i zieleń, przesiana czerwonym brzaskiem zachodzącego słońca, wyniosłe brzozy bielity się bez ruchu, a tylko mdły naród krzaków szemrał i trząsł się lękliwie.

Poszli jakąś drożyną, nie wiedząc gdzie i poco, lecz już jedni czuciem i jedni szczęśliwością. Milczeli: starczył im uścisk dłoni, głębokie zajrzenie sobie w oczy, czasem szept, spływający wraz z pocałunkiem. Dusze ich brały w siebie ucieszenie tych drzew, ekstazyzną cichość zapominań i przebaczenia.

Czasem patrzyli w słońce widne między pniami, to zaczynali uciekać, niby spłoszone dzieci, kryć się po gęstwach i cieniach: niekiedy przysiadali na darniowych ławkach, obsadzonych leszczyną, by się skrzepić pocałunkami, szeptać w sekrecie tkliwe słówka, śmiać się z byle czego i pierzchać za łada przyczyną, jak niegdyś w Górach.

Wyszli do jakiegoś sadu i zagrodziły im drogę gałęzie ciężarne jabłkami, spodem stał się zielony kobierzec traw, gęsto przetkanych kwiatami, kręta ścieżyna prowadziła w głąb. Poszli za nią bez wahania. Po drodze zerwała jabłko, nadgryzła i podała mu ze śmiechem.

— I Adam zjadł i został wypędzony z raju. O Ewo kusicielko, Ewo!—śmiał się radośnie.

— To Adam, ale Sewer zjadł i został wpuszczony do raju. Posłuchaj, a wejdiesz.

Jakoż wnet wyszli na łączkę przerznąą srebrzystym strumykiem i pełną niezapominajek; pasło się na niej stadko białych owiec i swawoliły jagnięta w niebieskich obrożach. Jakiś paysan, wsparty malowniczo na zakrzywionym kiju, z piszczałką przy wargach, przybrany cudacznie we wstęgi, stał niby na straży.

— Jakby żywcem przeniesione z francuskiego kopersztynchul — dziwował się, ale zdumienie jeszcze wzrosło, gdy go wprowadziła do maleńkiej zagrody, za wyplatany łożyną płótek, gdzie stała niska chata, pokryta słomą, zboku tuliła się obórka, przy której wesoło machał ogonem srogi brys na łańcuchu i krękotało stadko kur. Przyzbę chaty wysłano darniną, pod progiem żółcił się piasek, przytrząśnięty sosnowem igliwem, na dachu sprośnie gruchały gołębie, zaś nade drzwiami, wywartemi narozcież, pucołowate amorki dźwigały białą tablicę, gdzie w otoku bluszczów czerwieniły się słowa Vergila:

„Amor omnia vincit et nos cedamus amori“.

W progu stała hoża pasterka, przystrojona w kwiaty i wstęgi, zaplecione w loki kunsztownie pozawijane i, pochylając się im do nóg, zapraszała w gościnę do ośmiokątnej izby, udającej chłopską, zastawionej prostym sprzętem, ale obwieszanej gobelinami, wyrażającymi tkliwe, pasterskie historie.

— Chloe w zjawionej postaci, zgola jakby na teatrum! — wołał żartobliwie.

— Tutaj miał się odbywać dzisiejszy podwieczorek, ale z przyczyny ранnego deszczu ambasador wybrał taras. Ależ tu ślicznial — unosiła się zachwytem.

Jakieś wrzawy buchnęły z głębi chaty wraz z przytłumionemi brzękami mandolin.

Zaręba pobiegł zobaczyć co to za brewerje.

— Oficjerskie sielankil — objaśniał po chwili — grenadjerscy pasterze płasają ze swojemi pasterkami pod wtór bałabajek i tłuczonych flach. Wyjdźmy stąd. — Miała jakieś pytanie na ustach, ale, poniechawszy, szepnęła ze szczerym żalem: — Marzyłam słodką solitudę wraz z tobą, tymczasem musimy iść precz...

Przysiedli jednak pod chatą, gdyż we wrotniach zagrody ukazał się pasterz otoczony owcami, przygrywał na fujarce, a jagnięta, pobrzękując dzwoneczkami, czyniły dokoła niego uciészne skoki.

Iza rozpływała się w uwielbieniach nad tym czułym aspektem, nie szczędząc przytem pięknemu pasterzowi łaskawych słów, a i srebrem brząkających uznań.

I gdy tak się ciesząc wdzięcznym obrazem, przepłatali zabawę lubemi pieśczętami i całunkami, zjawił się nagle, jakby z pod ziemi, jej wierny kozaczek i jął coś szeptać w sekrecie.

Ściągnięciem brwi pokryła jakoweś zakłopotanie i odezwała się głośno:

— Powiedz, że zaraz przyjadę. Ruszaj! Szambelan ciężko zaniemógł i nie wypada mi pozostawiać go samym w takim stanie — objaśniała wielce zafrasowana.

Ta niespodziana troskliwość o męża targnęła nim cichą zazdrością.

— A może to tylko kabatał — podjęła. — Bywało, wzywa mnie pod pretekstem nagłego pogorszenia, przychodzę, a on szydzi, bo jeno pragnął mi po-

psuć zabawę. On jest pełen takich niegodziwych fortelów. Nawet nie imaginujesz, co ja z nim wycierpię — westchnęła, podnosząc chusteczkę do suchych oczu.

Wracali już do pałacu. Zachodnia strona nieba stała w krwawych łunach, że cały park zrumienił się od pożogi, a białe głąz brzoź połśniewały purpurą.

Z gąszczów szemrały świergoty zasypiających ptaków i rozpływały się duszące zapachy. Modrawe przysłony zmierzchów spływały zwolna na świat.

Szli przytuleni do siebie, spleceni ramionami, jakby wrośnięci w siebie. Iza żałośnie, zmęczonym głosem wyskarżała się na swoją dolę nieszczęsną i męża.

— Zawsze pora do wyrzucenia go za drzwi i separacji — przerwał porywczo.

— Papa już się radził jurystów. Znajdują jakieś trudności, a przytem szambelan nie chce się zgodzić. Boże, czemu mnie przyniewolili do małżeństwa?

Miał już na ustach pytanie o rzekomej deklaracji Cycjanowa, lecz się powstrzymał i tylko szepnął posępnie:

— Mszczą się na tobie złamane przysięgi! — Wzdrygnął się cały.

Zamknęła mu usta pocałunkami, oplótła sobą, wpiła się w niego, że, porwany nową falą żarów, zdał się na łaskę jej szczodroblivej miłości, nie pomnąc już o niczem, nawet i o sobie.

Spłoszyły ich dopiero jakieś śpiewy i brzęki klawecynu.

— Niechaj nie czekam nadaremnie — szepnęła z ostatnim pocałunkiem.

Próbował się usprawiedliwiać, wskazała bliskość pałacu i rzuciła:

— Kocham cię! Ostatnie okno na ogrody, pamiętaj...

Na pałacowym tarasie płaśły dzieci dokoła arlekina, usadzonego na wysokim taburecie i śpiewały. Chór srebrzystych głosików podzwaniał, niby radosny chór ptasząt i niby rój motylów czy kwiatnych płatków wirował w cichem, modrawem od zmierzchów powietrzu. Hr. Camelli przygrywała dyskretnie, a ten krąg zrumienionych twarzyczek, roziskrzonych oczów i powiewających włosów i strojów kołysał się rytmicznie i zawodził z uniesieniem:

„Arlequin tient sa boutique

„Sur les marches du Palais,

„Il enseigne la musique

„A tous les petits valets“.

I teraz każde z osobna podchodziło do arlekina, dygało przed nim z wdzięcznym grymasem, a reszta śpiewała wesoło:

„Oui, Monsieur Po-

„Oui, Monsieur Li-

„Oui, Monsieur Chi-

„Oui, Monsieur Polichinell“

Wybuchnęły burzą śmiechów, rzucając się na niego i szarpiąc na wsze strony.

Socjeta również zabawiła się wybornie, Sievers zaś, rozrzucony do łez, pierwszy gorąco aplauzował, nawet wtórując dalszym zwrotkom.

Iza wymknęła się niepostrzeżenie, tylko Zaręba, posłyszawszy turkot jej pojazdu, coraz niecierpliwiej wyczekiwał końca zabawy, nudziła go bowiem setnie, a że przytem był jakby upity szczęściem i zgorączkowany, jął dość obcesowo poczynać sobie z damami ku ich widocznej kontentacji.

Mrok już był zupełny, gdy się nareszcie znaleźli na wolności i, nie bacząc na wuja, który go chciał wieść do biskupa i tam szerzej rozważyć wszelakie ewenta wojażu do Petersburga, uciekł mu z przed pałacu, tak strasznie pragnął pozostać sam na sam z marzeniami o Izie.

Wieczór zapadał ciemny i chociaż na zachodzie jeszcze tliły się krwawe rozlewy zórz, niebo zaciągało się posępnie, chwilami zrywał się wiatr, drzewami szarpał i prześwistywał w ciemnych i pustych uliczkach, bowiem kamienice i dworki stały już czarne i szczerlnie pozawierane, świeciło się tylko tu i owdzie w pałacach i na rogach ważniejszych ulic, gdzie kolebały się na sznurach latarnie, zaprowadzone dopiero czasu teraźniejszego sejmu, pod niemi zaś gęstem igliwem bagnetów polśniewały ronty, pilnie baczące za powozami, a pieszych, jeśliby się nie wykazali pozwoleniem komendanta, obowiązane dostawiać na hauptwachę. Albowiem Grodno zostało podzielone na cztery kwartały i oddane pieczy czterech jegierskich bataljonów, które każdej nocy gęstemi kordony, niby sieciami, obstawiały wyloty

ulic, przejścia i domy, zamieszkane przez znaczniejszych zelantów. Szpice kozackie również patrolowały, wałęsając się po zaułkach i myszkując na swoją rękę.

Zasię, przy tak żarliwej trosce aljantów o spokojny sen powszechności, Grodno już o dziewiątej godzinie z wieczora brało pozór jakby wymarłego miasta, bo jeno zrzadka i to snadź z przymusu okoliczności, jeśli się przemykał jakiś człowiek, częściej natomiast szpieguny węszyły pod okiennicami, na podjazdach oświetlonych pałaców, lub przy kafenhauzach pozornie tylko zamkniętych.

Zarębie tak wrychle obmierzły sołdackie indagacje, że, spostrzegłszy pod pałacem Ogińskich jakiś powóz, zbliżył się z pewną propozycją, lecz jakże się zdziwił, poznając służbę szambelana.

— Co wy tu robicie? Kto przyjechał?

Dowiedział się, jako szambelan był na wizycie u starej pani hetmanowej.

— Dawno jesteście? — spytał prawie bezwiednie.

— Przyjechalim prawie o piątej.

Odszedł bez słowa i, stanąwszy w cieniu, jakby się zapatrzył w konie i ludzi.

— To dziwne, zachorzał ciężko i siedzi tyle godzin na wizycie. Co to znaczy? Od piątej! — snuły mu się niepokojące myśli. — Od piątej! A była już prawie ósma, jak ją wzywał do siebie. W tem jakaś kabala. Prawda, zaliła się, że jej niekiedy to urządza. Zupełnie w jego smaku. Bezsilne truchło, mści się szpilkowemi ukłuciami. Dziecinne zgoła sposoby. Naturalnie, wyrządził jej żakowskiego psikuska.

Wzruszył ramionami i poszedł ku domowi, grążąc się znowu w przypomnieniu niedawnych rozkoszy. Wszystko stało się tak nagle, a zwłaszcza tak nieoczekiwane, że jeszcze nie wyżył się oszołomienia, jeszcze nie mógł zebrać myśli.

— Zali to podobne do wiary? — pytał w zdumieniu — więc ona mnie kocha? — I odpowiedź czuł jeszcze na ustach spalonych jej całunkami, w tętnach lubością wzburzonego serca, w przejmujących dźwiękach jej przysięg i zaklęć, a jednak zdało mu się to więcej snem, jakich już tyle przeżył, niżli prawdą.

Zapukał w umówiony sposób do swojej kwatery, gdy nagle wstrząsnęła nim myśl:

— A jeśli zmyśliła jego chorobę?

Kacper otworzył drzwi, stając w oczekującej pozycji.

— Wróć za chwilę, poczekaj — zaszeptał i nim tamten zdołał się odezwać, już go nie było, przepadł w nocy, jakby porwany huraganem.

— Ostatnie okno od sadu — powtarzał obłędnie, a z takim uczuciem, jakby śpieszył na schadzkę upragnioną od wieków. Władał sobą doskonale, a zarazem duszę miał pełną dziwnego lęku i omroczonego mózgu.

Dom szambelana jeszcze świecił paru oknami; w kącie bramy, wywarłej narozcież, przy jakimś mdłym kaganku, służba grała tak zajadle w chapankę, że nikt go nie zauważył; na schodach było pusto i ciemno, w przedpokoju zaś pierwszego piętra, wciśnięty w kąć, chrapał jakiś żołnierz i ani drgnął na jego wejście.

— Patrzy na czyjegoś ordynansa! — oślizgłe po-

dejrzanie przeszło go nawskroś. W sali paliła się olejna lampka, w sąsiednim pokoju było ciemno, jak również i w następnym, dopiero w ostatnim, właśnie tam, gdzie było „ostatnie okno od sadu“, cisnęło się światło przez przywarte za ledwie drzwi.

Kobierce tłumiły kroki. Szedł, nie bacząc już na nic, niezdolny do powstrzymania się ni odwrotu, jak w ataku, jeno że szedł coraz wolniej i ciężiej się dźwigał na stromy szaniec, gdzie nań czekało zwycięstwo lub śmierć.

Naraz sperlony śmiech rozprysnął się kaskadą i jakieś namiętne szepty. Zatrząst się i, bezwiednie zmacawszy rękojeść szpady, pchnął drzwi.

W szerokiej, niskiej markizie siedziała Iza z Zubowem. Byli spleceni uściskiem, zwarci, jakby stopieni ze sobą w ognistych pocałunkach. Kandelabr, świecący z boku, straszliwie uwidocznił tę całą scenę.

Na skrzyp drzwi, Iza, wyrwawszy się z objęć kochanka, stanęła w skamienieniu.

— Nie przeszkadzam, baw się dalej — rzucił z galantuomnym ukłonem, cofając się za próg. Postąpiła za nim parę kroków, jakby pragnąc przemówić.

Wyszedł wolno, automatycznym krokiem straceńca.

W owych to chwilach, najkrwawszym z wysiłków wyszarpał ją ze swojego serca na zawsze. Umarła w nim nagle ta śniona od dzieciństwa, więc ją pogrzebał wraz ze swojemi marzeniami młodości i przywalił ciężkim kamieniem wzgardy. Ta zaś, jaką później spotykał na świecie, była mu już zgoła obcą i obojętną, widział ją tylko gamratką, jakich nie brakowało w ów-

czesnej socjecie. Nie myślał jej nawet unikać, a jeśli zdarzyła się okoliczność, był dla niej powinnie grzecznym i, okazując twarz uśmiechnioną, patrzył na nią niewidzącami oczyma łodów.

I cóż go to aktualnie obchodziło, jako Zubow, od tego pamiętnego wieczora, nie pokazał się już w pałacu, jako Cycjanow powrócił znowu do łask, jako zaczął się płać koło niej i zabiegać o względy królewski przyjaciel, kawaler Litlplage, piękny Amerykanin i persona wielce tajemnicza.

Dalekim się poczuł od tych miążkich zgryzot amarów, turbacyj a zabiegów o kochanki lubej spojrzenia i względy łaskawsze, więc tem żarliwiej dał się jarzmu obowiązków i wytężonej pracy, a było jej tyle i tak brzemiennej następstwami, a zarazem niebezpiecznej, że zdawał się w miarę przeszkód olbrzymieć i udzięciokrotnie w siły i przebiegłe męstwo. Aniby komu przyszło do głowy, żeby w tym modnym francie podejrzewać spiskowca i jakobina. Wszak całe dnie i noce był na wszystkich oczach; wałęsał się po mieście, wystawał z drugimi pod kafenhauzem, promenował się z damami, bywał na balach i asamblich; noce zaś widziały go zarówno przy faraonie, jak i na Ankwiczowskich bachanaljach i aljanckich oficerów pijatykach; nie gardził nawet kompanją szujów i jurgieltników. Uganiał się też za miłostkami, aż zaszeptano o romansie z hrabiną Camelli, która go nazbyt czule wyróżniała, chociaż ani dbał o jej awanse. Słowem, żył modnie, szumnie i wesoło, zapełniał sobą wszystkie widne miejsca. Była to bowiem tylko maska, przywdziana dla omamienia

zbyt ciekawych oczów, aby tem swobodniej czynić ku pożytkowi sprawy. Bywało, jako w ciągu godziny pokazywał się w dziesięciu miejscach, a potem zasię, przemieniony nie do poznania, wędrował z Kacprem po karczmach i zajazdach, to z ojcem Serafinem jeździł na przeróżne penetracje i łowy gemejnow, to przemyskał się z ważkimi relacjami do Działyńskiego, dawał schronienie egzulom i słał pod rozmaitszemi pozory do Warszawy i południowych województw całe transporty broni, furazów i ludzi. I mimo tej niesłychanej wyczerpującej pracy, ciągłej gorączki pośpiechu i czyhających na każdym kroku niebezpieczeństw, czuł się doskonale, zmizerował się tylko tak znacznie, że któregoś dnia pod kafenhauzem rzekł mu drwiąco Woyna:

— Patrzysz na Piotrowina. Wiem, twoja choroba nazywa się febris Camelli.

— Nie trafiłeś, nazywa się powinność! — odparł prosto. — Szukałem cię właśnie. Jakże się miewa nasza motja?

— Skonało biedactwo. Jeszczem do niej dołożył pektoralik po ś. p. staroście.

— Fortuna mirabilis. Chciałbyś spróbować szansy z tym oficerkiem, który stoi na rogu? Nazywa się Iwan Iwanowicz Iwanow. To przyjaciel Kaczanowskiego.

— Próbuje nawet z djabełem, jeśli pobrzękuje dukatami. Ale tak mi się złożyło, że aktualnie docna wyekspensował, chyba zagram w ćwika na orzechy.

— Więc kładę fundamentum nowej motji — wsunął mu w rękę ciężki rulon.

— Z czegoż mam wyiskać tego gamonia? — wlot pojął jego intencję.

— Cyfrę eskorty, z jaką wyrusza, ścisły termin i czy na pewno ma rasztag w Mereczu.

— Kiedyż musisz o tem wiedzieć?

— Przed wtorkiem rano. Chciałbyś?

— Rzekłem. Nie pytam więcej, twoje dukaty i twój sekret. Czekażże, jakby go tu zażyć? — Hm, buzię ma głupawą, lecz oczy chytrenkie — przyglądał się oficerowi coraz baczniej. — Lubi łykać dużo i byle co, od tego żołnierza; przepada za karteczkami, złotem i przyjacielstwem, od tego Iwanow; a że podwiki pachną mu rajem, naturalne, bo młody i głupi — medytował półgłosem.

— Może go znasz?

— Zbędne. Zresztą faraon najserdeczniej nas pobrała. Prawdziwa krotochwila. Ha! ha! snadź i ja mogę się na coś przydać. — Po chwili podjął znowu, ale już prawie poważnie: — Gdybyś mnie potrzebował i w drugich okolicznościach...

— I jak jeszcze. Możebyś chciał pomówić ze szefem lub Jasińskim?

— Daruj mi życie, dziękuję: jeden za cnotliwy i zaraz kiepską łaciną wystąpi z oracją, jakby na pogrzebowej stypie, drugi zaś składa zbyt cikliwe rymy. Sprawia mi to w uściech smak, jakbym całował mamkę, mdli mnie. Wolę już z tobą, jako wolontariusz i dla zabawy.

— Jak chcesz! Patrz-no, tłok na ulicach, niczem na odpusćcie w Berdyczowie.

— A małż to jarmark w Grodnie! Każdy ciśnie się z zczemś na przedanie. Szkoda jeno, że Sievers ta-

nio płaci, a Buchholtz skąpy; będzie dużo zawiedzionych — podrwiwał z uśmiechem.

Jakoż w istocie Grodno w tym czasie, w połowie sierpnia, dawało frapujący obraz, jakby zbiegowiska ze wszystkich stron Rzeczypospolitej; przepełnione też było nad miarę, a wciąż jeszcze nadciągały całe karawany objuczonych powozów, bryk pod płóciennymi budami, jeźdźców i pieszych, że miasto huczało ustawicznym gwarem i turkotami.

A wśród ciżbiących się w ulicach wyróżniały się wojskowe kurty i zawadjackie miny oficerów; jedni, mieniać się być z brygad zagarniętych przez Moskwę, zabiegali o zaległe jeszcze z czasów bywszej wojny lenungi; drudzy suplikowali u sejmujących stanów o zaopatrzenie za wysłużone lata i poniesione rany; byli, którzy ścigali jeno dla zabawy, na poszukiwanie przygód i fortuny; ale byli i tacy, których delegowali towarzysze i żołnierze dla zasięgnięcia języka względem insurekcyj, do czego wojsko parło całą mocą serc wiernych ojczyźnie; tych znał Zaręba, zamieniając z nimi porozumiewawcze spojrzenia lub znaki.

Zasię poza tym tłumem szlacheckim, zalewającym Grodno, roił się jeszcze liczniejszy tłum pospółstwa: biedoty różnej, gemejnow, zbiegłych z pod bata chłopów, służby bez miejsca, ultajstwa i nawet ludzi wolnego stanu, szukających sposobów do życia; coś z nich przygarnęli łyczkowie, coś uwiesiło się przy pańskich pocztach i dworach, coś się rozlaźło po świecie, ale największa liczba przepadała gdzieś bez śladu.

Przecież niedarmo co dnia warkotały tarabany za Niemnem pod karczmą Potockiego, lała się gorzałka, brząkało zdradnie złoto i odprawiały się pijatyki od rana do rana; że potem nocami pijane kupy nieszczęśników popędzali kozacy nahajami do obozu w Łosośnie, o tem mało kto wiedział. Werbowano i dla króla pruskiego, jeno tajniej i srodze przebierając. Angielczyk także próbował zapuszczać zagony, acz nie nazbyt fortunnie. Werbował i Zaręba przez swoich ludzi, nietyłe jednak, wiele był mógł i chciał, gdyż brakowało mu pieniędzy i groziły podwójne niebezpieczeństwa: od swoich i od wrogów, a zwłaszcza od swoich. Właśnie był nad tem deliberował, gdy ujrzał w ciżbie ojca Serafina. Bernardyn żarliwie kwestował wśród modnych frantów, podpierających kafenhauz, przeciskał się z pokorną miną i, podtykając tu i owdzie tabakierkę, trząsł skarboną, lecz miasto choćby miedziaków, zbierał jeno szcudrą jałmużnę drwin i jadowitych przygryzków.

— Pocieszna gęba — zauważył piękny Narbutt — trzeba go zażyć z mańki.

— To ćwik nielada, splantuje cię i poda na śmiech! — reflektował go Woyna.

Ale Narbutt, jako wielce we własny dowcip zadufany, odezwał się drwiąco:

— Jaktol bernardyński kwestarz i bez stadka owieczek?

— Boć aktualnie mam jeno z baranami sprawę — odrzucił zuchwale, aż Narbutt poczerwieniał i syknął w alteracji:

— Snadź edukację brałeś ze trzodą, kiedyś grubjanin!

— Co kogo boli, o tem mówić wolil! — odciął kwestarz, pokornie schylając głowę, a podnosząc skarbonę.

Młodzież zaczęła się uśmiechać, Narbutt zaś, już do żywego dojęty, stuknął galką laski w jego tonsurę i rzekł wymuszenie:

— Próżno tu czego szukać, kiedy huczy, jak w pustej stodole.

— Fronti nulla fides! — szepnął skromnie. — Zresztą, bitemu milczeć przystoi, bo jak mój przeor powiada: „szkoda balsamu do kapusty, a różanego olejku na buty“.

Tu już gruchnął śmiech powszechny, że aż się brali za boki, z czego korzystając, Bernardyn przysunął się do Zaręby i, trzęsąc skarboną, szepnął:

— Kacper nie wrócił. Markietan czekał — i odszedł zwolna, potrząsając skarboną i nie bacząc na kpiny, ni nawet dość przykre szturchańce.

Zaręba, pomimo zaniepokojenia o losy Kacpra, wysłanego do spenetrowania Merecza na okoliczność wyprawy Kaczanowskiego, pozostał jeszcze pod kafenhauzem, przyglądając się nieskończonej defiladzie pojazdów, pora bowiem była przedwieczorna i wszystka socjeta wyjeżdżała za miasto zażywać chłodu i powietrza. Kłaniał się też co chwila znajomym: przejechał kasztelan z Izą i Terenią, Marcin zaś odprawował asystę przy drzwiczkach na ognistym kasztanie; jechała księżna Radziwiłłowa z p. Ożarowską, we cztery siwe araby, przystrojone na łbach w czerwone pióropusze; przejechały barwy królewskie, wiozące na Zamek p. Tyszkie-

wiczową; jechała hr. Camelli w wąskiej visavis'ie ze swoim bratem, Martinim i na ukłon Zareby odpowiedziała wielce czułym uśmiechem, aż Woyna westchnął zazdrośnie.

— Gdybyż tak pod moim adresem! Piękna djablica! A tamta chyba jeszcze groźniejszy! — dorzucił, pochylając się dwornie przed margrabianką Luhli, siedzącą w kanarkowo-czerwonym powozie w towarzystwie kawalera Litplage.

— Obiebył wydał pod pręgierz! — odburknął niecierpliwie.

— Nawet Infantczyk promenuje się dzisiaj — szepnął ktoś, ujrzawszy biskupa Kossakowskiego, jadącego z panią Zabięłową i chudym kapłanem.

— Jakżeż ci smakują jego służby? — rzucił ci chutko Woyna.

— Przydałbym go tamtym damom za socjusza, jeno nieco wyżej...

— Tak cię rozumiałem — powiedział, jakby uradowany jego tonem. — Pono chciał zelantom płacić po sto dukatów za poniesienie opozycji na dzień ratyfikacji traktatu z Rosją, prawdaż to?

— Prawda, jeno że nie zjurgieltował ani jednego. I bez nich ma większość!

— Albo ją kupi. Kiedyż ratyfikacja?

— Niby w sobotę, ale dopiero w poniedziałek może się dostać na turnus, a może się jeszcze uda przewlec, a może coś jeszcze przeszkodzi...

— Trumna gotowa i wieko zapaść musi, grabarze czekają — wskazał Cycjanowa, który stał w swo-

jem whisky, niby na triumfalnym rydwanie, powodując czwórką karoszków, obwieszonych brzękadłami; von Blum siedział przy nim.

Zapatrzyli się w sznur powozów, co, niby wąż migocący farbami, wyginał się w różne strony i sunął nieustannie — aż ćmiło się w oczach od przepychu strojów pięknych dam, pióropuszków, brylantowych trzęsień, liberji, zaprzęgów, złoceń i bezcennych koni, a pogodne twarze, wesołe spojrzenia, wybuchy śmiechów i niemilkące gwary rozmów nie dawały nawet pozorów, jako już nad wszystkimi pobrękują kajdany, jako to jeden z ostatnich dni wolności...

— Chwałaż ci, Fortuno! — zawołał naraz Woyna, kłaniając się uniżenie jakiemuś przejeżdżającemu personatowi o czerwonej, okrągłej twarzy i czarnych wąsiskach zawadjacko wykręconych. — Mój ojciec chrestny i opiekun! Anim się go spodział teraz w Grodnie. To wojewoda sieradzki, Walewski. Lecę, żeby mnie kto nie uprzedził w służbach, ale o twojej sprawie nie przepomnę.

Zareba poszedł na pocztę, spodziewając się tam znaleźć markietana, o którym szepnął ojciec Serafin, gdy przed Dominikanami napotkał Borysewicza. Majster był prosto od roboty, zachlapany wapnem i w fartuchu; zrobił znak wtajemniczonych i, skręciwszy do kościoła w boczną nawę, jął trwożnie szeptać:

— Mój dom pod strażą jegierskich kordonów: kto się zjawi, tego zaraz ciągną na Horodnicę. Biegam, żeby ostrzec naszych panów. Pana Krasnodębskiego nie puszczają ze stancji, za przeproszeniem, nawet dla

własnej potrzeby. Opowiadali na mieście, jak pana Łomżyńskiego wywieźli dzisiaj w nocy...

— Jeszcze nie, ale tak samo siedzi w domu pod strażą. Jakże się ma kapitan?

— Rano był u niego ksiądz Mejer z Panem Jezusem.

— Co się stało? — strwożył się ogromnie — onegdaj zdawał się być zdrowym...

— Nie jest mu gorzej i dzisiaj — uśmiechnął się przebiegle. — Ale skoro jegry obstawiły wszystkie okna i drzwi, pan kapitan, wystrachawszy się o jakieś ważne papiery, kazał mi wołać księdza, jako niby do ciężko chorego... Juści, ksiądz wyniósł pod komżą co było potrzeba, ze Świętymi Sakramentami szedł, to któżby go śmiał podejrzać! Pan Żukowski to fortelna głowa!

— Pozdrówciez go ode mnie — wyciągnął rękę, którą Borysewicz uściśnął bez unізoności, a z wielką atencją i rzekł tajemniczo:

— Jeszcze żdziebko postawszy pod kościołem.

Zaręba nie przywiązywał wagi do uwięzienia w domu Krasnodębskiego i innych patriotów, gdyż była to stała metoda Sieversa, że przed każdą ważniejszą sesją sejmową próbował terroryzować opozycjonistów, zmuszając ich więzieniem i groźbą Sybiru do głosowania z powolną sobie większością, wiernych ojczyźnie nie przełamał, ale popędzał do żarliwości powolnych sobie.

W długim dziedzińcu poczty, całe obstawionym szopami, a zapchanym wszelakim sprzężajem, ledwie odszukał markietana i pod pretekstem kupna furazów

dla koni kazał się prowadzić do śpichlerza i tam dopiero, przy targach i oględzinach owsa, dowiedział się, jako wielki transport kozuchów jest gotowy do wystania.

— Dwa tysiące sztuk, krótkie, akuratnie dla naszej kawalerji — szeptał markietan, wskazując oczyma kupę nakrytą zielonemi płachtami, od której biły srogie fetory skór baranich. — Pułkownik Jasiński przysłał je w sianie. Bieda, że dalej niesposób tak samo transportować, przywozić zaś zwyczajnie nieprzezpiecznie: mogą je aljanci zarekwirować dla siebie...

Zaręba, który w takich okolicznościach łatwo znajdował sposoby, zagadnął:

— Waść furazuje i armję Igelströma?

— Niedawniej tygodnia wystąłem dla niego trzysta korcy owsa.

— To jesteście w domu — zaśmiał się wesoło. — Trzeba mu pchnąć i kozuchy...

— Można się ważyć — wlot pojał fortel porucznikowski. — Papiery i eskortę da mi generał Dunin, tylko jak transport dojdzie naszych składów?

— Eskorcie poskręca się karki, a kozuchy przepadną. Niech szukają...

— Azard to niemały, a jeśli się nie poszczęści?

— Wiele bryk i pod jakim konwojem? — pytał, zbywając milczeniem jego wątpliwości.

— Dziesięć i tyłuż kozaków ze starszym: więcej się nie daje, boć trakt warszawski przezpieczny i w każdym mieście po drodze stacjonują ich huzary.

— Dwudziestu gemejnow, przebranych za koniu-

chów, da sobie z nimi radę, byle jeno mieli broń na podorędziu i sprawną komendę.

— Kacper byłby najsposobniejszy.

— Potrzebny mi tutaj. Dam jednego Warszawiaka: ultaj i obwieś, ale jedyny, gdzie trzeba otumanić i wywieść w pole. Przyślę go jeszcze dzisiaj. A waszmość winien się ubezpieczyć na każdą okoliczność: stawka niemała.

— Codzień azarduje się głowę. Może waszmość obejrzy konia, cudo prawdziwe—przemówił naraz głośno, zoczywszy jakichś ludzi — postawił go do przedania pan kapitan von Blum. — Krzyknął na swoich Tatarów, żeby konia prowadzili na okólnik.

— Pono zdobyczny pod Mirem — objaśniał tonem niedowierzania.

— Prędzej w cudzej stajni—odrzekł i, obejrzawszy konia, zresztą całę godnego, pojechał do domu, bo już był i wieczór zapadał.

Kacpra nie było jeszcze, Kaczanowski chrapał w swojej stancji, jakby po gorących dyskursach z flachami, a Staszek wyśpiewywał gdzieś w stajni podwórta Maciusiowej fujarki, aż się rozlegało.

Kapitan opierał się przeznaczeniu Staszka do prowadzenia transportu, ale chłopak, skoro się o tem dowiedział, rymnął mu do nóg i tak gorąco suplikował, że zgodzić się musiał, boć i Zaręba dał swoje racje.

— Żebyś szedł na czworakach i nosem się podpierał, a wszystko sprawię akuratnie, wedle rozkazu—szeptał, ledwie dysząc z radości. Zaraz też poleciał do

markietana i zjawił się dopiero, gdy już transport był gotowy do drogi.

Ledwie go poznał Zaręba, tak był przemieniony, stanął bowiem przed nim w ogromnym kożuchu, rozchełstanym na piersiach i w zgrzebnej koszuli; łapcie miał na nogach, baranią czapę w garści, minę gapia i cuchnął stajnią, aż wierciło w nozdrzach.

— Melduję pokornie: o świcie ruszamy—sprężył się bezwiednie.

— Jedźże z Bogiem — dał mu parę dukatów i szczegółową instrukcję.—A uważaj: dowiesz, czeka cię szarża; zaś pokpisz sprawę, kozacy cię powieszą.

— Proszę pana porucznika, rodzony syn mojego ojca wisi! nie będzie—zapewniał z zapalczywością.—Niech jeno ździebko pociągnę nosem warszawskich frykasów, a stawię się.

Bardzo czule pożegnał go Kaczanowski, bo trzasnął go w kark i krzyknął:

— A zbłaźnij się, to ci nakuję pyska, że cię rodzona matka nie pozna nawet na sądzie ostatecznym.—I wyszedł srodze nabzdyczony, nie omieszkując jednak wetknąć mu w garść paru złotych, aż Staszek zapłakał rzewliwie, wyznając się w sieniach Maciusiowi.

— Psia twarz, taka mnie tęskność rozbiera za Warszawą, że chyba na rogatce pierwszemu lepszemu żydowinowi pejsy obtargam z radości.

— Pachną ci warszawskie kiecki — zachichotał Maciusowy bas.

— Głupiś, pachnie mi, ale matusina łaska.

Zaręba nie słyszał więcej, bo i w nim wzbudziła

się naraz tęsknota za matką, która tam napróżno oczekiwała jego powrotu. Serce mu nabrzmiwało tkliwością wspomnień rodzinnych i rozrzewnieniem, więc, żeby się im nie pozwolić opanować, rozprawił się z Maciusiem, awansując go z forysia na przybocznego ordynansa, na czas nieobecności Kacpra. Parob stanął w ponsach, a puciołowata, ogromna twarz zaświeciła mu radością; rozrosły był jak dąb, chociaż jego niebieskie, lniane oczy miały dziecienną słodycz i naiwność; ponad wszystko kochał swoje konie, potem swojego pana i żołnierkę, w bitwach stawał tak zajadle, że jak wypadła okoliczność, to pazurami dusił wrogów; mocny też był, jak niedźwiedź, harmatę mógł ruszyć z miejsca i konia podnosił na barach, ale przy tem wszystkim nierzadko brał kije za rozpustę, pijaństwo i nie-subordynację. Zaręba dostał go wraz z Kacprem od ojca, jeszcze od kadetów i kochał obu prawie, jak braci.

— Wedle rozkazu pana porucznika — odrzekł po chwili, dobrze ułożywszy sobie w głowie, co usłyszał — to konie po mnie weźmie Pietrek? — spytał trwożliwie.

— Juści, ale miej oko na stajnię, nie chłaj i nie zadawaj się z bele kim, rozumiesz?

— Wedle rozkazu — aż mu gnaty trzeszczały, tak się sprężył — zaś bułanków Pietrkowi nie ustąpię — wykrztusił zdeterminowany na wszystko.

— Na lewo zwrot, marsz! — skomenderował zniecierpliwiony, zabierając się do wyjścia.

Maciūs jednak za wygraną nie dał, bo w sieniach zaparł mu drogę, za nogi ułapił i, całując po kolanach, skomlał płacziwie:

— Melduję pokornie, jako tej trąbie Pietrkowi za wołami chodzić, a nie kumać się z ogierami. Już kamieniem doma siedział będę, gorzałki nawet nie powącham, ale i koni nie oddam. Laboga, zmarnują się sieryoty przeze mnie, zmarnują.

— Rzekłem. Odstąp! — zawołał groźnie i poszedł do ojca Serafina, by go wyprawić na poszukiwanie Kacpra. Zasię potem przemykał się zaułkami na kwatery delegatów, jacy się byli zjeżdżali ze wszystkiej Rzeczypospolitej; miało ich się zebrać od wojska i województw kilkunastu. Ściągali do Grodna pod przerwieniami pretekstami a przebraniami, byle nie zwrócić na siebie uwagi szpiegunów. Zwłaszcza, że ostatnie dni były przesyczone dziwnie gorączkową atmosferą niepokojących podejrzeń, złowrogich pogłosek i trwożnych wyczekiwań, niepokój przytem budziły coraz większe masy wojsk aljanckich, zalewające Grodno, coraz częstsze aresztowania posłów i szepty o tajnie nocami wywożonych na Sybir. Zasię odgłosy obrad sejmowych jakby dolewały jeszcze oliwy do ognia, sesje bowiem bywały coraz burzliwsze, przeciągały się nad miarę, gdyż Buchholtz słał ciągle noty do Najjaśniejszych Stanów, trzymane w takim extraordinaryjnym i obraźliwym tonie, że jątrzyły nawet najpowolniejszych konfidentów Sieversa i zapalały nienawiść w całej powszechności. Na taką zuchwałość, patrjoci każdego dnia i w słowach najczulszych zaklinali sejmujące Stany, aby zupełnie nie traktować z królem pruskim, piętnując jego zbójckie praktyki, jego przeniewierstwa i podłe zdrady. I nie policzyć tych wierszyków, gazetek pisanych, paszkwilów

i pism, przesycanych nienawiścią do niego, jakie kursowały wśród publiczności. Już nie pytano, jak czasu bywszego sejm: z Fryderykiem czy z Katarzyną? Powszechność bowiem gotowa była do sojuszu nawet ze wściekłym psem, byle się jeno przyczynił do wygniecia plugawego prusactwa. A już sprawa zagarniętej przez Prusy Częstochowy rozniecała burzliwe manifestacje nienawiści; szlachta, trzaskając w szable, przysięgała zginać raczej, niżli pozwolić profanacji świętego miejsca.

Takie okoliczności snadź szły na rękę Sieversowym zamysłom, bo często jeno figurowanie, ale częściej sub secreto, podsycać opór przeciwko uroszczeniom pruskim, dając obłudnie rozumieć, jako tylko do pory sposobnej toleruje się ich piekielne machinacje, a jakby na przekonanie o swojej szczerości, bardzo wstrzymieźliwie forytował na sejmie Buchholtzowe noty, więc tem skwapliwiej ślubowano wierność Wspaniałomyślnej Aljantce i tem szczerzej dufano w gwarancje.

VIII.

A tymczasem nadszedł pamiętny dzień 17 sierpnia.

Dzień wstał był jasny, słoneczny i obficie oroszony, ale wkrótce po wschodzie podniósł się suchy wiatr i tak żarliwie zamiatał ulice, że miasto utonęło w duszących tumanach pyłów; nie przeszkadzało to fakcjonistom, bo już od wczesnego ranka zapanował pomiędzy nimi gorączkowy ruch; jęli się uwijać Sieversowi konfidenti, objeżdżając poselskie kwatery. Jeździł Marszałek Bieliński, jeździł Miączyński, jeździł Łoborzewski, jeździł biskup Massalski, jeździli różni dygnitarze, zwłaszcza litewscy. Latały gońce z listami, galopowali konni, snuły się różnobarwne liberje, widniały nawet królewskie barwy, roznoszące pisma pod pieczęciami kancelarii sejmowej. Zaś u Ankwicza, jakby w hetmańskiej kwaterze przed bitwą, odbywały się nieustające narady i próbne liczenie głosów; formowano tabelę pewnych, dawano dyspozycje, rozdzielano role i układano plany działania na każdą okoliczność walki z opozycjonistami.

Sesja była solwowana na czwartą z południa, lecz jeszcze o drugiej, nie mając absolutnej pewności wygranej, posłano Boscampa i Nowakowskiego, aby tym, którzy się chwiali, lub ulegli nagłym skrupułom

sumienia, lub chcieli się drożej sprzedać — przemówili, tu brzękiem złota, tam obietnicą królewskich faworów, indziej grozą ambasadorskich gniewów, albo i politycznemi racjami. Na opozycję, zwłaszcza do znaczniejszych person, wypuszczono kasztelana, który w miarę okoliczności przyodziwał się w senatorską powagę, to w rubasność brata łąty, to w rozum męża in statu i głębokie maximy, próbując tem kusić a przyniewalać. Sporo zelantów deklarowało się przejść do większości, nie widząc możności dalszego oporu, więc, uradowany powodzeniem, zajechał i do Skarżyńskiego-Łomżyńskiego. Krzywousty przyjął go chłodno, cierpliwie wysłuchując kwiecistej oracji o błogościach, jakie spłyną na kraj z ratyfikacji traktatu z Rosją, lecz wkońcu, znużony brzękliwością jego głosu, wyrzekł godnie:

— Co powinienem ojczyźnie, wiem i będę głosił zgodnie z sumieniem.

Wtedy kasztelan, wynosząc jego rozum i patriotyzm, jał napomykać o jakiejś wakującej kasztelanji, którąby król rad ferował tak zasłużonemu obywatelowi.

— Każdy stołek znaczy mi tyleż, co i senatorskie krzesło — zakończył rozmowę.

Rozeszli się prawie wrogo, niezrażony jednak kasztelan pojechał próbować szczęścia jeszcze u Krasnodębskiego. Lecz i ten nie okazał się powolniejszym, bo, wysłuchawszy jego uwodzących racyj, doprowadził go do okna i, wskazując grenadjera, wartującego pod domem, wyrzwał prosto z mostu:

— Pilno panu kasztelanowi zostać jego parobkiem, mnie zaś cale się nie śpieszy.

Na takie dictum kasztelan wyniósł się, aż przysapując z alteracji, ale spotkawszy w sieni Zarebę, wychodzącego od Żukowskiego, rozjaśnił oblicze.

— Odwiedzałem chorego towarzysza — objaśnił krótko. — Czy wuj prosto na sejm?

— Muszę jeszcze wstąpić do domu, siadaj ze mną — warknął i dopiero w powozie puścił wodze żalom i ran korom przytąjonym, czyniąc zelantów sprawcami nieomal wszystkich klęsk publicznych. — Na szczęście — zakonkludował przy wysiadaniu — jako większość po stronie patriotów i ludzi miarkowanych rozumem opinii, która nie pozwoli się zmajoryzować demagogom i pyskaczom sejmikowym.

— Tem ci fortunniej dla ojczyzny! — bąknął Zareba, idąc za nim.

— Zajrzyj do kobiet, dam tylko dyspozycje Kłotzemu i zaraz jedziemy.

W sali nieliczna, ale wybrana socjeta dam, z szambelanową na czele, obsiadła zwartym kręgiem jakiegoś francuskiego fircyka, który, demonstrując kukły, przystrojone wedle ostatniej mody, przywiezione prosto z Paryża, prawił nieustannie i zarazem wyciągał z pudeł coraz nowe stroiki, wstęgi, świecidła, jakby z pajęczyn utkane szale, kapelusze i wszystko to rzucał na wyciągnięte łakomie ręce pań a gdy się już nieco nasyciły, zasypał je niespodzianie jakby ulewą jedwabnych eternełów, damisów, barakanów, szarszedronów, pik, kamlotów, dym i atlasów — stożąc przed ich olśnionemi oczami jako chmury mieniające się wszystkimi farbami tęczy.

Damy oniemiały wobec takich cudów i, nurzając

lubieżnie ręce w jedwabiach i napawając się ich chręstem, barwą i miękkością, pokazywały się być wniebowzięte z rozkoszy. Zaś francuski handlarz, jako mistrz prawdziwy, nie pozwolił im ochłonać, bo w jakiejś upatrzonej chwili błysnął przed nimi sepetem, wypełnionym po wręby klejnotami. Podniósł się szmer modlitewnych uwielbień. — Charmant! — wołała jedna z oczami pełnemi łez. — Magnifique! — Ikała jakaś dusza wstępująca do rajów. — Délicieux! — płynęło ekstatyczne westchnienie. — Inouï! — śpiewały mdlejące głosy upojeni.

— Madame la princesse, s'il vous plaît — zaszczebiotał kupczyk i z małpią zręcznością przystroił którąś w sznury pereł.

— Madame la comtesse, s'il vous plaît — i drugą przyozdobił w szmaragdy.

— Madame la baronne, s'il vous plaît — diamenty innej wpiął we włosy.

— Madame la marquise, s'il vous plaît — pierścionkami zdobił piękne paluszki.

Skakał przytem, niby pajac, kłaniał się, uśmiechał, rozpytywał w zachwytach nad każdą zosobną, podawał zwierciadło i coraz nowe klejnoty.

— Prawdziwy sabat próżności! — drwił, zanosząc się śmiechem szambelan, siedzący pod oknem z Kubusiem przy boku, gdy Zaręba podszedł do niego.

— Każdy się modli do swojego boga — odparł, kierując się do kasztelanowej, jak zawsze przerażająco bladej, niby luna spowinięta w krepy, która siedziała na stronie z błędnym uśmiechem na ustach.

— Prosiłam Kapostasa i postawił ci horoskop — szepnęła, przytrzymując mu rękę.

— Wyszło, że zginę na wojnie, albo dożyję lat sędziwych — żartował.

— Nie — zawahała się chwilę — czekają cię pono długie wojaże...

— Może to znaczyć: po Sybirze! — wzdrygnął się — zobaczmy, co to warte jego profetowania — odpowiedział i wyszedł, gdyż kasztelan przysłał po niego.

Pojechali już prosto na sejm.

Plac podzamkowy był zapchany wojskami; grenadierzy Cycjanowa obstawili gęstemi kordonami wyłoty ulic, fosa, most, Niemnowe brzegi, a nawet i dziedzińiec zamkowy, harmaty rychtowały swoje paszcze śpiżowe na Sejm i miasto.

Generał Rautenfeld, ten ci sam, który miesiąc temu siedział w pełnem uzbrojeniu na sesji sejmowej obok tronu i bagnetami wymusił uchwalenie traktatu z Rosją, dzisiaj również trzymał komendę i, stojąc w wejściowym kruzganku w otoczeniu oficerów, jakby czynił honory domu, witając nadjeżdżających postów.

W ogromnej sieni sejmowej panował już niemały ruch i przytłumiony gwar; izba poselska zgromadziła się prawie w komplecie, czekano tylko na marszałka i wielkiego kanclerza: serjarz materyj, mających iść dzisiaj ad turnum, krążył z rąk do rąk. Fakcioniści jednak pomimo rozstrzygającej większości, jaką stanowili, poruszali się jakoś niespokojnie: jakieś karteluski chodziły pomiędzy nimi, jakieś słowa podawali sobie do ucha; krzyżowały się porozumiewawcze spojrzenia, uści-

ski rąk i tajemnicze szeptania. Łobarzewski, że dzień był upalny i dziwnie suchy, ochładzał się piwem przy stole, gdzie podawano zimne dania, i, jako widomy wódz tej falangi, co chwila wydawał jakieś zlecenia, sprawdzał tabelę obecnych i słał hajdaków do zapóźnionych.

Drzwi do izby sejmowej i kancelarii trzaskały nieustannie, wciąż tam ktoś szedł i wychodził: niekiedy liberja królewska wyszukiwała kogoś, to zjawiał się Friese lub ksiądz Ghigiotti, a poszeptawszy z tym i owym, znikał za drzwiami, prowadzącymi na królewskie pokoje, chwilami zaś napływała z galerij sejmowych burzliwa fala głosów i tupotań, gdyż była zapelnioną do ostatniego miejsca, pomimo kordonów i wstrętów, czynionych arbitrom.

Jakby huragan uderzał raz po raz w mury i prze-walał się po sieniach, aż nagle milknęły szepty i rozbłyskiwały trwożne spojrzenia. Napróżno biegał tam Roch, starszy nad służbą zamkową, i przyciszali marszałkowscy pacholankowie: galerje coraz częściej dawały znać o sobie wrzaskiem niecierpliwych wyczekiwań, jakie zresztą i dla wszystkich stawały się już niemałą udręką. Nawet Mirowscy, trzymający strażę wewnątrz gmachów, ale z karabinami bez bagnatów i ostrych nabo-jów, nie mogli ustać spokojnie, dawał bowiem się słyszeć ustawiczny dygot kolb, cicho szczękających o posadzki.

Jedni tylko zelanci okazywali spokojne twarze — spokój to jednak był udany, gdyż dręczyła ich straszna troska o ten bój, jaki mieli rozpocząć za chwilę, a pewność klęski przejmowała ich rozpaczą niewysłowioną. Ale cokolwiek mogło wypaść, stawali z powinnem mę-

stwem i stoicką determinacją. Kimbar dumnie i wyzywająco toczył orlemi oczyma; Skarzyński stał zagłębiany w rozważaniach; Mikorski coś pilnie konotował; Krasno-dębski, nie wypuszczając z ust lulki, otaczał się kłę-bami dymów; Szydłowski zaś, Ciemniowski, Karski, Zieliński, Gosławski, Plichta i reszta pokazywali nie-przeniknione oblicza i wyniosłą obojętność.

Było też i nieco sprzysiężonych: Działyński, wysoki, smukły, o bladej, ascetycznej twarzy, przybrany w czarny, jakby żałobny kontusz, patrzył w dziedziniec na poły-skujące bagnety grenadjerów; Jasiński równym, mierzonym krokiem chodził tam i zpowrotem; Kaczanowski popijał z Łobarzewskim, jakby w serdecznej komitywie; Zaręba siedział w jakimś kącie z Żukowskim, który, podobien do Piotrowina, ciągnął oczy swoją bledością i płonąciami oczyma. Było też sporo znacznych person, przychodzących na sejm, jakby na ucieszne teatrum, próżniaków, węszących za nowinkami. Znalazł się i Woyna, co niepomrotnie zdziwiło Zarębę, ale w tej chwili śród warkotania tarabanów i prezentowania broni weszli dygnitarze, wyczekiwani z taką niecierpliwością.

Zaręba, wcisnąwszy się na galerję, znalazł miejsce przy podkomorzynie.

— Czuję, jako dzisiaj muszą być burdy — szepnęła. — Boże, chyba się roztopie! — zajęczała, ledwie już dysząc z gorąca i przybielając twarz pokrytą brzdami potu. Murzynek wachlował ją nieustannie, niewiele to jednak pomagało, gdyż upał był wprost nie do wytrzymania. Słońce, pomimo iż dochodziła piąta, lało przez okna pożogą światła i żarów; sala przemieniła

się jakoby w piec ognisty pełen rozdrzanych i duszących płomieni, brakowało już powietrza do oddychania, i w tym skwarze i straszliwym tłoku, jaki panował, co chwila rozlegały się wrzaski tratowanych i kłótnie o miejsca. Parę omdlałych dam wyniesiono przy wtórze drwin pospólstwa, które, rozdrażnione spiekotą i długiem wyczekiwaniem, dawało sobie folę w każdej okoliczności, to witając rzeszemi aplauzami znaczniejszych zelahtów, to groźnym pomrukiem i przewiskami znienawidzonych socjuszów Sieversowych.

— Ktoś instyguje to ultajstwo, bo zbytnio sobie pozwala — mruknęła podkomorzyna.

Właśnie senatorowie zajmowali swoje miejsca przed tronem, gdy naraz jakby zagrała trąba szczwaczy, puszczających sfornię, potem zaś chlusnęły krótkie, głucho naszczekiwanie ogarów, zajażdże skowity doganiania i buchnął rozdzierający ryk zagryzanego zwierza—a tak udatnie, że szalony śmiech zapłacił jakiemuś trefnisiowi.

Przycichło jednak momentalnie, gdy posłowie powstali z ław na wejście Króla Jegomości, w zwykłej asyście kadetów. Król zasiadł na tronie, ale był dzisiaj bardzo zbiedzony i jakiś osowiały, oczy miał wpadnięte, cierpkawy uśmiech i często podnosił do nosa złotą balsaminę z pachnidłami.

Marszałek, uderzwszy trzykrotnie laską na znak rozpoczynania, pierwszym słowem zaprosił arbitrów na ustęp, nikt się jednak nawet nie poruszył z miejsca, więc zasię natychmiast wkroczyli grenadierzy i wśród piekielnych wrzasków i złorzeczeń wymietli galerję na-

stawionemi bagnietami. Pozostało tylko paru aljanckich oficerów, przebranych po cywilnemu, i służba.

Posiedzenie odrazu wzięło obrót wielce burzliwy z przyczyny marszałka, który na zakończenie zagajenia powiedział: że „ustawa, przeciwna systematowi Europy, przywiodła Rzeczpospolitą do zguby, a sama tylko wielkość i wspaniałomyślność Katarzyny dźwignąć ją może“.

Zerwały się namiętne protestacje przeciwko takiej konkluzji, on zaś, jakby tego nie słysząc, zalecał stanom ratyfikację, a sekretarzowi odczytanie traktatu.

— Prosimy o głos! — zawołali wraz Skarzyński, Mikorski, Krasnodębski, Szydłowski.

— Wprzódby winien być przeczytany traktat — zdecydował, podając go sekretarzowi.

Jeziorkowski powstał, lecz nim zdążył podnieść papier do oczu, skoczyli zelanci, usiłując mu go wyrwać. Podhorski z przyjaciółmi runęli w pomoc oprymowanemu, rozpoczęła się szarpanina — cała izba porwała się z miejsc.

— Czytaj waszmość! Czytaj—huczała większość, trzaskając pięściami w pulpity.

— Nie waż się, zabraniamy! — krzyczeli opozycjoniści, Jeziorkowski zaś, targany na wszystkie strony, coś bełkotał, zgłuszony powszechną wrzawą i rumorem.

Wreszcie Podhorski wyrwał go zelantom i już wprowadzał pod straż socjuszów, gdy Karski z Krasnodębskim odbili go, nie dając nikomu przystępu na swoją stronę.

Powstał straszliwy tumult, buchnęły gniewy, wszyscy krzyczeli jak opętani, że marszałek darmo bił laską, wzywając do spokoju i powrotu na miejsca, lecz więk-

szość wciąż dopominała się czytania, zelanci zaś, nie dopuszczając do tego, niestrudzenie żądali głosu dla siebie. Marszałek jednak nie zezwalał, czem rozwścieczony Gosławski krzyknął do niego, aż zadzwoniły szkliska pajaków:

— Komuś w. p. przysięgał, ojczyźnie czy Sieversowi, że nie dajesz głosu?

Tyszkiewicz, spojrzawszy groźnie w okienko nad tronem, zwrócił się do sekretarza:

— Czytajże waszmość, czekamy.

Jakoś Jeziorkowski, oswobodziwszy się z niewoli, wystąpił na środek izby i pod osłoną przyjaciół zaczął odczytywać traktat, pomimo nieustającej ani na chwilę wrzawy, zaciekle podtrzymywanej przez zelantów. Krzyczeli bowiem ze wszystkiej mocy, waląc przytem w ławy czem popadło i raz po raz próbując wyrwać papier z jego rąk, zwłaszcza Krasnodębski ryczał niby tur rozjuszony i, gdyby nie mitygowania, byłby się wziął do szabli.

Król przerażony i napół omdlały przysłał z błaganiem zaprzestania opozycji.

— Niech solwuje posiedzenie, to zaniechamy do następnego! — rzucił ktoś urągliwie, boć pragnęli chociaż odwlec ratyfikację traktatu rozbiorowego, w nadziei, że może jeszcze jakie przyjazne okoliczności pozwolą zerwać nakładane kajdany, więc burza wybuchnęła ze zdwojoną siłą rozpaczy, aż kartunowa zasłona w okienku nad tronem poruszyła się gwałtownie i mignęła z poza niej posiniała z gniewu twarz ambasadora, zasię we drzwiach ukazał się Rautenfeld, a za nim groźnie ściżbione bagnety grenadierów.

Nie ulękli się tego wolni i wolności broniący obywatele, nie ustąpili, ale pomimo ich nadludzkich wysiłków i chociaż nikt nie dosłyszał ani słowa, sekretarz zdołał odczytać projekt do końca i siadł na swoim miejscu. Wtedy Zieliński zagrzmiął ogromnym głosem:

— Projekt taki może być tylko dziełem zdrajcy, a i ten, który zabiegał o jego odczytanie, także jest zdrajcą.

Porwał się na to Ankwicz i, podbiegłszy do marszałka, krzyknął wzburzony:

— Sądu dopraszam się na siebie i pod łaską staję. — On to wnosil o czytanie.

— I my żądamy sądu na siebie, i my stajemy pod łaską! — zerwały się gwałtowne głosy i wszystka opozycja ruszyła do marszałkowskiego stołu. Ledwie Tyszkiewicz załagodził ten spór burzliwy, zaczęł jął w czułym przemówieniu zalecać spokój i uleganie koniecznościom. Król również perswadował daremność oporów i wyznawał się ławo, jako przystąpił do Konfederacji Targowickiej tylko w imię gwarancji całości Rzeczypospolitej, „na fundamencie deklaracji imperatorowej, iż kraj nie będzie rozebrany—ale omylony zostałem“, więc nie zostaje, jak tylko pogodzić się z losem. A biskup Kossakowski wykrętnemi słowy dowodził, jako ten aljans przyczyni tylko szczęścia skołatanej ojczyźnie a pomyślności obywatelom. Miody, zdało się, płynęły z ust mówców, serdeczna jeno troska o powszechną szczęśliwość, górne maximy o powinnościach cnotliwych — że ławy większości zagrzmiwały aplauzami głębokiej kontentacji, lecz opozycja pozostała niewzruszona i Mikorski wołał:

— Wolę raczej polec na trupie ojczyzny, niżli żyć w wyrodka postaci. Niech ci, co są przyuczeni — patrzył groźnie na jurgieltników — weksłować honor i sławę na zysk osobisty, korzystają z tego szkaradnego przemysłu, ja obieram umierać cnotliwie i przeciwko traktatowi protestuję.

A Kimbar dorzucił jadownicę:

— Nacóż wam ratyfikacja, traktaty? Niepotrzebne to zgoła. Dostyć jest zapytać ambasadora, co wam rozkaże! Gwałt zaczął i gwałt dokończy...

W czasie tych przemówień, większość uformowała propozycję złożoną do łaski, a którą marszałek skwapliwie odczytał sejmującym stanom.

„Czyli projekt ratyfikacji Traktatu z Rosją może iść ad turnum, lub nie?”

Nowy huragan zatrzęsł sejmem, zelanci bowiem opierali się propozycji ze wszystkiej mocy, zabierając głos jeden po drugim — każdy zaś całą głębią serca i rozumu zaklinał i błagał zaślepionych o litość nad ojczyzną; każdy wystawiał przed ich nieczułe oczy niedolę matki, obnażał jej rany, i zmiłowania zebrał nad konającą w hańbie i opuszczeniu; każdy nad wydaną na łup dziekiego najeźdźcy płakał krwawemi łzami. Ale nie przebudziły się serca i sumienia, zakamieniałe w nikczemnościach i podłym strachu, propozycja została przyjęta ogromną większością głosów.

Zaraz potem ogłoszono przerwę, gdyż wszyscy byli znużeni i rozgorączkowani.

Zaręba wyszedł do sieni, jakby z krzyża zdjęty, taki był blady i rozboleły.

— Wszystko zawotują — szepnął do Żukowskiego, siedzącego na tem samem miejscu.

— Póki tchu w naszych piersiach, póty nadziei! — odparł głośno, aż ten i ów, ćwiczący przy zastawionym stole smakowite antypasty, obejrzał się ciekawie.

Zasię po przerwie Zaręba nie kwapił się już do sali sejmowej, pozostał w sieniach, gdzie sporo różnych person tak samo ze drżeniem serca wyczekiwało rezultatów turnowania. Wszyscy byli miotani jednaką trwogą i w ponurem milczeniu nadśłuchiwali odgłosów, nadpływających z izby. A burza znowu srożyła się tam niemała, gdyż zelanci starali się na wszystkie sposoby nie dopuścić do głosowania i przewlec posiedzenie w tej nadziei, że król musi je solwować. Występowali więc coraz zajadlej i słowa jak uderzenia toporów i jak policzki spadały nieustannie na zaprzędaną większość, budząc gwałtowne protestacje i długie replikowania.

Niekiedy, skoro przymknęły się drzwi, wiodące do izby, w sieniach zalegało głucho milczenie, że jeno z dziedzińca szły odgłosy mierzonych kroków straży i świszczące mioty wichrów, krzyczących jakby przeciągłym jękiem milionów zaprzędanym, właśnie jakby ich rozetkanym szlochom rozpaczy i żałośliwych wołań pomocy.

— Djabie wesele, czy co? — zaklął Kaczanowski, zrywając się od pełnej szklenicy, kiedy wichur znowu uderzył zamiecią, od której zadygotały ściany i gasty światła. Wyjrzał na krużganek; noc była mętna i upalna, przez rozgwiażdżone niebo leciały białawe strzępy chmur; z fos zamkowych grały usypiające nukania żab, powie-

trze pachniało lipami, na grenadjerskich biwakach buchały kędzierzawe ogniska.

Jakże leniwo i ciężko wlokły się nieskończone godziny oczekiwań, jakimże dreszczem trwogi przejmował serca każdy dźwięk zegarów! A kiedy zaś przyszła północ, rozgłaszana trąbami straży zamkowych, zdało się, jakby stado piekielnych zmor napęliło sienie, i wybijały ostatnie chwile żywota; zabobonny lęk ogarnął niektórych, żegnali się skwapliwie, ktoś pacierz zaszeptał gorący na intencję ojczyzny konającej w tej godzinie, inni zaś pozrywali się z miejsc...

Ale posiedzenie trwało wciąż i trwała beznadziejna walka tej garści, co, niby załoga tonącego korabia, jeszcze opierała się rozszalałym szturmom fal i wszelakich potęg i ciemności; szli na dno, śmierć już powiewała nad nimi zwycięską chorągwią, głosy ich ginęły w rykach żywiołów, męstwo było daremne, ratunek niepodobny — ale walczyli do ostatniego tchu.

W izbie panował chaos, tumulty i szamotania; kłębówisko namiętności, rozjuszonych oporem, skowyczało wściekłością. Co chwila wybuchały particularne animozje i prawdziwe huragany wzajemnych rankorów i złorzeczeń, bowiem jakby szal ogarnął większość, tak namiętnie parli do zguby, gorączka ich trawiła, sumienie zaczynało kąsać, przepalał wstyd publicznie zarzucanych zdrad, więc byle rychlej dojść głosowania, byle rychlej stoczyć się w dół hańby i zbrodni, byle rychlej, boć przytem i ambasador mógł się już zniecierpliwic przewlekłością deliberacyj, błyskały niekiedy jego niezadowolone spojrzenia i wzgardliwe uśmiechy, smagające

niby biczami. Przyczał się bowiem w tem oknie nad tronem, jak pajak w pośrodku sieci mądrze zaciągniętej, cierpliwie wyczekując niechybnego łupu.

Z kuchni królewskiej znoszono mu buljony i chłodniki dla skrzepienia nadwątlonych sił, a królewskie siostry przychodziły umilać jego samotność i nużące godziny wyczekiwań, lecz, prowadząc galantuomne rozmowy, nie tracił ani wyrazu z mów opozycjonistów, rozsyłał ołówkiem pisane kartelusze z radami do króla, pouczał marszałka w materji surowszego trzymania się regulaminów, budził żarliwość Kossakowskiego, konfidentom dawał nawet konspekty replikowań, polecał wyganiać arbitrow, wciskających się ustawicznie na galerje i nie-strudzenie czuwał nad wszystkim. Rautenfeld często zazierał pytać: zali już nie pora przemówić bagnetami? Nakazywał cierpliwą wyrozumiałość, żaląc się przed damami na zaślepienie opozycyjnych szaleńców! Wszak co tylko poczynął, miało jedynie na względzie pomyślność tych lekkomyślnych Polaków, których obiecywał uszczęśliwić nawet naprzekór im samym. Więc gdy Ankiewicz w jednej z mów powiedział: „bo dawne gwałty na osobach zmieniły się potem w gwałty, przeciw całemu krajowi wymierzone“ — posłał mu naganę za demagogiczne zwroty i rzekł zjadliwie:

— Hrabia skarbi sobie łaski zelantów na wszelką okoliczność.

Królewskie siostry nie znajdowały słów dosyć wielbiących jego ludzkość i szlachetność, więc im zato szeptał gorące pochwały brata, pokazując w nim wzniosły obraz monarchy, poświęconego tylko ciężkim obowiąz-

kom uszczęśliwiania swoich poddanych. Roztkliwiał się do łez nad jego zmęczeniem, ale się nie zgodził na solwowanie sesji do poniedziałku i zapowiedział, że nikogo nie wypuści z sejmu, dopóki nie uchwalą ratyfikacji. A kiedy mu zameldowali, jako już wszyscy upadali ze znużenia i wielu posłów zasypia, rzekł:

— Jeśli będą jeszcze dłużej przeciągali, to ich kąkę orzeźwić! — I polecił harmaty trzymać w pogotowiu, a dokoła Izby postawić zdwojone kordony.

Już druga dochodziła po północy, a posiedzenie jeszcze się ciągnęło, gdyż zelanci zgola nadludzkimi siłami starali się je wciąż przewlekać.

Zmieniono już świece w pajakach, wielu posłów drzemało w cieniach galerji, nawet służba wypreżona przy drzwiach zasypiała ze znużenia. Król co chwila trzeźwił się solami, a w krótkich przerwach walił się jak martwy w swoim gabinecie i leżał bez sił i pamięci; ale na dźwięk marszałkowskiego dzwonka zrywał się i, przyobłókszy twarz w dostojność, powracał spiesźnie do izby, bo czuwały nad nim władcze oczy, w korytarzach migotały bagnety grenadierów i Rautenfeld krążył dokoła w coraz niecierpliwszym usposobieniu.

Więc Stanisław August zabierał miejsce na krześle tronowem i dalej asystował rozprawom. Siedział jakby pod pręgierzem, wystawiony na tysiączne docinki zelantów, pod gradem ich spojrzeń wzgardliwych i uśmiechów nienawiści — siedział, rozumiejąc straszliwą wagę dnia dzisiejszego i rozbolały niedolą ojczyzny, a pierwszy chyłący kark pod jarzmo, z nikczemnej słabości, niezdolny ni do walki, ni do oporu, ni do życia, ni do śmierci.

Na ruinie Rzeczypospolitej wznosił się jego tron, panujący jeno hańbie, jeno zdradom, nieszczęściom i łzom zaprzędanym — on zaś tylko jednym turbował się naprawdę serdecznie: czy potencie rozbiorowe w nagrodę jego powolności splecą mu długi i zapewnią wygodny ostatek żywota?

Z dręczącą ciekawością przyglądał się jego obliczu Zaręba, lecz, nie mogąc z niego odcyfrować człowieka, ni króla, szedł błakać się po korytarzach, wchodził na galerję i znowu powracał do sieni, pod drzwi izby, z której nieustannie buchały wrzawy, ale nigdzie nie mógł długo wytrzymać, ziemia paliła mu się pod stopami, miotaty nim rozpacz i niepokój, że przysunął się do Działyńskiego, lecz, tknięty świdrującymi oczyma przechodzącego Boscampa, stanął przy Żukowskim. Kapitan był również zgorączkowany i mrukiwie odpowiadał. Jasiński coś szeptał z podkomorzyną, Kaczanowski pił, kilku zaś sprzysiężonych zamknęło się w komorze hauptwachu z Marcinem Zakrzewskim, który był dopiero od północy objął służbę, peregrynował więc dalej samotnie, gdy przysunął się Woyna i zaszeptał:

— Iwanow rusza we wtorek na wieczór, prowadzi partję zwerbowanych gemejnow, cyfry konwoju nie wiem, odprowadzają go przyjaciele do Merecza.

— Ważne mi powiadasz rzeczy! — znikło rozdrażnienie i niepokój, sprężył się jakby do skoku i snadź już wiedział, co począć, bo rzekł: — Nie jedź z nimi...

— Tylem przegrał do niego, że niech go już moje oczy więcej nie zobaczą.

Zaręba poszedł z tem zaraz do Kaczanowskiego, który, uśmiechnawszy się radośnie, przeglądał kieliszek pod światło i zaszeptał:

— Dobra nasza. Jaż miałbym opuścić przyjaciela? Nigdy, pojedę z nim!

Rumor naraz powstał, zaczęli się cisnąć do izby, rozpoczęło się wotowanie.

Cała izba powstała, zaległo głucho milczenie, każdy z postów składał swój głos do urny, stojącej przed marszałkiem, i powracał na miejsce — ciągnęli dziwnie lekliwie i ze spojrzzeniami morderców, kroki ich huczały, niby młoty bijące ostatnie gwoździe do trumny, grób już czekał, a składane wota padały, jak przygarście piachu. Król stał w majestatycznie rozbolątej pozycji, w asyście biskupów i senatorów: wszak pogrzeb był nielada, choć nieme egzekwje.

W oknie nad pustym tronem bieleła się głowa spadkobiercy.

— Boże miłosierdzia, Boże! — załkał jakiś głos i zniknął w złowrogiej cichości.

Mikorski, z twarzą ukrytą w dłoniach, płakał, po surowem, przemęczonem obliczu Skarzyńskiego toczyły się łzy, złobiące bruzdy wiecznej męki, reszta zelantów patrzyła na ten korowód grabarzy oczami szaleństwa. Słysząc było kołatanie ich serc, krzyk rozpaczony targał im wewnątrz, dygotali febrycznie, spalone gorączką usta zebrali o cud zmiłowania, choćby o łaskę nagłej śmierci.

Rozpoczęło się obliczanie wotów.

Świece już dopalały się w pajakach i gasty jedne po drugie; przez szyby sączył się błędy świt i pierw-

sze ćwierkania ptaków; wybiła trzecia i minuty stały się męką i powolnem zamieraniem, mdlejące oczy czeptały się skryptorów, obliczających głosy, aż wreszcie marszałek poruszył się i przeczytał:

— Affirmative 66. Negative 21. Ratyfikacja traktatu z Rosją przyjęta!

— Wszystko skończone — buchnął jakiś rozszlochany głos.

— Jezus Marja! Jezus Marja! Jezus Marja! — ktoś wołał obłądnym głosem.

Kasztelan, ujawszy Zarębę pod ramię, szepnął mu do ucha:

— Gotowys? Za godzinę musisz ruszyć do Petersburga...

— Nie pojedę! — odpowiedział takim głosem, że kasztelan opuścił go bez słowa.

W sieniach rozlegały się tu i owdzie łkania i zionęły przekleństwa na widok fakcjonistów, przemykających się chyłkiem i lekliwie, zwłaszcza po odejściu ambasadora, który się spieszył, by wyprawić gońców z radosną wieścią do Petersburga. Po wyjeździe zaś jego, gdy zdjęto kordony i wojska odeszły, sprysiężeni zebrali się w jakimś kącie, gdzie urządzono spotkać się za parę godzin u Bernardynów, na mszy przeorskiej — a Działyński; kiedy się rozstawali, powiedział głośno:

— Nil desperandum!

IX.

Śłońce już grało po szybach, dzień się rozgłaszał wesołym świergotem ptasząt i powiewami lubej aury, gdy w celi przeora zeszli się sprzysiężeni; oczekiwano tylko Działyńskiego i Kapostasa. Pucółowały mniszek jął zastawiać runtowe misy bernardyńskich specjałów i wazy z polewkami, ale nikt nie kwapił się do jadła mimo rannej pory, obstąpili bowiem Żukowskiego, który ciągnął dalej relację, zaczęta w korytarzach.

— Sprawa to bezecna i zgoła bez precedensu. Generał Lubowidzki rozesał kresy do wszystkich generałów, komendantów i wszystkich znaczniejszych sztabsoficjerów brygad kawalerji narodowej, przednich straży i pieszych regimentów, aby się stawili w początku marca na jego kwaterze w Nowochwastowie. Dosięgnął mnie ten nakaz w Zwinogródku, gdzieśmy stacjonowali z majorem Wyszrowskim. Zafrapowała nas ta okoliczność, aleśmy ją zrozumieli w związku z pogłoskami, jakie chodziły o ruchach naszych oddziałów, rozkwaterowanych po całej Ukrainie; prawdy trudno było dociec, gdyż byliśmy poprzegradzani od siebie aljanckimi wojskami, niby groblami, przez co poczty ze światem jakby nie istniały. Wyruszałyśmy z nadzieją zasięgnięcia języka

gdzieś po drodze. Akuratnie wiedział każdy co i my. Stańeliśmy w Nowochwastowie o zmierzchu. Oberże były zapchane, nawet w stodołach brakowało miejsca. Szczęściem wziął nas na kwaterę pułkownik Dobraczyński. — „Co się tu dzieje?“ — pytamy. — „Nie wiem — powiada — generał Lubowidzki nie dopuszcza nikogo do siebie, ale na coś niedobrego się zanosí: obozy rosyjskie zatoczono za parkiem pałacowym, dwa pułki grenadierów i pułk kozaków, komendę trzyma generał Zagrodzki“.

Wieczorem poszedł do generałowej na przewiadły major Wyszrowski, jako jej dawny znajomy. Zatrzymała go na kolacji, ale nic nie powiedziała, Lubowidzki zaś nawet nie pokazał się do stołu.

Ciężko nam zeszła ta druga noc, prawie nikt nie zasnął: żarły turbacje, niepokoíły dudnienia przetaczanych harmat, końskie tętenty, obozowe rumory i ogniska na biwakach, od których zajęła się jakaś chałupa, że te nieustające alarmy postawiły na nogi wszystkich jeszcze przed świtaniem. Zebraliśmy się na kwaterze generałów Wielowiejskiego i Ponparda, i o dziesiątej rano, mając ich na czele, ruszyliśmy do pałacu. Grenadjery, wyciągnięte w długą ulicę, prezentowały broń, warczały tarabany i trąby podnosiły srogie fanfary, mnie zaś przejmował smutek, a Dobraczyński, idący obok, szeptał jakby nieprzytomnie.

— Mam złe przecucia... czegoś dziwnie się boję! — Trząsł się cały i ciężko dychał.

Pałac znaleźliśmy otoczonym poczwórnymi kordonami, przeciw okien wyrzutowane harmaty, kanonje-

rów na pozycjach, jaszczke z amunicją były otwarte, konie w przepisaniem oddaleniu, a na stronie ruszły do grzania fajerbalów.

— Fest się tu jakowys gotuje, czy col — powiedział major Wyszowski.

— Prędzej paradne egzekwje będą się odprawować, zobaczysz — mruknął Dobraczyński.

Wpuścili nas do sali. Ogromna była, przez dwa piętra, na białych słupach wsparta, pawimenty jak zwierciadła, okna do ziemi na trzy strony świata wychodziły, sprzęt bogaty, godzien choćby królewskich pokojów. Stanęliśmy kupą i patrzymy w dziedziniec na szeregi żołnierstwa. Słońce właśnie było się ukazało, aż zagrały bagnety i śniegi się roziskrzyły, kiedy naraz zajazgotały janczary i brzękadła, jakaś kibitka w eskorcie czterech kozaków zajechała pod okna sali, a za nią już wali druga, trzecia, dziesiąta, dwudziesta i stają jedna przy drugiej w pięknym ordynku. Narachowałem ich czterdzieści trzy, a każda w asyście czterech Dońców, pod budą i z podróżnemi łubami w trokach.

Rozmyślałem, coby to miało znaczyć, kiedy Dobraczyński się odzywa:

— Właśnie nas też czterdziestu i trzech...

Mróz mnie przeszedł, liczę: cyfra wypada akuratnie, tylu nas było w sali. — Wystawili nas tu jakby na jarmarku — niecierpliwił się któryś.

— Wnet się tu znajdą handlarze zmacać nam szpadry — próbował zartów Kopeć.

Jakoż w tej minucie drzwi od sieni wywarły się narozcież, wpadł oficer ze szpadą w rękę, a za nim

rypały grenadjery z pochylonemi bagnetami jakby do ataku, że wielu z nas chwyciło za rękojeści...

Obstawili wszystkie drzwi i okna, zaś reszta wyciągnęła się pod wielkimi podwojami, które zaraz się otworzyły i wkroczył na salę generał Lubowidzki, aktualny komendant wojsk Rzeczypospolitej na ziemiach ukraiennych. Był w mundurze rosyjskim i, miasto niebieskiej wstęgi Orła Białego, miał na sobie czerwoną Św. Aleksandra. Za nim wszedł generał Zagrodzki z kupą swoich oficerów i ksiądz w komży i stule, z krzyżem w prawej ręce...

Cała ta godna kompanja wzięła miejsce na środku sali.

Sformowaliśmy się naprzeciw, ramię przy ramieniu, jak czasu parady. Cichość zapadła, serca tłukły się, jak młoty, a niejednemu i zęby szczękały. Lubowidzki obrzucił nas rozbieganemi oczyma; siny był, pot mu ściekał po twarzy i ręce latały; cofnął się nieco i głosem schrypniętym jął oznajmiać: — jako Najjaśniejsza, Najlaskawsza i Najpotężniejsza Imperatorowa całej Rosji najmiłościwiej raczyła wcielić te województwa do swego państwa...

— Niema zgody! — huknął Dobraczyński, łamiąc powinną subordynację — ...jako wojsko polskie — ciągnął dalej Lubowidzki — tu znajdujące się, będzie również wcielone do armji rosyjskiej, mundury i lenungi pozostają się też same, tylko srebrne feldcechy zamieniają się na złote.

Wystąpił adjutant z pękiem złotych feldcechów dla rozdania, nikt przecież ręki nie wyciągnął; staliśmy

jakby spiorunowani, nieprzytomni zgoła i nie wiedzący, zali naprawdę mówiono do nas? zali nie jest wszystko igraszką pobłąkanych zmysłów i chorą imaginacją.

Ale nie: grenadjerzy w pogotowiu, harmaty na dziedzińcu, kibitki pod oknami, wraże twarze dokoła i przed nami ten parricida, obwieszony orderami. Hańba, zdrada i przemoc! Ostatnia godzina wybiła naszej wolności. Jezus! myślałem, że trupem padnę, że mi się serce rozwali z męki, że oszaleję...

Wyszedł generał Wielowiejski, jako najstarszy, i naszym imieniem zdeterminował:

— Bez dymisji od króla dawnej służby porzucić a nowej przyjmować nie możemy.

— I nie chcemy—padło wraz kilkanaście głosów. Skonsternowany Lubowidzki zaszeptał do Zagrodzkiego, grenadjerzy się poruszili.

Wtem Dobraczyński nakrył głowę i, wyrwawszy szablę, krzyknął strasliwym głosem:

— Zdrada! Śmierć zdrajcy! rozsiekaj! Za mną! — i runął na Lubowidzkiego. Za nim skoczyło paru z sukursem, lecz nim szable dosięgły nikczemnego, okrył go mur bagnatów, nawała żołdactwa spadła, przygniotła i zemstę nam z rąk wydarła. Dobraczyński padł ciężko ranny i do trzeciego dnia zmarł z ran i rozpacz...

Umilkł wyczerpany, lecz po chwili podniósł się, szablę wyrwał z pochwy i zawołał:

— Pułkownikowi Dobraczyńskiemu, dowódcy pułku przedniej straży szefostwa księcia Ludwika Wirtemberskiego, zmarłemu w obronie wolności — wieczna cześć i pamięć wieczna.

— Wieczna cześć i pamięć wieczna! — powtórzyli, prezentując obnażone szable.

Łzy tkliwości zrosiły wynędzniałe jagody Żukowskiego, lecz, przemógłszy wzruszenie, mówił dalej:

— Zasię po wyniesieniu Dobraczyńskiego, Lubowidzki wezwał cały nasz kor do przysięgania nowej Pani. Opornym pogroził Sybirem: wszak kibitki już stały nagotowane. Ksiądz więc odczytał rotę przysięgi na wierność. Żaden jej nie powtórzył, ale wszyscy musieli się podpisać: bagnety zrobiły swoje.

A w Zwinogrodzku, zaraz po powrocie, komendant Kublicki zebrał całą brygadę i rozkazał jej przeczytać generalskie lauda i złożyć przysięgę. Już kapelan wystąpił przed front, gdy wybuchnął strasliwy krzyk protestacji. W jednym mgnieniu brygada rzuciła się z pałaszami na Kublickiego, chcąc go rozsiekąć za zdradę. Ledwieśmy ocalili niewinnego, ale niesposób wypowiedzieć, co się potem działo. Widziałem, jak całe szwadrony pocztowych ryczały, niby małe dzieci, jak z rozpaczny łamali broń i uciekali, gdzie ich oczy poniosły, jak wili się w męce i rwali włosy. A nawet zebrała się kupa zdeterminowanych rzucić się na najbliższy obóz nieprzyjaciela i chociażby paść, byle jeno nie znosić dłuższej hańby i sieroctwa. Niechaj powiedzą Tuliszkowski, Wyszkowski, Kopec, Kozicki, jak wielu wślizgiwało się nocami na nasze kwatery i skomlało, jak o zbawienie, żeby ich prowadzić na wroga. Przynosili ostatnie grosze na zakupy prochów, składali swoje porcje sucharów, gotowi byli na głód i nędzę, byle jeno wystąpić do

walki. Taka to w prostych gemejnach ochota, fantazja i czułość na losy ojczyzny.

— Bo żołnierz nie rozumie się na praktykach, przymierzach i politycznych racjach, póki wróg w granicach Rzeczypospolitej — zabrał głos kapitan Chomętowski, delegowany imieniem gwardji koronnej. — Podobnie było zeszłego roku w obozach po przystąpieniu króla do Targowicy i ogłoszeniu rozejmów. Pod Sieciechowem szliśmy całemi oddziałami błagać księcia Józefa, by króla nie słuchał, pakty podeptał i prowadził na wroga. Na darmo, ani dał sobie o tem mówić. Dopiero jak Kościuszko z Zajączkiem przełożyli mu imieniem tajnie skonfederowanych wojsk, żeby wziął całą władzę nad krajem, króla do obozu sprowadził, uniwersały na pospolite ruszenie wydał, zaś całą mocą narodu na wroga uderzył, czego niechybnym skutkiem byłaby wiktoria, księżę zaczął się zastanawiać... Myśmy bowiem chcieli: króla mieć w garściach, rząd sformować w obozie, targowickich hersztów przepędzić, jurgielników oddać mistrzowi, miastom odebrane swobody przywrócić, chłopstwu wolę i ziemię podarować. Jakiż wróg oparłby się Rzeczypospolitej wolnych i równych obywatelów? Zali przykład Francji, odnowionej systematami ludzkości, nie dawał słusznej pewności zwycięstwa? Zali wolność nie najstraszniejszy oręż na tyrany? więc aby uskutecznić te zamierzenia, zjechała do obozu ks. Czartoryska, żona ks. generała ziem podolskich, przyjeżdżał Ignacy Potocki, pisali listy Kołłątaj i Małachowski, wojska błagały i naród czekał zbawczej decyzji. Tyle wreszcie zdziałano, że księżę jął się przechylać do projektów

konfederacji, już Zajączek miał ruszać z poczem wybranym do króla, choćby go przyszło brać siłą z pośród gamratek i cudzoziemskich opiekunów, zdeterminowany. Naraz przyleciały sztafety z listami, po których księżę umyślił do tej ekspedycji dać ks. E. Sanguszkę, jakby się obawiając, że pod Zajączkiem może się królowi przytrafić w drodze jakowys niefortunny casus... Zaś wkońcu poniechał wszystkiego. Snadź bał się azardów wojny, przekładając gwarancje Imperatorowej i podłego egoizmu podszepty nad szczęście i wielkość ojczyzny. A mógł wziąć koronę z rąk niegodnych, o co go na kolanach suplikowali, mógł w przyszłe wieki zasłynąć cnotą i bohaterskim jenjuszem. Ale, że miłsze mu były przewagi w amuretkach, to niechże go pierwsza kula nie minie albo i stryczek przy okoliczności! — bryznął rozżaloną nienawiścią.

— Wszędzie to samo: zdrada lub małoduszność gubi wybrane okazje podźwignięcia kraju — przemówił Onufry Morski, kasztelan kamieniecki, gorącego serca i cnót wielkich obywatel, który czasu ostatniej wojny na własną rękę prowadził partyzantkę na tyłach nieprzyjacielskich. — Nie przeboleję straty Kamieńca, wydartego bezecną zdradą Złotnickiego. Właśnie rok temu, kiedy uformowana konfederacja wojsk, o czem wspominał kapitan Chomętowski, nie wzięła dobrego skutku, a pomimo zawartego pokoju nieprzyjaciel gospodarzył w Rzeczypospolitej, dojrzało postanowienie nieczekania okoliczności na wznowienie wojny. Kamieniec zaś był upatrzony na ostoję insurekcji, miał zaczynać pierwszy i legnąć nieprzebytym progiem na drodze nieprzyjaciela,

nimby Korona z Litwą, uporawszy się u siebie, nie pośpieszyła wszystką mocą i całe teatrum wojny przesunęła na ukraińskie województwa. Zamyśl był wspaniały, spłodził go jenjusz Kościuszki, a generał Orłowski, komendant Kamieńca, zabrał się żarliwie do wzmacniania fortalicji, gromadzenia prochów, furażów, harmat i ściągania co zdolniejszych oficerów; wszystko się działo szyto-kryto, gdy Złotnicki, jakby odgadłszy co się święci, zjawił się jakoś w kwietniu z królewskim patentem, fortragującym go na komendanta fortocy. Objął ją i sprędał wrogowi za piętnaście tysięcy dukatów, szarżę generałską i ordercy. I chodzi jeszcze po świecie żywy! Boże!—zajęczał w bezzilnej wściekłości.

— Sulli nam potrzeba na pokaranie tych zrad, niezblaganego topora! — zawołał ktoś z ponurą zaciętością.

Trzymający straż pod oknami ojciec Serafin zapukał w szyby umówionym sposobem, na co Zaręba, wystąpiwszy na środek, oznajmił uroczyscie:

— Najprzewielebniejszy mistrz i namiestnik Wschodu Poznania zaprasza braci!—Jasińskiemu zaś zaszeptał:—Może zbłądzić ktoś nazbyt ciekawy i, miasto sprzysiężonych, znajdzie braci masonskich na kapitule...

Pozrzucali płaszcze i większość okazała się w kurtach i przy prostych pałaszach.

Otworzy się małe drzwiczki zamaskowane kłatkami, którymi weszli do małej sklepionej sali, wybielonej, pustej, pełnej stęchlizny i mrocznej; na jedynym oknie wisiał rozpięty ogromny Chrystus, dotykający stopami podłogi, pod nim za prostym stołem siedział Działyński,

szef dziesiątego regimentu, dusza sprzysiężenia i jego widoma głowa, nieco zboku zaś widniał Kapostas, bankier warszawski, Węgier rodem, ale polskiej ojczyzny syn oddany.

Wchodzący składali pozdrowienia przepisane znakami, gdyż szef miał na szyi klejnot namiestnika loży masonskiej: złoty krzyż maltański na zielonej wstędze, a Kapostas, jako brat wyższego stopnia, pelikana na czerwonym kordonie, odznakę kawalera Różanego Krzyża, Szkockiego Rytu.

Działyński nakrył głowę i, wydobywając do połowy szpadę, zapytał surowo:

— Zali są między nami profani?

— Sami doskonali bracia i całego polskiego Wschodu delegaci — odpowiedział Zaręba, podając mu obraz zgromadzonej loży, to jest katalog obecnych.

— Loża przypadkowa, afilacyjna, więc musi odbywać się bez rytuału — zdecydował, odkrywając głowę, i uderzył drewnianym młoteczkim trzy razy w stół. — Kapitułę ogłaszam otwartą. Miejsce ni pora nieodpowiednia, zatem pracować będziemy bez przepisanych światła i ceremonij. Zabierzcie miejsca, najmilsi bracia.

Zasiedli w powinienem milczeniu, z twarzami zwróconemi do mistrza.

Że zasię kapituła była jeno pozorem, więc, miasto aktualnych spraw i obrzędowych ceremonjałów masonskich, Kapostas, rozwinawszy wielki papier pokryty emblematami śmierci, jął odczytywać nazwiska braci różnych łóż i stopni, którzy wczoraj na sejmie wotowali za przyjęciem rozbiorowego traktatu.

A kiedy skończył, podniósł się pułkownik Jasiński, „Wielki Mówca“ łoży „Doskonała Jedność“ na wschodzie Wilna, wnosząc przeciwko nim ogniste oskarżenia o zdradę ojczyzny, praw sprawiedliwości i Wielkiego Budowniczego. Mówił bez zwykłej symboliki masońskiej, krótko, dosadnie i zapalczywie.

— Wnoszę ogłoszenie ich za nieprzyjaciół ludzkości, wypędzenie z łóż i ukaranie śmiercią.

— Śmierć zdrajcom! Nienawiść tyranom! — poszedł głos i szcęk wydobywanych szabel.

Działyński uprzedzał go, jako, nie składając łoży zwyczajnej, otwartej bez rytu przepisanego, tem samem nie mają prawa sądu i kary.

— Ale obrażona w nas ludzkość żąda słusznej sprawiedliwości wymierzenia.

— Jeśli żądanie przejdzie unanimitate vocum, prześlę je Wielkiej łoży na rozpatrzenie.

— A więc składamy wota, bracia najmiłsi! — zawołał Jasiński, a zbliżywszy się do stołu, uderzył sztychem szabli w papier i wyrzekł: — Śmierć zdrajcom!

— Śmierć! — powtórzył Żukowski, brat wybrany z łoży żytomierskiej „Ciemność Rozproszona“.

— Śmierć! — zakrzyczał ksiądz Mejer z Woldy, brat łoży warszawskiej „Doskonały Sarmata“, i wydobyty z pod sutanny pugiąłem uderzył w papier z nienawiścią.

Potem bił sztychem Pawlikowski, brat wyższego stopnia z łoży warszawskiej „Świątynia Izys“, a za nim bili bracia tejże samej łoży: Eljasz Aloe, Chomętowski, Zareba Sewer, kapitan Kaczanowski i Czyż Jan.

Z łoży dubieńskiej „Doskonałe milczenie“ wotował Kopeć, major Ochocki Duklan, Morski Onufry i brat wyższego stopnia, ks. Jelski.

Z łoży na wschodzie Grodna „Szczęśliwe oswobodzenie“ szli bracia: pułkownik Korsak, ks. Gedroyć, generał, Grabowski, pułkownik, i Grosmani, „municypał“ wileński. Zakończył porucznik Biegański z łoży warszawskiej „Tarcza Północna“, który rzucił się na papier, niby na żywego wroga, i pociął go na znak krzyża św. Andrzeja.

Wszyscy jednocześnie wotowali za śmiercią. Podziurawiony i pocięty papier Działyński schował i rzekł:

— Bracia, zasię aktualnie zapomnijmy o zdradach i podłościach, a przystąpmy do prac podźwignięcia ojczyzny. Naczelnik oczekuje pod Krakowem na wieści o stanie przygotowań na Litwie i Rusi, więc braci delegatów od wojsk proszę o składanie relacji.

— Skarb i wojsko! — zawołał stentorowym głosem Korsak, jak to był czynił na wielkim sejmie przy zdarzonej okoliczności.

— Zaiste, węgielne to kamienie wojny — odparł Działyński, zasadzając do pióra ks. Mejera z Woldy i Pawlikowskiego, wielce biegłych w cyfrowanem piśmie do konotowania ustnych relacyj.

Kopeć z Żukowskim, imieniem dywizji ukraińskiej, składali tabele wiadomości stanu wojsk, zapasów, koni, dróg, brodów, miejsc bronnych, cyfry sprzysiężonych oficerów i gemejnow oraz plany obozów nieprzyjacielskich i liczby wojsk.

Książę Gedroyć złożył toż samo o wojskach, kwaterujących na Litwie.

Jasiński — o całym korpusie artylerji litewskiej i wojskach rosyjskich.

Grabowski — o komendach, stojących na Żmudzi aż po Bałtyk i Lipawę.

Korsak, imieniem Wawrzeckiego, dał wieści z Inflant po Rygę.

Amilkar Kosiński, porucznik, komisarz wojskowy sprzysiężenia przy oboźnym Prozorze, jednym z najzarliwszych promotorów insurekcji, przedstawił relację z Pińszczyzny i złożył kilkanaście tysięcy dukatów skolektowanych w tamtych stronach.

Relacje naogół były pomyślne, cyfra związkowych wysoka i głębokie ukochanie sprawy, ale wszędzie brakowało gotowej amunicji, harmat, koni, przeróżnego moderunku i pieniędzy. Powszechnie też narzekano na obojętność oficerów wyższych stopni, małoduszność osiadłej szlachty i magnatów. Delegaci, wystawując czułą dyspozycję wojsk dla ojczyzny i gorące pragnienie zmierzenia się z wrogiem, żądali zdeterminowania daty wybuchu. Bowiem groza redukcji, mogącej być uchwaloną lada dzień, dyktowała słuszny pośpiech w działaniach.

— Jeśliby wojsko rozpuszczono przed czasem, wszystkoby przepadło — konkludował Kopeć.

— Deliberacje nad redukcją możemy na sejmie jeszcze przewlekać — odezwał się Zieliński — a nawet po uchwaleniu nie zaraz nastąpi wykonanie, bo abszy-

townym trzeba wypłacić zaległe lenungi, a kasy wojskowe puste.

— Już i tak bataljony dekompletuje dezercja i werbunki aljantów.

— Czy prawda, jako arsenał warszawski już obśadzili Rosjanie?—ktoś spytał.

— Igelström próbował, ale generał Cichocki nie dał się zjeść w kaszy, a teraz na noc podwaja strażę, zaciąga łańcuchy i trzyma w pogotowiu harmaty...

— Czy aby wytrwa w cnotliwym sentymencie dla sprawy? Wszak to królewski konfident.

— Ćwik to nielada i obrotny w politycznych kabałach, ale oficer wysokiej instrukcji i szczerze polskie serce, przysięgę złożył i dałbym szyję, że nie zrewokuje — zapewniał Działyński, zwracając się do skryptorów, bo właśnie skończyli cyfrowanie résumé wszystkich relacyj, opatrzył je pieczęcią i rzekł do Biegańskiego:

— Mości poruczniku, ten pak zawieziesz do Krakowa i wręczysz Sołtykowi. Tam ci powiedzą, co czynić dalej. Zaręba, wydaj waść znaki traktów i stacyj pocztowych. A waszmość, kapitanie Chomętowski, powieziesz wtóry egzemplarz panu marszałkowi Potockiemu do Drezna—obrócił się do reszty. — Jednak nieprędzej wrześnie możemy się spodziewać zdecydowania terminu, wyprawiane relacje zaważą na zdeterminowanie.

Opuścił prezydjalne miejsce, tem samem klauzula milczenia, surowo przestrzegana na masońskich kapitulach, przestała obowiązywać i potoczyły się żywe rozmowy, zwłaszcza oficerowie burzyli się na odwlekanie wybuchu.

— Wszak wojska czekają tylko znakul — podjął Czyż, major gwardji. — Małopolska gotowa, trzynaście tysięcy skonfederowanych wyczekuje w Krakowskim...

— Garnizon warszawski zjednany i może zacząć choćby jutro—rzekł Kaczanowski.

— I dywizja litewska w gotowości — oświadczył Grabowski.

— Zaś oddziały, ogarnięte moskiewskim kordonom, również—upewniał Kopeć.

— Do całego obrazu brakuje wieści z Wielkopolski—zauważył Zieliński.

— Pracuje tam Gliszczyński nie bez widoków fortunnego skutku.

— Niechaj wraz wybuchną: Kraków, Warszawa i Wilno, a płomień ogarnie cały kraj.

— Wojsko gotowe, dobrze, ale gdzie mamy skarb?—rzucił Korsak.

— Republika francuska obiecuje swojej polskiej siostrze udzielić pomocy pieniężnej na walkę: wszak w królu pruskim mamy wspólnego wroga, wszak jednakobiją serca dla ludzkości nad Sekwaną, Wisłą i Niemnem, jedne systemata wolności, równości i braterstwa zbroją nas przeciw tyranom—wygłaszał płomiennie Eljasz Aloe.

— Boże! — gorączkował się Jasiński — mieć sto tysięcy żołnierzy, pospolite ruszenie i uzbrojone chłopstwo w rezerwach, w jednym dniu zapalić pochodnię wojny od krańca do krańca Rzeczypospolitej, a jedna noga nieprzyjacielskaby nie uszła żywa. Gniew obrażonego narodu, jak gniew natury, powinien wybuchać nawałą piorunów i huraganem...

— Wielbię takie ogniste sentymenty, lecz nażbyt daleko i górnio niosą pułkownika poetyckie imaginacje! — szepnął pobłaźliwie Kapostas.

— Gdzie sięga uczucie imaginacji, tam sięgną i człowiecze zamierzenia.

— Człowiek nie postąpi kroku naprzekór przeznaczeniu. Jeśli gwiazdy przyjazne, to Dawid zwalczy Goljata, pastuch uczyni cuda, zaś Nazarejczyk trzeciego dnia zmartwychwstanie — dowodził tonem głębokiego przeświadczenia.

— Zali bohaterstwo, cnota i słuszność nic nie znaczą?

Kapostas, który był członkiem sekty Illuminatów i uczonym w żydowskich księgach, rzekł:

— Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo—reszta, to jeno pozór mamiący, cień gwiazd, lecących w bezmiary ku nigdy niedosięgłej Istności. Tylko mędrzec, posiadający tajemnice Słowa, mocen zrozumieć tajnie przeznaczenia.

Jasiński słuchał wywodów z grzeczności jeno, gdyż bardziej tentowała go rozmowa, prowadzona obok przez Pawlikowskiego z grupą oficerów.

— Na jakimże systemacie opieramy insurekcję, jak myślicie waszmościowie?

— Na systemacie konstytucji trzeciego maja — odrzekł Kopeć.

— Wszak i na nią nie godzą się nasze królewstwa — wtrącił Żukowski.

— Rzeczpospolita nie będzie zebrała przyzwolenia pod złoconemi drzwiami magnatów.

— Słusznie. Dla nich to za wiele, a dla nas za mało — mówił Pawlikowski, zacięty klubista i jakobin, autor wielu pismek politycznych. — Systemat konstytucji trzeciego maja nam nie wystarcza. Jeśli bowiem chcemy poruszyć cały naród, musimy dać wolność wszystkim stanom. I tylko na takim fundamencie budowana społeczność ostoi się przeciw tyranom. Już Staszyc pisał, jako bez odmiany poddaństwa chłopu doczesne są i płonne wszystkie inne odmiany.

— Pierwej uratować Rzeczpospolitą, a później dawać swobody.

— Tylko z wolnymi można wywalczyć wolność.

— Wszak nikt do niewoli, a każdy rodzi się do wolności.

— I posłuszeństwa prawom natury — posypały się głosy klubistów.

— Właśnie te wniosły systemat ludzkości dawać Francji przewagę nad tyranami.

Parsknął na to Kaczanowski, lecz, pohamowawszy się, rzekł rubaszenie:

— My zaś po staremu kładziemy nadzieję w żołnierzach i harmatach...

— Nie potrzeba — mówił nieskonsternowany Pawlikowski — aby szlachta straciła swoje swobody, ale potrzeba, by swoje prawa upowszechniła, powiększając liczbę obywateli wolnych.

— A waszmość uwolniłeś już swoich poddanych? — zagadnął złośliwie Kaczanowski, doskonale wiedzący, jako ten żarliwy obrońca chłopów jest piotrkowskim mieszczaninem i, prócz cnoty, męstwa i rozumu, nie

posiada innej substancji. Nie doczekawszy się responsu, jął się burzyć przed Zarebą:

— Jaki mi dobrodziej z cudzego! Śmierdzi o miłe inkaustem. Liznęło to francuskich książeczek i udaje statystę. Skryba! — mamrotał z głęboką awersją.

I na tem poprzestał, gdyż Morski głośno odpowiadał komuś:

— Powszechność? Juści, że przychylność ma w duszy do naszych zamierzeń, ale jednych ciśnie do ziemi żelazna stopa Prusaka, drugim respekty powinny wmuszają jegierskie bagnety, innych oślepiła wiara w gwarancje i wydaje się im zbędna jaka bądź odmiana. Są znowu, którzy na wszystko patrzą oczami swoich J. Wielmożnych protektorów. Mniemam jednak, że większość czuje pocziwie i, bolejąc nad upadkiem Rzeczypospolitej, skłonna jest do ofiary...

— Niemała liczba — przemówił Działyński — ociąga się nie przed ofiarą krwi i mienia, lecz przed odmianami praw i jakobińskimi maximami. Przykład Francji daje do myślenia szlachcie i trwoży, zwłaszcza, że przeróżne pisma i zapaleńcy rozsiewają po kraju nazbyt jakobińskie opinie. Uważałbym koniecznem rozpowszechnić wiadomość o prawdziwych celach naszych zamierzeń. Uspokojone umysły łacniej będzie można skłonić do ofiarności...

— Otóż to, suplikować u stóp Waćpanów, Waszmościów, Wielmożnych i Jaśnie Wielmożnych, by raczyli rzucić jakowyś zbędny ochłap wspomnienia dla ginącej ojczyzny — zawrzał Pawlikowski. — Cnotliwy obywatel nie zna nad obowiązek troski o szczęście powszechno-

ści, kto zaś tego nie czuje, temu spełnienie powinności godzi się nawet nakazać!

— Godzi się nawet przymusić! — ozwał się mocno ks. Mejer — a opierających się woli powszechnej trzeba wytracić, jako wrogów ludzkości. Tak czynią rewolucjoniści francuscy, a w skutkach osiągnęli zwycięstwo cnoty i rozumu nad egoizmem, ludzkości nad tyranją. Wola narodu stanowi prawa. Na naszych sztandarach winno być napisane: „Qui non est nobiscum, est contra nos“!

— Kto nie z nami, ten przeciw nam! — przywótczyli socjusze z zapalem.

— Szanować opinie drugich jest powinnością rozumu — zauważył Działyński, popierany przez umiarkowańszych, lecz ks. Mejer zakrzyczał namiętnie:

— Veto, protestuję. W tem właśnie źródło polskiej anarchji: szanowanie cudzych a sprzecznych opinii wiedzie do lęklwego baczenia na drugich, do wyrozumiałej pobłażliwości nawet oczywistym zdraodom i wrogom. I biskup Kossakowski wyznawa opinie polityczne, i król je wygłasza, i targowiccy hersztowie w imię swoich opinii wydali kraj nieprzyjacielowi. Mamyż ich opinie szanować i uważać? Nie, precz z tem! niema być tolerowanych w Polsce opinii nad opinie, prowadzące do podźwignięcia Rzeczypospolitej na zasadach równości, wolności, braterstwa i niepodległości...

Działyński, aby nie zaogniać antagonizmów, nie replikował, ale zwrócił się do Amilkara Kosińskiego, który opowiadał o Prozorze i Polesiu.

— A najdziwniejsze, jako pomiędzy Poleszukami

rozповідаją, że w kilku niedzielach rozpocznie się wielka bitwa z Moskwą. Pod Owruchem mieli już chłopci widzieć całą armję polską, ciągnącą lasami na Wołyń. Wyliczali cyfrę harmat, wozów i koni. Widzą już to, co się ma dopiero stać...

— Prościzkowie bliżej są Boga i wiara ukazuje im, czego mędracy nie dojrzą — szepnął ks. Jelski, świętobliwy kapłan i żarliwy patryjota.

— Mniemania o bliskiej rewolucji rozpowszechniają się i po całej Rusi — zaczął Żukowski — a strach przed okupacją ogarnia coraz większe masy ludu ukraińskiego. Sam widziałem, jak skoro kordon rosyjski posunięto od Wasilkowa na zachód ku Ikwie, cała ludność chciała uciekać do dzierzaw, pozostałych przy Rzeczypospolitej. Miałem pocztę z Kijowszczyzny, że i teraz, na wieść, jako Rosja na stałe zajmuje tamte strony, chłopci tysiącami uciekają do Polski, a zapobiec temu niema sposobu.

— Bo z nowem panowaniem niedola chłopca jeszcze się pogorszy.

— Z tej przyczyny i dawna Sicz zaporoska chce z nami traktować...

Wpadł zadyszany przeor, zapraszając na skromną przekąskę.

Rozdał jeszcze Działyński nieco patentów, podpisanych przez Kościuszkę, a fortragujących upatrzonych przez Wielką Radę mężów na generał-majorów niektórych województw i powiatów; mieli je powieźć delegaci od wojsk, i poszli do przeorskiej celi, dochodziło bowiem południe i już niejednemu grzecznie kiszki marsza grały.

Pucołowaty braciszek przy pomocy grubego kanafarza zastawił stół, a przeor pieśczośliwie zapraszał do jadła i, kiedy zabrali miejsca, odezwał się nieśmiało:

— A pośpieszajcie waszmościowie, żeby wyjść z kościoła wraz ze wszystkimi.

A ledwie się za nim drzwi zamknęły, kosy zagwiżdżały rześistego poloneza, jakoby sfornie zestrojona kapela; mniszek uwijał się koło poodstnianych klatek, poświsując cichutko do wtóru. Zasię i suma szła jeszcze w kościele, więc dalekie przymglone granie organów i pogłosy śpiewań raz po raz wdzierały się do celi ulewą słodkich brzmień i dźwięków.

Jakiś cichy, łzawy smutek opłynął wszystkie serca, milczenie zaległo, niejeden dumął przysze swoje losy i nadzieje, niejednemu łza zaćmiła oczy, a do pamięci cisnęły się drogie postacie. Nawet Działyński wzdychał żałośnie, tocząc oczyma po twarzach socjuszów. Zaś Kapostas przenikliwym spojrzeniem zdał się ważyć dołę każdego, i twarz mu posępniała chmurą żałoby i smutku.

Ze ściśniętym sercem patrzył na tę żywą litanję świętych polskiego kalendarza wolności, która odtąd aż po wiek miała olbrzymieć i rozsnuwać się w łańcuchach nieustannych poświęceń, wysiłków, ofiar i bohaterstw—na ten święty huf rycerzy, dobrowolnie idących na wyłom kłaść głowy swoje i serca, gwoli zmazaniu win ojcowskich i gwoli dzwignięciu Ojczyzny i szczęścia powszechności.

Zarębę wywołał braciszek. W korytarzu czekał ojciec Serafin.

— Od Kacpra!

Podał mu zbrukany karteluszek, zapisany ołówkiem.

— Jezus Marja! Zagarnęli go werbownicy moskiewscy! Jest w obozie grenadierów, prosi o ratunek. Kto przyniósł tę wiadomość?

— Mój wiernik, któremu udało się przedostać do obozu.

— Boże, choćbym miał zapłacić głową, a muszę go wyrwać z niewoli. Biedny chłopak!

Rozpacz nim miotala, łamał ręce.

— Pół szwadronu Mirowszczyków może sięść na koń, Staszek ich skaptował.

— Na całe pułki się nie porwę. Siedzi chudziak zakuty wraz z pięćdziesięciu drugimi, nie wie kiedy ich wyprawia i gdzie! Prawdziwa desperacja! A tak się bałem o niego! A może to tę partję poprowadzi do Mierca Iwanow, przyjaciel Kaczanowskiego?

Ożywił się nagle, oczy zaiskrzyły mu się powziętem postanowieniem.

— Niech ojciec zaczeka na mojej kwaterze. Przyjdę z kapitanem, to razem rozważymy pewien plan. Co za nieszczęście!

Ledwie wrócił do celi, zabierając swoje miejsce, gdy Działyński powstał. Wszyscy zerwali się na nogi, wierne oczy wbiły się w niego, a on, podnosząc w górę kielich, wyrzekł krótko:

— Śmierć lub zwycięstwo!

— Śmierć lub zwycięstwo! — odkrzyknęli z mocą i wszystkie kielichy rozbryznęły się o podłogę.

X.

Nieprzenikniony mrok leżał pod konarami sosen i głucha cichość nocnych godzin, że jeno chwilami rwały ją bełkoty wód Niemnowych, przedzierające się wskroś ciemności, to jakoweś szemrania podobne przytąjonym westchnieniom, lub suche trzaski opadających gałązek. Noc była późna, gwiazdy świeciły blado, ledwie widne w płachcie nieba zasnutej płowemi mgłami, całym światem płynął głęboki spokój uśpionej ziemi i nagrzanę, wonne tchnienia borów.

— Jada, głosy lecą po rosach! — zaszeptał naraz ojciec Serafin, przykładając ucho do ziemi; jakoż istotnie, od strony Grodna powiały dalekie jeszcze i niewyraźne odgłosy. — Za jakie pół godziny nadciągnąć powinni...

— Niechby, mierzi mi się to czekanie. Cóż podkomorzyna? — szepnął Zaręba.

— Ma pomieszczenie, choćby dla wszystkich, zaraz przy mnie wysłała umyślną sztafetę z listem do swojego komisarza w tamtych dobrach. Żarliwa to patriotka, zaś dla waszmości gotowa się ważyć na wszystkie azardy...

— A przewóz na Niemnie? — zagadnął, nierad z poruszania tamtych materyj.

— Gotowy. Trojakowski mądrala, prowadzi skutę ze zbożem i wołami do Prus i właśnie wypadła mu potrzeba zatrzymania się pod Mereczem. Zajdzie okoliczność, to wmię przewiezie wszystkich na drugą stronę, a potem już głowa Kaczanowskiego, żeby się wywinął, jeśliby pogoń ruszyła za nim.

— Krzyk od Niemna, tam nasze widety! — zerwał się, nasłuchując trwożnie.

— Wołania flisów — upewniał ojciec Serafin — nocują gdzieś pod brzegiem. Od paru dni Niemen aż się roi od statków. Pono kilku panów dostało od Buchholtza permisję wolnego spławu zboża i wołów do Prus, więc się śpieszą i wielkie handle prowadzą.

— Kupił ich powolność przy głosowaniu nad traktatem. Gdzie ojciec widział dzisiaj Kaczanowskiego?

— Na kwaterze Iwana Iwanowicza, którego, jak powiadają, obuł w swoje buty i wyprawia z nim, co mu się żywnie podoba. Prawdziwi to już bracia czołpowi. Zajrzałem tam niby po kweście. Pili właśnie z przyjaciół. Kapitan, udając, jako widzi mnie po raz pierwszy, wyprawiał różne krotchwile i paskudnie mi przymawiał, ale na odchodnym rzucił mi dukata.

— Zawsze skory do szastania swoim i cudzem.

— Kiesia mu spęczniała, boć zdeklarował się przejść w służbę Imperatorowej, Cycjanow obiecał mu pułkownikowską szarżę i sute wypłacił culagi. Niemało też musiał wygrać od nich w karty. Powiadał mi, jako nieprzyjaciół godzi się trapić na każdy sposób i podchodzić, aby ich tem skuteczniej zwalczać...

— Zbyttnio się jednak azarduje, może ponieść szwank na honorze...

— „Nie dbaj, chociaż zła wieść o tobie gruchnie.

„Bo kto nie je czosnku, ten nim nie cuchnie“ — może sobie śmiało rzec, a naszej sprawie niemałego przysporzy pożytku. Wywinie się on gładko z tych okoliczności, nie zbraknie mu fortelów. Porucznik potem wraca do Grodna?

— Dla odwrócenia podejrzeń muszę się sprezentować między socjetą i poszwendać tu i owdzie. Mam też wiele nieukończonych spraw, chciałem właśnie z Kosińskim układać regulaminy dla Lipawskich wolonterów, gdy mnie zaskoczyła ta nieszczęsna okoliczność z Kacprem...

— Admiruję sentymenty waszmość porucznika!

— Bliższy mi on, niżli byłby rodzony brat. Lękam się jeno, czy aby go nie wysłali z Grodna bocznym traktem i pod szczególnym konwojem.

— Jeszcze wczoraj widziałem go w obozie na Łosośnie, i on mnie dojrzał. Na nieszczęście, przystępu do niego wzbraniały strażę. Dałbym jednak głowę, że go transportują z drugimi. Gdyby tak można wpaść na nich znienacka, odbić Kacpra i w konie! Wiem wszystkich brody na Niemnie...

— Chwałę kawalerską fantazję jegomości, lecz naszą powinnością odbić wszystkich nieszczęśników wraz i z tymi w Mereczu. Hłasko z ludźmi już tam gdzieś pod miastem czeka na nas. Maciuś! — podniósł nieco głos — włącz na drzewo i popatrz w stronę Grodna.

Nie pora na bitwę — zwrócił się szeptem do mnicha — wygnietliby nas co do jednego. A przytem nasza wyprawa ma wziąć obrót, jakby zwербowani podnieśli bunt, pobili strażę i uciekli. W tem właśnie będzie dowcip Kaczanowskiego, żeby nam chwilę napadu przysposobił...

— Więc to dlatego Mirowscy przybrali się na wyprawę, niby ultaje...

— Melduję pokornie: widać już ognie pochodniów — szepnął Maciuś.

— Dobrze. Koniom założyć na kopyta wiechcie, nozdrza obwinać, wedety ściągnąć od rzeki, cofnąć się na pół strzelania i czekać znaku.

Cień Maciusia przepadł bez szelestu, zaś Zaręba przyłożył się do ziemi nasłuchiwać — już wyraźnie roznosiły się skrzypienia wozów i stąpania koni.

— Wolałbym bitwę, niżli takie wyczekiwanie — mruknął ojciec Serafin.

— Przypominam: jeno dla salwowania życia wolno zabijać.

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odburknął i wziął się do odmawiania różańca.

Cisza pokryła szept, bór stał nad nimi zatoniony w nocy, głuchy i jakby zdrętwiały we śnie; żywiczne zapachy przejmowały lubością, niekiedy nikłym szelestem sphywało sosnowe igliwie, to jakaś niedojrzana gałąź musnęła piśszczotliwie po twarzach. Siedzieli skuleni pod krzami karłowatej brzeziny, szeroka droga szarzała przed nimi, niby pas zgrzebnego płótna, po-

chylone nad nią sosny zdawały się patrzeć w stronę, od której napływały coraz głośniejsze turkoty wozów i brzęki jakiejś kapeli.

— Iwan Iwanowicz swoją kompanją zamyka pochód — szepnął mnich.

— Myślałem, że się przodem wysforuje. Licz jegomość konwojujących. Wtył, za blisko drogił — Przeczogli się parę kroków w głąb lasu i przypadli na ziemię bez ruchu, gdyż jał się wynurzać z nocy szary, ledwie rozeznany pochód. Przodem jechała kozacka szpica, zajmująca całą szerokość drogi, człapiąc zwolna i kiwając się sennie na koniach, zaś dopiero w pewnej odległości toczyły się czterokonne drabiniaste wozy, słomą wymoszczone i pełne leżących ludzi; eskortowali je dragoni, rozciągnięci po obu stronach w długie gąsiory. Jechali dosyć wolno mimo prania batów i pokrzykiwań woźników, gdyż konie miały ciężko w piaszczystej drodze i nieco pod górę. Na samym ogonie szły dwie landary w asyście kozaków z pochodniami zatkniętymi na pikach, a przepełnione wesołą kompanją, która, zabawiając się butelkami, co chwila wybuchała pijacką wrzawą i krzykami, co chwila też odzywały się bałabajki, a do wtóru leciały takie śpiewki, pokrzyki, śmiechy i brzęki tłuczonych o koła flach, że cały bór napelniał się swarliwemi głosy i odkrzykiwał echami. Brzaski pochodni otaczały czerwoną, dymną glorią powozy, że łącznie mógł rozeznąć twarze wszystkiej socjety. Kaczanowski siedział w pierwszym powozie, najwięcej pijąc i najgłośniej baraszkując, lecz wymijając przytającego w ciemnościach Zarębę, jakby tknięty przecz-

waniem, uniósł się nieco z siedzenia i ryknął potężnym basem umówioną piosenkę:

„Przyszła dziewczka do klasztoru, do klasztoru, do klasztoru.
„Podajcież mi tu przeora, tu przeora, tu przeora!
„Chcę się spowiadać“.

Długo jeszcze rozlegał się jego głos przepity, hukaty wrzaski, brąkania bałabajek i długo krwawiły się w mrokach odblaski pochodni. Dopiero kiedy wszystko przepadło w oddaleniu, Zaręba porwał się na nogi.

— Konwojowych dragonów trzydziestu i dziesięciu kozaków — meldował Serafin.

— Nie dojrzał ojciec Kacpra?

— Ba, niesposób było rozpoznać kogo na wozach: leżeli pokotem, jak pobici.

Zaręba zakwilił, jak czajka, i po chwili zaszemrały ostrożne stapania.

— Konie wziąć krótko i gąsiorem za mną, marszl — rozkazał, drogę pierwszy przeszedł i, zmacawszy jakąś ścieżynę, wiodącą w stronę Merecza, ruszył prędko. Maszerowali w milczeniu i takiej cichości, że nie zabrzękła podkowa, koń nie zaparaskał, ni się kto potknął o korzenie; sunęli niby trwożne cienie, unikając polanek i miejsc otwartych, bowiem jeszcze niekiedy górne powiewy przynosiły pogłosy śpiewań i muzyki. Dosięgli jakiejś drogi, biegnącej krajem borów i, skoczywszy na siodła, pognali co tchu, aż koniom zagrały wątroby, nie dbając, że gałęzie siekły ich po twarzach. Pędzili tak z dobrą godzinę, mijając jakieś

poła piaszczyste, wsie ledwie w mrokach dojrzone, wyłysiałe wzgórza, grząskie rzeczki, a kręcąc w różne strony jakby za zgubionym tropem, bo chociaż do Merecza, z miejsca, gdzie czatowali, była zaledwie milka, to, kołując dla przepieczności, nadłożyli przeszło dwie. Stanęli jednak pod miastem w porę, gdy właśnie hałaśliwa kawalkada Iwana Iwanowicza wtaczała się w rogatki. Tutaj ojciec Serafin, jako znający okolicę, wziął komendę i, rozkazawszy pozysiać z koni, powiodł ich tyłami domów i ogrodów, cyrkulując z wielką ostrożnością ku Niemnowi.

Merecz bowiem, pomimo spóźnionej godziny, nie zażywał jeszcze wywczaś; z rynku buchały łuny jakby biwakowych ogniów i roznosiły się liczne głosy. Doszedłszy wylotu jakiejś ciemnej uliczki wpoprzek przekopanej i zagrodzonej częstokołem, Serafin udał głosowy, na co zjawiła się, jakby z pod ziemi, jakaś postać, szepcząc dosyć wyraźnie porwane słowa „Zdrowaś“:

— ...łaskiś pełna i błogosławiona...

— ...między niewiastami... —dowiedział Zaręba, rozpoznając Hłaskę, który, pociągnawszy wszystkich do pobliskiej stodoły, jął prędko mówić:

— Leżą w rynku, chłopą pięćdziesiąt i dwa; trzydziestu samych deztererów z różnych regimentów zagarniętych na Ukrainie i batami przymuszonych do służby Imperatorowej; wyłowili ich szpieguny na Niemnowych przeprawach i siłą pobrali; ci są gotowi na każdy azard, byle się zbawić srogięgo losu, gdyż czeka ich łamanie kołem i pędzenie przez różgi. Trzymają ich w pętach i srogo strzegą. Porozumiałem się z nimi, a uzbroiłem

w krucice i noże, na wszelką okoliczność. Reszta, to przeróżni obwiesie, ultaje i gemejny zdezarmowanych pułków, zwerbowani obietnicami nadzwyczajnych lennów i gorzałką, zaś potem kijami zapędzeni do obozów. Podniosą się również ochotnie, bo im zapachniała wolność. Rozdałem wszystkim po dukacie i markietanowi zapłaciłem, żeby ich obficie pożywiał. Straży niewiele: czterdziestu jęgrów i pięci kozaków, tylko konwojowy oficer wielce szcwany i nie pijanica. Są jeszcze wozy wypchane łubami, pono pełne skarbów złupionych czasu zesztorocznej wojny, a teraz dopiero prowadzone w głąb Rosji; zaś pod osobną strażą koniuchów prowadzą też tabun grzecznych koni. Wozy i konie kwaterują w proboszczowskiej stodole na kowieńskim trakcie. Moich żołnierzów rozstawiłem po mieszczanach, a konie przy rzece. Trojakowski trzyma łodzie w gotowości, boć w każdym wypadku zrejterować nam przyjdzie za Niemni. Mają wyruszyć w stronę Wilna i zaraz po befele—składał akuratną relację.

Ojciec Serafin wypytywał go jeszcze o różności, a Zaręba, przedziawszy się w kożuch Maciusia i zaszadziwszy głęboko na oczy jego baranicę, rzekł cicho:

— Teraz nam jeno czekać znaku Kaczanowskiego. Pójdę na zwiady, prowadź waszmość.

Wzięli się błotnistą, ciasną uliczką na obszerny rynek gęsto obudowany, na środku którego pod wyniosłymi drzewami paliły się biwakowe ogniska i przy nich wiankiem leżeli więźniowie. Tabor wozów otaczał ich wałem, tworzącym rodzaj obronnego szańca, w przer-

wach stali jęrzy z karabinami, reszta zaś żołnierów, ustawivszy broń w kozły, spała pod osłoną wozów.

W oknach domów, stojących do rynku szczytami, powspieranemi na słupach, błyskały światła, sporo ludzi kręciło się w podsieniach i szwargotały żydy.

— Wstąpmy na moją kwaterę — zaproponował Hłasko, prowadząc przez jakąś niską sień do stancji ogromnej i ciemnej, z oknami na rynek. Naprzeciw wznosił się biały, przysadzisty dom, mieszczący austerję. Właśnie przed nią powstawał niemały gwar i bieranina, wszystkie okna rozbłysły światłami, tam bowiem zajechał tabor Iwana Iwanowicza, landary wtoczono w podwórze, a wozy wyciągnięto pod sąsiednimi domami pod strażą spieszonych dragonów. Słyszeć się dawał rozkazujący gniewnie bas Kaczanowskiego.

— Ten w każdej okoliczności brać musi komendę — uśmiechnął się Zaręba.

— Wasza wielmożność pozwoli nakarmić tych nowych? — pytał jakiś głos z głębi.

— Dawaj, co zjedzą i wypiją. To mój gospodarz, człowiek oddany, krewniak Borysowicza z Grodna — dał objaśnienie Hłasko.

— Doskonała sposobność — pomyślał Zaręba, przystępując do gospodarza. — Poczekaj aspan, pomogę ci w robocie. — I poszedł dźwigać wespół z jego parobkiem ciężkie niecki, napełnione chlebem i kiełbasami. Hłasko, zrzuciwszy pychę z serca, poniósł za nimi grzeczną beczułkę gorzałki.

Dragoni zrazu wzbraniiali przystępu do więzionych, lecz, przejednani szczodrym poczęstunkiem, udali

niewidzących i głuchych, maszerując wymierzonym krokiem wzdłuż taboru i zpowrotem, a jeno przynaglając do pośpiechu.

Na wozach podniosła się niemała radość, pokazywały się rozjaśnione twarze, wyciągały ręce, rozlegały mlaskania języków na czujny zapach kiełbas i gorzałki. Zwłaszcza, że nikt zato ręki po zapłatę nie wyciągał. Przypinali się też do jadła, niby wygłodniałe wilki.

Zaręba, penetrując wóz po wozie, odszukał wreszcie Kacpra. Leżał skępowany postronkami, jak baran, ale na znajomy głos uniósł się nieco i jakoby zamarł w zdumieniu, nie dowierając własnym oczom.

— Ani mrumrul Podjedz trochę — zaszeptał, karmiąc go niby dziecko i pojąc.

Chłopak przełykał z trudem, polewając kiełbasę radosnemi łzami wzruszenia.

— Czekaj krzyku sowy... Straże wiązać... zbierać się przy rzece — szeptał i, korzystając, że żołnierz był odwrócony plecami, rozciął Kacprowi sznury na rękach i, wtykając mu krócić i puginął, zdążył jeszcze powiedzieć: „Nie zdradź się!“ Rzucił ogromne pęto kiełbasy na wóz i śpiesznie uskoczył wtył, gdyż żołnierz powracał i przy wozach ukazał się jakiś oficer. Stanął potem w kupie żydów i pospólstwa pod oknami austerji, gdzie się już rozpoczynała hulanka, grały bałabajki, pito, wrzeszczano i śpiewano.

— Teraz wierzę w pomyślny skutek — szepnął Hłasko, przysuwając się do niego.

— Żołnierzom wątpić nie wolno — odszeptał, pilnie zazierając w okna, poza którymi migiała postać Ka-

czanowskiego. Zdał się być sfrasowanym i jakby niespokojnym, tak kręcił się po izbie i ukradkiem rzucał oczyma w szyby, ale, wyszedłszy na dwór dla uczynienia ulgi naturalnej potrzebie, jął sobie pogwizdywać. Zaręba zaświstał umówionym sposobem, na co twarz mu pojaśniała kontentacją i, powróciwszy do kompanji, rozpowiadał coś tak krotchwilnego, że, pokładając się od śmiechów, pili jego zdrowie, niepomierny podnosząc wrzask.

Po jakimś czasie wytoczono ogromną beczkę piwa dla konwojów i pacholy, odbiwszy czop, zaczęły nalewać w kwarty i podawać. Gemejny, snadź trzymane w srogich ryzach, nie tknęli napitku, zezując jeno trwożnie ku oknom i starszyźnie. Czekali na przyzwolenie; dopiero na rozkaz Kaczanowskiego, odsunawszy się w głąb rynku, dalej oficjerskich oczów, wzięli się po swojemu zabawiać. Zwłaszcza, iż Hłasko polecił im dodać antał gorzałki, miodu spory półbeczek i całą solówkę śledzi.

Zasię w austerji oficjerska kompanja zabawiała się coraz huczniej i weselej. Wywarto okna z racji gorąca, porzucano mundury, bałabajki nieustannie wygrywały, tańczowano i pito na umor. Grodzieńskie panny, porożdziewane do koszuli, z rozwiązanemi włosami, bose, pijane, krążyły z rąk do rąk wśród wybuchów dzikiego śmiechu, pisków i siarczystych całowań. Co chwila zrywały się hulaszczce, nieprzystojne piosenki, a do wtóru tłuczono szyby, flachy, bito nogami w stoły i robijano sprzęty. Znalazły się nawet i jakieś oberwane, brudne bosówki, sprowadzone z miasteczka; zmuszano je do picia i nahajami niewolono do pociesznych sko-

ków, pisków i tańców. Austerja trzęsła się już od wrzasków, tupotów i wścieklej hulanki.

Kaczanowski wciąż i niestrudzenie przewodził pijatyce; pił za dziesięciu, najgłośniej krzyczał i, preparując zabójcze mieszaniny z wina, gorzałek i miodów, wnosił coraz to inne zdrowia, przymuszając wszystkich do ich spełniania, jeśli zaś który „z czopowych braci“, osłabnąwszy, walił się nieprzytomnie na podłogę, kazał go brać kozakom na rozpostartą krymską burkę, intonował pijackie egzekwie i, skropiwszy go obficie winnym lagrem, odprowadzano zmorzonego pijaństwem do ciemnej komory, przy sprośnych śpiewaniach, pobrzęku kielichów i jęklivem zawodzeniu bałabajek.

Wkrótce większość kompanji była już nieprzytomna i coraz wrzaskliwiej taczająca się od ściany do ściany. Któryś oddawał na stół, że go tam przyparła potrzeba; inny zaś, wyprężywszy się na środku karczmy, jął grzmiąco komenderować jakoby rotą i rypać krokiem w miejscu, aż natrafiwszy na wystający dyl, zwałił się na podłogę; ktoś znowu w koszuli jeno i hajdawerach, z flachą gorzały w garści, bił pokłony do ściany i przepijał raz po raz; jakiś gołowąs zapalczywie obcinał świece szablą; dwóch starszych wiekiem, o twarzach poznaczonych srogimi plejzerami, obłapiało się nieustannie i, spowiadając się przed sobą z grzechów, płakało nad sobą rzewnemi łzami.

— Powiedz, zem świnia, podlec i wor! — bełkotał jeden wśród nieustającej czkawki.

— Ty mi pluj w twarz i biej w mordul Ty, jeśliś mój przyjaciell — spierał się drugi.

Jakaś dziewczyna w mokrej od wina koszuli, zwinęta w kłębek, spała w kącie na kupie mundurów i rynsztunków, drugie rozwalaly się pijane po ławach lub słycać było ich lubieżne wizgi z bokówki, że izba dawała obraz wielce już obmierzły i wstręt budzący. Tylko jeden Iwan Iwanowicz, chociaż pił za jedno z wszystkimi, trzymał się jeszcze krzepko i, rozgniatając pocałunkami wargi swojej „duszki“, trzymanej na kolanach, bełkotał najczulsze zaklęcia.

— Wytrzymały łeb! — pomyślał o nim Zaręba, spokojnie wyczekujący końca libacji.

Poszedł sprawdzać jej skutki pomiędzy żołnierstwem. Spali już pod wozami i gdzie popadło; jedne warty dawały jeszcze pozór czuwania, bo tu i owdzie drzemał jakiś żołnierz, wsparty na karabinie, lub chodził ołowianym krokiem, senny, z zamkniętymi oczyma, dźwigający się jeno mocą strachu.

Ognie biwaków pogasły, pospólstwo się porozchodziło, okna domostw pociemniały i cały rynek obtulił się w nieprzenikloną noc, cichość i sen.

Zasię na wozach i wpośród leżących przy zagasyłych ogniskach powstawał stłumiony, ostrożny ruch jakby pełzań, szeptów i chrzęstów słomy.

Zaręba, usiadłszy pod kwaterą Hłaski, dawał bacznie na austerję, która już znacznie przycichała, nawet głos Kaczanowskiego rozlegał się ciszej.

Ciemna noc leżała jeszcze na ziemi, zasię jeno na wschodniej stronie niebo zafarbowywało się już perłowemi brzaskami, gwiazdy gasły niby oczy snem zmo-

rzone, koguty zaczynały pisać i od Niemna wstawały chłodne powiewy.

— Ludzie aż dygocą z niecierpliwości — szepnęła Hłasko, stając przy nim.

— Lada chwila skoczymy, tam się dopalają świece i już wszyscy pijani — wskazał karcznię. — Droga na trakcie grodzieńskim przekopana?

— Co tylko meldowali o skończeniu.

Odszedł na swoją pozycję.

— Maciuś! — parob siedział w kuczki, obgryzając jakąś kość — podsuń się do Kacpra i w razie czego daj mu pomoc. Masz tu gorzałki!..

Czas włócił się wolno i świtanie rozlewało się jakoby morzem seledynowych brzasków, że śpiczaste dachy domostw i wieże kościelne zdały się wyrastać i coraz bardziej czernieć na jaśniejącem niebie.

Naraz zahuczał trzykrotnie w ciszy głos puhacza.

Zaręba porwał się w stronę Kacpra, który właśnie, na sygnał Kaczanowskiego, rzucił się z kamratami wydierać broń strażom i wiązać pokonanych.

Wyrwały się wściekłe wrzaski, odgłosy uderzeń i dzikie szamotania. Mirowscy, niby zgłodniałe wilki, wpadli na resztę widet i rozpoczęła się powszechna bijatyka. Z ciemności, zalegających plac, z pod wozów i domów, wybuchały niekiedy straszliwe krzyki, niekiedy charczenia żalosne, głuche stękania przyduszonych, a czasami płaczliwe głosy o zmiłowanie. Ale niełatwo przychodziło zmożenie jęgrów, bowiem wielu, snadź mniej pijanych, zrywało się na pierwszy krzyk i, nie nalazłszy swoich karabinów, broniło się pięściami z po-

nurą determinacją i niezrównaną zawziętością, że w całym rynku zakotłowało się jakby w garnku. Przetaczali się ze strony na stronę i wśród przekleństw i wściekłych rypali się o ziemię, o wozy i ściany, o co się jeno dało. Miasteczko rozbudziło się wystrachane, trzaskały okna, gdzie błysnęły światła, ludzie wybiegali w koszułach, uderzyły baby lamentami, podniosły się płacze dzieci, pieski zaczęły naszczekiwać i ganiać, jak oszalałe.

Nagle gdzieś, jakby przed austerją, zawarczał gwałtownie bęben, bijący na trwożę, a z sieni wypadł Iwan Iwanowicz z szablą w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

— Za broń! Formuj się! — zaryczał ze wszystkiej mocy i strzelił.

Kacper skoczył na niego, lecz nim dosięgnął pazurami, wziął szablą przez łeb i zwałił się na ziemię, on zaś jak stał w hajdawerach i koszułi, dopadłszy dragońskich koni, stojących w podłe karczmy, śmignął na siodło i wraz z paru kozakami pognął ku rogatce, aż iskry posypały się z pod kopyt.

Strzelił za nim Zaręba. Iwan Iwanowicz chwycił się jeno za pośladek i, bijąc konia nogami i płazem, przepadł w ciemnościach.

— Wachmistrz Grodzicki, bierz dziesięciu Mirowskich i gnaj za nim, co jeno pary w koniach i naprzelaż do grodzieńskiego traktu, a jeśli nie zgonisz w pół godziny, powracaj — rozkazał Zaręba i, zlustrowawszy, jako wszystkie pobrane gemejny już w pętach i zawleczone do jakiejś stodoły, zajął się dopiero Kacprem. Przenieśli go pod studnię w rynku i ułożyli na zdobycznych burkach; miał głowę srodze nadłupaną, obfi-

cie krwawił i leżał nieprzytomny. Na szczęście ojciec Serafin, majster od zalepiania plejzerów, opatrzył go akuratnie i wytrzeźwił.

— Wylize się. Żeby nie tak zbliska, byłby mu rozłupał głowę, jak dynię. Nielada gracz z tego Iwana Iwanowicza! Jakże się teraz czujesz?

— Bóg zapłać, niezgorzej. Nawet kija nie miałem w garści — jęknął w konfuzji.

— No cicho, stało się — szepnął Zaręba, obcierał mu zroszoną potem i krwią twarz. — Może zdarzy się okoliczność, to mu oddasz za swoje. Maciuś, konie dawaj! Nie bój się, nie zostawię cię tutaj. — Mości Hłasko, jak tylko pogoń wróci, zbierz Mirowskich i odprowadź, skąd ich wzięłeś, pozwól im po trzy dukaty na głowę, dobrze się sprawili. Waszmości głowa, żebyś się nie zetknął z pogonią. Spotkamy się w Grodnie. Czy aby przeniesie drogę? — spytał szeptem Serafina, wskazując rannego.

— Musi, pojedę z wami. Przyjdzie nam kołować światami dla przepieczeństwa.

Zjawił się Kaczanowski, który, podawszy sygnał napadu, przepadł był gdzieś, aby zejść z oczów swojej kompanji, pytając właśnie, coby z nią teraz począć.

— Znieść wszystkich jak są powiązani do komory, broń odebrać, ale wszystkie bagaże zostawić. Zagrozić pod gardłem karczmarzowi, żeby ich oswobodził dopiero w południe. Nieradzi będą powracali do Grodna. Ale ten Iwan Iwanowicz, jeśli się wymknie, narobi nam bigosu, za jakie trzy, cztery godziny nadciągnie pogoń!

— Nie będę na nich czekał; wsadzę swoich ludzi na zdobyczne konie, i pisz do mnie na Berdyczów — zachwiał się i ledwie nie runął. — Psia twarz, jakoś mnie zamroczyło.

— W nogach błąd, kiedy w głowie nierząd — zaśmiał się uszczypliwie kwestarz.

— Zgaga mnie piecze, djabli, spiłem się czy co? Te, chamie, skocz no do karczmy i przynieś miskę kwaszonej kapusty, najskuteczniejszy to medykament.

— Waszmość nalałeś w siebie, że i beczka nie wytrzymałaby więcej.

— Aleśmy swojego dopięli, a Iwana Iwanowicza wystrychnąłem na dudka.

— Będzie on waści wspominał ze zgrzytaniem zębów! — odezwał się Hłasko.

— I, pogniewał się wójt gdański na króla polskiego — machnął wzgardliwie ręką. — Niechże szuka wiatru w polu. Może waszmość robi przegląd tych drapichrustów.

Zaręba, jako dowódca całej wyprawy, poszedł do ludzi gmerzących się przy ogniskach na nowo roznieconych.

— Formuj się! Frontem, na prost. Marsz! — krzyknął Kaczanowski, jakby na paradzie. Wataha, zemknąwszy się w linje, rypnęła nogami, aż zadygotała ziemia.

— Raz, dwa! Raz, dwa! Stać! — Wparli się w ziemię, jak wryci, przed Zarębą. Roześmiał się, gdyż większość przebrana była w mundury i rynsztunek, pozdierany z gemejnow, wziętych do niewoli, a komu zbrakło

karabina, ten kozacką pikę niósł na ramieniu, nawet dobosze stali na flankach.

— Taka parada ściągnie uwagę.

Nie był zadowolony.

— W łachmanach byli, bez butów i już ich wszy nosiły — usprawiedliwiał się markotny z przygany. — W pierwszym miasteczku każę krawietom ponaszywać obszlegi w naszych barwach i kto tam rozpozna. Prawie na sto chłopów nowy moderunek, to nie bagatela. Konie i wozy wysłałem do przeprawy. Chciałbym się zaszyć w lasy za-Niemeńskie jeszcze przed dniem. Pora mi ruszać!

Wyprawiwszy ludzi do przeprawy, wziął od Zaręby pieniądze na expensa, instrukcję i planty okolic, jakimi wypadało się przedzierać do brygady Madalińskiego, stacjonującej gdzieś nad Narwią, koło Ostrołęki, czule pożegnał towarzyszków i odszedł wielce chwiejnym krokiem.

— Szalona pałka. Nie chciałbym się naleźć w jego skórze — wyrzekł Hłasko i ruszył do Mirowskich, oczekujących na niego gdzieś w ogrodach.

— Kacpra weźmiemy na konia między siebie — kłopotał się Zaręba.

— Coś z nim gorzej, spojrzysz waszmość na niego — szepnął trwożnie mnich.

— Nie zostawię go w Mereczu, będą tu trzęśli do ostatniego bebecha. Wezmę go przed siebie na konia i jakoś dowiozę. Kacper! — pochylił się nad nim, ale ranny nie wydał głosu, poruszył jeno wargami, jakby go opuszczała przytomność.

— Boże miłosierny! Radź, ojczel — Chwycił się desperacko za głowę.

— Wezmę go na swój kwestarski wózek, czeka tu na mnie od wczoraj, i dowiozę prosto na kwaterę podkomorzyny. Trzeba ją tylko uprzedzić.

— Maciuś zaraz pojedzie, ja zostanę z wami.

— Dla bezpieczeństwa pojedę sam, muszę drogi nadłożyć, ale wieczorem stanę w Grodnie. Jedź waszmość w bożą godzinę i nie marudź.—Przeżegnał go na drogę. Zaś prawie o samym wschodzie słońca wyjeżdżał z Merecza kwestarski wóz. Jak zwykle, przodem szły barany prowodyry, ogarniające spore stadko owiec kupionych na pędce, parob kiwał się na koźle, szkapy wlokły się leniwie, a ojciec Serafin, odmawiając pacierze, frasobliwie rzucał oczyma na Kacpra, leżącego pod budą, i często wycierał mu gorzałką nozdrza i twarz. Właśnie brali się z grodzieńskiego traktu na lewo, na polną drogę, wiodącą ku lasom, gdy czerwone, ogromne słońce stanęło na niebie.

.....

XI.

Zarębie udało się z pomocą Bośniaków, należących do sprzysiężenia, przedostać na swoją kwaterę jeszcze przed otwarciem rogatekowych zastaw, pilnie strzeżonych od kozaków. I po paru godzinach odpoczynku, przybrawszy na siebie postać najmłodniejszego z frantów, brząkający pieczętkami a łańcuchami, w chuście na szyi, że mógł się w niej zanurzyć po oczy, w pasiatej weście, w błękitnym fraku, w opiętych białych kulotach, w śpiczęstym kapeluszu, piękny, pachnący francuskimi wódkami, uśmiechnięty, mimo szczerej turbacji o Kacpra, zamierzał pokazać się na mieście dla zwrócenia na siebie uwagi, gdy Hłasko stanął w progu. Sterany był i obłocony, twarz mu jednak pałała wzburzeniem.

— Co się stało?— wielce się zaniepokoił.—Jakaś zła przygoda?

— Jak najgorsza! Każ mi dać jeść. I słuchaj, co mi się przydarzyło! Pognałem z Merecza i spokojnie o samym wschodzie stanąłem na ekonomji, gdzie Mirowscy wypasują swoje konie. Rozdałem dukaty, zaleciłem sekret i zmierzam z chorążym pod jego namiot, żeby się nieco przespać. Wypada z pod niego porucznik Zakrzewski. Czekał na nas od wczoraj: któryś z koniu-

chów doniósł mu o wymarszu dwudziestu pięciu ludzi. Wsiadł na mnie, jak na żydowską kobyłę. Mówię durniowi łagodnie, jako waszmość wszystko mu wytłumaczy. Zbiesił się hebes jeszcze bardziej i kazał mnie brać w łyka. Na szczęście nie przyszło do tego, bo go nie posłuchali. Myślałem, że go szlag trafi, pobił gemejnow i obiecał wszystkich pod sąd hetmański oddać. Daję mu różne racje, przekładam, molestuję, a ten tnie tylko wciąż, jak papuga: król, służba, powinność. Brus to ostatni, tak mi bowiem szpetnie przymówił, że wyzwiałem go na rękę. Cały szwadron ściągnął do Grodna i daję szyję, że poleci ze skargą do króla i hetmanów i powinien złożyć raport. Sprawa weźmie paskudny dla nas obrót.

— Kiep z tego Marcina, nie neguję, ale żołnierz dobry i z wielkiego sentymentu do króla może nam gorącego sadła zalać za skórę. Mniejsza o hazard naszego życia, byle jeno sprawa nie doznała uszczerbku. Jakby zasię wzięli indagować gemejnow a okoliczności, toby się domacali kłębka. Na żywy Bóg, tego dopuścić nie można — mówił głęboko poruszony. — Niema czasu do stracenia!

— Cóż waść zamierza uczynić?

— Muszę Zakrzewskiego powstrzymać od składania raportów, choćby mi przyszło użyć gwałtu. Niema drugiego wyjścia. Jedźmy, konie czekają.

Pojechali na Stary Zamek, będący w zupełnej ruinie, a gdzie na czas Sejmu kwatrowali Mirowscy, pełniący przyboczną straż Króla Jegomości. W bramie, miasto wrótni, zagrodzonej barjerą, stały warty z na-

sadzonymi bagnetami, w długim dziedzińcu, pełnym rumowisk, kupili się żołnierze, jakby coś uradzając, gdyż podnosiły się wzburzone głosy i zaciśnięte pięście.

— Cóż się tu dzieje? — spytał Hłasko wachmistrza Grodzickiego, czekającego na nich.

— Obsadziłem bramę i wszystkie wyjścia, czekam rozkazów pana rotmistrza — zaszutował przed nim. — Byłbym nikogo nie wypuścić — szepnął znacząco. — Wszak tu chodzi i o naszą skórę. Już nas wszystkich brał na spytki.

— Stańże waść przy drzwiach, by nam kto nie przeszkodził... a czuwaj!.

Zakrzewski mieszkał w narożnej baszcie, srodze już spękanej od góry. Zajmował dwie stancje w parterze, urządzone z żołnierską modestją. Właśnie był siedział pod wąskim oknem, koncypując raport, gdy weszli. Porwał się i, na widok przyjaciela, zaczął prędko mówić, nie bacząc na żadne względy.

— Wiesz, co mi rotmistrz narobił? Zbuntował moich żołnierzy i poprowadził ich na zbój! Oficerem jesteś, to rozumiesz, jaki to kryminał napadać w czasie pokoju na sprzymierzone wojska i to pod boki króla i sejmujących Stanów! Gardłowa to sprawal i w mig się rozniesie, ambasador zażąda od króla satysfakcji, a na mnie nieszczęsnym wszystko się skrupi. Ja odpowiadam za szwadron przed królem i hetmanem. Zaraz pójde z powinnym raportem, a waści każe zamknąć na odwachu. — Zaczął się gorączkowo ubierać. — Nie chcę stracić reputacji, nie przeżyłbym takiej osławy! Jezu Nazareński, żeby mnie pomówili o rozbojel! — jęknął

w rozpaczy i, przypasawszy szablę, zmierzył ku drzwiom. Zaręba stanął przed nim.

— Nie ruszysz się stąd krokiem bez naszej woli.—
Głos mu świstał, jak brzeszczot.

— Co to jest? Gwałt! Puść mnie, mam sprawę z rotmistrzem Hłaską. Ustąpi!

— Cicho bądź! Pogadajmy po przyjacielsku. Ze mną masz sprawę, bo ja dowodziłem ekspedycją, rotmistrz spełniał moją komendę. Powiem ci rację...

Marcinowi z gwałtownego wzruszenia odjęło na chwilę mowę, stał sparaliżowany.

— Posłuchaj, w czym rzecz, a potem postąpisz wedle dyspozycji serca i rozumu.

Ale snadź nie przekonały go racje i względy, jakie mu obszernie wykladał, bo wciąż się zaperzał, machał rękami, słuchać nie chciał i przerywał, powołując się na swoją powinność, króla, hetmana i honor, kiedy zaś wkońcu Zaręba zażądał od niego poniechania raportów i puszczenia wszystkiej przygody w niepamięć, Marcin, że raptus był i uparty w raz powziętej myśli, a oddany królowi, wyrwał szablę z pochwy i zakrzyzczał:

— Rotal! Do mnie!—I rzucił się do drzwi, ale dwa gołe ostrza zagroziły mu drogę, a wytrąciwszy szablę z rąk, zmierzył ją jadowicie w serce.

— Milcz! Daję ci słowo honoru, że nie wyjdiesz żywy, jeśli natychmiast nie dasz kawalerskiego parolu, jako całą okoliczność zachowasz w najgłębszym sekrecie. Wybieraj!—dyktował Zaręba z ponurą determinacją, że Marcin, acz był mężnego serca, odskoczył wtył, krzycząc protestująco:

— Rozsiekajcie, a króla nie zdradzę... rozsiekajcie...

— Ojczyźnie powinienes więcej, niżli królowi! Wybieraj, to nie krotchwilal!

Aż widząc niechybną śmierć, dał uroczysty parol na tajemnicę. Mało jednak dwadzieścia razy musieli mu przysięgać, jako postąpił słusznie, nie uchybiając swojej czci i powinnościom wobec króla.

— Szczęściem, dzisiaj na zamku i w sejmie ma swoją kolej gwardja Litewska, bo nie śmiałbym spojrzeć w oczy Najjaśniejszemu Panu — szepnął takim sfrasowanym głosem, że Zaręba, ucałowawszy go, rzekł pocieszająco:

— W swoim czasie król się dowie i za ten właśnie postępek posunie cię w szarży. Jeszcze mi podziękujesz. Załagodź gemejnowi! Muszę się śpieszyć na miasto.

Hłasko tylko z nim pozostał i, podjadłszy sobie należycie, położył się do jego łóżka.

Zaręba kazał jechać do podkomorzyny, chciał prosić o schronienie dla Kacpra. Dzień był niezmiernie upalny; słońce lało żary i blaski ślepiące; od murów buchało jakby z pieca ognistego, prażyły bruki, a rozpalone powietrze oblewało żywym ogniem. Miasto przybrało pozór wymarłego, ulice były puste, drzwi sklepów poprzywierane, zaś okna od strony słońca pozawieszano czem kto mógł, nierzadko jakąś kiecką, lub brudnymi płachtami.

— Dobre żniwa mają latoś w Grabowie! — wystrzelił naraz Maciuś z kozła.

— Głupiś! Poganiaj prędzej! Zapachniały ci, widzę, dożyńki.

Maciuś jeno westchnął i, odbijając na koniach swoje tęsknice, ruszył z kopyta.

Trafili na cale tkliwą scenę u podkomorzyny; na środku ogromnej sieni dwóch pacholków siedziało na trzecim, czwarty sypał siarczyste bizuny leżącemu, a marszałek domu, Rustejko, pykając lulkę, flegmatycznie liczył odmierzane plagi, przekładając je, niby płastrem, pocziwemi sentencjami:

— Trzydzieści pięć... Boga wzywaj, a ręki przykładaj, leniu jeden... trzydzieści sześć... Nawet w Piśmie napisano świętem: Duch Święty, panie dziu, rózeczką bić radzi... trzydzieści siedem... różdżka nigdy nie zawadzi... trzydzieści osiem... ale tobie, chamie, persadować, to jakby, panie dziu, „imbrem in cribrum gerere“. Czterdzieści! basta. Sługa porucznika. Masz szczęście, ultaju, dziesięć odlewanych ci się upiekło. Po-całuj boćka i do roboty! A nie rycz mi tutaj...

Zaręba, nie cierpiący takich domowych egzekucyj, przeszedł śpiesznie na pokoje. Dopędził go zaziąjany Rustejko.

— Zawiadomiłem podkomorzyne, jeszcze w sy-pialni. Możeby piwa kazać dla ochłody? Gorąc, panie dziu.—Obcierał spoconą łysinę.—Mam utrapienie z tem ultajstwem, że niech Bóg broni. Jak nie przemówić do nich batem, nie rozumieją. Niechże porucznik, panie dziu, siada! Cóż, kiedy moja kuzyna rozpuściła ich, niczem dziadowskie bicze. Szkoły każe dla nich zakładać i na prawie czynszowem osadzał. Słyszane to rzeczy! — za-łamał ręce, stając niby posąg boleści. — Świegocą tam w główce, mój dziu, wróbelki, świegocą! Każdemu po-

wiadam: kij to najlepszy dla nich nauczyciel! Ale teraz w modzie wolności, rewolucje i jakieś tam filozofje! A są już i takie głupie sawanty, co i o równościach z poddaństwem perorują!

— Dziękuję, właśnie należę do tego rodzaju — wyrzekł złośliwie, ale Rustejko, niezbity z pantałyku, chytrze przeszedł na inne materje, wyciągając długą litanję przeróżnych utrapień i anegdot, powtarzanych co dnia wkółko. Aliści na wejście kniaziówny Kisielówny, zniknął i wyniósł się prędko. Kniaziówna, jakaś powinowata podkomorzyny i odwieczna rezydentka, chuda i skrzywiona niby pogrzebacz, z twarzą również haczykowatą, śniadą i starej wronie podobną, przybrana była modą z czasów ostatniego Sasa i pachnąca laren-dogą, pomieszaną z kamforą. Z niemałym majestatem czyniąc honory domu, poprowadziła go na dalsze pokoje, pełne klatek z ptactwem i przeróżnych piesków, rozwalających się po krzesłach i kanapach; całe to bractwo, na jej widok, podniosło niestychany wrzask. Zatkął uszy, obzierając się za jakimś ratunkiem.

— Snadź porucznik nie uwielbia bożych stworzeń — szepnęła nikłym głosem.

— Owszem: na różnie, w bigosie i potrawach; gotowane, pieczone i wędzone. Na żywo mniej sobie w nich smakuję — zaśmiał się rubasznie.

— Szkoda, jako w obozach nie perfekcjonują się tkliwsze sentymenty! — zauważyła z gryzącym uśmieszkiem, przygarniając do serca obrzydliwie spalone psiska.

Zbawił go od kłopotliwej odpowiedzi pajuk, zapraszający do podkomorzyny.

Zastał ją jeszcze w ogromnem łożu z mahoni, jakoby w łodzi cudnie rzeźbionej i na srebrnych gryfach wspartej, pod szkarłatnym pawilonem, podtrzymwanym przez złożonych amatorów. Złotawe przesłony okien i obicia ścian rozsiewały wdzięczne brzaski, w których podkomorzyna jawiła się piękną, jak nigdy. Leżała ledwie nie obnażona do pasa i już zbrojna w rynsztunek lubych powabów — wyblechowana i zrumieniona gdzie trzeba; z pod misternego czepeczka wymykały się na śnieżystą poduszkę figlarne skręty włosów, jarzące oczy i nabrane krwią wargi obiecywały raje, zaś złotawa jedwabna kołdra należycie kusząco zdradzała zarysy jej bujnych kształtów. Zdała się być pochłonięta oglądaniem jedwabów, koronek i haftów, stożących się na kobiercu. Handlarz, klęczący przy otwartych łubach, podawał coraz piękniejsze i zachwalał ogniście. Murzynek stał przy wezgłowie z poranną czekuladą i biszkoptami, wyszczerzając olśniewająco białe zęby.

Ujrawszy wchodzącego porucznika, udała zażenowaną i, osłaniając skrzyżowanymi ramionami piersi aż nadzbyt widne i wydatne, odprawiła wszystkich, a podając mu ślicznie uformowaną rękę, kazała usiąść jak najbliżej.

Wyluszczył cel swoich odwiedzin, a zniewolony naleganiami, opowiedział ewenta nocnej wyprawy. Zamilczał jeno przejście z Marcinem.

— Cały dom do rozporządzenia waćpana — zdeklarowała gorąco — wszystko, bierz co chcesz, rządź jak u siebie. Tylko w żołnierzu widzę miarę człowieka! — wołała, sławiąc bohaterstwo, walkę, bitewne zamęty; nawet krzyki zabijanych miały dla niej upajającą me-

lodję, zaś gwarne życie obozów, pochody i niebezpieczeństwa uważała za raje. Emocjonowała się tak namiętnie, że jej bosc nogi wysunęły się z pod przykrycia, oczy zagrały najcudniejszemi blaski, a całą przejął war krwi wzburzonej... Ponościło ją, jak szlachetnego rumaka ponosi echo trąbki bojowej. Nie znał jej takiej i z uwielbieniem patrzył w jej twarz rozognioną, co jej tak uderzyło do głowy, iż pochwyciła go za rękę, ledwie już hamując miłosne zapęły, nagle wzbudzone.

Niemąło przecierpiał, by się nie dać pokusom i siedzieć niby pień, głuchy na jej szept, lejące żary, spojrzenia pełne całunków, dotknięcia parzące ogniem, ruchy omdlałe i owych miłosnych pieszczot nieme a wyraziste obietnice.

Udawał, jako nie pojmuje tej mowy amatorów, gapia czyniąc z siebie z rozmysłem. Aż pełna głuchego wzburzenia i zawiedzionych nadziei, zadzwoniła na służbę.

Jakby za karę musiał jeszcze asystować przy ceremonji fryzowania i czesania włosów, nie puściła go od siebie nawet w chwili, gdy pokojowe wkładały na nią suknie, poczynając od koszuli; dzielił go tylko niski parawan, nie broniący cudnego widoku. Wytrwał, ale poczerwieniał, jak toruńska cegła, i był cały w potach.

— Musi być dzisiaj upał na dworze? — szepnęła, zagryzając usta ze złości.

— Nadzwyczajny! — upewniał tonem, że roześmiała się udobruchana i, rozumiejąc go onieśmielonym wobec siebie, zapragnęła urobić powolnym.

— Zjemy razem obiad, zaś na podwieczorek za-

wiozę waćpana do hetmanowej Ożarowskiej, tam się ochłodziśz. Pozwól proszę, chusta na szyi rozwiązana...

Wparła się w niego piersiami, lubując jego skłopotaniem i rumieńcami.

Ale przystał jeno na podwieczorek, gdyż odpowiadało to jego intencjom i dzisiejszej sytuacji, aby się wszędzie wystawiać na oczy.

Odjechał, klnąc w żywe kamienie, i pomimo szalonego upału włóczył się po bilarach i traktjerniach, pilnie nasłuchując, zali nie mówią o Mereczu?

Snadź jeszcze się było nie rozniosło, gdyż wszędzie rozprawiano z niemałym zaciętrzewieniem o pruskich materjach, jakie lada dzień miały być deliberowane na sejmie, o co już usilnie zabiegał Buchholtz, jego kreatury, a szczególnie jej talary.

— Podhorski z Józefowiczem wczoraj sporo przegrali do Bielińskiego, znaczy jako król pruski ekspensuje się już nie nadarmo — szeptał na ucho sąsiadom u Sułkowskiego jeden z wszystko wiedzących, szlachcic z pod Oszmiany, Jankowski.

— Kto się ośmieli na Sejmie przemówić za traktatem pruskim, tego wziąć na szable!

— Najjaśniejsza aljantka ukróci te pruskie łajdactwa, zobaczyciel!

— Żeby sama mogła się więcej obłowić.

— Bzdurum badurum, mój dobrodzieju! — ozwał się lekceważąco Jankowski. — Kossakowski właśnie kartuje połączyć całą Litwę z Rosją i przy jej pomocy wybić Prusakom zęby i odebrać, co zagrabili, a koronę w independencji utwierdzić!

Wrzawa buchnęła przy sąsiednim stole gęsto obiadłym i ktoś powiedział złośliwie:

„Szukszta, Pukszta, Puciata, Łopatta.

„Zebrały się kpy z całego świata“. — Uderzył pięścią w stół i ruszył ku drzwiom, nie bacząc na powstałe obrazy, groźne twarze i jeszcze groźniejsze słowa, świszczące jak kamienie. Odwrócił naraz głowę i rzekł wyzywająco:

— A kogo moje słowa swędzą, nazywam się Ruszczyk i jestem do usług waszmościów w kamienicy pocztamtu, gdzie kwatruję. — Zatoczył dumnie oczyma.

Kłótnia powstała z racji polityki, ale Zaręba już nie czekał końca i wkrótce się znalazł wraz z podkomorzyną w ogrodzie pani Ożarowskiej, gdzie pod olbrzymim tureckim namiotem, ustawionym wśród drzew, zebrała się wybrana socjeta. Tam już mówiono o Mereczu, podając sobie na ucho nowinę, szczerze przysięgając z przygody konwojowych oficerów. I uważano to zajście za zwykłą awanturę.

Jeden tylko regimentarz Ożarowski, człowiek stary, przebiegły i w licznych kabałach wyćwiczony, inaczej miarkował, bo rzekł do Ankwicza, stojącego z Woyną:

— To mi załatuje czemś znacznie ciekawszem.

— Za zbiegami poprowadził kozaków von Blum, ten im zada bobu. Nie wiem, czyli już ich batami nie zawraca — ozwał się jeden z przybocznych oficerów hetmana.

— W paru dniach ujawni się cała prawda! Nie psujmy sobie przyjemności — zawyrokował Ankwiczyk, ujmując pod rękę Woynę, z którym od pewnego czasu

pozostawał w zażyłości. Posunęli się do margrabianki Lulli, gęsto otoczonej, namiętnie admirowanej, cieszył się pono jej łaskami, o czym już szeptano powszechnie.

Jakoż i nie mówiono więcej o Mereczu, socjeta nazbyt była zaabsorbowana sobą i siurpryzami podwieczorku.

Pod namiotem zaczął właśnie grać na klarynecie jakiś gruby Niemiec w białej peruce: biegle przebiegał tłustymi palcami, a dmuchając w instrument, aż mu pęczniały czerwone policzki, wyciągał tkliwe trele, gwizdzące fiorytury i jęklliwe arjety; darzono go rzęśnistymi aplauzami, gdyż był protegowanym Sieversa i często grywał w jego prywatnym apartamencie. Większość jednak towarzystwa, przekładając swobodę, rozproszyła się po chłodnych, zacienionych altanach, szpalerach i boskietach. Zewsząd słyszeć się dawały rozbawione rozmowy i wybuchy śmiechów.

Zaręba, czując się niedysponowanym, miał ten podwieczorek za ciężką powinność, gdyż nudziła go socjeta, muzyka przyprawiała o mdłości, zaś miłosne gruchania za jedno z dyskursami polityków rozdrażniały do żywego. Mężnie się jednak wystawiał i, pokazując twarz wesołą, motylkował przy damach, sypiąc im kwieciste dusery i napuszone komplementy. Tak był ściągwał uwagę urodą, dowcipem i swoją niepokalaną francuszczyzną, aż pani Ożarowska wzięła go pod swoją szczególną opiekę. Wypocił się biedak za wszystkie grzechy, lecz na stanowisku wytrwał, zyskując u niej niemałe awanse...

Ulitował się nad nim Woyna i, wyrwawszy z tej opresji, odprowadził na stronę.

— Uwzięła się na ciebie ta stara wysiedziana kanapa.

— Obiecuje mnie protegować do hetmańskiego sztabu—zaśmiał się.

— Ta szarża zbyt drogoby cię wyniosła. Baba całkiem zjełczała. Miłosnych praktyk ma jednak wielką eksperjencję. Niejeden mógłby o tem powiedzieć...

— W sam razby jej przystać do jakiego regimentu na markietankę.

— Wieczorami grywają u Ankwicza. Chcesz wziąć się za bary z fortuną?

— Zali mi starczy amunicji do takiej walki! A przytem wysokie to progi...

— Pełny worek zapełnia najgłębsze przepaści; faraon równa lepiej stany, niżli to myślą filozofowie! Cóż się to za burda stała w Mereczu?

— Słyszałeś — umknął z oczyma. — Szczegółów nie wiem.—Zdziwił się pytaniem.

— Człowieku, jak ty masz zawiązaną chustę na szyi? Gdyby to spostrzegł Ankwicz lub Narbutt, a byłbyś skompromitowany i ogłoszony sankiulotem.

— Nie ważę ja sobie żadnych opinii tych Muscadins.—Widziałeś szambelanową?

— Nie przyjechała. Snadź odprawuje w domu żalobę po Zubowie—ani przeczuwał, jak to zabolalo Sewera. — Nie uważałeś, w jak czulej komitywie kasztelan z Cycjanowem? Zwraca to nawet uwagę i różne domysły powstają z tej racji.

— Jestem w niełasce u kasztelana i widuję go tylko zdaleka.

— Pójdiesz do Ankwicza? Zagrąlibyśmy do motji...

— Ktoregoś dnia poproszę cię o wprowadzenie.

Ale — pochylił mu się do ucha — gdybyś ułowił coś ciekawszego względem awantury w Mereczu, zapamiętaj i powiedz. Sekretu proszę i sekret zapewniam.—Zawierzył jego pocziwości.

— Zrozumiałem odrazu, jakoś tej sprawie bliski. Dobrze, właśnie nigdzie jak u Ankwicza lepiej się nie dowiem—zapewniał, wyciągając rękę, gdyż zbliżyła się majestatycznie podkomorzyna z nieodstępnym murzynkiem.

— Uważaj, żeby dzieci nie były w czarno-białą kratkę lub w paski!—rzucił ze śmiechem.

Było już po zachodzie, niebo stanęło w purpurowych łunach, co zapowiadało upał na jutro i wiatr, i zmierzch już rozpetzał się po ziemi, gdy odjechali do domu.

Zaręba pilił do powrotu, w nadziei, że już tam zastanie Kacpra.

Nie było go jeszcze. Cekał natomiast na podkomorzną jej główny plenipotent dóbr, leżących w kordonie cesarskim, Siedlecki, szlachcic chuderlawy, miernej postawy, z rzadką bródką i w okularach; nosił się po polsku, w mowie był powściągliwy i z oczu patrzała mu pocziwość i rozum. Zamknęła się z nim w kancelarii, pozostawiając Zarębę na złośliwe przycinki kniaziówny, anegdoty Rustejki i piski domowej menażerji. Ścierpiał, zajęty wyczekiwaniem daremne, i pozostał jeszcze na wieczery. Przeszła dosyć wesoło, dzięki Siedleckiemu, który okazywał się być człowiekiem gładkich manier i rozległej nauki, nabytej w Krakowskiej Akademji. Sro-

gie ewenta losów pozbawiły go fortuny, dając wzmian szersze objęcie życia, dowcip i słodką rezygnację. Rozповідаł ucieszne zajścia Galicjan z cesarskimi urzędnikami, a szczególnie jak sobie poczynął z nimi głośny wojewodzie Gozdzi. Przyczem całe nie respektując austriackich rządów, lecz jakie sam wyznawał opinie, nie zdradził się, mimo macań Zaręby. Również o dziesiątej odprowadził go Rustejko na spoczynek, gdyż był upalił jednym tchem drogę z Krakowa.

Podniósł się również i Zaręba do odejścia. Nie puściła go i, zaprowadziwszy do kancelarii, wskazała rozłożone rejestra.

— Zlituj się waćpan i pomóż! Gdzież ja biedna białogłowa uradzę takim liczbom! Rabują mnie, oszukują i pewnie do nędzy przywiodą, bo niema się komu ująć za sierotą i zatroskać! — lamentowała, lecz gdy nolens volens zasiadł do sprawdzania, z wielką biegłością pomagała, zdradzając niepowszedni rozum i doskonałe rozumienie ekonomji. Skończył o pierwszych kurach, znalazłszy wszystko w porządku co do jednego grosza. Podziękowała mu z wylaniem i godnie, jeno utyskując powściągliwie nad swoją nieudolnością zarządzania wielką substancją.

Był tak znużony i wyczerpany przygodami poprzedniej nocy i dnia, że oddał Maciusiowi lejce i zadrzemał, pomimo wybojów i podrzucań karjolki. Nie zauważył nawet powiększonych wart i patrolów, snujących się po mieście. W domu już go czekało wezwanie do Działyńskiego, więc za ledwie przedzwoniono u Bernardynów na prymarję, musiał się śpieszyć do

pałacu Ogińskich. Już tam na niego czekał szef wraz z Jasińskim i A. Kosińskim, „wojennym komisarzem” Prozora. Zasadził ich do wygotowywania instrukcji dla rozjeżdżających się delegatów, względem sposobów prowadzenia zapasów i ludzi, punktów koncentracyjnych i uzbrajania chłopstwa. Osobno szły katalogi dworów, oddanych sprawie w poszczególnych ziemiach, rozłożenia wojsk nieprzyjacielskich, linii komunikacyjnych i poczt. Wszystko bowiem przewidywało powstanie na początek września. Zasię generalną plantę insurekcji koncyptował Kościuszko w Lipsku wespół z Potockim, Kołłątajem, Weyssenhoffem i drugimi, on też miał zdecydować dzień i miejsce wybuchu.

Pracowali całe trzy dni, pomimo nadzwyczajnych upałów, zamknięci w niewielkiej komnacie pałacu, żywiąc się byle czem i sypiając na rozciągniętych burkach. Sam Działyński obsługiwał ich ze swoim ordynansem, nie omieszkując parę razy na dzień przynosić i wieści, co się dzieje w mieście i na sejmie. Jakoś zaraz pierwszego dnia odraportował nowiny, krążące o Mereczu.

Wtedy Zaręba przyznał się do swojego udziału, opowiadając wszystkie okoliczności. Nie w smak to poszło Działyńskiemu, Kosiński aż poczerwieniał z uciechy, a Jasiński, niezupełnie obcy tej awanturze, że miał żywą imaginację, zawołał z uniesieniem:

— Waśby gotów wykraść całą armję Sieversowi!

— Gdybym dostał rozkaz — odparł nie bez przechwałki. — Muszę oddać sprawiedliwość Kaczanowskiemu, jego to głównie zasługa.

— Tenby djabła wyprowadził w pole. Byłe jeno nie wpadli na jego tropy...

— Podziwiam, admiruję kawalerską fantazję, ale nie pochwalam! — krzywił się szef.

Nie było czasu na dłuższe deliberacje w tej materji.

Ale na drugi dzień po południu wpadł Działyński wielce zgorączkowany.

— Wiecie? Oficerów konwojowych zdegradowano, a gemejnów puszczają przez różgi. Mówią już o Kaczanowskim. Rautenfeld wściekły już latał w tej sprawie do Sieversa. Hetman Kossakowski posłał szwadron w pomoc Blumowi, a na swoją rękę całą sforę szpiegunów rozpuścił. Gotów wyłowić tych biedaków, a przez nich i dobrać się do twojej skóry, poruczniku. — Zatrośkał się o niego.

— Tanio mnie nie wezmą — odparł, niemile dotknięty przypuszczeniem.

Działyński jednak nie przestał się kłopotać jego bezpieczeństwem, gdyż po skończonej pracy i przed samym odjazdem z Grodna znowu powiedział:

— Radzę ci, pakuj manatki i wyjeżdżaj. Rautenfeld powiedział, jako nie spocznie, dopóki nie wyśle na Sybir Kaczanowskiego i spółników. Doniósł mi o tem Mirosławski, on to wie od Ożarowskiego. Masz moją permisję, przyczaj się na ten miesiąc gdzie na wsi, w Koronie, zresztą, nie będą cię śmieli napastować.

Zaręba rozumiał niebezpieczeństwo swojej sytuacji, lecz bez wieści o Kacprze ruszyć się z Grodna nie chciał, a na te wiadomości czekał już szósty dzień

i coraz bardziej się niepokoił. Niemniej trwożył się i własnym losem, więc zaraz po wyjeździe szefa zaczął się pokazywać, gdzie tylko było można. Poszedł zuchwale na obiad do Sieversa, nie bez wstrętu obcując z najpodlejszymi jurgieltnikami. Zabiegał o fawory pani Ożarowskiej, towarzysząc jej wiernie na promenadach. Postarał się o inwitację margrabianki Lulli, gdzie bywało niewielu, gra szła wysoka i panowały maniery, godne królewskiej gamratki. Stał się domownikiem hr. Camelli, u której zbierały się szumowiny awanturników wszelkiego autoramentu, panował Litlplaye, gospodarzył Boscamp, a uświetniał niekiedy Sievers, wielbiciel jej cudnego głosu. Odwiedził nawet któregoś wieczora Cycjanowa na Horodnicy. Pułkownik wydał się być serdecznym, jak zawsze, częstował czajem, zwierzał się ze swoich amorów i nowej zgody z Izą, lecz ostrożnej wzmianki o Mereczu jakby nie dosłyszał. To go zastanowiło. — Coś podejrzewał — myślał, nadarł się próbując odczytać prawdę z jego błędnych, jakby ugotowanych oczu i życzliwej twarzy. Znalazł się i na niedzielnej przyjęciu biskupa. I znowu się zatrwożył, gdyż Kossakowski, jakoś szczególnie go wyróżniając, kazał mu się przy sobie i obcesowo rozpytywał, co mówią na mieście o Mereczu. Patrzył przytem tak przenikliwie, jakby się czegoś dorozumiewając. Zadygotał pod temi oczyma przyczajonego bazyliuszka, lecz, odzyskawszy rezon, powziął zuchwały plan wywieżenia go w pole. Ale zaczął ostrożnie, kołując.

— Słyszałem o tem zdarzeniu tyle wersyj, że nie wiem, której dać wiarę.

— Nic dziwnego. Zaniepokojona powszechność snuje przeróżne ambaje, szuka winnych i żąda ich mieć ukaranymi. Napaść na wojska Imperatorowej, to nie-mała rzecz. Zrabowali przytem skarb rosyjski na kilkadziesiąt tysięcy dukatów! Znasz może niejakiego Kaczanowskiego, kapitana? — zaindagował znieacka.

— Tyle, że wiernik to Działyńskiego, gracz, pijanica i oczajdusza.

— Przecież Działyński na zbój go nie posłał — oburzył się.

— Anibym śmiał suponować; powiadam, jakim znam Kaczanowskiego. To nie jego sprawka. Ale mówią dosyć zgodnie, że całą awanturę ukartowali werbownicy króla pruskiego. Nie zdaje mi się to podobnem do prawdy...

— Werbownicy króla pruskiego — zastanowił się poruszony. — A wiesz, ta wersja nie jest bez sensu. Nad tem należałoby się zastanowić.

— Bywało, jako w Warszawie wykradali gemej-nów prosto z koszar — podsuwał chytrze. — W transporcie było podobno przeszło sto chłopów, to rzecz łakoma dla werbowników i nie mała fortuna. Król pruski nigdy nie żałował ekspensów na żołnierzy. Chytrze umyślili całą rzecz, podając w podejrzenie innych.

— A może o Kaczanowskim zmyślili dla zamydlenia oczów? — próbował bronić.

— Wyjechał z Grodna wraz z konwojowymi oficerami, jako ich kompan i towarzysz broni, spośród wszystkich w Mereczu, a podczas napadu gdzieś się zapodział...

— Weźmie za swoje, jeśli go dostaną — zauważył zimno, patrząc mu w oczy.

— I słusznie, a nigdy za mało. Za jego przyczyną odwleczę się znowu wymarsz wojsk rosyjskich — powiedział udanie bolejącym głosem. — Sievers będzie się zaślaniał potrzebą ugruntowania w kraju bezpieczeństwa i spokojności. Zabiłeś mi jednak klina tymi pruskimi werbownikami. Cóż w tym względzie wiesz jeszcze?

— Że i Buchholtz nieobcy tej kabale — brnął coraz zuchwalej — pono w ostatnich czasach głośniejsze zabrzęczały w Grodnie pruskie talery...

— To już czysta plotka. Król pruski nie znajdzie u nas swoich popleczników, choćby i rozpuścił skąpego worka — oburzał się, pociągając go za język w tę stronę.

— Już ich nazywają... Ktoś nawet puścił na miasto ich katalog...

— Niegodne oszczerstwa, jak i tyle drugih. Bym wiedział nazwiska tych Katonów, podających najgodniejsze imiona w swoich podłych paszkwilach, dałbym wiele — spojrzał oczekująco. — Dałbym bardzo wiele. Nie miarkujesz, kto to być może?

— Jako żywo, nie widziałem jeszcze na oczy żadnego literaty — wypierał się najszczerzej.

— Pewnie jakiś szczekacz z kołtąjowskiej kuźnicy — udobruchał się prędko i, podając mu rękę do pocałowania, spytał wielce przyjacielsko: — Kiedyż cię zobaczę w mojej kancelarii? Jakoś ci niepilno do pracy. Smakują hulki, amory, karteczki, co? Mówił mi Woyna,

jak się tu wisusujesz! — śmiał się, grożąc mu palcem. Przyobiecał w paru dniach stawić się do jego rozporządzenia i odszedł, przysięgając sobie najsolenniejszemu nigdy już w życiu nie przestąpić progów jego pałacu.

I peregrynował dalej po miejscach wszystkich zebrań, zabaw, hulank i kompanjach, zatrudniających się kartami, i gdzie się tylko spodziewał posłyszeć o Mereczu, tak go bowiem przeżerały niepokoje o losy Kaczanowskiego, Kacpra i tylu odbitych gemejnow. Pełno go też było wszędzie i głośno, ku zdziwieniu znających jego wyniosły, surowy sposób myślenia i gorący patriotyzm. Zelanci, z którymi spotykał się niekiedy u Zielińskiego, bądź u podkomorzyny, nie szczędzili przygan, znajdując jego hulaszczy sposób życia całkiem niewłaściwym.

— Kto się zadaje z plewami, tego świnie zjedzą — rąbnął wręcz Krasnodębski.

— Bo z jakim się wdajesz, takim się stajesz! — dopowiedział Skarzyński, z ojcowską zgołą powagą przestrzegając przed ufrakowaniem modnie ultajstwem.

Że nie mógł zdradzić się z powodów, podziękował im za rady, nie obiecując zresztą poprawy, i nurzał się dalej we wszystkich kałużach grodzieńskiego życia, wyczekując z coraz większą gorączką powrotu Kacpra, lub jakiejsz wieści.

Ktoregoś dnia, po ciężkiej walce z sobą, odwiedził dom kasztelana.

W bawialni zastał jeno Terenię i Marcina; porucznik siedział na środku rozkraczony i z wyciągniętymi przed się rękami, czyniąc z nich jakoby motowidło,

osnute żółtą, jedwabną przędzą, którą Terenia związała na kłębuszki.

— Proszę, waćpan przypomniał sobie o nas! — przycięta z miejsca. — Nie tłumacz się, wiemy, jakżeś zatrudniony po balach i asambalach, wiemy!..

— Mało jeszcze pułkownikównie mieć jednego porucznika w załodze? Każdy szuka lepiej, gdzie mu się je widzi należeć. Nie płakała za mną waćpanna?

— Zato inne gorzkie łzy ronią, jeśli cię co dnia nie zobaczą — trzepała, nawijając nici z wielką biegłością. — Wszystkie damy rozповідаją sobie na ucho o twoich amuretkach, przygodach i triumfach! Marcin, bo dostaniesz po łapach — groziła za jakiś niewinny zgola rękoczyn Zakrzewskiego.

Zjawił się szambelan w zwykłej asyście Kubusia, leków, szalów i jęklivych utyskiwań, witając go jednak z ostentacyjną serdecznością. Wkrótce przysła i kasztelanowa, smutniejsza niżli zwykle, cichsza, bardziej zadumana i wpatrzona w jakieś zaświatowe dalekość, a za nią sunął biały cień Hiszpana, straszącego twarzą bładą jak papier, przepaściami czarnych oczu i pozorem wskrzeszonego Piotrowina. Zaczem o samym zmierzchu, gdy liberja pozapalała pająki, ukazała się dopiero Iza. Zaręba omal nie krzyknął ze zdumienia, tak mu się wydała dziwnie przemienioną — szła spowinięta w melancholiczne, tkliwe uśmiechy i w powłóczyste, cienne szaty, z oczyma mniszki w godzinę niebiańskich widzeń, a tak cudna, wzniosła i porywająca, że wszystkie spojrzenia padły przed nią w niemem uwielbieniu.

— Ty cudzie jarmarczny! Ty kłamne bóstwo! Ty

żołnierska Afrodito! — mówił jej wzgardliwemi oczyma Zaręba, ale chociaż mu było śpieszno, pozostał u nich na cały wieczór. I z niepomierem zaciekawieniem przypatrywał się Izie, oddającej się teraz rzeczom wyższego rzędu, dysputom z mnichem i kasztelanową, rozważającymi zawiłe ustępy pism św. Teresy.

— Przedziała się w teologję, jak w modny strój — szepnął Marcinowi, ale ten poza Terenią nie widział, co się dzieje dokoła. Rozciekawiał go również szambelan, jego złośliwe spojrzenia, ciskane na żonę i mniacha, i częste wybuchy dyskretnych śmiechów. Snadź zabawiał się tą komedją, odgrywaną z niemałą sprawnością i uroczystem przejęciem. Ale miarę jego dzisiejszych zdumień wypełnił kasztelan, który, przyszedłszy na wieczerzę, podał mu rękę, jakby pomiędzy nimi nic nie zaszło, nie dotykając nawet tej materji, a dopiero wychodząc, zwrócił się do niego:

— Matka molestowała w liście, bym cię przynaglał do opuszczenia Grodna. Tęsknią za tobą w domu.

Słowa tak były wymówione, że musiał je zrozumieć jako ostrzeżenie przed jakimś niebezpieczeństwem. Wziął je pod głęboką rozwagę i, zanurzywszy się znowu w miasto, poczuł niechybnym instynktem spiskowca i żołnierza, jako włóczę się za nim jakieś podejrzone persony. I nie marszałkowska to była policja, gdyż awantura w Mereczu nie podlegała jej jurysdykcji, a przytem już spadała z wokandy publicznej uwagi, pochłoniętej aktualnie stokroć ważniejszą kwestją traktatu z Prusami. Mogły więc tylko za nim tropić ambasadorskie ogary, to zaś groziło porwaniem i wywiezie-

niem Bóg wie gdzie. Że się nie mylił, przekonało go akuratnie zajście z von Blumem na wieczorze u hr. Ankwicza, gdzie się znalazł jeszcze tej nocy.

Przyszwał dosyć późno, gdy już grano we wszystkich salonach, i pierwszą osobą, jaką zobaczył, był von Blum, który zrazu jakby go nie spostrzegł, ale po jakiejś chwili zbliżył się z serdecznymi powitaniem, a odprowadziwszy na stronę, zwierzył się ze swojej pogoni za zbiegami. Dawał rozumieć, jako nie nazbyt następował im na pięty i pozwolił ująć, wynosząc przytem dzielność i spryt Kaczanowskiego.

Zaręba nie dał się wziąć na plewy podstępnej indagacji, i zadowolony, upewniając, że lepiej gonić za fortuną na zielonych stolikach, gdzie już faraon toczył się w najlepsze. Już teraz wiedział, że mają go w podejrzeniu. Mróz go przeniknął, ale zasiadł do kart i grał z niezmierną werwą i szczęściem, nie zważając na częste i badawcze spojrzenia von Bluma.

Wieczory u hr. Ankwicza odznaczały się dobraną kompanją najpierwszych biboszków i kosterów, wysoką grą i wspaniałem przyjęciem. Zebrania były męskie i honory domu czynił sam hr. Ankwicz, póki nie zasiedli wszyscy do stolików. Zazwyczaj grywano do rana, czasami znacznie dłużej.

O dobrym dniu, kiedy podawano przekąskę, a wielu graczy już się rozjeżdżało, wymknął się i Zaręba, lecz dziwnym trafem wpadł przed pałacem na von Bluma, który z racji, że pomimo wczesnej pory zbierało się na burzę i błyskawice latały wskroś chmur groźnie skłębianych, uparł się go odwozić na kwaterę. W drodze

gawędzili z sobą przyjacielsko i rozstali się w najlepszej komitywie.

— Nie bez kozery świadczył mi grzeczności. A może chciał spenetrować moją kwaterę!—rozmyślał podejrzliwie, wchodząc do mieszkania. I jakże się naraz rozradował Kwestarz spał na jego łóżku, jak był przyjechał, w habicie i butach, ale na skrzyp drzwi porwał się na nogi. Wyjaśniły się zaraz okoliczności jego spóźnienia. Kacper dziw mu nie pomał w drodze, na trzęsącej bryce i musiał go złożyć u znajomego chłopca, zaś później, gdy Blumowi kozacy jęli przetrząsać okolice w szerokim promieniu Merecza, trzeba się było wymykać, kluczyć jak lis i po lasach a węglarskich budach chronić. Opowiadał wesoło, w oczach świeciła mu zuchwała przedsiębiorczość i niezmierzona żadnymi przeciwnościami energia.

Zaręba już nie poszedł spać, a pieszo, żeby nie zwracać uwagi, przebrał się zaułkami do mieszkania podkomorzyny. Przypuszczony do sekretu Rustejko zaprowadził go do Kacpra. Trudno opowiedzieć, jak się ucieszył chłopak, jak się rwał do wyjazdu, jak chciał w tej minucie znaleźć się daleko za Grodnem. Ale wprowadzony doktor, wyegzaminowawszy go należycie, ani chciał o tem słyszeć.

— Za jakie dwie niedziele, nieprędzej! Inaczej nie ręczę za jego życie—upewniał.

Kacper z płaczem suplikował, aby go natychmiast wywieźli. Był jednak tak wyczerpany przygodami i raną, iż podnieść się nie mógł o własnej mocy.

Węc bez oczywistego azardowania życiem niepodobna było go wywozić.

Po rozmowie z podkomorzyną stanęło na tem, że chory pozostanie pod jej opieką do czasu pozdrowienia, potem miał się już nim zająć ojciec Serafin, zaś Zaręba miał wyjechać nazajutrz rano, jak tylko podniosą rogatekowe szlabany.

Nie mało też popłynęło z pięknych oczu podkomorzyny, nie mało tkliwych wyznań padło i westchnień gorących się wyrwało, gdy przyszła chwila pożegnań.

Krzepiła jeno udęczone serce nadzieją rychłego spotkania się z nim w Warszawie. On zaś był już owładnięty gorączką wyjazdu, pilno mu było z Grodna w szeroki świat, a jeszcze pilniej do swoich, do domu. Przykazał Pietrkowi, aby, spakowawszy bagaże, wyruszył jeszcze przed nocą za Niemen i zaczekał na niego w karczmie za Franciszkanami, gdzie mieściła się sekretna kwatera sprzysiężonych i poczta. Maciuś z bryką i parą koni miał pozostać. Wydawszy te rozporządzenia, pomimo burzy, jaka się rozpasła nad miastem, ciemnicy, wichru i piorunów bijących jeden po drugim, poleciał do kramów i handlów kupować gościńce. Srode się wyekspensował, ale nie przepomniął o nikim, każdemu coś przeznaczając. Z dziecinnem prawie uniesieniem pakował te skarby w łuby, ciesząc się zgóry zdziwieniem i radością obdarowywanych.

Postanowił wyjechać bez pożegnań z nikim, a dopiero z Grabowa rozpisać usprawiedliwiające się listy, ale przed wieczorem przysłał po niego Prozor, który się był spóźnił na zjazd sprzysiężonych, przez jakieś

przygody, i zażądał mieć o nim relację. Na nieszczęście, wszyscy wtajemniczeni już wyjechali, nawet Jasiński był się oddalił z Grodna, więc rad nierad musiał wypełnić powinność.

Bowiem K. Prozor, wielki obożny litewski, był filarem insurekcyjnych zamierzeń i najpierwszym inicjatorem zbrojnego powstania. Pan to był przytem oświecony, możny, wielkiego serca i poważania w całej Litwie, o którego powolność zabiegała nawet Imperatorowa, próżno nakłaniając go do siebie obietnicami łask i orderami, gdyż szczęście i wolność ojczyzny przekładał nad wszelkie honory, składając jej w ofierze całą duszę, wszystkie dni żywota i znaczną fortunę. W liczbie ówczesnych paniąt i wielmożów, co, jak stado sępów, kruków i szakałów, rozszarpywali powaloną Rzeczpospolitą, zdawał się jedynym orłem, broniącym jej istnienia.

Przepędził z nim parę godzin, dopiero o samym wieczorze powracając do mieszkania. Pietrka już nie było, Maciuś zaś podał mu jakiś liścik, patrzący na zwykły „billet doux“, obficie przejęty wonnościami, ale treści zgola nieoczekiwanej: „Uciekaj choćby zaraz, niebezpieczeństwo ci grozi“. — „Ti voglio bene“ było zamiast podpisu.—Przyniósł go jakiś człowiek, nie wyznając się od kogo, i śpiesznie odszedł—objasniał Maciuś.

Ostrzeżenie było tak wyraźne i przyjacielskie, że, nie głowiąc się, od kogo pochodzi, dał mu zupełną wiarę. Należało wyjeżdżać natychmiast, cóż kiedy właśnie wybiła dziewiąta godzina, a o ósmej zamykano rogatek. Było już za późno dzisiaj. Poleciał zasięgnąć rady ojca Serafina.

Na dworze była ciemnica, deszcz lał jak z cebra, wichura szalała i co chwila błyskawice wyżerały oczy.

W celi było ciemno, mnich klęczał zatopiony w żarliwej modlitwie.

— Nie pozostaje nic nad ucieczkę — radził, wysłuchawszy nowiny. — Uciekaj waść zaraz, w chałupie Trojakowskiego doczekasz się rana, przebierzesz się w jakie łachmany i swobodnie dosięgniesz swoich ludzi i koni. Mogą przyjść jeszcze tej nocy, wsadzą do kibitki i adju Fruziul! Któż będzie mocen cię wydrzeć?..

Zaręba, promenujący się gorączkowo, przystanął nagle i rzekł porywczo:

— Otóż nie. Psiakrew, żebym ja był przymuszony we własnym kraju kryć się i uciekać, jak złodziej! Nie-doczekanie! Cóżem to, banita, wywołaniec, zbój jaki?

— Bronić się przecie waść nie zamyśla?—strwożył się jego mową szaloną.

— A choćby — głos mu zgrzytnął w ciemności, jak wyciągana szabla. — Nie dam się. I niech się podnieś krzyk na całą Rzeczpospolitą, niech się dowie powszechność, jak sobie poczynają z wolnymi jej aljancil! Jak mi ojczyzna miła, tak się nie dam wziąć żywym! A biada każdemu, kto śmie podnieść na mnie rękę — srożył się, porwany gniewem strasliwym obrażonej godności. — Jeślim winien, niechaj mnie sądzą trybunały i ukarzą, jestem powinien prawu, ale na gwałt miecza dobędę. Podłej przemocy nie poddam głowy w pokorze. Żołnierzem jestem, i wstyd mnie pali, żebym uciekać miał przed zbójami. Właśnie powrócę do kwatery i czekał ich będę do białego dnia. A nie przyjdą, wy-

jadę rano, jakem postanowił—Mówił z taką determinacją, że nie pomogły żadne perswazje ni prośby, aż po krótkiej przerwie ojciec Serafin wyrzekł znacząco:

— Kiedyś taki rezolut i chcesz się azardować, to i ja się przyłożę do tej potrzeby. W Bogu jednak nadzieja, iż dzisiaj jeszcze nie przyjdą...

Ale przyszli, właśnie jeszcze tej nocy, nad ranem. Zaręba był już przygotowany należycie; pistolety i trzy pary króć o podwójnych łufach sam opatrzył i nabił, szablę kazał Maciusiowi wytoczyć jak brzytwę i, nauczwszy go, jak ma sobie poczynać w zdarzonych okolicznościach, wdział łosiowy spencer pod kurtę, ubrał się do drogi, a rzuciwszy się na łożę, zasnął snem sprawiedliwego.

Dochodziła czwarta, gdy Maciuś szarpnął go za rękaw.

— Melduję pokornie: nadchodzą, już słysząc tętent...

Podniósł się, władnąc sobą jak nigdy i, z twarzą zastygłą na kamień, nasłuchiwał. Tylko deszcz trzepał po szybach i wiatr przegwizdywał w kominie, ale nie wyszło i Zdrowaś, na ganku zahaczały uderzenia kolb i gwałtowne kołatania.

— Otwórz! Umknij przed pierwszym impetem i powracaj mi do boku — zaszeptał, a przeniosłszy świecę na komin, przeżegnał się i położył rękę na rękojeści.

Trzasnęły drzwi frontowe i od ciężkich kroków tłoczącego się żołnierstwa zadygotały dyle i ściany; potem otwarły się narozcież drzwi do stancji, las po-

chylonych bagnetów zamigotał, walili całą hurmą, a na czele szedł von Blum z gołą szpadą w rękę.

— Oddaj waszmość szablę, jesteś aresztowany!— powiedział, umykając z oczyma.

— Ach, to waść, panie kapitanie! Proszę, jakimże szczęśliwym okolicznościom zawdzięczam tę miłą wizytację? Co za szczególniejsza asysta!— drwił, przysuwając się do stołu. — A jakimże to prawem śmiesz asan napadać po nocy wolnego obywatela?—Głos mu zadźwięczał szpizem gniewu i groźby.

— Każę cię brać w pęta, jeśli nie oddasz mi szabli.

— Weź ją sam, podły niewolniku! Podejdź i weź, rakarzu, zbójcu i złodzieju! Weź!

— Brać go w postronki! Ruszaj! Prędko!—krzyknął, ustępując żołnierzom, którzy z pochylonemi bagnetami ruszyli do ataku. Zaręba z błyskawiczną szybkością pchnął na nich długi stół, że się rozlecieli na wszystkie strony, a sam runął na Bluma. Zamigotały szablę, zgrzytnęły ostrza i po trzecim złożeniu kapitan, straszliwie cięty przez ucho i twarz, zatoczył się na ścianę i padł.

Zawrzała bezładna bitwa w ciasnej izbie i sieniach, huragan wrzasków wybuchnął. Zaręba strzelił w kupę i, wydarłszy jakiemuś karabin, rzucił się z furją w największy gąszcz. Maciuś, rycząc w niebogłosy, prał drągiem, aż wióry leciały ze łbów i karabinów. Wymietli żołnierstwo do sieni, tak sobie już folgując, że raz po raz wyrывał się nieludzki krzyk i ktoś walił się na ziemię.

Żołnierze bez dowódcy, zaskoczeni nieoczekiwaną gwałtownością obrony, stłoczeni w ciemnej sieni, cofali się bezładnie na ganek, ledwie się odcinając straszliwym ciosom napastników, co spadały gradem piorunów. Zagrzmiały salwy karabinowe: to pozostali na dworze kozacy jęli strzelać w okna, ściany i gdzie popadło.

Naraz uczyniło się widno, dach stanął w płomieniach i dziwnym trafem cała rudera buchnęła ogniem. Powstał nieopisany zgwiek. Klasztorne dzwony zahuczały na trwogę. Jacyś ludzie nadbiegali z widłami, kosami, i czem kto miał pod ręką. Uderzono na żołnierzy, w pomoc Zarębie.

— Na pomoc! Rabusie! Na pomoc! Ratunku!—rwało się ze wszystkich gardzieli.

Nadbiegły marszałkowskie straże, aljanckie warty, nawet kozackie patrole, bitwa się przerwała, gdyż który jeno z gemejnow mógł, uciekał, gdzie go poniosły oczy, przed wściekłością nadbiegającego pospólstwa, uciekła nawet kibitka z konwojowymi kozakami, pozostał jeno ciężko ranny, nieprzytomny von Blum i paru jego porąbanych socjuszów. Powiązano ich niby barany i, wywłókszy z płonącego domu, porzucono w błoto pod wartę marszałkowskich.

Zaręba, zakrwawiony od licznych zadraśnięć, w porwanem odzieniu, lecz z piorunami w oczach, krzyczał do coraz większych tłumów, jako napadli na jego kwatery rabować aljanccy żołnierze i to pod wodzą oficjera!

Świt się już robił zielonawy od deszczu, płakiwy i zimny, gdy płonąca rudera zawałiła się z trzaskiem,

wybuchając słupami skier i płomieni. Już się było zbiegło pół miasta i taki gniew srożył się na rabusiów, że strażę musiały bronić powiązanych, bo byliby ich rozrywali na sztuki.

Dopiero o dobrym dniu i przynagleni zaniepokojeniem, jakie powstało w całym mieście, nadjechali na miejsce zdarzenia: marszałek wielki Moszyński, regimentarz Ożarowski i Sieversowy komendant Grodna, generał Rautenfeld, który snadź już wiedział o nieudanej wyprawie, ale milczał, zacinając jeno zęby i groźnie tocząc oczyma.

Zaręba z Macusiem tak gdzieś przepadli, jakby kamień w wodzie.

Tłum się burzył i dawały się słyszeć głosy coraz liczniejsze i groźniej brzmiące, że ich porwano na kibitki i wywieziono...

.....

XII.

Niezdarzone porwanie Zaręby stało się dosyć głośnem, dla Sieversa i jego kompanjonów nawet kłopotliwem, ale z tej racji nie podniósł się krzyk na wszystką Rzeczpospolitą, chociaż zelanci próbowali rozdmuchać zdarzenie, grożąc jego wywleczeniem na sejmowe forum. Zieliński chciał nawet zapisywać w grodzie protestacje, zaś Woyna, nie dowierzając zapewnieniom Rautenfelda, długo się kłopotał niewiadomym losem przyjaciela.

Powszechność animowała się czemś zgoła ważniejszem.

Zaczęły się bowiem dni sejmowych deliberacyj nad traktatem z Prusami, pochłaniające całą społeczność od króla do ostatniego mości dobrodzieja.

Owo ten król pruski, z którym były zawarte sojusze, który jeszcze niedawno skomlał o przyjaźń Rzeczypospolitej i przy zdarzonych okolicznościach zapewniał o nieziennej wierności, ten król pruski, którego przodkowie, wywiedzeni z nicości przez Polskę, na kolanach w rynku krakowskim zaprzysięgali przed jej Majestatem poddaństwo i swoje wierne służby—podeptał przysięgi, zdradził nikczemnie położoną w nim wiarę i, podawszy hasło nowego rozbioru, po zbójceku na-

padł Wielkopolskę i zajął ogromny szmat kraju, aż po Rawę, Pilicę i Sochaczew. Zagrabił prawem kaduka, jak najostatniejszy z łotrzyków! A teraz przez swego ministra śmie jeszcze nasyłać harde noty i żądać od zgromadzonych Stanów dobrowolnego wyrzeczenia się ziem podstępnie zagrabionych! Chce prawnie władać odwieczną kolebką narodu i przymusza sejmujące Stany, „żeby natychmiast deputację opatrzyły plenipotentcją, potrzebną do ukończenia negocjacji i do podpisania traktatu provisorie uprojektowanego, który był przedmiotem mianych z nim konferencji. Inaczej Naj. Król. Imć. pruski, będzie się widział w konieczności rozkazania generałowi Möllendorfowi, ażeby do nieprzyjacielskich przystąpił kroków, wkraczając do pozostałych krajów Rzeczypospolitej, i takowe przedsięwziął miary, które jeszcze więcej los Polski ucisną i ściągną najokropniejsze skutki na tych, którym się podoba pomnażać przez ślepą opozycję klęski swej ojczyzny“.

Tak przemawiał do wolnego narodu, imieniem swego pana, Buchholtz...

Taki głos podnosiła zuchwała nikczemność, dufająca jeno prawu pięści...

I przez takich wiarołomców i tyranów nauczyła się Polska nienawidzieć i przeklinać. Więc kto jeno miał człowieczą duszę, w kim nie wytłało sumienie i żyło jeszcze czucie wolności, ten przeciwiał się oddawaniu najmniejszej części ziemi w moc podłego rabusia i ciemięzcy.

— Raczej nam oddać wszystką Rzeczpospolitą

pod opiekę imperatorowej! — wołali stronnicy Kossakowskich, a wraz z nimi większość zrozpaczonych.

Drudzy zaś, z których głównie przyczyny kraj przyszedł do takiego upadku i poniżenia, jak bywszy hetman Rzewuski i część generalności targowickiej z wojewodą sieradzkim, Walewskim, na czele, chciała rozpisywać uniwersały na pospolite ruszenie i mieczem a ogniem zanieść odpowiedź królowi pruskiemu — ale Sievers czuwał i w porę a skutecznie takowe zamysły przygasił, grożąc malkontentom konfiskatą majątności i wysłaniem. Już bowiem zrzucił maskę życzliwości, coraz brutalniej naciskając Sejm do przyjęcia pruskich żądań.

Najgłębsza, bo bezradna rozpacz ogarnęła umysły cnotliwych i serca. Rzeczpospolita leciała w przepaść bez nadziei jakiego bądź ocalenia...

Nie zwątpiła tylko o jej podźwignięciu i żywocie nieśmiertelnym ta przyczajona do czasu garść sprzysiężonych i egzulów, tułających się po obcych krajach, lecz tego ani się mogła domyślać powszechność, wystawiona na wszystkie udręczenia niepokojów, żalości i najczarniejszych trwóg.

Przez te pamiętne dni, od 26 sierpnia do 2 września, Grodno dawało z siebie obraz zgoła niepowszedni, tak było do dna wzburzone i rozanimowane. Wszyscy i na każdym miejscu zajmowali się jeno sprawą traktatu, wążąc w nieskończonych deliberacjach widoki jej przyjęcia lub odrzucenia przez Sejm. Nawet pospólstwo, ku niemałemu zdumieniu, dawało wyraz swej nienawiści do Prus. Którejś nocy wybito szyby Buch-

holtzowi, że musieli jego kwaterę opasać kordonami grenadierzy Cycjanowa. Jakichś Niemców ledwie wyrwano z pazurów rozjuszonego tłumu. A co już dawało do myślenia, że w biały dzień pod Jezuitami spalono konterfekt króla pruskiego, a imiona jego sejmowych jurgielników powieszono, przyczem uczynił się taki tumult i zbiegowisko, aż kozacy musieli się wdać z najałkami.

Nienawiść powszechna wzrastała z dnia na dzień i każdego z podejrzanych o zycżliwość do Prus, a w szczególności posłów, prześladowano wzgardą, iż chyłkiem, zaułkami przekradali się na Sejm, poniektórzy nawet pod eskortą. Poruszenie umysłów zdało się grozić jakimś powszechnym wybuchem zemsty, podsycanej nieustannie przez gazetki, krążące z rąk do rąk i wierszyki. Codziennie znajdowano na murach ponalepiane karte-luszki, pełne gróźb pod adresem sejmowej większości. Podrzucano je nawet w pojazdach i kościołach. Na-próżno zatrwożony marszałek Moszyński kazał wyłapać podżegaczy, tyle się jeno dowiadując od Boscampa, że to jakiś mnich podjudza tłumy, jątrzy i do wszystkich ekscesów ręki przykładą.

Snadniej jednak pochwyciłby w locie jaskółkę, niżli jego złowił z pośród oddanego mu pospółstwa.

Rozgorączkowanie umysłów dosięgło już takiego napięcia, że zabawy i hulanki przestawały mieć amatorów; teatralne reprezentacje i koncerty odprawiały się przy pustych ławach, nawet zielone pola faraona ugorowały, zaś lękliwsi obywatele, znaczniejsi kupcy i modne gamratki zaczynali opuszczać miasto w prze-

widywaniu rozruchów i zamieszek. Ulice pustoszały, zbrakło pod kafenhauzami próżniaków wystających całe dnie, nie doliczył się też ani połowy pojazdów, strojnych dam i hucznych kawalkad; wszystko się gdzieś poprzytało, nasłuchując jeno wieści z coraz burzliwszych obrad sejmowych.

Wtedy zniecierpliwiony Sievers, celem odwrócenia publicznej uwagi od materij politycznych, nakazał swoim socjuszom urządzenie przyjęć i balów, nie żałując eks-pensów dla mniej zasobnych lub ociągających się.

Pierwszy wystąpił Nowakowski — i wytluczono mu szyby, a nazajutrz ledwie się salwował z rąk jakichś oberwańców.

Więc pani Ożarowska i cała wybrana socjeta wznowiła przerwane zabawy, pod opieką gwardji litewskiej, bowiem hetman nie dowierzał koronnej. Codziennych obiadów Sieversowych dla posłów i stronników strzegła cała kompanja jęgrów. Pomniejszych zebrani pilnowali marszałkowscy lub miejskie pachoły, ale, pomimo tego, powracających z owych przyjęć często spotykały siur-pryzy, że ich obrzucano błotem i kamieniami.

Skorzystał z tych okoliczności ambasador i pod pozorem bezpieczeństwa kazał dać stałe stráže dygnitarzom, wybitnym posłom, ważniejszym personom, a miasto zalał wojskiem i wziął pod taki nadzór, że bez przepustki, wydanej przez komendanta, nikt się nie ważył pokazywać na ulicach, ni wyjeżdżać.

Wpłynęło to całę skutecznie na animusz pospółstwa, lecz nie uspokoiło wzburzenia powszechności.

Bowiem Sejm dawał obraz codziennej bitwy, staczanej przez garść bohaterów z falangą chwiejnych, głupich i zaprzędanych, oraz z całą potęgą skoalizowanej nikczemności sąsiednich potencji.

Napróżno król, Ankwicz, Ożarowski, biskup Kossakowski, Miączyński i tyłu podłych i tchórzliwych usiłowało wszystkimi sposoby przemóc opozycjonistów i skłonić do powolności, napróżno i Sievers groził im Sybirem, obstawiał wartami, a niektórych siłą zatrzymywał na kwaterach.

Nie ustąpili żadnym groźbom ni perswazjom.

Szydłowski, Skarzyński, Mikorski, Krasnodębski, Kimbar, Karski, Gosławski i reszta tych niewielu cnotliwych stała nieustraszenie przy swoim, nie dopuszczając deliberacji nad traktatem z Prusami.

Stali jakby na podminowanym szańcu, walcząc do ostatniego tchu za całość i wolność Rzeczypospolitej, jak byli walczyli w przeklętej pamięci dniach 17 lipca i 17 sierpnia, tak samo przeciw skonfederowanej zdradzie i przemocy.

Grzmiały więc ciągle mowy, protestacje, głosowania; nieustannie wybuchały kłótnie, przewlekłe rokowania, długie ceremonje przeprosin obrażanego co chwilę Majestatu, kończące się gremjalnem ucałowaniem królewskiej ręki — byle jeno przewlec choćby dzień jeden, byle tym oporem rozbudzić sumienia i krzykami rozpacz czy wstrząsnąć opieszałych. Już większość sejmowa poczyniała się skłaniać za ojczyznę, już 27 sierpnia przeszedł wniosek Szydłowskiego, odrzucający ze wzgardą

wszelkie traktowania z Prusami, już otucha napędliała serca obrońców, świtały nadzieje i pomnażały się siły...

Ale zbyt rychło musiały rozwiązać się wszelkie rachuby i nadzieje, bo za notami króla pruskiego stały tajne układy z imperatorową, podyktowane nienawiścią do Polski, a co najgroźniejsze, jej armje, wyczekujące tylko rozkazów.

Jakoż zaraz nazajutrz, 28 sierpnia, na Sejmie odczytano długą i wykrętną notę Sieversa, nakłaniającą Stany do bezwłocznego zakończenia sprawy z Prusami. Jeszcze nie ochłonięto z ciosu, zadanego pięścią, obwiniętą aksamitem, gdy A. Podhorski, poseł wołyński, zażądał głosu, ale nie mogąc przemówić z powodu nagle powstałych wrzasków, podał jakiś papier marszałkowi sejmowemu, żądając jego odczytania. Poparli to żądanie jego talarowi socjusze.

Znano Podhorskiego zaprzędanym Prusom nikczemnikiem i wiedziano, co zawiera jego projekt, układany ostatniej nocy wespół z Buchholtzem.

Cała więc opozycja, jak jeden mąż, porwała się z ław, wybuchając huraganem złorzeczeń i protestacyj przeciw odczytywaniu. Zatłoczone galerje zawtórowały tupotem i wrzaskami, dziw, że się cały zamek nie zawalił.

Zelanci w słowach gwałtownych i już niehamowanych, w słowach gniewu i wzgardy piętnowali Podhorskiego, jako zdrajcę kraju, a Szydłowski, uniesiony cnotliwym oburzeniem, wzniosł w bólu nad ojczyznę i zrozpaczony, wołał ogromnym głosem w końcu przemówienia: — „Idę pod łaskę, zadając Podhorskiemu zdra-

dzieństwo ojczyzny i oczywiste złamanie przysięgi! Sądu żądam na zdrajcę i nie ustąpię, aż się doczekam tej dla ojczyzny pociechy, iż ziemia nasza krwią tego zdrajcy obłana zostanie". — I stanął pod laską marszałkowską cały w ogniach piorunów.

— Podhorski na sąd! Pod laskę! Na sąd! — zawrzała izba i sto pięści wyciągnęło się ku nikczemnikowi, który ogromny, brzuchaty i jakby spęczniały judaszowemi talerami, siedział spokojnie, obcierając jeno twarz szczerwienioną.

Miączyński, Józefowicz, Wilamowski, Włodek i Zaleski trzymali przy nim strażę, ochraniając go przed rozwścieczonemi pięściami. Nie poruszyły go nawet krzyki arbitrow, padające z galerji jakby nieustającym gradem kamieni.

— Zdrajca! Łotr! Na szubienicę! Pruski parob! Judasz! Rakarz! Zdrajca!

Nad wszystkimi górował bas ojca Serafina i zapalczywy głos podkomorzyny. W okienku nad tronem, z poza kartunowej zastony, błyskały przyczajone oczy Sieversa.

Kilka godzin jeszcze trwały tumulty i wrzawy, nie milknące ani na chwilę, gdyż zelanci nie dopuszczali do żadnych czynności, dopóki zdrajca nie będzie oddany sądowi.

Król, znudzony śmiertelnie, solwował wreszcie posiedzenie do jutra.

Zaś nazajutrz, 29 sierpnia, powtórzyły się sceny jeszcze burzliwsze i gwałtowniejsze. Żle się zaczęło od początku, bo przed otwarciem sesji marszałek wielki

litewski, Tyszkiewicz, sam chodził po galerjach i wszystką postronną publiczność kazał wypędzać z Sejmu. Szpetnie mu zato przymówił Gosławski. Marszałek usprawiedliwiał się gorąco, obiecując przeczytać posłom list Sieversa, przymuszający go do takich czynności, oczyszczania izby z żywiołów niepożądanych, gdy otwały się podwoje i śmiałym, bezczelnym krokiem wszedł Podhorski i zajął swoje miejsce.

— Precz z nim! Za drzwil! Za drzwil! — runęły namiętne wrzaski. Kilkunastu zelantów rzuciło się ku niemu, wyrwali go z miejsca niby chwast podły, podnieśli na rękach, wyrzucili na korytarz i zatrzasnęli drzwi. Poleciał na skargę do Sieversa.

W izbie nieco przycichło i rozpoczęły się debaty względem czytania projektu, złożonego do laski przez Podhorskiego, za czem już obstawała większość, nastraszona przez ambasadora. Najgwałtowniej dopominali się tego partyzanci i jurgieltnicy pruscy z Miączyńskim na czele. Król również się skłaniał, dając powody tchórzostwem nacechowane jak i nikczemnie wykrętne.

Noc zapadła, zapalono światła i, pomimo powszechnego znużenia, sesja ciągnęła się bez przerwy, a wśród nieustannego zamieszania i nieopisanych zgiefków.

Opozycja chwyciła się każdej okazji, byle jeno nie dopuścić do czytania projektu. Większość zaś, wspierana przez króla, starała się ów projekt przeforsować. Dochodziło przeto do scen gwałtownych i zgół nieprzy stojnych Sejmowi, były chwile, że zdało się, jako za błąsną szable i krew się poleje. Rwał się porządek ob-

rad, nikt już nie słuchał marszałka, nie zważał na króla, jakby opętanie ogarnęło wielu, że z zaciśniętymi pięściami, ochrypli, prawie nieprzytomni, skakali sobie do oczów.

Galerje znowu, pełne arbitrów, nie mało przyczyniały się do podniecenia umysłów, gdyż, trzymając stronę zelantów, przeciwników traktowały śmiechem i drwinami. Przed końcem, sesji powrócił Podhorski, ale go momentalnie wyrzucono za drzwi. Naraz Karski spostrzega, że projekt Podhorskiego bez podpisu, korzysta z tego opozycja i stąd nowa zwłoka, nowe sceny i nowe utarczki.

Król rozkazał go przywołać. Wszedł lękliwie, i, przeprowadzony krzykami, zbliżył się do tronu, a że dziwnym trafem nie było na stole marszałkowskim piór ni inkaustu, król, podając mu własny ołówek, zachęcał do podpisania.

Wahał się chwilę, potoczył przekrwionemi oczyma po rozszroczonych twarzach, nasłuchując z widocznym niepokojem straszliwej burzy przekleństw i złorzeczeń, ale podpisał i zawrócił ku swojej ławie. Musiał przeciskać się przez stojących w przejściu zelantów, a każdy odpychał go ze wzgardą, pluł i obrzucał obelgami, a galerje wtórowały, rycząc w niebogłosey:

— Precz z nikczemnikiem! Zdrajca! Niema posiedzenia ze zdrajcą! Nieważne!

W obraźliwym tonie zażądał od marszałka obroby i wypędzenia publiczności.

— To waćpan nie powinienes tu się znajdować! — krzyknął urażony Tyszkiewicz.

Pozostał jednak naprzekór burzy, jaka się wciąż srożyła nad jego głową, naprzekór powszechnym żądaniom wydalenia go z sali. Dopiero na rozkaz króla ustąpił, przyczem tak mu żarliwie pomagano, że, wypoliczkowany i w poszarpanem odzieniu, znalazł się w korytarzu, gdzie nawet służba [nie szczędziła mu dotkliwych oznak pogardy.

Sesja skończyła się o północy i na niczem.

Na niczem również przeszła następna 30 sierpnia, więc aby ukartować skuteczniejsze sposoby zniewolenia opozycjonistów, król solwował posiedzenie na dwa dni, do poniedziałku.

Ankiewicz wykoncypował plantę kampanji przeciwko zelantom i przez całe dwa dni prowadziły się wzmożone porozumiewania z Buchholtzem i Sieversem. Zaś już w nocy z niedzieli na poniedziałek 2 września czuć się dawał na mieście gorączkowy niepokój; mało kto spał, okna świeciły gęsto, ustawicznie przelatywały powozy i konni z posyłkami; w ciemnych ulicach rozlegały się głuche turkoty prowadzonych armat, od wszystkich rogatek następowały wojska, polśniewały bagnety, zrywały się krótkie warkoty bębnow, ściszone głosy komend i ciężkie kroki rot, maszerujących ściśniętymi szeregami...

Jakoż rano, gdy słońce się podniosło, Grodno dawało widok miasta zdobytego przez nieprzyjaciela. Wszystkie bowiem wojska rosyjskie, obozujące w okolicy, obsadziły place, ulice, przejścia i gmachy publiczne, a zamek królewski wzięł postać warowni, w której czyniono przygotowania, jakby do odparcia sztur-

mów. Wszelkie przystępy do niego, fosy, mosty, dziedzińce, drzwi, a nawet okna zajęli grenadierzy. Na placu stanęła bateria armat, wyrzutowanych w gmachy sejmowe, przy niej kanonierzy z zapalonemi lontami, wozy amunicyjne i cugi w powinnej odległości, dragoni na flankach, a w odwodzie kozactwo.

Harmaty wyciągały groźne gardziele ze wzgórz, otaczających Grodno, harmaty leżały u wylotów znaczniejszych ulic i harmaty zamykały wszystkie rogatki.

Tak się zaczynał ów pamiętny 2-gi września 1793 roku.

Dzień się był zapowiadał cudny, ciepły i cichy; ptaki radośnie świergotały, zawiewał wietrzyk, przejęty zapachami pierwszej jesieni, weselnie polśniewało błękitne niebo, zarzucone białemi welnami chmur; aura tchnęła lubą rzeźwością; słońce wynosiło się promieniste, niby oblicze szczęściem nawiedzone, ale mało kto wiedział o tem, bo ludność przebudziła się w żelaznych pętach przemocy: żołnierze stali pod domami, wzbraniając otwierania sklepów, bram i drzwi, zakazując nawet pokazywania się na ulicach bez biletów komendantury, a kto nie posłuchał żołnierskich racyj, szedł pokutować na odwach, lub kolby i nahaje zawracały go zpowrotem do domów...

Grodno przyjęło te zarządzenia w najwyższym zdumieniu.

Powstało tysiące najdziwaczniejszych domysłów i pogłosek, zgodnych jeno w zawziętej nienawiści do Prus, gdyż tylko Buchholtz mógł się przyczynić do tego

niesłychanego terroryzmu, obrażającego nawet najpowszechniejszych Sieversowi.

Dopiero koło południa gruchnęła wieść zgoła już nie do wiary—że opozycjoniści uknowali spisek na życie króla, który miał być wykonany podczas dzisiejszej sesji, więc Sievers był przymuszony do zarządzenia środków zabezpieczających osobę Najjaśniejszego Pana!

Królobójstwo! Jakobini! Praktyki francuskiej rewolucji!

Powszechność zatrzęsa się zgrozą i oburzeniem. Błady strach zatargał wielmożami. Wszelka nikczemność stanęła w śmiertelnych potach przerażenia, lecz wrychle uspokojona zbrojnemi ciżbami obcego żołdactwa, tem zacieklej rzuciła się na mniemanych spiskowców, których imiona skwapliwie szeptałi Boscamp z pruskimi jurgielnikami każdemu, kto się nawinął.

Wymysł był piekielny, mający na względzie zohydzenie opozycjonistów.

Zelanci przyjęli go spokojnie, gotując się do dzisiejszej walki na sejmie z tem samem męstwem i stałością, jak codziennie. Dobrze jednak rozumiejąc wagę tej potwarzy, zgromadzili się, pomimo przeszkód, na obiad i narady do Zielińskiego.

W pokoju jadalnym, wychodzącym na jakąś cichą uliczkę, panowało posępne milczenie. Skarzyński, przygarbiony ciężarem trosk, chodził gorączkowo od okna do okna, Krasnodębski coś pilnie konotował; Mikorski palił lulkę, ukrywając w kłębach dymów twarz rozognioną, Szydłowski czytał najnowszy numer „Gazety Hamburskiej“, zaś reszta, kilkunastu, siedziała przy stole

jeszcze nieuprzątniętym, pociągając węgry i szepcząc między sobą. Naraz Kimbar odezwał się żartobliwie:

— Mogą nas jeszcze pobrać pod strażę i nie dopuścić na Sejm.

— Tego nie uczynią: brakowałoby potrzebnego kompletu do głosowania. Może się nam wydarzyć coś gorszego, jeśli jakiś Podhorski, albo i sam hrabia Ank-wicz ogłosi nas na Sejmie za królobójców i zażąda sądu...

— Gdzież dowody? Gdzież choćby cień prawdy? — rzucił się niespokojnie Gosławski.

— Buchholtz może w potrzebie zaprzysięgnąć. Cóż znaczy dla Prusaków krzywoprzysięstwo! Zali w tem nie wypraktykowani? Zali nie gotowi na każdą podłość?

— Do tego nie przyjdzie, bo dzisiaj bagnety wymogą na Sejmie każdą uchwałę, jaka tylko będzie potrzebna Buchholtzowi—zauważył smutnie Ciemniwski.

Za oknami zabrzęczała lira i jakiś dziadowski głos płaczliwie lamentował:

„Ach ty Potocki, wojewódzki synu,
Prodałeś Polszu i wsiu Ukrainu“.

— Szczęsny doczekał się rychłej sławy!—zauważył Skarzyński, zwracając uwagę towarzystwa na śpiew.— Szczególnie, jak pospólstwo ma czucie słuszności.

Zasłuchali się w słowach piętnujących zdrajcę, gdy wszedł Prozor, obożny litewski.

— Wiecie—zaczął od progu—nuncjusza zawrócili z pod Dominikanów, bo nie miał karty. Zrobiła się chryja, sam Sievers pojechał go przeproszać.

— Kruk krukowi oka nie wykole!—szepnął Szydłowski.

— Cóżecie waszmość panowie uradzili?—zagadnął Prozor.

— Programat zwykły: oponować, zatrudniać i nie dopuścić uchwalenia plenipotencji.

— A jeśli większość postawi na swoim i traktat z Prusami stanie?

Po krótkim milczeniu podniósł się Mikorski i rzekł:

— Będziemy stawać w opozycji względem każdej materji deliberowanej, byle jeno Sejm przewlec jak najdłużej.

— A uchwalenie redukcji wojsk odwlec choćby do Nowego Roku — Szydłowski dodał.

— Nasze zbawienie widzę tylko w przeczekaniu Katarzyny. Nie znam innego sposobu ratunku. Jeśli przeczekamy, Polska się podniesie—twierdził Mikorski.

Zaczęli o tem traktować, lecz, że pora nadchodziła na Sejm, rozeszli się pokrótce, dążąc różnymi stronami do zamku.

Prozor, pozostawszy sam z Zielińskim, zapytał go poufnie:

— Zaręba upewniał mnie, jako nie wszyscy opozycjoniści w sprzysiężeniu...

— Zaledwie pięci. Nie wszyscy bowiem zawierają azardom insurekcji...

Pojechali na zamek, lecz, pomimo pustych ulic, jechali wolno, gdyż prawie na każdym rogu trzeba się było legitymować biletami wolnego przejazdu.

Prozor ledwie zdołał hamować gniew obrażonego uczucia wolności.

— Boże, aby obcy żołdak prawa nam dyktował! — jęczał, zaciskając pięście.

— Przysłowie powiada: „jak się człowiek przyłoży, to mu i w piekle niegorzej“. Ale to nieprawda. Człowiek rodzi się do wolności, nie do kajdan — wyrzekł Zieliński.

Musieli wysiąść i przez plac zamkowy defilować ulicą wyciągniętych grenadjerów, bowiem w bramie oficerowie czynili pierwszy przegląd nadjeżdżających. W progach sejmowej antyszambry stał generał Rautenfeld, a jego przybocznicy sprawdzali najskrupulatniej bilety każdego z wchodzących. Całe również pomieszczenia sejmowe, przedsionki, bokówki, odwach, korytarze i galerie zajmowali grenadjerzy z nasadzonemi bagnietami.

Mirowscy, bez broni, wąsali się po kątach, służąc jeno do posyłek z listami. Zakrzewski, któremu wypadła dzisiaj służba, pił z Woyną przy stole, gdzie zastawiano zimne dania, i rzucał głośno rozwścieczone uwagi o aljantach.

W przedsionku, mimo znacznej liczby osób, panowała przejmująca cichość, szeptano sobie na ucho, kręcił się Friese, rozdając jakieś karteluszeki, niekiedy zaglądał Boscamp i przepadał za drzwiami kancelaryj sejmowych.

Zelanci przechodzili prosto do izby, pod gradem nienawistnych spojrzeń i uśmiechów.

— Imaginuj sobie, że ten dragal — mówił Zakrzewski, wskazując jakiegoś oficerka sprężonego pod oknem — miesiąc temu wziął kije za kradzież i pijaństwo, a teraz już błyszczy adjutanckimi buljonami.

— Cicho waść, nie pora na burdy! — zgromił go Prozor, podając mu rękę na powitanie.

Marcin, snadź nieco napity, zaszeptał z gorączkową swadą i uporem:

— Nie wytrzymam długo takiej hańby... ja żołnierz... nie ścierpię... żołnierze pójda za mną...

Ale zamilkł pod surowym wzrokiem Prozora, którego Woyna odwiódł nieco na stronę, by mu powiedzieć:

— Bajędy o spisku wykoncypował Ankwicz, wiem na pewno.

— Rzetelnie dorabia się hańby! — odszepnął porwocz.

Czwarta, na którą wyznaczono posiedzenie, wybiła właśnie na zamkowym zegarze i wszyscy ruszyli zabierać miejsca w sali. Izba sejmowa tonęła w złocistych brzaskach, zwłaszcza górna jej część zdała się być ogarnięta pożogą, tak słońce grało tęczami w szklanych pajaków, w szybach i poźłotach, wydając zarazem zdumionym oczom tłumu rosyjskich oficerów, rozpierających się po galerjach, miasto publiczności.

Ławy poselskie wnet się zapełniły, senatorowie wzięli swoje krzesła bliżej tronu, Tyszkiewicz zasiadł przy stole marszałkowskim, sekretarze i skryby w powołanych miejscach. Sejm już był zebrany w komplecie, gdy naraz wszystkie drzwi z hukiem się zawarły i stanęły w nich grenadjerzy, nikogo z sali nie wypuszczając.

jąc. Ten niesłychany gwałt poruszył wszystkich do żywego. Podniosły się szemrania i protestacje nawet z pośród najtchórzliwszych.

Któryś z zelantów próbował wyjść, lecz bagnety z taką gwałtownością zaparły mu drogę, iż ledwie uskoczył w bok przed uderzeniem.

Oficerowie na galerjach wybuchnęli szyderczym śmiechem.

Marszałek oznajmił wejście Majestatu. Wszyscy powstali, przycichło w sali.

Wszedł król w zwykłej asyście kadetów z obnazonemi szpadami, ale tuż za nim wkroczył generał Rautenfeld i zasiadł na krześle obok tronu.

Wszystkim odjęło mowę, spoglądano na siebie z zapartym tchem, zali ten obcy żołdak, rozpierający się przy tronie, nie przywidzenie? nie stwór obłąkanej imaginacji? — Ale nie, siedział z groźbą w kamiennej twarzy i zimnemi oczyma toczył po głowach. W orderach był, przy szpadzie, wyniosły, pyszny, władczy i każdemu sercu wolnemu obmierzły.

Ogromny krzyk protestacji wyrwał się z piersi opozycjonistów, a wraz i pruscy partyzanci jęli się wrzaskliwie domagać zagajenia sesji i przystąpienia do obrad.

Potężny jednak głos Szydłowskiego wyniósł się ponad wszystkie.

— „Nie mam tej świątyni za prawodawczą — wołał — gdy zbrojna ręka gwałciciela wewnątrz i zewnątrz ją otacza. Nie masz sejmu i obrad wolnych, gdzie

gwałt i przemoc wywiera swoje siły, a miejsce, należne reprezentantom wolnego narodu, obcy zajmuje żołnierz...”

Tyle jeszcze zdziałała opozycja, że pod jej napotymano delegację do Sieversa, z żądaniem usunięcia wojsk z Sejmu. Po [dwugodzinnych pertraktacjach, przynieśli odpowiedź ambasadora — jako nikogo wypuści z Izby, dopóki traktat z Prusami nie zostanie uchwalony. I pogroził użyciem siły zbrojnej...

Rozpoczęła się więc ponura, beznadziejna walka przemocą.

Godziny przechodziły w nieopisanych wysiłkach obrońców; dawno już dzień skonał; dawno już noc szła w brzaskach srebrzystej luno; dawno już sen ogarnął wszystkich świat, a bohaterski legion walczył wciąż tniemi siłami rozpacz i szaleństwa.

Ale Rautenfeld z nieubłagalnością kata czuwał nad ciałem króla pruskiego.

Dla króla pruskiego przewagi groziły u harmat lone lonty.

Dla króla pruskiego zbrojne rotty gotowe były wać opornych.

Dla króla pruskiego pracowała przemoc, [zdrada i zemność!

Aż uchwalono, co podyktowały bagnety. Posiedzenie skończyło się o czwartej rano.

KONIEC.





524 009

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0532684